

MAŁGORZATA WINKLER-POGODA



*Tamtego lata
w Bułgarii
Taka miłość się nie zdarza*

MAŁGORZATA WINKLER-POGODA

*Tamtego lata
w Bułgarii
Taka miłość się nie zdarza*



EDIPRESSE
KSIĄŻKI

POLECAMY

Nina Majewska-Brown
Anka. Inne oblicze szczęścia

Nina Majewska-Brown
Anka i diabeł stróż

Natasza Socha
Troje na huśtawce

Agnieszka Szygenda
Odnaleziony po latach

Anna Sakowicz
Na dnie duszy

Agnieszka Zakrzewska
Do jutra w Amsterdamie

Kasia Bulicz-Kasprzak
Sprzeczne sygnały

Krystyna Mirek
*Saga rodu Cantendorfów:
Tajemnica zamku*

Krystyna Mirek
*Saga rodu Cantendorfów:
Cena szczęścia*

Krystyna Mirek
*Saga rodu Cantendorfów:
Prawdziwa miłość*

Krystyna Mirek
Światło w Cichą Noc

Krystyna Mirek
Światło o poranku

Charles Martin
Pomiędzy nami góry

Roma J. Fiszer
Kilka godzin do szczęścia

Roma J. Fiszer
Wzgórze pełne słońca

Roma J. Fiszer
Sezon na szczęście

Roma J. Fiszer
Siedlisko gorących serc

Agnieszka Jeż, Paulina Płatkowska
Szczęściary

Agnieszka Jeż, Paulina Płatkowska
Marzena M_

Agnieszka Jeż, Paulina Płatkowska
Ciasteczko z wróżbą

Nora Roberts
Obsesja

Nora Roberts
Kłamca

Nora Roberts
Przed zmierzchem

Rodzinie

Zostało tylko to dziwne podobieństwo, które uparcie podkreślała nauczycielka geografii, obrysowując wskaźnikiem kontury Bułgarii na obszarpanej mapie geograficznej. I za każdym razem pojawiał się odwrócony głową w stronę morza (a zadem na zachód) straszny lew. Takie zaznaczanie granic miało nam dodać kurażu, jak się później okazało, i przestraszyć inne narody.

**Georgi Gospodinow, *I inne historie*
przeł. Magdalena Pytlak**

Wszystkie opowiadania traktują w gruncie rzeczy o miłości.

**Robert McLiam Wilson, *Ulica marzycieli*
przeł. Maria Grabska-Ryńska**

CZĘŚĆ 1

Prolog

Zaczęło się od filmu. To był mocny impuls. Zmusił mnie, by znowu otworzyć album sprzed lat i zobaczyć kilka czarno-białych zdjęć i jedno kolorowe. Przypomnieć je sobie. Jeszcze raz.

Poprzedniego dnia obejrzałam w telewizji film, który mnie wzruszył. *Świat jest wielki, a zbawienie czai się za rogiem* Stefana Komandarewa. Bułgarsko-niemiecki. Co roku starałam się oglądać bułgarskie filmy na Warszawskim Festiwalu Filmowym, ale ten jakoś umknął chyłkiem. Bo zawsze chciałam wrócić do Bułgarii, choćby na chwilę, choćby przez obrazy na ekranie. Podążać za filmową fikcją, oglądać nieznanne krajobrazy, posłuchać języka, poczuć klimat tego zakątka świata, zobaczyć wycinek życia, nawet zmyślonego, wyświetlanego w sali kinowej.

Film opowiada historię rodziny na przestrzeni dwudziestu kilku lat. Rodzice z kilkuletnim synem, szantażowani, uciekają w latach osiemdziesiątych z Bułgarii do Niemiec. Ich syn dorasta w obcym kraju, nie mając kontaktu z dziadkiem z małego bułgarskiego miasteczka. Gdy w wypadku giną rodzice, a ich dorosły syn zostaje ranny i traci pamięć, dziadek jedzie po niego, by go zabrać do rodzinnego domu, przywrócić tożsamość, nauczyć życia w kraju, którego wnuk nie zna, i przypomnieć zwyczaje, których nie pamięta. Niezwykła podróż na rowerze z Niemiec do Bułgarii jest zarazem powrotem do korzeni, do utraconej przeszłości, do tego, co najważniejsze, głęboko ukryte. Bawi i wzrusza. Magiczny film drogi. Piękna opowieść o miłości, sile tradycji i trudnej historii Bułgarii, gdzie polityka zniszczyła życie wielu ludzi, wielu rodzin. Zatęskniłam za tym krajem. Znowu. Minęło tyle lat. Może wreszcie tam powrócić? Zrobić to? Jechać?

Nie, ten film stał się dopiero trzecim znakiem zapytania, który zmusił mnie do poszukania odpowiedzi i działania.

Kilka miesięcy wcześniej odbyłam ostatnią rozmowę z ciocią Wandą. Ciocia była ze mną tamtego pamiętnego lata w Bułgarii. A właściwie to ja byłam tam z nią i innymi ciotkami, tak na przyczepkę. Pojechałyśmy na wakacje do Warny. Cztery ciotki i ja, piąte koło u wozu. Wtedy właśnie poznałam Borysa. Ciocia też go poznała i zdążyła polubić.

Przez kolejne dwadzieścia lat spotykałam się z ciocią Wandą rzadko, coraz rzadziej. Moje życie nabierało tempa, niosły mnie różne fale... Ale przy każdym spotkaniu pytała o Borysa: czy mam od niego jakieś wieści, czy nadal pisze listy, chociaż już wtedy raczej nikt listów nie pisał i na zawsze zniknęły telegramy. Na ciocię i jej wspomnienia zawsze mogłam liczyć. Ona go p a m i ę t a ł a . Była świadkiem. Dzięki niej to, co się wydarzyło, zostało potwierdzone, poświadczane. Nie było tylko moim złudzeniem, wymysłem. Borys stał się naszym wspólnym wspomnieniem, choć każda z nas zapamiętała go na pewno inaczej. „Taki piękny chłopak”, mówiła. „Szkoda, że wtedy nie przyjechał do Polski. Wielka szkoda...”.

A potem... ciocia Wanda zaczęła powoli tracić pamięć. Stopniowo traciła życie, bo życie zawiera się w pamięci. Rozprzestrzeniała się w niej niepamięć, rosły plamy zapomnienia wypełnione pustką, blakły przeżyte chwile. Ciocia zapominała siebie, to, kim jest i kim była. Zapominała innych ludzi. W końcu rozwiały się nasze wspólne wspomnienia. Uleciały, przestały krążyć między nami. Kiedy widziałam ją po raz ostatni, była inną osobą, tylko fizycznie przypominała dawną Wandę, wesołą i pełną energii. Stała się pustą formą dawnej Wandy. Foremką bez treści. Resztką kogoś, kto dawno odszedł. Na moje pytanie, czy pamięta Borysa, nie potrafiła już odpowiedzieć. Milczała i tylko się uśmiechała. Nieopowiedziane nie istnieje. Znika, przepada bez śladu. Traciłam osobę, która dzieliła

ze mną wspomnienia tamtego lata w Bułgarii. A przecież wspomnienia czynią nas tym, kim jesteśmy.

Wtedy właśnie postanowiłam znaleźć odpowiedź na pytanie, co się stało z Borysem. Po raz pierwszy. Po tylu latach. Wielu latach.

Świat jest mały, odkąd istnieje internet. Odpowiedź może czaić się za rogiem. Wystarczy tylko po nią sięgnąć – wpisać nazwisko, nacisnąć klawisz. Niestety, wszechwiedząca wyszukiwarka nie podała ani jednej odpowiedzi, nawet przybliżonej. Nie ma takiej osoby. Zero wyników. „Może chodzi o różnicę w alfabecie?”, pomyślałam. „Może Borys nie korzysta z sieci? Ale odkąd Bułgaria weszła do Unii Europejskiej powinny znaleźć się choćby śladowe informacje”. Niestety, łudziłam się, nowe technologie okazały się dla moich poszukiwań bezużyteczne. W wirtualnym świecie nie znalazłam jego nazwiska.

Drugi czerwony, pulsujący znak zapytania pojawił się w moich myślach podczas spotkania z przyjaciółką ze studiów. Z Jolą widywałyśmy się co roku o tej samej porze, późną jesienią. Nasze wieczory wyglądały zawsze podobnie. W herbaciarni usytuowanej w podziemiach warszawskiej Starówki opowiadałyśmy sobie nawzajem o rodzinnych wydarzeniach z ostatniego roku, towarzyskich rewelacjach, nowinach w pracy, zmianach, stresach, radościach i minionych wakacjach. O wszystkim, czego nie udało się opowiedzieć przez telefon. Stałym elementem naszych pogaduszek były wspomnienia. „Jolka, Jolka, pamiętasz...?” – to było hasło. „Lato ze snu” – prawidłowy odzew przyjaciółki. Dużo pamiętała. Poznałyśmy się na pierwszym roku, studiowałyśmy historię sztuki. Byłyśmy w jednej grupie. Razem przeżywałyśmy kolokwia, kolejne egzaminy, podczas gdy obok toczyło się nie mniej ważne życie uczuciowe i kwitły towarzyskie intrygi.

– Łucja, a co u tego Borysa? Nadal nie wiesz? – zapytała kiedyś, pijąc małymi łydkami ulubioną zieloną herbatę. – Dlaczego do niego nie napiszesz? Przecież moglibyście się nawet spotkać. Ludzie spotykają się po dwudziestu, trzydziestu, a nawet czterdziestu czy pięćdziesięciu latach. Tyle różnych historii się słyszy. Starzy absolwenci biorą udział w szkolnych zjazdach liczniej niż młodsze roczniki. Takie spotkania po latach ze szkolną miłością są niesamowite. Wzruszające. Pod warunkiem że można się jeszcze rozpoznać. – Jolka pracowała w liceum plastycznym, więc szkolne życie bywało dla niej inspirujące. – Teraz można tak łatwo się skontaktować, na Skypie, na różnych portalach. No i są komórki. Próbowałaś go odnaleźć?

– Kilka razy, bez skutku. Nie ma mnie na Facebooku, jego chyba też nie – powiedziałam.

– To może napisz list. Dlaczego nie?

– Po tylu latach? – Miałam wątpliwości. – Chociaż ten czas minął tak szybko, wprost nie do uwierzenia... Nie wiadomo kiedy... W końcu mój syn ma już ponad dwadzieścia lat – przyznałam, wbijając łyżeczkę w tiramisu.

– Ja bym napisała. Ciekawe, jak mu się ułożyło życie. Nie chcesz wiedzieć?

– Nie chcę wysyłać listu do jego rodziców, przecież znam tylko stary adres. On już na pewno tam nie mieszka.

– A skąd wiesz? – nie odpuszczała. – A jeśli nawet tam nie mieszka, to chyba mu przekażą, prawda? Może mieszka w tym samym mieście. No chyba że wyjechał do jakiejś Brazylii czy innej Australii. Nie chciałabyś wiedzieć, co się z nim dzieje? Co się u niego zmieniło przez dwadzieścia lat? Czy w ogóle żyje? I jak?

– Pewnie, że chciałabym. – W końcu już od dawna o tym myślałam. – A wiesz, niedawno dowiedziałam się, że nie żyje już trzeci kolega z mojej klasy z podstawówki. Za szybko odchodzą, za wcześnie. Po czterdziestce...

– Napisz do niego, przecież to nic złego – namawiała. – Ja bym się ucieszyła, gdyby napisał do mnie mój dawny chłopak, jakiś przyjaciel z odległych czasów. To by znaczyło, że mnie pamięta. I miło wspomina.

Ta rozmowa zapadła mi w pamięć. Wciągnęły mnie jednak codzienne sprawy, praca w muzeum i na uniwersytecie. Mijały dni, tygodnie, w końcu miesiące. Nie miałam nastroju, by wracać do przeszłości, uporządkować myśli i wreszcie napisać. Tak dawno nie pisałam do nikogo listu. Od lat wysyłałam tylko krótsze lub dłuższe mejle, najczęściej służbowe. Kiedyś pisałam mnóstwo listów. Był czas, że codziennie dostawałam przynajmniej jeden. Od znajomych, od przyjaciół z całej Polski, od Borysa. Dwadzieścia lat temu. Listy Borysa... pisane po bułgarsku ładnym, równym pismem. W kolorowych kopertach z obrazkami z lewej strony. Otwierałam je niecierpliwie, gorączkowo. Wyłuskiwałam listy jak nasiona owoców, jak kasztany ze skorupki. Przynosiły miłość i kwiaty, włożone między kartki. Słowa, słowa, słowa... Najładniejsze w języku, w jakim je zapisano. W jednym z dwóch słowiańskich języków, w których nie ma przypadków. Ułożone w zdania, piękne zdania, pełne uczuć, namiętnych obietnic. Każdy list czytałam dziesiątki razy, może więcej. Musiały zastąpić rozmowę i spotkanie. Dotyk i spojrzenie. Mieliśmy tylko te listy. Tylko to.

Wtedy właśnie, kiedy nosiłam w głowie pomysł na list, który nie dawał mi spokoju i jednocześnie nie mógł się zmaterializować, obejrzałam ten uroczy bułgarski film. Był luty 2013 roku. I w tamtej chwili zapragnęłam ponownie zobaczyć Bułgarię. Znaną i niepoznaną. Góry i małe miasteczka, których nigdy nie widziałam. Podziwiać charakterystyczne domki z wysuniętym piętrem. Poczuć zapach czubrycy i innych bułgarskich ziół, posmakować soczystych słodkich owoców.

Sięgnęłam do albumu po Bułgarię, jaką pamiętałam. Jaka była dla mnie wtedy dostępna. Bułgarię na pięciu czarno-białych fotografiach. Na pierwszej jest Borys na tle szarego nieba, które naprawdę było wtedy olśniewająco niebieskie, jak emaliowane. Uśmiechnięty patrzy w obiektyw, mruży oczy, ma na szyi krótki srebrny łańcuszek, jego czarne, lekko falujące włosy są wilgotne, niedawno pływał w morzu. Jest przystojny, młody, całe życie przed nim. Ma dziewiętnaście lat. Radość na twarzy. To pierwsze i zarazem ostatnie zdjęcie, jakie zrobiłam mu na plaży moją starą smieną. Był wrzesień 1986 roku.

Na drugim zdjęciu jestem ja, uśmiecham się, bo patrzę na Borysa. Jasne, długie włosy wiatr zwiewa mi na pół twarzy, widać tylko jedno oko, które na zdjęciu jest szare, a w rzeczywistości zielone. Ten kolor oczu Borys uznał za wyjątkowo piękny i niezwykle rzadki, czym mnie zdziwił, bo usłyszałam to wówczas po raz pierwszy. Mam dwadzieścia lat i poczucie, że dzieje się coś cudownego. Irracjonalne przeczucie przygody.

Na trzeciej fotografii jesteśmy razem. Stoimy w wodzie po kostki. Borys obejmuje mnie lewą ręką, pochyla się i mnie całuje. To był ten pierwszy, pamiętny, niespodziewany pocałunek. Zaskoczona odchyłam się do tyłu, co widać w ruchu lewej ręki. Mam na sobie bikini w biało-czerwone poziome paseczki, które dobrze pamiętam. Na zdjęciu jest biało-szare. Borys ma ciemne kąpielówki. Były czarne czy granatowe? Nie wiem. Dlaczego nie pamiętam? Chcę wszystko pamiętać. Każdy szczegół. Za nami morze i niebo w różnych odcieniach szarości. Morze Czarne jest na fotografii grafitowe, łagodne, niemal bez fal. Na szarym niebie nad nami smugi i nitki jasnoszarych chmur. Początek miłości w wielu odcieniach szarości.

Czwarta fotografia została zrobiona kilka minut później. Stoimy roześmiani, patrząc w obiektyw. Dobrze widać nasze twarze. Obejmuję Borysa prawą ręką, a on mnie silnymi, długimi ramionami. Prawą dłonią dotyka mojego policzka. Czarne morze obmywa nam stopy. Szare fale toną na szarym

piasku.

Kiedy patrzę na piątą fotografię, zawsze czuję ukłucie smutku. Borys stoi w morzu, a obok, zamiast mnie, widnieje wielka czarna plama. Nicość czarniejsza niż Morze Czarne pochłonęła mnie niczym w filmie fantasy. Nie widać ani stóp, ani czubka głowy, tylko fragment prawej dłoni, którą obejmuję Borysa. Dłoni niczyjej. Zostałam wymazana. Unieważniona. Zniknęłam. Nie ma mnie. Porwało mnie czarne Nic. Los lubi tak się czasami bawić ludźmi i rzeczami. Niestety, nie tylko na zdjęciach. Miota nimi, żongluje, niszczy. Jedne zachowuje, pielęgnuje, a nawet wywyższa, a inne strąca w niebyt i niepamięć. Przeznacza na zatracenie. Przedmioty też bywają jego zabawkami. Czyżby prorocza fotografia? Nie ma takiej kategorii. Ale na pewno igraszką losu była ta króciutka sesja fotograficzna pierwszego dnia znajomości. Aparat odmówił nam współpracy. Znaleźliśmy potem zakład fotograficzny, film został uratowany, ale nigdzie nie mogłam kupić nowej kliszy, nawet czarno-białej. Taki to był dziwny czas. Zdjęcia wywołałam po powrocie do Polski. Większość okazała się prześwietlona, pozostało tylko tych pięć fotografii, które powstały w dniu, gdy się poznaliśmy i wszystko się zaczęło. Potem spędziliśmy razem jeszcze dziewięć przepięknych dni, ale ślad tego czasu pozostał tylko w pamięci. Nie mam więcej zdjęć. Wspomnienia jednak zastygają i coraz bardziej przypominają fotografie w albumie. Fotografie wspomnień.

Fotografowanie było i nadal jest moją pasją. Zdjęcia zatrzymują czas, pomagają zapamiętać ważne chwile, opowiadają pewną historię. Co nieopowiedziane, nie istnieje. Tę historię opowiadałam wielokrotnie różnym osobom, potem przestałam. Żałuję, że nie mam więcej wspólnych fotografii z Borysem, że było nam dane tylko to i tylko tyle. Cieszę się, że było nam dane chociaż tyle.

Wreszcie podjęłam decyzję. Postanowiłam znowu pojechać do Bułgarii. Na pewno wiele się tam zmieniło, tak jak w innych krajach tej części Europy, tak jak w Polsce. W końcu co kilka lat jesteśmy świadkami kolejnej rewolucji. Czasy są dynamiczne i nic nie obowiązuje na dłużej. Przemijamy też jakby coraz szybciej.

Odbędę podróż sentymentalną. Pierwszy raz. To niezwykle doświadczenie, które najczęściej przydarza się ludziom pośrodku życia, lub pod koniec, jeszcze nie było moim udziałem. Wtedy człowiek szuka odpowiedzi na kilka pytań: Dokąd zmierzam? Gdzie jestem? Ile miałem, a ile mi zostało? I najważniejsze: co zrobiłem z pierwszą połową życia? Jaki jest bilans zysków i strat?

To, co będzie później i do czego może doprowadzić taki nagły skok w przeszłość, interesowało mnie znacznie mniej.

1 Wieści z sieci

Zacząłam planować podróż. Tegoroczne wyjazdy miałam już częściowo zaplanowane. Kilka dni urlopu wykorzystaliśmy z mężem w styczniu na narty w Austrii. Filip jest zapalonym narciarzem, więc dla niego urlop wśród zaśnieżonych górskich zboczy był najważniejszy w roku. W sierpniu planowaliśmy jeszcze spływ kajakowy, tym razem rzeką Wieprzą do morza, a jesienią górskie wędrówki – może Tatry, może Bieszczady. Skrupulatnie policzyłam wolne dni, dzieląc je na zamiary i odejmując te, kiedy koniecznie musiałam być w pracy. Wyszło, że do Bułgarii mogę pojechać na tydzień po dwudziestym czerwca. Bardzo dobry czas. Początek lata, długie słoneczne dni, jeszcze bez upałów.

Filip nie miał aż tyle urlopu. Pracował jako architekt w biurze projektowym. Byliśmy małżeństwem od sześciu lat. Od czasu do czasu wyjeżdżaliśmy na urlop oddzielnie. Ja lubiłam jeździć z koleżankami, nigdy sama. Zawsze potrzebowałam kogoś do wspólnego przeżywania świata, wolałam dzielić z kimś wrażenia, niż analizować je w samotności. Byłam umiarkowanie towarzyska i niechętnie zawierałam nowe znajomości. „Z kim jechać?”, zastanawiałam się. Postanowiłam zaproponować ten wyjazd Agnieszce, z którą przyjaźniłam się od wielu lat. Połączyła nas praca i miłość do kina, gdzie spędzałyśmy sporo czasu.

Agnieszka pracowała w wydawnictwie Tartak Słów. Dawno, dawno temu zleciła mi tłumaczenie książki o Rembrandcie, potem kolejnej, o Vermeerze. I tak zaczęła się współpraca, a potem przyjaźń, również wspólne wycieczki rowerowe i czasem podróże.

- Spotkajmy się po pracy – poprosiłam przez telefon. – Mam dla ciebie propozycję.
- Jaką? Wydawniczą? Filmową? – zacięła się.
- Nie, wakacyjną, wyjazdową. Interesującą, mam nadzieję.
- Dobrze. Gdzie się spotkamy?
- Może w „Bordo”, jak zwykle o szóstej.

Zjawiła się punktualnie. Zamówiłyśmy włoskie dania, caffè latte i piwo dla Agnieszki. Przedstawiłam jej ogólny plan podróży.

– Polecimy samolotem do Warny, tam wypożyczymy samochód i ruszymy w głąb kraju, zatrzymując się w ciekawych miejscach, których na trasie jest całe mnóstwo. Najdalszym punktem naszej podróży będzie Sofia, potem skierujemy się w stronę wybrzeża, jadąc bardziej na południe i koniecznie odwiedzając Płowdiw, bo jest ładny. Docieramy do Burgas i jedziemy na północ, do Warny, skąd mamy samolot do kraju. Cała podróż zajmie nam ponad tydzień, osiem, może dziewięć dni. Same będziemy decydować, gdzie się zatrzymamy na dłużej, i modyfikować trasę wedle uznania. Może zostaniemy dłużej w Warnie albo w Rodopach? – Pokazałam jej trasę na mapie.

– Znakomity pomysł! – Agnieszka nie kryła entuzjazmu. – Nigdy nie byłam w Bułgarii. Prawie nic nie wiem o tym kraju. Co prawda na slawistyce musiałam zdać egzamin z historii Bułgarii, ale niewiele pamiętam. Chętnie sobie przypomnę. Jadę! Jasne, że tak!

– Nie lubię prowadzić samochodu za granicą, ale jakoś damy radę. – Zerknęłam na mapę. – Trzeba przejechać ponad tysiąc kilometrów, na oko – zaznaczyłam.

– Będziemy jak Thelma i Louise! – Agnieszka lubiła filmowe odniesienia, ale jej mąż, Piotr, co prawda, domator, w niczym nie przypominał męża Thelmy. – Tylko bez tamtego dramatycznego finału. Mam nadzieję, że nikt nas też nie napadnie ani nie okradnie. Zarezerwujesz samolot i auto?

– Tak, zrobię to w przyszłym miesiącu. Wiesz, od jakiegoś czasu szukam różnych informacji o Bułgarii i nie mogę się nadziwić, jak ich mało. Wszystko może się przydać. Całkiem niedawno były jakieś krótkie migawki w telewizji o strajkach z powodu rosnących cen energii, ale żadnych głębszych analiz w internecie, bo o telewizji nawet szkoda gadać. Strasznie mnie irytuje, że nie mogę poznać ważnych faktów i dowiedzieć się o istotnych wydarzeniach w krajach tej części Europy. Niewiele wiemy o Czechach, co się tam w ogóle dzieje. Czy wiesz, co się dzieje na Słowacji? Nie. Może trochę więcej wiadomo o Węgrzech, bo niektóre tygodniki o tym wspominają. Poza tym kontakty polsko-węgierskie są wyjątkowe. Ale taka Rumunia czy Bułgaria... prawie nic nie wiadomo – nakręciłam się.

– Dziennikarze mają zadany stały zestaw do obróbki w wiadomościach: komentarze na temat tego, co powiedział jeden pan o drugim panu, odpowiednio spreparowane, a następnie obowiązkowy emocjonalny felieton o bitym dziecku albo porzuconym dziecku, albo nieuleczalnie chorym dziecku. A na koniec felieton rozrywkowy z cyklu u-chacha zrobiony z poczuciem humoru wagi superciężkiej. Trudno to znieść. To nie ma nic wspólnego z rzetelnym informowaniem o tym, co się dzieje w Polsce i na świecie w 2013 roku.

– Dlatego nie oglądam telewizji. Mam spokój i już się nie denerwuję. Tobie też polecam. Nie oglądać – podsumowała i wypila łyk piwa.

– Tak, wiem. Ale Filip czasem włącza i coś do mnie dociera. A o aktualnej sytuacji w Bułgarii naprawdę chciałam się dowiedzieć czegoś więcej. Nawet w internecie znalazłam tylko jeden tekst na ten temat. Jeden! – zaznaczyłam.

– Mam koleżankę w Bułgarii, muszę do niej napisać. Ty chyba też miałaś tam znajomego? Wspominałaś kiedyś. Chodziłyśmy wtedy na różne bułgarskie filmy na festiwalu. Jeden dobrze pamiętam. *Matpy w zimie* – Agnieszka nagle zmieniła temat, kończąc penne z grzybami.

– Tak, ale...

– Masz z nim jakiś kontakt? Może się spotkacie? – Patrzyła na mnie pytająco.

Kawałek focacci z oliwkami stanął mi w gardle. Zakrztusiłam się, musiałam popić placek piwem Agnieszki.

– Nie. W sumie nie... – odparłam ze łzami w oczach, gdy odzyskałam oddech. – Nie wygląda na to. Parę razy próbowałam znaleźć go w internecie, ale pan Google go nie zna. Mam tylko stary adres sprzed dwudziestu lat i telefon. Nie wiem, czy napiszę... Teraz, gdy ten wyjazd jest całkiem realny, mam wątpliwości.

– Ale dlaczego? Nie chciałybyś go zobaczyć? Ty się prawie wcale nie zmieniłaś. Na pewno by cię poznał.

– Nie o to chodzi. Nie wiem, czy on chciałby się spotkać. Minęło wiele lat. Może nie lubi wspominać, może nie chce. Ludzie są różni. A może wcale mnie nie pamięta?

– Żartujesz! Na pewno pamięta.

– Zastanowię się. Zobaczę. Jest jeszcze sporo czasu do wyjazdu. Wszystko jest w końcu kwestią nastroju.

Cieszyłam się na tę podróż. Czekala nas ciekawa przygoda w kraju, który miałyśmy odkrywać dla siebie. Uwielbiałam takie sytuacje. Trzeba tylko być otwartym i czekać, co się zdarzy.

Minęły dwa tygodnie, zaczął się marzec. W wolnym czasie gromadziłam ciekawostki o Bułgarii i o historii Bałkanów. Kolejny raz uświadomiłam sobie, jak mało wiedziałam o tym kraju, gdy jechałam tam po raz pierwszy, jeszcze w podstawówce, i po raz drugi, po pierwszym roku studiów.

Cieszyłam się, że mogę nauczyć się czegoś nowego. Uwielbiałam organizować podróże. To była także moja rola w obu małżeństwach. Radość bycia w drugim związku przejawiała się właśnie we wspólnych wycieczkach i podróżach.

Pewnego wieczoru usiadłam do komputera. Wpisałam w wyszukiwarkę nazwisko Borysa i... zeszytniałam. Przez chwilę wytrzeszczonymi oczami, z niedowierzaniem wpatrywałam się w ekran. Zrobiło mi się gorąco. Jest!!! Po raz pierwszy otrzymałam wynik. Jeden wynik. W alfabecie łańskim. To on! Borys Grigorow. Na ekranie widniał jego adres mejlowy, na jakimś portalu dla szukających zatrudnienia. Firma zajmowała się ochroną środowiska. Ucieszyłam się tak, jakbym dostała wymarzony prezent. A może to nie on? Po wielkiej radości następna w kolejce zjawiała się wątpliwość. W końcu wiele osób nosi to samo imię i nazwisko. Co robić? Pisać? Nie pisać? Ale po co? Teraz osaczyła mnie niepewność, a za nią nieodłączna rezygnacja.

Dałam sobie dzień do namysłu i... zdecydowałam. W przypiływie odwagi napisałam do niego krótki mejl po angielsku, podałam swoje panięskie nazwisko i kilka szczegółów. Odetchnęłam głęboko i nacisnęłam „wyślij”. Następnego dnia otrzymałam odpowiedź. Od niego!

Napisał, że nie może uwierzyć, że po tylu latach dostał ode mnie list. Bardzo się cieszy i pyta, co u mnie, i czy korzystam ze Skype'a. Nie korzystam. Podał też prywatny adres mejlowy. Odpisałam: gdzie mieszkam, gdzie pracuję i co konkretnie robię, że mam męża, syna i psa. Podstawowe dane w wersji skróconej, na które zwykle czeka dawno niewidziana osoba. Jego zapytałam o to samo: gdzie mieszka, gdzie pracuje, czy ma rodzinę, co się z nim działo przez te wszystkie lata.

Po powrocie z pracy szybko włączyłam komputer, licząc na równie szybką jak poprzednio odpowiedź. Niestety, nie było. Czekałam cierpliwie, ale to milczenie wydłużyło się do tygodnia, potem dwóch. Ogarnął mnie niepokój. „Napisać ponownie?”, biłam się z myślami. Nie, nie chciałam się narzucać. Odczekałam kilka dni, po czym nie wytrzymałam i napisałam po angielsku:

Drogi Borysie!

Przykro mi, że nie znalazłeś czasu, by napisać choć kilka słów, przynajmniej gdzie mieszkasz, gdzie pracujesz. Czy może pracujesz w Sofii? Jeśli tak, czy chciałbyś się ze mną spotkać w czerwcu? Będę podróżować po Bułgarii i bardzo chciałabym Cię zobaczyć.

Tak, bardzo chciałam go zobaczyć, był przecież kimś naprawdę ważnym w moim życiu. Dodałam jeszcze kilka szczegółów planowanej podróży i poprosiłam o konkretną odpowiedź: „tak” lub „nie”.

Tym razem bardzo szybko ją otrzymałam:

Tak! Oczywiście, że chcę się spotkać! Bardzo się cieszę, że zobaczę cię po tylu latach. Nie odpisywałem na mejle, bo byłem w innym mieście i nie miałem dostępu do sieci. Szkoda, że nie znam angielskiego tak dobrze jak ty. Jutro napiszę długi list o tym, co się u mnie zdarzyło. Obiecuję.

Do zobaczenia, do jutra.

Borys

Ucieszyłam się. To, co jeszcze miesiąc temu było niemożliwe, stawało się realne. Spotkam go!!! Spotkam! Zobaczymy się po dwudziestu kilku latach. Szmata czasu, jak mawiała moja koleżanka Jola. Tyle się u mnie zdarzyło, a jednocześnie tak szybko minął ten fragment życia. U niego na pewno też wiele zmian. Będzie co opowiadać przy bułgarskim winie. Takie spotkanie to coś

niezwykłego, nie przydarza się codziennie. Czuję wielką radość i lekki niepokój. Staralam się nie myśleć o tym zbyt często i nie wyobrażać sobie za dużo. Zwykle coś planujemy, a los i tak ma dla nas własny scenariusz, na który na pewno zabrakłoby nam pomysłu i wyobraźni, gdybyśmy musieli sami go stworzyć.

Po kilku dniach miałam znowu powody do frustracji, bo obiecany mejl nie przyszedł. Ani następnego dnia, ani za tydzień, ani za miesiąc. To było dziwne, tak bardzo nie pasowało do Borysa, jakiego znałam. Szczerego, serdecznego, uprzejmego. Uparte milczenie. Tajemnicze. Znaczące milczenie, którego nie potrafiłam odczytać. Nie rozumiałam. Może po prostu jest zajęty, teraz prawie nikt nie ma czasu, wszyscy dużo pracują, późno wracają, są zmęczeni, znużeni codziennością, przytłoczeni obowiązkami, nie mają siły ani ochoty na opisywanie swojej przeszłości, nie mają cierpliwości ani chęci, ani potrzeby, ani... nic. Może jest niezadowolony ze swojej sytuacji rodzinnej lub pracy? Może nie chce napisać, gdzie mieszka? Życie pcha nas do przodu, nie mamy czasu patrzeć wstecz. Staralam się tego nie analizować zbyt głęboko, żeby nie psuć sobie przyjemności z nadchodzącej podróży i obrazu, jaki miałam w sercu i w pamięci.

Pod koniec kwietnia znalazłam już termin wylotu. Wylądujemy w Warnie dwudziestego pierwszego czerwca. Zaplanowałam trasę zwiedzania w drodze do Sofii. Wyliczyłam, kiedy powinniśmy tam dotrzeć.

Pewnego wieczoru, pod wpływem impulsu, wysłałam do Borysa kolejny krótki mejl:

Będę w Sofii po dwudziestym piątym czerwca. Napiszę przed wyjazdem, żeby się jakoś umówić i ustalić szczegóły spotkania. Czy będziesz wtedy w Sofii? Pozdrawiam i czekam na odpowiedź.

Znowu cisza pulsująca smutkiem. Dlaczego milczy? Czy nie potrafi wysłać krótkiej informacji: spotkanie nieaktualne, nie mogę, nie mam czasu albo choćby: wyjeżdżam, nie będzie mnie w tym czasie w domu. Brak odpowiedzi też jest odpowiedzią, ale ja nie akceptowałam tej formy. Nie w tej relacji, nie w jego przypadku, nie tym razem. Tak nie może zachowywać się człowiek, który był bardzo ważną częścią mojego życia. Tak nie może zachowywać się Borys, dla którego ja też byłam ważna. A właściwie dlaczego nie? Co ja o nim wiem? Ludzie się zmieniają. Większość naszych problemów w relacjach z innymi bierze się z założenia, że są tacy, jacy byli. Pamiętam chłopaka z lat osiemdziesiątych. Nie wiem, jaki jest w 2013 roku, jak wygląda, co myśli, co lubi robić, czym się zajmuje, jaką ma rodzinę, czy ma w domu zwierzęta, czy umie gotować, jakie ma przyzwyczajenia. Wiem tylko, że ma czterdzieści kilka lat i że mnie pamięta – swoją dziewczynę sprzed lat. To bardzo mało.

Ponownie wpisałam jego nazwisko do wyszukiwarki. Ta zabawa w detektywa w sieci zaczęła mnie wciągać – w sieć hipotez i poszlak. I kolejnych ciekawych tropów. Jego służbowy adres mejlowy zniknął. Ale pojawiły się dwa nowe rekordy, których wcześniej nie widziałam – na bułgarskim portalu typu kupię/sprzedam. Pierwsze ogłoszenie z marca dotyczyło sprzedaży starego volkswagena. Miało ciekawy dopisek: „Bardzo pilne! Wyjeżdżam za granicę”. Jego imię i nazwisko. Miasto: Sofia. Drugie ogłoszenie dotyczyło sprzedaży kilimów rodopskich z lat osiemdziesiątych, w dobrym stanie. Sprzedający: Borys Grigorow. Miałam przecucie, a właściwie niczym nieuzasadnioną pewność, że to on zamieścił te ogłoszenia. Co to znaczy? Wyprzedaje się? Sprzedaje rzeczy, więc potrzebuje gotówki. Chce sprzedać samochód z lat dziewięćdziesiątych? Nie ma pieniędzy? Stracił pracę? Chce wyjechać?

Przypomniał mi się smutny obraz wielkiego targowiska w Tbilisi, na którym ludzie pozbywali się

resztek dorobku całego życia, pamiątek rodzinnych, nawet drobnych, niewiele wartych przedmiotów, jak używane poszewki na poduszki, stare spinki do włosów, talie zgranych kart czy pojedyncze wybrakowane sztuczki, sprzedawane z gazety rozpostartej na ziemi. Stragany wielkości rozłożonej zadrukowanej płachty ze smutnymi resztkami minionego życia. Wyobrażenia podsuwała kolejne mętne obrazy. Borys stojący na bazarze. Jest handlarzem w dresie wołającym: „Tanio sprzedam, tanio sprzedam!”.

Niemożliwe. To nie on. Podczas studiów kończył różne kursy. Inwestował w swoją przyszłość, sporo mi o tym pisał. Często używał w listach słowa „przyszłość”. Pisał: Robię to z myślą o przyszłości... Jak więc wygląda ta jego „przyszłość”, która tymczasem stała się teraźniejszością?

Ludzie mają gorsze miesiące, a nawet lata. Miałam niedobre przecucie, że mój powrót do słonecznej Bułgarii zdarzy się w roku, który z jakiegoś powodu nie jest najlepszy dla Borysa. Bo to, że nie jest najlepszym czasem dla Bułgarii, już wiedziałam.

2 Pomidory i osiołki, czyli Bułgaria po raz pierwszy

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kiedy nie można było wyjeżdżać na tak zwany Zachód i ciepłe południowe morza były czymś nieosiągalnym, niewyobrażalnie odległym z wielu przyczyn (niekoniecznie dystansu), mieszkańcom nadwiślańskiego kraju pozostały dwie możliwości. Obie oczywiście w zaprzyjaźnionych krajach wspólnego obozu: wczasy nad Balatonem lub wczasy nad Morzem Czarnym. Na zagraniczne wakacje mogli sobie jednak pozwolić tylko nieliczni. Wczasy na Krymie, w Rumunii czy w Bułgarii stały się synonimem luksusu. Luksusu na miarę tamtych czasów, kiedy wszyscy byli równi, ale niektórzy równiejsi.

Pamiętam sierpień 1980 roku. Pod koniec miesiąca pierwszy raz w życiu pojechałam za granicę, do tego sama, to znaczy bez rodziców. W podstawówce trenowałam siatkówkę. Nasza szkoła nawiązała kontakt ze szkołą sportową w Burgas. Drużyna dziewcząt, pod opieką wuefisty i zarazem trenera, Jana Wolniaka, oraz jego żony rusycystki, wybierała się do Bułgarii na obóz sportowy. Byłam zachwycona! I podekscytowana czekającą mnie podróżą. Z ciekawości oglądałam tymczasowy dowód osobisty w czerwonej okładce, wydany nieletniej specjalnie na tę okazję. Ten wyjazd stał się wielkim wydarzeniem w mojej rodzinie. Rodzice nigdy wcześniej nie wyjeżdżali za granicę. Jako pierwsza miałam zobaczyć piękną Bułgarię, daleką, nieznaną, ciepłą krainę, leżącą za górami, za lasami, za czterema granicami. I odbyć najdłuższą podróż pociągiem – trzy dni i dwie noce w wagonie sypialnym.

Wyjazd zaplanowano na dwudziestego trzeciego sierpnia. Pamiętnego Sierpnia. Od połowy miesiąca strajkowali robotnicy na Wybrzeżu. Rodzice nie kryli niepokoju, że wyjeżdżam w takim czasie. Krążyły plotki, że zostaną zamknięte granice. Trwało zarządzanie strachem... Na szczęście, ku radości wszystkich nieletnich uczestniczek, wyjazdu nie odwołano. Cieszyło też to, że obóz przedłużał nam wakacje. Początek roku szkolnego nas nie dotyczył, ten dzień miałyśmy spędzić na plaży w Burgas.

Z tego wyjazdu zostały mi w pamięci barwne obrazy i smaki. Przede wszystkim koszmarny biały ser podróżny. W tym bowiem czasie moja mama sama robiła biały ser. Twierdziła, że jest lepszy niż ten kwaśny sklepowy. Ser domowy był odciskany w płóciennych ściereczkach, kapiący, bardzo miękki i nadawał się głównie na twaróg. Na tę długą drogę mama zapakowała mi dwa wielkie, mokre kawały tego sera. Do tego chleb, masło i jakieś puszki. Wszystko włożyła do granatowej siatki z materiału, z plastikowymi uszami, bo wtedy nie było jeszcze reklamówek.

Spakowałam plecak i pojechałam z rodzicami na dworzec. Rozsiadłyśmy się z koleżankami w sześćoosobowym przedziale. Podręczne siatki z jedzeniem zostały na podłodze. Pociąg ruszył. Zaczęła się wakacyjna przygoda!

Dzień był upalny. Późnym wieczorem zauważyłyśmy, że podłoga w wagonie jest mokra. Płyną strumyczki wody, a ich źródło znajduje się pod oknem, u podnóża góry siatek. Coś się wylało, pękło, przecieka. Rozpoczęłyśmy gorączkowe poszukiwania. Okazało się, że w mojej siatce jest obrzydliwa paciaja powstała na bazie białego, rozmokłego sera. On chyba się rozmnożył, bo było go mnóstwo, utopił i rozmiękczył wszystko, z wyjątkiem puszek i sezamków. Byłam wściekła! Musiałam zmagać się z kapiącym paskudztwem, wyrzucić kłopotliwy bagaż z przedziału i posprzątać. Podpadłam też koleżankom, bo ich siatki z prowiantem też zostały podlane serwatką. Tak, ser mamy zwarzył mi humor.

Drugiego dnia zdarzył się kolejny wypadek, ale tym razem winowajcą była koleżanka Beata. Otworzyła puszkę szprotek w oleju, a kiedy pociąg gwałtownie zazgrzytał i szarpnął, olej obficie zalał ubranie i jej, i sąsiadki. Tym razem prawie było słycać zgrzytanie zębów.

Ale z tej podróży pamiętam przede wszystkim przepiękne górskie widoki w Rumunii. Trasa wiodła bowiem przez Transylwanię. Stałam w oknie oczarowana i nie mogłam oderwać wzroku od wysokich szczytów Karpat Południowych, głębokich, cienistych, zielonych dolin ze wstążeczkami rzek, skalnych urwisk. Pociąg sunął powoli na krawędzi przepaści. Pokonywał liczne tunele. Niezapomniane ruchome obrazy. Magiczne.

Inne wspomnienie to dzieci biegnące polami w stronę jadącego pociągu i żebrzące na dworcach. Na jednej stacji wychyliłam się z okna i dałam małemu chłopcu paczkę ocalałych sezamków. Długo ją oglądał. Potem machał mi na pożegnanie.

Atrakcją tej długiej podróży przez kilka krajów było także przekraczanie granic i stemplowanie naszych tymczasowych dowodów osobistych. Z wypiekami na twarzy oglądałyśmy pieczętki w różnych kolorach i kształtach, wszystkie z datą. Każda miała ich osiem: jedną polską, dwie czeskosłowackie, dwie węgierskie, dwie rumuńskie i jedną bułgarską.

Po trzech dniach pociąg wreszcie wjechał na stację w Burgas. Powitała nas drużyna sztangistów i bokserów z zaprzyjaźnionej szkoły sportowej. To oni mieli się nami zaopiekować. Nie mam pojęcia, dlaczego nie siatkarki czy siatkarze. Może dlatego, że silniejsi, od razu chwycili za nasze bagaże, by zanieść je do autobusu.

Zamieszkałyśmy w sześciopiętrowym akademiku. I od tej pory – hulaj dusza! Miałyśmy tylko stawić się dwa razy dziennie na posiłki w stołówce. Poinformowano nas także, jakim autobusem dojedziemy do centrum, a jakim nad morze. I to by było na tyle. Wuefista Wolniak z żoną zajmowali się swoimi sprawami, a my cieszyłyśmy się absolutną swobodą.

Pierwszy mój bułgarski zachwyty to cudnie ciepłe morze. Siedziałam w wodzie godzinami, walczyłam z falami, pływałam, ile się dało, i uczyłam tej sztuki koleżankę, która nie potrafiła pływać. Odniosłam w tej dziedzinie spory sukces, stosując metody mojego taty. Czasami fale były tak silne, że nie dało się pływać, można było tylko starać się utrzymać w pionie. Morze Czarne spodobało mi się bardzo, od pierwszego wejrzenia. Na plaży i w wodzie spędziłam niemal dwa tygodnie, nasmarowana oliwką, według wskazówek z domu.

Drugi mój zachwyty to osiołki ciągnące małe wózki z arbuzy. Arbuzy były ciepłe w środku, słodkie i rozkosznie soczyste. Jadłam je łapczywie, a sok ściekał mi po brodzie na ubranie. Wcześniej nie wiedziałam, że osiołek to popularne zwierzę pociągowe w bułgarskim rolnictwie. Liczyłam je, głaskałam. Osiołek stał się nieodłącznym, atrakcyjnym elementem tamtego lata.

Trzeci zachwyty to pyszne, dorodne pomidory. Uwielbiałam je. Smakowały i pachniały burgaskim latem. Pierwszy raz w życiu jadłam tak pyszne pomidory. Nie mogłam się nimi nasycić. Mogłabym tam żyć tylko tymi pomidorami. Nie zapamiętałam żadnych ciekawych potraw. Utkwił mi w pamięci jeszcze tylko słodki rumianek w płaskich metalowych miseczkach podawany na śniadanie w stołówce zamiast czarnej herbaty, który bardzo polubiłam.

Najwięcej wspomnień smakowych wiąże się z owocami późnego lata. Przepadałam za słodkimi ogromnymi winogronami, które nie tyle jadłam, co pożerałam kilogramami. A tak smakowite morele i tak soczyste rumiane brzoskwinie jadłam wtedy po raz pierwszy w życiu.

Soczysta słodycz owoców – również taki smak miała dla mnie Bułgaria tamtego lata.

Z Bułgarami rozmawiałyśmy oczywiście po rosyjsku. Już wtedy dobrze znałam ten język, bo

uczyłam się go od piątej klasy szkoły podstawowej. Przydał się w kontakcie ze sztangistami i bokserami, którzy umilali nam czas. Raz zorganizowali dyskotekę, na której tańczyliśmy przy Abbie i Boney M. Zaprosili nas kiedyś także na swój trening. Zapamiętałam imiona kilku z nich. Wtedy też dokonałam pierwszego odkrycia kulturowo-językowego. Już wcześniej trener Wolniak mówił nam, że Bułgar, gdy mówi „tak”, kręci głową na „nie”, i odwrotnie. Zauważyłam jednak, że wygląda to trochę inaczej. Bułgarzy, gdy potakują, kołyszą głową na boki. Podobnie robią Hindusi i Azerowie, ale o tym przekonałam się wiele, wiele lat później. Kiedy Bułgarzy zaprzeczają, robią ruch głową w dół lub odrzucają ją do tyłu, co jest połączone z charakterystycznym mlaskiem. Dla obcokrajowców bywa to czasem bardzo mylące. Lepiej więc słuchać słów, a nie kierować się gestami.

Rosyjski rosyjskim, ale doszłam do wniosku, że jeśli jestem w Bułgarii, warto nauczyć się bułgarskich słów, choćby kilku. Tak zrobiłam i w różnych miejscach czy sytuacjach próbowałam ich używać, czym zaskarbiałam sobie sympatię miejscowych. Do łez rozbawiła mnie kiedyś koleżanka Ewa, która uważała, że jeśli będzie mówić po polsku głośno, wolno i wyraźnie, to sprzedawca ją zrozumie. Dobitnie wypowiadała: „pro-szę mo-re-le”, „pro-szę wi-no-gro-na”. Niestety, zero zrozumienia, za to dużo śmiechu. Ewa szybko więc kończyła eksperyment i, zrezygnowana, wskazywała palcem wybrane owoce.

Zapamiętałam wtedy nową dla mnie informację, że cyrylicę wymyślono w Bułgarii, a nie w Rosji, jak sądziłam wcześniej. Rosjanie ją tylko przejęli. Cyryl, Metody i ich uczniowie żyli w Bułgarii.

Na plaży naszą ciekawość budziły liczne grupy Rosjan. Wyróżniali się... głównie brakami w uzębieniu lub nadmiarem złotych zębów. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Niektórzy faceci byli w bawełnianych majtkach. Grube kobiety wbite w kwieciste bikini piszczwały w wodzie. Rosjanie przychodzili dużymi grupami, rozkładali koce i grali na plaży dmuchanymi plastikowymi piłkami. Przyjeżdżali tu na wczasy z kołchozu. Tak mnie poinformował jeden ze Złotych Kłów. *My iz kołchoza*. Zapamiętałam, bo ta nazwa była mi dobrze znana z lekcji rosyjskiego. No i mogłam wreszcie zobaczyć prawdziwego kołchoźnika.

Pod koniec pobytu zorganizowano nam jedną wycieczkę – do Nesebyru. Stareńkie, ciche miasteczko na malutkim półwyspie zachwyciło nas. W przeciwieństwie do dużego Burgas, które nie wydało mi się ani szczególnie piękne, ani ciekawe. Nesebyr był bajkowy. Niskie, piętrowe domki kamiennieo-drewniane obrosnięte winną latoroślą kuliły się przy ciasnych uliczkach, tworzących labirynt na małej przestrzeni. Ogromne kiście winnych gron, ciemnych i zielonych, zwisały pomiędzy domami, tworząc niepowtarzalny, smakowity baldachim. Malutkie place były puste, liczne cerkiewki zamknięte. Gdzieś przemykały koty. Przed domami siedziały stare kobiety ubrane na czarno, niektóre dziergały koronki. Koronczarki, jak z płócien wybitnych Holendrów. Żywy skansen. Senny popołudniowy spokój. Cisza, którą podkreślał tylko szum morza i bzyczące owady. Niewielu spacerujących turystów. Drewniane wiatraki na przesmyku wiodącym do miasteczka stały nieruchome. Uroczne miejsce na mapie pamięci tamtego lata.

Bardzo zazdrościłyśmy Bułgarom długich wakacji. U nich rok szkolny rozpoczynał się zawsze piętnastego września. To nie było sprawiedliwe, stwierdziłyśmy jednogłośnie. Do Polski przywiozłam z tej podróży absolutnie podstawowe i wieczne w swojej bułgarskości drobiazgi: różany olejek w drewnianej, rzeźbionej wieżyczce – dla mamy. Koniak Słoneczny Brzeg – dla taty. A dla siebie bawełnianą koszulkę w granatowe paski i portfelik wyszywany żółtymi, białymi i czerwonymi koralikami.

Wakacje w Bułgarii minęły błyskawicznie, jak wszystko, co chcemy zatrzymać na dłużej. Nie

miałam aparatu, więc nie mam też żadnych zdjęć. Kiedy wróciłyśmy do Polski, podpisano już Porozumienia Sierpniowe. Tydzień spóźniłyśmy się do ósmej klasy. Moja czarnomorska opalenizna wzbudzała podziw jednych, zazdrość drugich. Zaczęła się jesień.

3 Złote piaski Warny, czyli Bułgaria po raz drugi

Bardzo chciałam ponownie pojechać do Bułgarii, planowałam w kolejnym roku, ale się nie udało. Zaczęłam naukę w liceum, a kilka miesięcy później wprowadzono w Polsce stan wojenny. Wyjazd był niemożliwy.

W liceum doceniłam wolne soboty, których nie znaleźliśmy w podstawówce. Zdałam maturę i dostałam się na historię sztuki. Studiowanie wciągnęło mnie bez reszty. Poznałam ciekawych ludzi. Nowe koleżanki. Miałam poczucie, że czeka mnie fascynujący czas, pełen inspiracji i niezapomnianych przygód.

Egzaminy po pierwszym roku zdałam w zerówce i miałam bardzo długie wakacje. Lato 1986 roku zaplanowałam więc bardzo starannie. Spływ kajakowy Czarną Hańczą, wypad nad Bałtyk z koleżankami, wędrowka po Karkonoszach. I najważniejsze: festiwal rockowy w Jarocinie. Na wrzesień nie miałam żadnych pomysłów.

Na początku sierpnia odwiedziła nas ciocia Wanda, którą bardzo lubiłam. Była drobną, niewysoką brunetką o wesołych niebieskich oczach. Długie czarne włosy upinała w zgrabny kok. Ciocia wspomniała, że wybiera się we wrześniu na wczasy do Bułgarii. Gdy to usłyszałam, zaczęłam opowiadać o swoim pobycie w Burgas, pierwszym zagranicznym wyjeździe.

– Było super! Ciepłe morze i te wspaniałe owoce we wrześniu... Chętnie bym jeszcze raz tam pojechała. Może do innej miejscowości, jakiejś mniejszej. Bułgaria... Jak ten czas leci. Już minęło sześć lat...

– Jadę do Warny. Wybiera się ze mną ciotka Halina i jeszcze dwie moje kuzynki z Piotrkowa. Może z nami pojedziesz? – zaproponowała nieoczekiwanie. – Co robisz we wrześniu?

– Ja? Z wami? Eeee, no, nie wiem... Nie mam jeszcze konkretnych planów. – Zawahałam się.

Wakacje w Bułgarii były kuszące, ale od paru lat wyjeżdżałam tylko z rówieśnikami. Bułgaria z ciotkami? Do tego z ciotką Haliną, siostrą ojca, za którą nie przepadałam, łagodnie mówiąc. Poza tym przez całe lato w domu były awantury związane z moim wyjazdem do Jarocina. A tu jeszcze jeden wyjazd? I do tego zagraniczny?

Ciocia Wanda chyba prawidłowo odczytała moje wątpliwości.

– Zastanów się, Łucja, ja w każdym razie zapraszam. Odpoczniesz nad ciepłym morzem. Jeśli zaryzykujesz towarzystwo ciotek w pakiecie, daj znać, ale szybko. Rodzice na pewno się zgodzą. A ja obiecuję, że będę cię pilnować. – Roześmiała się.

– No, sama nie wiem... Zobaczymy... – Matka jak zwykle była przestraszona każdym moim wyjazdem, nawet pomysłem na wyjazd. – Ciekawe, co na to powie Jurek.

– Jurek powie, że drogo i za daleko – odparła Wanda. Była bratową ojca i znała go dłużej od matki, choć chyba nie lepiej.

– Okradli ją w Jarocinie – oznajmiła matka z pretensją w głosie.

Przedstawiła mocny argument, który miał mnie zdyskredytować jako uczestniczkę wyjazdu do Warny. Jestem gapą i mam pecha. Dałam się okraść. Straciłam przecież śpiwór. Albo chciała podkreślić, że zasługuję raczej na karę (za wyjazd na festiwal) niż nagrodę (w postaci wczasów w Bułgarii).

– To się zdarza. – Wanda zbagatelizowała sprawę. – Przecież Łucja jest świetną studentką, dostała stypendium naukowe. Wszystkie egzaminy zdała na piątki. Dobrze się uczy i w ogóle...

– No tak, ale... Ten Jarocin... – Matka niemrawo szukała innych argumentów.

– Niedługo ma też dwudzieste urodziny. – Ciocia chyba nie bardzo wiedziała, co to takiego ten straszny Jarocin, bo miała już bardzo dorosłe dzieci. Ki diabeł? Nie rozumiała obaw matki i nie podtrzymywała wątku. – Macie ją tylko jedną. Zróbcie jej prezent inny niż zwykle. Niech korzysta z okazji. Tego wyjazdu z ciotkami chyba nigdy nie zapomni!

Ciocia Wanda rzuciła te słowa lekko, z uśmiechem, od niechcenia. Nie wiedziała, że były prorocze. Spełniły się od początku do końca, chociaż nie z tego powodu, który chyba miała wtedy na myśli.

Rodzice nie opierali się długo. Odbyliśmy parę rozmów i wyrazili zgodę. Stwierdzili, że lepszej opieki i obstawy mieć nie mogą. Wszystko zostało omówione i ustalone. I tak cudownym, niespodziewanym zrzędzeniem losu miałam znowu spędzić dwa tygodnie nad Morzem Czarnym. Był 1986 rok. W Polsce podniesiono ceny gazet, alkoholu i mięsa.

Zaczął się wrzesień. Wyruszałyśmy oczywiście pociągiem. Znałam już trasę i zasady pociągowego życia. Wiedziałam, że należy unikać białego sera i zabrać jak najwięcej słodczy dla rumuńskich dzieci. Cieszyłam się na tę podróż.

Towarzystwo ciotek było całkiem zabawne, Rumunia przepiękna krajobrazowo.

Podczas przekraczania granicy rumuńsko-bułgarskiej przydarzyła mi się dziwna przygoda. Po kontroli paszportowej stałam na korytarzu i patrzyłam przez okno na peron. W pewnym momencie zauważyłam, że na drugim końcu korytarza stoi młody rumuński żołnierz. Patrzył na mnie. Zerknęłam na niego raz, potem drugi. „O co chodzi? Czy nie wolno stać na korytarzu?”, pytania przemknęły mi przez głowę. W pewnym momencie zobaczyłam, że szybko zmierza w moją stronę. „Pewnie chce przejść na drugi koniec wagonu”, pomyślałam. Nie. Żołnierz zatrzymał się tuż przy mnie. Bardzo blisko. Poczułam niepokój. Spojrzałam na niego. Miał szare oczy i wpatrywał się we mnie intensywnie. Potem dotknął lekko moich długich jasnych włosów. Wziął w palce kosmyk. Nic nie mówił. Byłam tak zaskoczona, że nie wiedziałam, jak zareagować. Żadne słowa nie przychodziły mi do głowy. Chłopak patrzył z zachwytem i pogłaskał moje włosy poniżej ramienia.

– Jak masz na imię? – zapytał po rumuńsku.

– Łucja.

– Mihai – przedstawił się. – Czy możesz dać mi coś na pamiątkę tego spotkania? – poprosił po rosyjsku.

Nic nie miałam. Zresztą, co mogłam mu dać? Byłam tak zszokowana, że nie potrafiłam trzeźwo myśleć. Z Polski nie wzięłam żadnych pocztówek, żadnych znaczków, żadnych drobnych pamiątek. W czasie pobytu w Bułgarii wiele razy tego żałowałam. Żołnierz stał jak zahipnotyzowany, gapił się, milczał i dotykał moich włosów. Wiedziałam i czułam, co on chce mi powiedzieć. Mówił spojrzeniem. Rumuńskich słów i tak bym pewnie nie zrozumiała. W pewnym momencie pociąg szarpnął i ruszył z wolna. Wtedy żołnierz mocno mnie objął, szybko pocałował w policzek i pobiegł do drzwi, otworzył je i wyskoczył na peron, zanim pociąg zdążył się rozpędzić. Potem stał na peronie i patrzył. Pożegnanie z nieznajomym. Z chłopakiem, którego nie znałam. Dziwna chwila. Nigdy więcej się nie spotkamy. Ot, uroczy, niewinny epizod w podróży.

Ciotki śmiały się i żartowały, że chciałam porwać rumuńskiego żołnierza.

– Ooo, miał wielką ochotę tu zostać – powtarzała ciocia Wanda. – Mogłybyśmy go jakoś przechować, co, Łucja? Pod siedzeniami. Mogłaś go poczęstować cukierkami albo pasztetem

podlaskim! Dobrze, że zdążył wyskoczyć, inaczej wojsko by nas pewnie ścigało.

Dostarczyłam ciotkom sporej porcji rozrywki na wieczór.

Następnego dnia wysiadłyśmy na peronie w Warnie. Wczasy organizowało biuro podróży, ale uczestników rozlokowano nie w jednym hotelu, lecz w mieszkaniach prywatnych w różnych częściach miasta. Pilot grupy przydzielił każdemu kwaterę i autobusem rozwieziono nas pod wskazane adresy.

Pierwszy obraz z Warny: szary blok mieszkalny. Wysiadłyśmy na małej, spokojnej uliczce przy zwykłym czteropiętrowym bloku. Nasza kwatera mieściła się na parterze. Mieszkanie było trzypokojowe – w największym pokoju ulokowała się ciocia Wanda z dwiema kuzynkami z Piotrkowa, w nieco mniejszym ja z ciotką Haliną, natomiast cała bułgarska rodzina, która mieszkanie wynajmowała, tłoczyła się w najmniejszym pokoju z dwiema córkami w wieku dziewięciu i jedenastu lat. Łazienka była wspólna, a kuchnia tylko do dyspozycji właścicieli. Sezonowym wynajmem dorabiali do rodzinnego budżetu. W taki oto sposób zostałyśmy dopuszczone do tajemnic prywatnego życia miejscowych, które zwykle jest sferą niedostępną dla cudzoziemca.

Pokoiki były wyposażone bardzo skromnie. Tapczany, szafa, stolik i parę krzeseł, prawie żadnych dekoracji. Nie przeszkadzało mi to, wiedziałam, że będę tu tylko nocować, więc najważniejsze było wygodne łóżko i czysta pościel. Ale nie czułam się komfortowo, wiedząc, że ta miła rodzina przeniosła swoje życie do jednego pokoiku, rezygnując z wygody i intymności. Dziewczynki spały na materacach na podłodze. Posiłki jedli przy małym stoliku w kuchni, gdzie z trudem mieściły się tylko dwie osoby. Poza tym pięć obcych osób musiało korzystać z ich łazienki. Bywało tłoczno, zwłaszcza rano i wieczorem.

To ciekawe doświadczenie: wprowadzić się z bagażami do mieszkania obcych ludzi w obcym kraju. Podczas ich intensywnej obecności. Gospodarz, co prawda, codziennie wychodził do pracy, ale jego żona była w domu i zajmowała się córkami. Obie były śliczne, podobne do mamy. Miały czarne włosy i ciemnobrązowe oczy. Często je zaczepiałam, zagadywałam i strasznie żałowałam, że nie mam dla nich żadnych drobiazków, nawet kolorowych gumek do włosów. Fatalne niedopatrzenie. Dziewczynki nosiły urocze imiona: Antoaneta i Sneżana. Ich wakacje powoli dobiegały końca, bo rok szkolny zaczynał się w Bułgarii w połowie września, ale były zadowolone, bo nudziły się w ciasnym, zatłoczonym domu.

W tym mieszkaniu dwie rzeczy zwróciły moją uwagę. Ciekawostki codzienności. Pierwsza: nie było kaloryferów. Zimy w Bułgarii, zwłaszcza nad morzem, nie są takie mroźne jak u nas, ale mimo wszystko jest zimno i wilgotno, wtedy trzeba się dogrzewać grzejnikami elektrycznymi. To drogie rozwiązanie i zupełnie dla mnie niezrozumiałe, przecież prąd sporo kosztuje. Bułgarska gospodyni wytłumaczyła mi po rosyjsko-bułgarsku, że kaloryfery są czasami montowane, ale tylko w nowszym budownictwie, a ich blok jest stary. Zimą więc siedzą w domu w grubych swetrach. Grzejniki wyłączają na noc, bo boją się pożaru, dlatego z pracy czy ze szkoły wracają do zimnego mieszkania. Takie życie. Ludzie marznący w swoich domach i siedzący przy stole w kurtkach nie pasowali mi do obrazka słonecznej, ciepłej Bułgarii. Wydawało mi się wtedy, że w każdym mieszkaniu musi znajdować się kaloryfer lub piec kaflowy. W Bułgarii było inaczej.

Druga ciekawostka dotyczyła łazienki. Było to małe pomieszczenie połączone z toaletą, ale bez wanny czy brodzika, a nawet zasłony do prysznicy. Gdy brałam prysznic, musiałam uważać, żeby nie zalać całej łazienki, ale i tak zalewałam ściany, sedes, podłogę... Miałam poczucie winy, że niszczę łazienkę naszym miłym gospodarzom. Oni radzili sobie z tym prysznicem dużo lepiej. My miałyśmy

z tym problem. Ciocia Wanda zastanawiała się, czy po naszym pobycie nie załęgnie się tam grzyb. Brodziki są nieznane lub niepopularne w Bułgarii, usłyszałam od innych uczestników turnusu, mieszkających w bułgarskich mieszkaniach. Wszyscy mieli podobny prysznicowy stres.

Śniadania i obiadowe kolacje jadaliliśmy w restauracji pięknie położonej nad plażą, na palach wbitych w piasek. Tworzyła krótkie oszklone molo, które nie wybiegało daleko w morze. Restauracja z widokiem, przypominająca akwarium. Mieszkałyśmy daleko i droga na śniadanie zajmowała nam ponad dwadzieścia minut. Trzeba było minąć kilka ulic, pokonać parę zakrętów i przejść kawałek niezwykle urokliwym Parkiem Nadmorskim, który ciągnął się kilometrami wzdłuż wybrzeża. Przy wejściu do restauracji należało okazać specjalny kupon i zająć miejsce przy wyznaczonym stoliku. Spodobała mi się ta restauracja i nie przeszkadzało mi, że jest daleko. Najbardziej narzekała ciocia Halina, bo była otyła i nie lubiła dużo chodzić. Rytm posiłków wyznaczał moje krótkie spotkania z ciotkami, poza tym byłam wolna. Nie miały nic przeciwko, co przyjąłam z wielką ulgą.

Rano na dworze było zaskakująco pochmurno i chłodno. Gdy wychodziłam w piżamie na balkon, szybko musiałam włożyć bluzę. Miałam wrażenie, że tak jak nad Bałtykiem, szare chmury się zagęszczają, skumulują i niedługo spadnie deszcz, ale przekonałam się, że słońce codziennie po dziesiątej wyłania się zaspiane z mgły i ją topi. Chmury to był zwykły poranny kamuflaż. Taki codzienny żarcik.

Już pierwszego dnia postanowiłam, że nie będę wracać do pokoju po śniadaniu. Zabierałam więc wszystko, co było mi potrzebne na cały dzień. I chociaż dni były ciepłe i pogodne, to na poranną drogę do restauracji zawsze musiałam zabrać bluzę z długimi rękawami, która przydawała mi się również późnym wieczorem. Codzienny zestaw w mojej dużej bordowej, płóciennej torbie był więc stały: bluza, ręcznik plażowy, kostium, książka, okulary przeciwsłoneczne, olejek do opalania i butelka wody mineralnej marki Michałkowo – bo bardzo polubiłam michałkę.

Śniadania wydawały mi się nieciekawe. Trochę wędlin, ser i pomidory. Ale pomidory były przepyszne, tak jak się spodziewałam. Do picia ziołowa herbata, którą polubiłam, chociaż w domu piłam wyłącznie czarną. Gospodyni powiedziała nam, że w Bułgarii nie pije się czarnej herbaty i trudno ją kupić. Ciotki były niepokieszone. A mnie bardzo zasmakował bułgarski jogurt, *kiselo mljako*, zawierający wyjątkowe kultury bakterii *Lactobacillus bulgaricus*, które bardzo korzystnie działają na organizm. Ponoć regularne picie tego jogurtu zapewnia długowieczność, czego żywym dowodem są najstarsi, liczni wiekowi Bułgarzy.

Obiadowe kolacje składały się z zupy, ciepłego dania i sałatki, najczęściej szopskiej, mojej ulubionej, złożonej z pokrojonych w kostkę pomidorów, ogórków, papryki, oliwek, kawałka słonego sera *sirene*, przyprawionej oliwą i octem winnym. Niezapomniany smak tamtego lata.

Już podczas pierwszego śniadania został ustalony grafik naszego wspólnego pobytu. Po śniadaniu ciotki chciały wracać do pokoju, a potem chodzić na plażę. Miały zamiar częściowo zajmować się opalaniem, a częściowo handlem, bo pobyt w Warnie „musiał się zwrócić”. Nie wiem, co sprzedawały, bo nigdy nie widziałam ich w akcji. Chyba jakieś ubrania, kosmetyki, kremy Nivea, bananowe błyszczki. Nie chciałam brać w tym udziału. Rozstawałyśmy się zaraz po śniadaniu i spotykałyśmy tylko na posiłkach. Cieszyłam się więc latem i wakacyjną wolnością. Cudowne uczucie.

Pierwszego dnia poszłam najpierw obejrzeć miasto. Udałam się przez Park Nadmorski, pięknie położony na wysokiej skarpie nad plażą, w stronę centrum. Zwiedziłam dziewiętnastowieczną cerkiew, największą w Warnie, po czym skierowałam się na pobliski targ warzyw i owoców. Zawsze

lubiłam takie miejsca. Panował tam szal kolorów. Nie wiedziałam, na co patrzeć. Wokół piętrzyły się stosy ogromnych arbuźów o grubej skórze. Zielonych albo pasiastych. Kilkanaście rodzajów winogron, drobnych, średnich i wielkich. Ciemnych i jasnych. Bordowych, jasnozielonych, ciemnozielonych, fioletowych. Z pestkami lub bez pestek. Piramidy brzoskwiń, gładkich, połyskujących lub aksamitnych, z meszkiem, rumianych i pachnących, o słonecznych barwach. Kopce moreli wielu odmian i odcieni. Rozpusta owocowa. Pokusa soczysta. Słodkie pragnienie. Czułam się jak osiołek z wiersza hrabiego Fredry, któremu w żłoby dano. I to kusi, i to nęci. Prawdziwy osiołek też zresztą był na targowisku. Ten miły widok zawsze mnie przyciągał. Był taki bułgarski. Zapakowałam do plażowej torby kilogram winogron i kilka brzoskwiń.

Potem moją uwagę przykuły warzywa. Wrzesień to miesiąc królowania papryki. Leżała na straganach w pełnej krasie, we wszystkich odmianach. Do wyboru, do koloru. Kobiety kupowały pełne jej siatki. Były też moje ukochane pomidory, dorodne, czerwone, pachnące. I bure buraki, marchewkowe korzenie, pióropusze zielonych porów i selerów, kapuściane połyskujące główki. Arcimboldo byłby zachwycony obfitością i bogactwem wyboru, miałby z czego komponować swoje portretowe fantazje.

Przy jednym straganie sprzedawca zauważył, że zachwycam się wielkim stosem dorodnej kapusty. Zaproponował główkę. Ze śmiechem odmówiłam.

– Wpadnij za kilka tygodni, zobaczysz beczki pełne kiszonych kapuścianych głów.

Nie wiedziałam, że można w ten sposób kisić kapustę, w całości, nieszatwowaną.

W pewnej chwili zwróciłam uwagę na duże, lśniące fioletowe gruszki. Wyglądały pięknie. Nie byłam pewna, czy to owoc, czy warzywo. Wcześniej nigdy ich nie widziałam na polskim targowisku. Postanowiłam eksperymentalnie kupić na spróbowanie. Stałam w kolejce. Bułgarki kupowały fioletowe cudo na kilogramy. Sprzedawczyni fuknęła niecierpliwie, gdy poprosiłam o jedną sztukę. Z ciekawością oglądałam nabytek, który zapowiadał niebanalne wrażenia smakowe. Jego wygląd sugerował, że powinien być pyszny, słodki i soczysty. Wbiłam zęby w błyszczącą skórkę. Błeeee! Co za rozczarowanie! Smakowało gorzko, twardo i surowo. Warzywo niejadalne bez przygotowania i obróbki termicznej. Poczułam się jak kosmita wśród Ziemi. Taki był mój pierwszy kontakt z surowym bakłażanem. Potem spróbowałam różnych potraw z jego głównym lub znaczącym udziałem i stał się jednym z moich ulubionych warzyw. Uwielbiam pastę z bakłażana, zapiekane bakłażany, smażone bakłażany, potrawki z bakłażanów, ale te wszystkie smaki poznałam dużo później. Pierwsze spotkanie z tym warzywem było pamiętnie nieudane i zabawne, tamtego lata w Bułgarii.

To targowisko odwiedzałam każdego dnia. Uwielbiałam oglądać stragany i obserwować teatr życia codziennego z rozgadanyimi, gestykulującymi aktorami. Kobiety o czarnych oczach uważnie wybierające owoce i sprzedawców zachwalających swój towar. Teatr przedpołudniowy, który tam miał najpiękniejsze kolorowe dekoracje i smakowite prawdziwe rekwizyty.

Zaopatrzona w konieczną dawkę owoców ruszyłam w stronę wybrzeża, znowu przez park, który ciągnął się kilometrami. Na postumentach stały kamienne popiersia Bułgarów, których nazwiska nic mi nie mówiły – zapewne bojowników o wyzwolenie, domyślałam się, patrząc na daty wyryte na pomnikach. Rosły tu rośliny i drzewa miłe dla oka. Gdzieś tam znajdowały się krany z wodą do picia o bogatym mineralnym składzie. Pod jednym z nich umyłam winogrona i brzoskwinie. I tak spacerkiem dotarłam do naszej restauracji na palach. Zeszłam na plażę i stanęłam po kostki w morskiej wodzie. Ciepłej, zapraszającej. Już wiedziałam, że nie ruszę się z plaży aż do kolacji. Szłam

wzdłuż morza po słonecznym piasku, fale obmywały moje stopy. Daleko z tyłu znajdował się wielki port, do którego dostojnie zmierzał statek.

Plaża to rozszerzała się, to kurczyła, oddzielona od drzew brzegiem różnej wysokości. Spory fragment wybrzeża zajmowały duże głazy. Równolegle do plaży ciągnął się park. Czasami plaża urywała się, trzeba było przejść kawałek parkiem, i ponownie zejść na żółty piasek. W niektórych sektorach stały wiklinowe kosze plażowe, podobnie jak nad Bałtykiem.

Po pewnym czasie zmęczył mnie spacer, a torba z owocami stała się ciężka. Wybrałam więc miejsce do leżakowania i rozłożyłam ręcznik na piasku. Potem wykonałam konieczny rytuał plażowy: smarowanie kremem. Ułożyłam się wygodnie i obserwowałam ludzi wokół. Nie widziałam kołchozowych Rosjan o złotych zębach, których zapamiętałam z pobytu w Burgas. Tutaj najwięcej było bułgarskich rodzin z dziećmi. Rozbawione maluchy grzebały w piasku, pochylając czarne główki. Leniwie analizowałam, jak wyglądają Bułgarzy. Podobali mi się jako naród. Czarnowłosi, ciemnoocy, o śniadej karnacji. Niektórzy mieli jaśniejsze włosy, niebieskie lub szare oczy, ale ci stanowili zdecydowaną mniejszość. Najczęściej byli średniego wzrostu, ale bywali też wysocy, zwłaszcza młodzi. Młode kobiety zwracały uwagę gęstymi czarnymi włosami, czarnymi brwiami, dużymi, ciemnymi, wilgotnymi oczami. W większości nie były zbyt wysokie. Uroda mieszkańców Południa zawsze fascynowała ludzi Północy. Ja też należałam do grupy zafascynowanych. Może dlatego, że człowiek z Północy tęskni do słonecznego Południa?

Już pierwszego dnia, w sklepie, kupując wodę, zobaczyłam piękną młodą kobietę o niesamowitych, rzadko spotykanych oczach. Były tak czarne, że nie widać było źrenic. Gdy na mnie patrzyła, czułam się nieswojo; speszona, trochę przestraszona, miałam wrażenie, że zna moje myśli, że jej niepokojący wzrok przenika mnie na wylot. Uznałam wtedy, że to jedna z najpiękniejszych i najbardziej niesamowitych kobiet, jakie w życiu spotkałam.

Starsze kobiety ubierały się zwykle na czarno, widywałam je najczęściej na targowisku. Czasami na głowach nosiły chustki. Odkryłam ze zdziwieniem, że wysoka, szczupła blondynka, taka jak ja, stanowi tu sporą atrakcję. Jasne kobiety bardzo się podobały. Jasne włosy i oczy budziły zachwyt. Miejscowe brunetki marzą o włosach blond, ale rozjaśniają je tak nieudolnie, że otrzymują na głowie coś w rodzaju brudnej żółci. Po co to robią? Urodziły się szatynkami lub brunetkami. Dlaczego ulegają zachodnim wzorcom kobiecej urody? Czy ufarbowane na blond wydają się sobie ładniejsze? Czy atrakcyjniejsze w oczach mężczyzn?

Mój wygląd oznaczał tu „obcość”. Nie byłam swoja. Wyglądałam inaczej. Od razu pytano, skąd jestem. Ludzie często mnie zagadywali, najczęściej pytali o godzinę, chcieli, żebym się odezwała, bo wtedy będzie wiadomo: Rosjanka, Polka czy Niemka. Na plaży w Warnie często słyszałam język polski. Wczasowicze z Północy, bałtyckim zwyczajem, lubili spacerować wzdłuż brzegu. Poza tym licznie przyjeżdżali do Warny i innych miejsc nad morzem.

Zanurzyłam palce w ciepłym piasku. Patrzyłam na połyskujące w słońcu fale. Nic więcej nie potrzebowałam do szczęścia w tamtej chwili. „Będiesz miała setki piegów”, podszepnął wewnętrzny głos, który zawsze dba, żeby nie poczuć się za dobrze. Zjadłam kilka słodkich winogron i ruszyłam do wody.

4 Początek

Kolejny dzień miał wyglądać podobnie, następne też. Nic szczególnego nie planowałam, niczego nie oczekiwałam. O niczym istotnym nie myślałam. Pełny wakacyjny relaks. Znowu pochmurny ranek, słońce czaiło się we mgle, żeby wkrótce zniecka oslepić blaskiem. Kolejka do łazienki. Ciocia Halina nie wiedziała, w co się ubrać na śniadanie. „Włożyć sukienkę białą czy niebieską?”, zamęczała mnie. Ja włożyłam ulubione tamtego lata różowe spodenki, które wyglądały jak spódniczka mini, i białą bawełnianą koszulkę. Do tego obowiązkowa ciepła bluza i plastikowe różowe sandały z Hofflandu. Sprawdziłam stały zestaw codzienny w bordowej torbie, niezbędny plażowy. Wszystko jest, nawet metalowa spinka do włosów – do pływania.

Wspólny poranny spacer z ciotkami do restauracji na śniadanie. Rozmawiały o swoich udanych plażowych transakcjach, przeliczały zyski i straty na dolary, kalkulowały. Nudziło mnie to. Po śniadaniu pożegnaliśmy się.

– Tylko uważaj w wodzie, nie utop się! – krzyknęła na do widzenia ciocia Wanda.

– Nie spóźnij się na kolację! – Dla cioci Haliny jedzenie było zawsze najważniejsze.

Wolnym krokiem poszłam przez park na targowisko. Nie mogłam opuścić tej atrakcji, poza tym chciałam kupić mnóstwo owoców, które na plaży miały zastąpić mi obiad. Codziennie brałam ze sobą tylko kilkanaście lewów na drobne zakupy, żeby nie zostawiać większej sumy w portfelu, gdy szłam popływać. Przeszłam wzdłuż szpaleru owocowych straganów i wybrałam sporą porcję winogron i brzoskwiń.

Spacerkiem wracałam parkowymi alejkami. W pewnej chwili dostrzegłam mały staw ogrodzony barierką. Pływało po nim stadko hałaśliwych kaczek. Przystanęłam, oparłam się o ogrodzenie i obserwowałam, co robią i o co się kłócą. Żałowałam, że nie wzięłam ze sobą pszennego chleba, który zawsze podawano na śniadanie. Po kilku minutach znudziło mi się jednak przedstawienie na stawie, odwróciłam się, żeby odejść. Wtedy go z o b a c z y ł a m . Stał kilka metrów ode mnie i patrzył na mnie. Wysoki, szczupły chłopak. Stał nieruchomo. Nie wiem, jak długo tam był. Miał czarne, falujące włosy opadające na czoło i ciemnobrązowe oczy. Na ramieniu niewielki plecak, pewnie też szedł na plażę. „To na pewno Bułgar”, pomyślałam. Nie mogłam oderwać wzroku od jego twarzy, nie poruszyłam się. I tak staliśmy, patrząc na siebie nawzajem. Ile to trwało? Kilka sekund? Kilka minut? Nie wiem. Uśmiechnął się lekko. Odwzajemniłam uśmiech. I od razu stchórzyłam. Pierwsza odwróciłam wzrok i ruszyłam przed siebie, omijając go obojętnie. Tylko raz, przelotnie zerknęłam na niego. Jego oczy zmieniły wyraz. Wyraźnie prosiły: „Nie odchodź”. Już się nie uśmiechał. Milczał. Nie zatrzymywał mnie. „Tylko się nie oglądaj”, przykazałam sobie, chociaż miałam na to wielką ochotę. Czułam na sobie jego spojrzenie. Gdyby chciał, mógł mnie przecież o coś zapytać albo dogonić. Nic takiego nie nastąpiło. To było nie do pomyślenia, żebym odezwała się pierwsza. Nigdy w życiu. Szłam wolnym krokiem, jak gdyby nigdy nic, potem skręciłam na plażę. Brnęłam po piasku, minęłam restaurację na palach, przeszłam jeszcze kilkanaście metrów i rozłożyłam ręcznik daleko od wody.

Na plaży było sporo ludzi. Położyłam się na brzuchu i patrzyłam na morze. Już poprzedniego dnia nawiązałam kilka znajomości z Bułgarami, nawet w wodzie, podczas pływania. Wielokrotnie też odpowiadałam na pytania: która godzina, skąd jestem i jak długo zostanę w Warnie. Nie miałam ochoty na długie rozmowy. Ale to dziwne spotkanie bez słów, w parku, nie dawało mi teraz spokoju.

Bo to był najpiękniejszy chłopak, jakiego widziałam. Uroczy.

„Dlaczego nie pozwoliłam sobie na to, żeby go poznać? Dlaczego nie potrafiłam się przełamać i pierwsza go zagadnąć? Ale przynajmniej mogłam nie uciekać, jakby spotkało mnie coś niemiłego. Jestem idiotką! Zwiewać, nawet wolnym krokiem, przed takim chłopakiem?! Stał przede mną, na mojej drodze, a ja go ominęłam. Przeszłam obok”, karciałam się w myślach. Zmarnowałam tę chwilę i teraz żałuję. Ale stało się. Czas minął.

Po kilkunastu minutach... znowu go z o b a c z y ł a m . Szedł z kolegą, też szczupłym i wysokim, ale niższym o pół głowy. Nie patrzyli na morze, obserwowali ludzi na plaży. Rozglądali się. Szukali kogoś. Mój Wysoki Nieznajomy kogoś wyraźnie poszukiwał. „Czyżby mnie?”, zaświtało mi nieśmiało w głowie. Usiadłam na ręczniku i patrzyłam zaciekawiona na idącą dwójkę. Wokół mnie było już sporo plażowiczów w różnym wieku. Nieznajomy mógł mnie jednak nie zauważyć w tłumie. Miałam na sobie kostium bikini w poziome białe-czerwone paseczki. Spięłam w kok długie włosy. Czekałam, co będzie dalej. Szli brzegiem plaży i powoli zbliżali się do miejsca, gdzie siedziałam, kilkanaście metrów od wody. Lekko odwróciłam głowę, patrząc kątem oka zza ciemnych okularów. Dostrzegłam moment, kiedy on mnie zauważył. Zatrzymał się i po sekundzie ruszył w stronę wolnego pola piasku, które znajdowało się za obozowiskiem bułgarskiej rodziny leżącej w moim sąsiedztwie. Przeciął plażę na ukos, spojrzął na mnie i uśmiechnął się szeroko. Za nim podążał kolega. Wyciągnęli ręczniki z małych plecaków i ułożyli się na nich na brzuchu. Twarzą do mnie. Nieznajomy coś powiedział do kolegi i obaj ostentacyjnie zaczęli się na mnie gapić. Nie mogłam uwierzyć, że moje przypuszczenia okazały się trafne. Ten uroczy chłopak szukał mnie, właśnie mnie, to stało się teraz oczywiste. Byłam ciekawa, co się wydarzy... Wyjęłam z torby książkę *Syreny z Tytana* Kurta Vonneguta i zaczęłam czytać, ale nie mogłam się skoncentrować. Zerknęłam w stronę chłopaków. Obserwowali mnie. Nieznajomy znowu się uśmiechnął. Taka „zabawa w patrzenie” trwała jakiś czas. „Jak w podstawówce”, pomyślałam, bo już dawno nie bawiłam się w tę grę, polegającą na wpatrywaniu się w wybraną osobę bez przerwy, bez mrugnięcia okiem. Nie miałam odwagi bawić się w to teraz, z nim, nawet w okularach przeciwsłonecznych. Udałam więc, że pogąrzyłam się w lekturze... Jednak fabuła powieści niewiele mnie obchodziła.

W pewnym momencie usłyszałam wesoły głos. Do Bułgarów, bo już byłam pewna, że to Bułgarzy, podeszła dziewczyna z krótkimi ciemnymi włosami. Przywitali się przyjaźnie, widać było, że znali się wcześniej. Dziewczyna usiadła na piasku i opowiadała coś z ożywieniem po bułgarsku, mocno gestykułując. Wkrótce dołączyły do nich jeszcze dwie osoby, chłopak i dziewczyna. Mogłam teraz obserwować Nieznajomego do woli, bo miał utrudnione zadanie, musiał odpowiadać na pytania i brać udział w rozmowie. Po jego minie widziałam, że nie za bardzo ma na to ochotę, już się tak szeroko nie uśmiechał. Mogłam się otwarcie, bezkarnie gapić i rejestrować spojrzenia, które rzucał w moją stronę. Znajomi rozłożyli ręczniki obok niego. Po chwili całą grupą pobiegli do morza. Obserwowałam go. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i sylwetkę sportowca, umięśnione ramiona, gładki tors, długie nogi, szczupłe łydki. Dobrze pływał, lubił się bawić, był wesoły. Skakali w wodzie, wchodząc sobie na ramiona, budowali ludzkie piramidy, ścigali się, płynąc kraulem. Przez chwilę żałowałam, że jestem tu sama i nie mam żadnego towarzystwa, z którym mogłabym poszaleć w morzu czy pograć w piłkę... Kiedy oni wyskakiwali z morza, ja poszłam popływać. Kątem oka widziałam, jak suszą się na piasku po kąpeli, grają w karty, rozmawiają. Potem wróciłam, usiadłam na piasku i narzuciłam ręcznik na ramiona. Czasami dolatywały mnie pojedyncze słowa czy zdania z ich rozmowy. Często spoglądałam w ich stronę, wymienialiśmy z Nieznajomym niezliczone

spojrzenia. I to wszystko.

Popołudnie minęło błyskawicznie, słońce zaczęło powoli chować się za parkowymi drzewami. Byłam głodna. Spojrzałam na zegarek. Wkrótce kolacja w restauracji, muszę się zbierać. Opóźniałam ten moment, czułam, że nie chcę stamtąd odchodzić. Zaczęłam jednak powoli pakować rzeczy do torby: książkę, krem, woreczki po zjedzonych owocach. Kostium był już całkiem suchy. Włożyłam bluzkę i spodenki, zwinęłam ręcznik. Czułam na sobie wzrok mojego Bułgara. Wstałam, zarzuciłam torbę na ramię i otwarcie spojrzałam w jego stronę. Klęczał na piasku i patrzył na mnie... z niepokojem? z prośbą? z nadzieją? z żalem? Jego twarz wyrażała to samo, co dostrzegłam rano w parku: nieme „nie odchódź”. Znowu stałam jak zahipnotyzowana. Kilka sekund. „Te oczy mnie lubią”, pomyślałam. Spojrzenie bywa bardziej wymowne i szczerze niż słowa. Potem uśmiechnęłam się z żalem, uniosłam rękę i powiedziałam po polsku:

– Cześć.

Uśmiechnął się od razu, uniosł dłoń na pożegnanie. Odwróciłam się i odeszłam wolnym krokiem po raz drugi tego dnia, chociaż wolałabym siedzieć tam do rana i dłużej. Brałam udział w jakimś koszmarnym dublu. Kto to reżyserował? Szłam wolno brzegiem w stronę restauracji na palach i myślałam o tym, czego doświadczyłam. Nigdy nikt nie podobał mi się tak bardzo. Byłam jak zaczarowana. Czułam żal, że może już się nie spotkamy. Los lubi bawić się ludźmi. Tego dnia wzięłam udział w grze, której reguł nie znałam. Jak zaczyna się miłość? Miłość rodzi się poprzez spojrzenie, potem przychodzi odczuwanie.

Ciotki siedziały już przy stoliku. Byłam czerwona od słońca, co od razu zostało skomentowane.

– Smażysz się i smażysz na tej patelni – stwierdziła Halina.

– Ciociu, więcej czasu spędzam w wodzie niż na plaży. Ale uwielbiam słońce i lubię się opalać. Jest lato i ma być gorąco.

Na szczęście ciocia Wanda nie miała żadnych uwag, a ciotki z Piotrkowa nie miały śmiałości, by jakiegokolwiek wygłaszać. Chciałam, by ciocia Halina dała mi spokój, bo miałam ważniejsze sprawy na głowie.

Jedząc papryki nadziewane ryżem i sałatkę szopską, zastanawiałam się, czy powinnam po kolacji wrócić na plażę. Nie mogłam. Brakowało mi odwagi, by podejść do Bułgarów, których przecież nie znałam. Zawsze byłam umiarkowanie towarzyska. Niełatwo nawiązywałam znajomości i przyjaźnie. Trudno to przełamać nawet w tak wyjątkowej sytuacji.

Ciotki dowiedziały się, że w muszli koncertowej w parku odbędą się wieczorem jakieś występy. Zdecydowałam: idę z nimi. Może tam jeszcze raz zobaczę mojego Nieznajomego?

Koncert bardzo mi się podobał, szczególnie dynamiczne tańce bułgarskie, które wykonywały ludowe zespoły dziecięce i młodzieżowe. W pięknych barwnych, haftowanych strojach tancerze prezentowali się imponująco. Były to tradycyjne tańce z różnych regionów Bułgarii. Każdy dostawał gromkie brawa od licznie zgromadzonej widowni, wśród niej było wielu Polaków, ale nie zauważyłam tych bystrych ciemnych oczu, które mnie tak przyciągały na plaży.

Następnego dnia jak zwykle po śniadaniu poszłam po owoce, od których już się uzależniłam. Zestaw winogronowy został wzbogacony o nowy gatunek brzoskwiń. Dobrze znaną mi drogą przez park skierowałam się w stronę plaży, przechodząc obok kaczego stawu. Nikogo tam nie było. „Głupia!”, pomyślałam.

Wszystko w pobliżu już było oswojone. Znałam okoliczne drzewa, ławki i rzeźby. Minęłam restaurację i doszłam do sektora, w którym zatrzymałam się wczoraj. Powoli zapełniał się

plażowiczami. Rozłożyłam ręcznik, postawiłam torbę i usiadłam na piasku. „Może Nieznajomy o brązowych oczach dzisiaj też przyjdzie nad morze?”, kołatało mi w głowie. „Oczywiście z całym towarzystwem, bo przecież nie z twojego powodu”, dopowiedział rozsądek. Zagramy w to znowu: raz, dwa, trzy, czy on znowu patrzy?

Wiał lekki wiatr, obserwowałam zielononiebieskie fale. Uwielbiałam widok rozkołysanego, połyskującego morza. Zawsze mnie fascynował i uspokajał. Po chwili wyjęłam książkę. Jednak nie mogłam się skupić na lekturze. Wystawiłam twarz do słońca, tak przyjemnie grzało.

Poszłam popływać. Pływanie w Morzu Czarnym było rozkoszne, nie musiałam zanurzać się powoli, długo, stopniowo, tak jak w Bałtyku. Dopiero po godzinie wyszłam z wody, położyłam się na ręczniku i uwolniłam włosy od spinki, żeby wyschły. Sięgnęłam po książkę. Nie zdążyłam zagłębić się w fabule, która wciągała niespiesznie, gdy nade mną pojawił się jakiś cień i usłyszałam:

– *Zdrawej!* – a następnie po angielsku: – Czy możemy usiąść obok ciebie?

Uniosłam głowę. Nade mną stał mój Bułgar. Patrzył na mnie z szerokim uśmiechem. Nieco z tyłu stanął kolega, z którym był na plaży wczoraj.

– *Zdrawej!* – odpowiedziałam. – Tak, proszę. – Uśmiechnęłam się.

Obaj rozłożyli ręczniki naprzeciwko mnie. Zamknęłam książkę.

– Mam na imię Borys – przedstawił się od razu. – A to mój przyjaciel Christo. Chciałem podejść do ciebie wczoraj, ale przypadkiem spotkaliśmy znajomych z Sofii. Nie wiedzieliśmy, że tu będą – tłumaczył się, chociaż przecież wcale nie musiał. – Jak masz na imię? Skąd jesteś? Dlaczego sama?

Powiedziałam, jak mam na imię, skąd jestem i co tu robię. Wspomniałam o doborowej kompanii, która mi towarzyszy, i o wspólnym mieszkaniu w Warnie. Ten wstępny etap znajomości mieliśmy za sobą.

– Tak się cieszę, że znowu cię widzę. Bałem się, że już się nie spotkamy – powiedział tak po prostu, zwyczajnie, a mnie zrobiło się ciepło koło serca.

Zaczęliśmy rozmawiać trochę po angielsku, trochę po rosyjsku. Ja znałam słabo angielski, bo uczyłam się go tylko rok, na pierwszym roku studiów. Maturę zdawałam z niemieckiego. Borys z kolei uczył się w szkole średniej rosyjskiego i angielskiego. Christo niewiele się odzywał. Chyba był nieśmiały albo nie lubił rozmawiać w obcym języku. Borys całkiem go zdominował i nie dopuszczał do głosu. Christo odpowiadał tylko wtedy, gdy zwracałam się z pytaniem bezpośrednio do niego.

Borys zainteresował się moją książką. Nie znał tego autora. Nie wiedział, czy jakieś jego tytuły przetłumaczono na bułgarski. Zdziwiło mnie, że powieści Kurta Vonneguta nie są popularne w Bułgarii. Zapytałam, którzy pisarze są znani. Wymienił kilka bułgarskich nazwisk. O żadnym z tych autorów nigdy nie słyszałam. Wtedy pierwszy raz pomyślałam, jak niewiele wiem o tym kraju i jego kulturze. Efekt obcości.

Borys pochodził z zachodniej Bułgarii, z Pernika, przemysłowego miasta okręgowego, leżącego czterdzieści kilometrów od Sofii. Do szkoły średniej chodził w Sofii i mieszkał w internacie klubu sportowego Lewski Spartak. Intensywnie trenował siatkówkę. On i Christo byli w reprezentacji kraju, w drużynie juniorów. Drużyna miała na koncie sporo sukcesów. Do Warny przyjechali na krótkie wakacje. Christo musiał wracać do domu już jutro, Borys za dwa dni. W tym roku dostał się na studia. W październiku rozpocznie naukę na uniwersytecie w Sofii, nadal będzie trenował siatkówkę. Opowiedziałam mu o mojej przygodzie siatkarskiej w podstawówce i liceum, która przywiodła mnie kilka lat temu do Burgas.

Podobał mi się jego głos, uśmiech, oczy i ręce. Czułam się dobrze w jego towarzystwie. Rozmowa

była ciekawa, niewymuszona, toczyła się lekko. Tego dnia wzięłam ze sobą moją smienę. Borys zobaczył aparat.

– Czy mogę zrobić ci zdjęcie? – zapytał.

– Dlaczego? – spytałam.

– Bo pięknie wyglądasz w tym świetle – usłyszałam prostą odpowiedź.

„Podrywacz”, pomyślałam, i wtedy zrobił mi to pierwsze czarno-białe zdjęcie. W rewanżu ja sfotografowałam jego.

– Pójdziemy popływać? – zapytał.

Wiatr ustał, morze było spokojne.

– Zróbmy sobie jeszcze jedną fotkę nad wodą – zaproponowałam.

Poszliśmy we trójkę. Borys wręczył aparat Christo i coś mu szepnął. Zatrzymałam się w płytkiej wodzie i odwróciłam w stronę plaży. Borys stanął obok, objął mnie ramionami i... szybko pocałował w usta. Wtedy Christo nacisnął migawkę i zrobił nam na tle morza to drugie pamiętne zdjęcie.

Zacząło się od pocałunku... Jak w znanym przeboju sprzed lat. Początek miłości. Miłości zmysłowej, nieuświadomionej, lecz powoli się budzącej. To zaczęło się tamtego dnia, we wrześniu 1986 roku. Potrafię podać dokładną datę, tak jak Borys, który w listach wspominał ten moment przez kilka lat.

Byłam zaskoczona, trochę oszołomiona. Odurzona i zadurzona. W tym momencie uświadomiłam sobie, że bardzo, aż za bardzo lubię tego chłopaka, chociaż dopiero go poznałam. Uśmiechnął się do mnie. Już wiedziałam, że to nie będzie tylko plażowa znajomość. Potem Christo zrobił nam trzecie zdjęcie – ostatnie, to, na którym zasnęła mnie czerń, co odkryłam dopiero w Polsce. Aparat się zepsuł... Nie zrobię więcej żadnych zdjęć. Zakończyliśmy sesję, zanim jeszcze na dobre się zaczęła. Znak od losu. Albo taki żart. Fatalizm już w pierwszej odświeżeniu, w pierwszym akcie.

5 Figa i jabłko

Ten dzień spędziliśmy we troje. Kąpaliśmy się w morzu, opalaliśmy, gawędziliśmy. Gdy szliśmy pływać kolejny raz, Borys zapytał, czy może wziąć mnie za rękę. Byliśmy młodzi, piękni i wolni. Cieszyliśmy się słońcem, wodą, latem, wakacjami. I sobą nawzajem.

Czas tego dnia wyraźnie przyspieszył, musiałam znowu iść na kolację.

– O której kończysz posiłek? – zapytał Borys. – Będę na ciebie czekał przy restauracji.

Pożegnaliśmy się.

– Jeszcze się spotkamy – powiedział po bułgarsku z uśmiechem, który tak lubiłam.

Podczas kolacji oznajmiłam ciotkom:

– Poznałam na plaży fajnego chłopaka. Jest uroczy. Może będzie przy restauracji, to go poznacie.

– Zaznaczyłam „może”, bo wcale nie byłam pewna, czy go tam zobaczę.

Siedziałam na krześle jak na szpilkach. Nie wiedziałam, co jem, nie obchodził mnie smak potraw. Było mi obojętne, co mam na talerzu. Chciałam jak najszybciej wybiec na spotkanie z Borysem. Ale ciotki jadły wyjątkowo długo, gadając, przeżuając, wymieniając uwagi. Wreszcie skończyły. Wyszłyśmy z restauracji. Borys siedział na ławce. Kiedy nas zobaczył, wstał, zrobił w naszą stronę kilka kroków, po czym wyprostował się na całą swoją imponującą wysokość. Przedstawiłam go ciotkom.

– Dzień dobry – powiedział po polsku, nauczył się tego dzisiaj.

Widziałam po twarzach ciotek, że im się spodobał. Ruszyliśmy pochodem w kierunku naszej kwatery, ciotki przodem, my z tyłu. Chciałam tylko zostawić torbę plażową, przebrać się i iść z Borysem na spacer po Warnie.

Przyprowadziłam go do pokoiku, który dzieliłam z ciotką Haliną. Poprosiłam, żeby usiadł, a sama poszłam do cioci Wandy.

– I co myślisz, ciociu? – spytałam przyciszonym głosem.

– Łucjo, to miły chłopak. Grzeczny. I taki przystojny! Bardzo mi się podoba – zapewniła. – Baw się dobrze. Ale nie wracaj za późno – dodała z uśmiechem.

Gdy wróciłam do pokoju, Borys siedział na moim łóżku, a ciocia Halina na swoim.

– Może poczekam na ciebie przed blokiem – zaproponował i wstał. – Nie chcę przeszkadzać.

Trudno się tu zmieścić we troje.

– Dobrze. Zaraz przyjdę.

Szybko włożyłam sukienkę mini w drobne kolorowe kwiatki, rozpuściłam jeszcze wilgotne włosy i jak ścigana wybiegłam z domu, nie zważając na kwaśną minę ciotki Haliny.

Borys rozjaśnił się, gdy mnie zobaczył. Pocałował mnie, wziął za rękę i ruszyliśmy w stronę Parku Nadmorskiego. Po drodze opowiadałam mu, kto jest kim w naszej grupie kobiet i jakie układy rodzinne mnie tu przywiodły. Byłam jedynaczką. Borys miał młodszą siostrę o imieniu Wioleta, za kilka dni zaczynała siódmą klasę podstawówki. Do domu przyjeżdżał tylko na weekendy. Od paru lat mieszkał w Sofii, radził sobie ze wszystkim – nauką, treningami, zawodami, wyjazdami sportowymi, mieszkaniem w kilkusobowym pokoju. Wydawał mi się nad wiek dojrzały i samodzielny.

Dotarliśmy do centrum. Chciałam zobaczyć, jak to miasto wygląda o zmroku, bo do tej pory oglądałam je tylko w świetle poranka. Szliśmy długą, wijącą się ulicą aż do centralnego placu, przy

którym najładniejszym budynkiem była neobarokowa siedziba opery. Dalej znajdował się niewielki park, gdzie stała wieża zegarowa z końca dziewiętnastego wieku. W pobliżu mieścił się mój ulubiony targ, który codziennie rano oślepiał kolorami owoców i warzyw. Teraz był opustoszały. Borys pokazał mi jedną z najbardziej charakterystycznych budowli w mieście: cerkiew katedralną Zaśnięcia Matki Bożej. Została wybudowana i ozdobiona przez Rosjan po wyzwoleniu Bułgarii spod okupacji tureckiej pod koniec dziewiętnastego wieku. Obejrzałam ją w środku już drugiego dnia pobytu, a teraz podziwiałam, jak w świetle lamp pięknie lśnią jej liczne złote kopuły. Drugą budowlą, której nie dało się przeoczyć, był bardzo drogi i luksusowy hotel Czerno More – litery widniały na dachu. Stał niedaleko plaży i głównego deptaka.

– Mieszkają tam tylko bardzo bogaci cudzoziemcy – poinformował mnie Borys.

– Natomiast cudzoziemcy z cienkim portfelem wynajmują mieszkania w bułgarskich domach – dodałam.

– Tak samo robią Bułgarzy, ja też wynajmuję pokój do spółki z Christo.

Hotel był wąskim klockiem, wysokim na kilkanaście pięter, i przypominał mi ówczesny warszawski hotel Forum, tyle że nie był brudnożółty, ale szarobetonowy. Widać go było z wielu miejsc w mieście. Dobry punkt orientacyjny, chociaż niepiękny. Lokalny samotny drapacz nadmorskich chmur.

Borys bawił się w przewodnika i chwalił się Warną:

– To trzecie co do wielkości miasto w Bułgarii, bardzo ważny gród, zwłaszcza za czasów drugiego państwa bułgarskiego, od dwunastego do czternastego wieku. Po drugiej wojnie światowej, od 1949 do 1956 roku, miasto nazywało się Stalin.

– Koszmarnie – stwierdziłam i nawet nie chciało mi się rozwijać tematu lokalnego Stalinogrodu.

Gdy spacerowaliśmy wzdłuż głównego deptaka, zauważyłam małą cerkiewkę. Podeszliśmy bliżej, chciałam zobaczyć jej wnętrze, ale była zamknięta.

– To cerkiew Sweti Nikoła.

– Święty Mikołaj? Obchodzicie mikołajki? – zapytałam. – W Polsce Święty Mikołaj przynosi prezenty szóstego grudnia.

Zdumiał się.

– W Bułgarii nie ma takiego zwyczaju, ale szóstego grudnia też mamy święto. Święty Mikołaj jest opiekunem morza, marynarzy i rybaków. W tym dniu wszyscy Bułgarzy jedzą karpia, obowiązkowo właśnie karpia, żeby zapewnić domowi pomyślność na przyszły rok.

Tym razem ja się zdziwiłam. Usłyszałam, że po szóstym grudnia ta ryba praktycznie znika ze sklepów, nie z powodu braków czy kryzysu, jak sądziłam, ale dlatego że nikt jej już wtedy nie je i nie kupuje. Święty Mikołaj przynosi w Bułgarii karpie.

Zagłębiliśmy się w płataninę ciasnych uliczek wiodących w stronę morza. Borys chciał mnie zaprosić na banicę, której jeszcze nie próbowałam. Na jednej z tych uliczek była banicznica, która sprzedawała baniczki najsmaczniejsze w Warnie. Wtedy dowiedziałam się, że baniczka to bułeczka z ciasta przypominającego ciasto francuskie z nadzieniem ze słonego sera *sirene*, szpinaku lub mięsa. Kupiliśmy baniczki z serem. Smakowały mi, chociaż zawsze wołałam przekąski raczej słodkie niż słone. Borys powiedział, że jego mama też piecze w domu banicę na blasze, a potem ciasto kroi na kawałki, ale nie zawsze jest takie smaczne jak to tutaj. Lubił banicę z dynią, która po bułgarsku nazywa się *tikwa*. Ta popularna przekąska pochodzi z kuchni tureckiej, jak wiele potraw bułgarskich, w innych krajach bałkańskich jest znana jako burek, ale o tym przekonałam się wiele lat później.

Pierwszy raz jadłam ją właśnie w Warnie.

Tamtego lata Warnia, miasto portowe, pełne wczasowiczów, nie była miastem tętniącym nocnym życiem. Nie widziałam wielu restauracji ani ciekawych sklepów, ani tłumu turystów spacerujących w centrum. Ciche, pustawe wieczorem, spokojne duże miasto. Tak je zapamiętałam. Nie byłam w żadnej restauracji, właściwie nic nie kupowałam oprócz owoców, wody, jogurtu z cenną bułgarską bakterią i przekąsek. Nie interesowały mnie zabawy, dyskoteki. Miałam mało pieniędzy. Zafascynował mnie jeden człowiek. On był najciekawszy. I najważniejszy.

Wracaliśmy nocą przez park. Czułam się z Borysem bardzo bezpiecznie. Nie chcieliśmy się rozstawać. Zeszliśmy na plażę. Spacerowaliśmy granicą piasku i wody, która nadal była bardzo ciepła. Z jakiegoś baru dobiegała muzyka.

– Pokaż mi, jak tańczy się w Bułgarii – poprosiłam.

Roześmiał się.

– Gdzie? Na dyskotecce czy na weselu? Na weselu tak... – Zrobił parę kroków jakiegoś ludowego tańca, co było zabawne w wodzie. Potem pokazał mi, jak się tańczy na dyskotekach, gdzie prawie wszyscy poruszają się tak samo. Wolno, szybko, szybko. A potem tańczyliśmy razem, dopóki nie skończyła się muzyka. Muzyka na piasku i wodzie. Gdy tak tańczyliśmy w ciemnościach na plaży, już wtedy wiedziałam, że trudno będzie coś takiego zapamiętać. Jak każdą ważną rzecz.

W pewnym momencie Borys mnie pocałował, czule, delikatnie. Miał nieśmiałe, miękkie wargi. Podziękował mi za piękny dzień i uroczy wieczór. Miałam ochotę zostać z nim do rana, ale musiałam wracać. Zbliżała się północ. Gdy szliśmy w stronę mojej ulicy, na skraju parku Borys zobaczył drzewo figowe. Bułgarskiego figowca. I w świetle latarni dostrzegł wysoko na gałęzi jedną jedyną figę, bo sezon na te owoce już się kończył.

– *Czakai matko* – powiedział i bez namysłu zaczął się wspinać na drzewo, gałąź po gałęzi. Wyglądał pięknie, taki smukły, silny, wysportowany. – Czuję się jak Tarzan, który zrywa owoce dla swojej dziewczyny – zażartował i zerwał upatrzoną figę. Zręcznie zszedł na dół. Podał mi na otwartej dłoni niewielki owoc o fioletowej skórce. – Szkoda, że na drzewie została tylko jedna. *Smokinja*. Bardzo dojrzała, na pewno słodka. Proszę, zjedz, takiej jeszcze nie jadłaś. Szkoda, że nie mogę dać ci więcej.

– Dziękuję! – Byłam zachwycona. Nigdy w życiu nie jadłam ani „takiej”, ani w ogóle żadnej świeżej figi.

– Trzeba ją przepołować, o tak. I zjeść słodki miąższ, a skórkę zostawić. – Borys pokazał mi, jak to zrobić.

Dałam mu połówkę owocu. Odmawiał, ale w końcu przyjął.

– To drzewo biblijne – zaznaczył z uśmiechem.

Dopiero dużo, dużo później, gdy myślałam o tej niezwykłej scenie, o każdym jej elemencie, dotarł do mnie symboliczny sens. Jedna figa na drzewie to szansa, jedyna możliwość w życiu. Innej nie będzie. Czysty archetypiczny literacki obraz. Figa to symbol seksualności, grzeszny afrodyzjak. Zrywanie figi jest z kolei sennym symbolem prawdziwej miłości, a jej jedzenie to akt seksualny. Czy wszystko się ze sobą łączy i prowadzi nas tam, gdzie mieliśmy dotrzeć? Dlaczego umiemy odczytać sens niektórych wydarzeń dopiero po latach, a czasem nigdy? Jeżeli coś było nam przeznaczone lub nie, to co z naszą wolną wolą? I skąd wiadomo na początku życia, że coś jest nam przeznaczone?

Dobrze zapamiętałam tę chwilę. Borys na drzewie zrywający dla mnie jedyną figę. Wzruszający i zarazem zabawny obraz. Zawsze robiło mi się ciepło koło serca, gdy miałam go przed oczami, nawet

na dzień czarnej beznadziei.

– Wierzysz w Boga? – zapytałam, gdy szliśmy pustymi, ciemnymi uliczkami.

– Nie, ale wiem, że Polacy są katolikami, więc wspomniałem o Biblii, żebyś wiedziała, że trochę się w tym orientuję. U nas jest wiele cerkwi, ale mało wierzących.

Opowiedziałam mu, że na wschodzie Polski jest dużo cerkwi i żyje sporo prawosławnych chrześcijan. W komunistycznej Bułgarii religia była zwalczana i traktowana jak „opium dla mas”. Kolejny naród tresowany według sowieckich reguł. Nie zdążyłam zapytać, skąd Borys zna biblijne opowieści. Na pewno nie z lekcji religii ani ze szkoły. Może od babci lub dziadka? O tyle rzeczy nie zdążyłam go zapytać. Mieliśmy za mało czasu.

Dotarliśmy do drzwi bloku. Długo nie mogliśmy się rozstać. Umówiliśmy się, że będzie na mnie czekać rano przy restauracji, po śniadaniu, o dziesiątej. Jego przyjaciel Christo następnego dnia przed południem miał wracać pociągiem do Sofii. Spędzę więc ten dzień tylko z Borysem. Przepeliła mnie wielka radość, gdy stawałam na palcach i całowałam go kolejny „ostatni” raz na dobranoc.

Rano zobaczyłam Borysa przed restauracją. Czekał na mnie. Poczułam się szczęśliwa. W życiu szczęśliwe są tylko chwile. Ta była kolejna, którą rozpoznałam, przytrzymałam i nazwałam, zanim uciekła niezauważona. Szczęście miało dla mnie teraz jego spojrzenie, jego postać. Wiedziałam to. Czulałam, że jest mi bardzo bliski, jakbym znała go od dawna, chociaż poznałam jego imię dopiero wczoraj. Wybrałam go i zostałam wybrana przez niego. Czy na tym polega miłość? Nie chciałam używać wielkich słów. Wolałam ich nie nadużywać. Los połączył nasze drogi. Byliśmy na siebie otwarci. Miłość jest wynikiem przeznaczenia, nie przypadku.

Ciotki przywitały się z Borysem, potem się rozstaliśmy. Ja z Borysem ruszyłam oczywiście na targ, czyli *pazar*. Witali mnie niektórzy sprzedawcy, od kilku dni byłam ich stałą klientką. Borys uczył mnie bułgarskich nazw ulubionych warzyw i owoców: *grozde* (winogrona), *dinja* (arbuz), *praskowa* (brzoskwinia), *smokinja* (figa), *kajsija* (morela), *domat* (pomidor) i *patladżan* (bakłażan), zwany też *sin domat*, czyli niebieski pomidor. Kupiliśmy dwa kilo *grozde* na cały dzień, dwie *praskowi* i dwie *jabyłki*. Wszystko ułożyłam w mojej pojemnej torbie plażowej, którą niósł Borys.

Po drodze na plażę wstąpiliśmy jeszcze do niewielkiego sklepu spożywczego po michałkę. Zauważyłam, że w Bułgarii nie ma bułek. Sprzedają tu tylko wielkie bochny pszennego chleba, który kroi się potem w grube kromy. Od razu zorientowałam się, że Borys nie rozumie, o co mi chodzi z tą bułką. Gdy wytłumaczyłam mu to jeszcze raz po angielsko-migowemu, roześmiał się i wyjaśnił, że *bułka* po bułgarsku to „panna młoda”, a bułek-pieczynka, które Polacy lubią jeść na śniadanie, rzeczywiście w bułgarskich piekarniach nie ma, za to są baniczki, które je się też na śniadanie.

Właściwie nie pamiętam już dzisiaj, w jakim języku rozmawialiśmy. Ja starałam się mówić po udawanemu bułgarsku z domieszką polsko-rosyjską. W każdym razie używałam bułgarskich wyrazów w nie do końca bułgarskiej składni. Borys mówił po rosyjsku lub bułgarsku z dodatkiem angielskich i polskich słów, których go nauczyłam. Szybko zorientowałam się, że bardzo dużo rozumie, gdy mówię po polsku. O wiele więcej niż ja, gdy opowiadał mi coś po bułgarsku. W szkole byłam zawsze wzrokowcem, dużo gorzej przyswajałam obce słówka ze słuchu. On był w tym znacznie lepszy. Ładnie wymawiał polskie słowa. Na wymiętej, wymęczonej powieści Vonneguta pokazałam mu pułapki polskiej pisowni. Czytałam mu fragmenty tekstu i wyjaśniałam dziwaczne różnice między identycznym fonetycznie „u” otwartym i „ó” zamkniętym, między „ż”, jak żar, a „rz”, jak rzeka. Takie i inne tego typu zagwozдки ortograficzne czyhały na początkującego ucznia-

cudzoziemca, który wstąpił na chybotały pomost wiodący w obszary rozumienia polszczyzny. Najtrudniejsze dla Borysa było rozróżnienie szeleszczącej głoski „sz” od świszczącej „ś”, szumu od świstu. Nie słyszał różnicy. Bawiły go gęgające wesołe dźwięki „ą” i „ę”. A spółgłoski „h” i „ch” uznał za groźne narzędzie znęcania się nad uczniem. Ale rozumienie tekstu ze słuchu zdał u mnie celująco już w krótkim czasie.

Powieści Vonneguta nie skończyłam czytać do końca wakacji, miałam ciekawsze zajęcia. O wiele ciekawsze.

Pływaliśmy, jedliśmy winogrona i gadaliśmy, gadaliśmy godzinami. Mieliliśmy tak mało czasu, żeby dowiedzieć się o sobie jak najwięcej. Przyjechałam z kraju pogrążonego w kryzysie i wielkiej smucie, trzy lata po zniesieniu stanu wojennego. Winogrona były w Polsce drogim rarytasem albo nie było ich wcale. Nie mogłam więc spokojnie patrzeć, jak Borys zjada tylko największe grona, a resztę, średnie i małe, wyrzuca z gałązką. Przekonywałam go, że trzeba zjeść wszystko, do najmniejszego groneczka, nie można nic marnować.

– Tak właśnie je się winogrona w Bułgarii. – Śmiał się i mi tłumaczył. – Wybiera się najlepsze. Jest ich mnóstwo, są tanie i nigdy ich nie zabraknie.

Przypomniała mi się wtedy moja babcia, która przeżyła wojnę, często była głodna i nigdy, przenigdy nie marnowała jedzenia. Nigdy nic nie wyrzucała. Zjadała nawet niesmaczne czy zepsute. Do ostatniego okrucha i kawałeczka. Ja urodziłam się ponad dwie dekady po wojnie, nigdy nie głodowałam, ale uświadomiłam sobie, co jest źródłem mojej reakcji. Brak tego pysznego owocu i oszczędzanie z powodu owego braku.

– Wiesz, dwa lata temu byłem w Warszawie. – Zaskoczył mnie Borys. – Nasza drużyna grała w turnieju siatkarskim. Wygraliśmy wtedy mecz z Polakami. Warszawa była szara, wydawała się nieciekawa. Zapamiętałem tylko charakterystyczny wielki Pałac Kultury w centrum i puste sklepy. Czerwone autobusy i tramwaje. Nie pamiętam, w jakim hotelu mieszkaliśmy. Chciałem zrobić zakupy w domach towarowych przy głównej ulicy. Poszedłem tam, ale nic nie kupiłem. Nie przywiozłem ani sobie, ani siostrze żadnej pamiątki.

– Nawet koszulki z Hofflandu? – wtrąciłam, jednak nie wiedział, o czym mówię.

– Nic ciekawego nie widziałem.

– Nie byłeś na Starówce ani w Łazienkach?

– Byliśmy z drużyną w Polsce tylko dwa dni, potem pojechaliśmy dalej na rozgrywki do Jugosławii.

– Szkoda, że byłeś w Warszawie tak krótko.

– Gdybym ciebie tam spotkał, na pewno bym zapamiętał – powiedział i spojrzał na mnie czule.

– Dlaczego się wtedy nie poznaliśmy, na przykład na ulicy...? – fantazjował. – Zostałbym w Warszawie z tobą.

Borys był nietypowym Bułgarem, bo wyjeżdżał za granicę. I to od paru lat. Mógł to robić jako sportowiec. Trenował w znanym klubie i należał do reprezentacji kraju. Na obozy i turnieje jeździł oczywiście tylko do krajów z naszego obozu. Był wielokrotnie w Jugosławii i Rumunii, raz w Czechosłowacji. Bułgaria również bardzo izolowała obywateli od świata i nikt prywatnie nie mógł opuszczać pilnie strzeżonych granic. Na przykład wyjechać indywidualnie na wakacje do sąsiedniego komunistycznego kraju. Zamknięte granice. Mury, zasieki, zapory. To wtedy było normą – w Bułgarii akceptowaną bardziej niż w buntującej się Polsce. W Bułgarii nikt się nie buntował. Nie istniała tam żadna podziemna opozycja. W tym kraju nigdy nie stacjonowały wojska radzieckie.

Co Borys wiedział o Polsce w 1986 roku? Niewiele. Tylko to, co wszyscy Bułgarzy oglądający wieczorem telewizję i czytający komunistyczne gazety.

– Dlaczego Polacy nie lubią Rosjan? – zapytał mnie, gdy po kąpielii morskiej wygrzewaliśmy się na słońcu, trzymając się za ręce. Wiedział to skądinąd, bo nigdy nie rozmawiał z Polakami. Zauważył, że licznie przyjeżdżają nad Morze Czarne, ale nie miał z nimi kontaktu.

Opowiedziałam mu pokrótce o polsko-rosyjskich stosunkach z ostatniego wieku, o rozbiorach, odzyskaniu niepodległości przez Polskę po stu dwudziestu trzech latach niebytu, o ataku bolszewików w 1920 roku i ponownie o zdradzieckiej napaści w 1939 do spółki z Hitlerem. I przede wszystkim o tak zwanym wyzwoleniu, które było w praktyce okupacją i narzuceniem Polsce komunizmu wbrew woli narodu. Z trudem to do niego docierało, nie znał tych faktów.

– Bułgarzy lubią Rosjan – usłyszałam – bo Rosja wyzwoliła Bułgarię po pięciuset latach strasznej niewoli tureckiej, jest naszym przyjacielem i sojusznikiem.

– Wiesz, w carskiej armii było wielu Polaków siłą wcielanych do wojska w czasie zaborów – powiedziałam. – Wielu też walczyło przeciwko Rosji po stronie tureckiej, bo każdy kraj, który był przeciwko rosyjskiemu zaborcy, stawał się nadzieją polskich emigrantów na niepodległość Polski.

Borys nic nie wiedział na ten temat, ale sojusz polsko-turecki mu się nie spodobał.

Mój ojciec działał w Solidarności, regularnie słuchał Głosu Ameryki i Wolnej Europy. Lubiałam patrzeć, jak siedzi z uchem przy odbiorniku i powoli kręci gałką, by wśród szumów i świstów wyłowić znajomy dżingiel zagłuszanej stacji. Tato przynosił do domu różne ulotki i gazety. Od dawna wiedziałam o Katyniu. Opowiedziałam o tym tragicznym fakcie Borysowi. Był wstrząśnięty. Chyba dopiero wtedy zrozumiał, co się kryje za stereotypowym powiedzeniem, że Polacy nie lubią Rosjan.

Borys wiedział o Polsce jeszcze kilka rzeczy. Po pierwsze, to dziwny komunistyczny kraj, który jest katolicki. To akurat była prawda. Po drugie, papieżem jest Polak. Wszystko się zgadza. Po trzecie, w Polsce był stan wojenny, bo Solidarność chciała obalić ustrój. Takiej opinii akurat się spodziewałam. Po czwarte, w Polsce jest kryzys, bo Polakom nie chce się pracować. Tym razem trudno mi było zachować spokój i cierpliwie wyjaśniać, że to tylko bezczelne kłamstwo władzy. Po piąte, w Polsce jest zimne lato. Sprostowałam, że raczej zimne morze, a lato przede wszystkim krótkie i kapryśne. I po szóste, Polacy całują kobiety w rękę.

– Ja też tak będę robić – oznajmił Borys i od razu pocałował moją dłoń.

Roześmiałam się i natychmiast przestałam się złościć z powodu kłamstw na temat naszej najnowszej historii, które były tyle razy powtarzane, że stały się wiedzą powszechną w odległej Bułgarii i w innych krajach.

Niestety, musiałam ze wstydem przyznać, że szczątkowa wiedza Borysa o Polsce i tak była większa niż moja o jego kraju. Mogłam wymienić tylko jedno znane nazwisko: Todor Żiwkow, dożywotni sekretarz partii, i na tym koniec. Ale Borys mi nie darował:

– Z czym ci się kojarzy Bułgaria? – zapytał.

– Olejek różany, koniak Słoneczny Brzeg – wyliczałam. – Eeee, owoce, pomidory, morze i osiołki. – Bazowałam na osobistym doświadczeniu sprzed kilku lat.

Rozbawiło go to, chociaż osiołki mu się nie spodobały. Z jakichś niejasnych powodów uważał, że to symbol zacofania i biednej przeszłości. Nie rozumiałam tego. Osiołki były przecież zwierzętami gospodarskimi w Bułgarii, popularnymi tak jak u nas na wsi konie czy krowy.

– Ale teraz wiem na pewno, że Bułgaria będzie mi się kojarzyć przede wszystkim z jedną osobą:

z tobą.

W jego oczach zobaczyłam, że ta odpowiedź go zachwyciła i skasowała ogromne braki w mojej wiedzy.

Opowiedziałam mu też o człowieku, o którym nigdy nie słyszał. Na zajęciach z historii sztuki, którą studiowałam, poznałam działalność pary, Bułgara Christo i jego żony, Francuzki Jeanne-Claude. Artyści urodzili się tego samego dnia w 1935 roku. Tworzyli ciekawe prace z gatunku, który nazwano sztuką ziemi, land art. Ich gigantyczne dzieła ingerowały w krajobraz. Opowiedziałam Borysowi o ogromnej pomarańczowej kurtynie w Wielkim Kanionie Kolorado i o głośnym przedsięwzięciu sprzed trzech lat, kiedy to Christo i Jeanne-Claude otoczyli jaskraworóżową tkaniną jedenaście wysp w pobliżu Miami. Świetlisty róż doskonale harmonizował z tropikalną roślinnością malutkich wysepek. Ulotna praca, bo można było ją oglądać tylko dwa tygodnie, stała się jedną z najbardziej niezwykłych i widowiskowych instalacji. Twórcy zyskali popularność. Nie dziwiło mnie, że Borys nic nie wiedział o znanym rodaku, bo Christo uciekł z Bułgarii w latach pięćdziesiątych, więc został automatycznie wykreślony z bułgarskiej historii sztuki i wszystkich encyklopedii. To, co nieopisane, nie istnieje. Borys nie interesował się sztuką współczesną, ale uwielbiał przyrodę. Nie podobał mu się land art. Uznał, że otaczanie wysp tkaniną dla kaprysu i popularności jest idiotyczne i bezużyteczne. Taka sztuka jest sztuczna. Kurtyna w kanionie świetnie to ukazywała, gdy pozostawała zasłonięta.

Wypoczynek na plaży nie sprzyjał poważnym dyskusjom. Wymyślaliśmy więc sobie różne zabawy, na przykład w skojarzenia, co miało zobrazować różnice kulturowe. Obserwowaliśmy ludzi w pobliżu i wybieraliśmy sobie jedną osobę lub rodzinę. Wymyślaliśmy różne opowieści, kim są ci ludzie, jak się nazywają, gdzie pracują, skąd pochodzą, w jakim są wieku, jakie mają marzenia, czy są szczęśliwi, czy są dobrzy, czy źli. Wszystko na podstawie wyglądu, stroju kąpielowego, zachowania i rekwizytów, jakie mieli ze sobą na tej samej scenie, jaką była plaża z morzem w tle. Świetnie się bawiłam z Borysem. Miał wyobraźnię i poczucie humoru.

W pewnym momencie wyjęłam z torby jabłko na podwieczorek i podałam je Borysowi. Popatrzył na mnie z tym szczególnym uśmiechem, który tak lubiłam. Zalśniły białe zęby.

– *Błagodarja*. – Ugryzł jabłko. – Dajesz mi zakazany owoc jak Ewa Adamowi. I co dalej z nami będzie w tym raj? Nie musisz mnie kusić. I tak już przepadłem, od pierwszej chwili, kiedy tylko cię zobaczyłem...

6 Koralki z muszelek

Borys początkowo zamierzał wyjechać z Warny dwa dni po swoim koledze Christo, ale nagle oznajmił, że zostaje. Ze mną. Przedłużył pobyt na kwaterze jeszcze o tydzień, bo osiemnastego września to już na pewno musiał być w Sofii, skąd wyjeżdżał na obóz treningowy. Nie był jednak przygotowany na dziesięciodniowy pobyt nad morzem. Przyjechali z Christo tylko na cztery dni. Zostało mu bardzo mało pieniędzy, a pokój, w którym został sam, kosztował go teraz więcej. Wysłał więc telegram do Christo, żeby przysłał mu szybko pieniądze.

Ucieszyłam się, że zostaje. Nie chciałam się z nim rozstawać. Ani teraz, ani nigdy. Najgorsze były chwile, gdy odprowadzał mnie w nocy przed mój blok. Po wejściu do pokoju wychodziłam jeszcze cicho na balkon niczym Julia do Romea, a on nadal stał na dole i nawet czasem do mnie wchodził, bo balkon znajdował się na parterze. Bałam się, że obudzi ciotkę Halinę. Romantyczny, szalony chłopak. Całkiem mnie oczarował. Zakochałam się po uszy. Pierwszy raz. Żyłam w stanie euforii, kiedy wszystko wydaje się absolutnie naturalne i niezagrożone.

Spotykaliśmy się z Borysem zwykle rano przy restauracji, według planu, który mi zaproponował pierwszego dnia:

– Najpierw zakuska, czyli śniadanie, a potem ja.

Któregoś dnia podczas posiłku opiekunka naszego turnusu ogłosiła, że organizowana jest wycieczka. Można pojechać do mauzoleum Władysława Warneńczyka i obejrzeć rezerwat Kamienny Las. Za dodatkową opłatą.

Ciotki były chętne na tę krótką wycieczkę, ja nie. Lubiałam oglądać ciekawe miejsca, ale chciałam zostać z Borysem, a on przecież nie mógł się z nami wybrać. Nie chciałam się z nim rozstawać nawet na pół dnia. Mieliśmy i tak dla siebie bardzo mało czasu. Borys zmartwił się, że przez niego rezygnuję z atrakcji turystycznych.

– Nie chcę, żebyś nie oglądała Bułgarii – powiedział po polsku.

– Wystarczy, jak mi opiszesz to mauzoleum – odparłam. – To przecież tylko cenotaf.

Władysław III, król Polski i Węgier, stanął na czele antytureckiej krucjaty i w wieku lat dwudziestu poległ pod Warną w bitwie z Turkami. Nigdy nie odnaleziono jego ciała. Pomnik-mauzoleum urządzono w latach trzydziestych w trackim kurhanie, w pobliżu pola bitwy z 1444 roku.

Ciotki pojechały na wycieczkę, ja zostałam z Borysem. Dobrze znanym szlakiem poszliśmy do centrum.

– Może chcesz zobaczyć termy rzymskie? – zapytał.

– Pewnie.

Duży, dobrze zachowany kompleks ruin z czasów, gdy Warną należała do Cesarstwa Rzymskiego i nazywała się Odessos. To najlepiej zachowane łaźnie rzymskie na Półwyspie Bałkańskim. Do dziś przetrwały wysokie na kilkanaście metrów mury i sporo pomieszczeń, fragmenty palestry, komnaty z basenami, gdzie kiedyś płynęła zimna, ciepła i gorąca woda, kamienna szatnia. Trzeba było jednak uruchomić wyobraźnię, by uzupełnić w przestrzeni brakujące kamienie, mozaiki i kolorowe posągi.

Zrobiliśmy na targu zakupy owocowe i pomidorowe, wstąpiliśmy do piekarni po chleb. Spróbowałam kolejnej bułgarskiej ciekawostki, słodkawego gęstego napoju *boza*, wytwarzanego z pszenicy lub prosa.

– Na tradycyjne śniadanie w Bułgarii składa się *banica* i właśnie *boza* – poinformował mnie mój osobisty przewodnik.

Poszliśmy na plażę, tym razem sporo dalej od punktu orientacyjnego, jakim była nadmorska restauracja. Kiedy już ułożyliśmy się na piasku, Borys zaczął oglądać i głaskać moje długie jasne włosy.

– Czy masz imię po babci? – zapytał nieoczekiwanie.

– Nie – zdziwiłam się – żadna z moich babć nie ma na imię Łucja. A co? Brzmi nienowocześnie? Rzeczywiście jest stare. To rzadkie imię, fantazja rodziców. Po prostu im się podobało. Może lubili piosenkarkę o tym imieniu, śpiewała znany przebój, zresztą nie wiem dokładnie. A ty masz imię rosyjskie – stwierdziłam.

– Wcale nie! – zaprzeczył. – Borys to imię protobułgarskie. Tak nazywał się pierwszy bułgarski władca, który wraz z całym krajem przyjął chrzest w 864 albo 865 roku, różnie podają. Na początku dziesiątego wieku został pierwszym bułgarskim świętym prawosławnym. Jego święto przypada drugiego maja, wtedy obchodzi się imieniny Borysa. Rosjanie przejęli to imię, razem z chrześcijaństwem i cyrylicą. Dostałem imię po dziadku ze strony ojca.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałam o bardzo silnej bułgarskiej tradycji, jaką jest nadawanie imion dzieciom.

– Jeżeli rodzi się syn, to otrzymuje imię po dziadku ze strony ojca, a drugi syn po dziadku ze strony matki – tłumaczył mi Borys. – A jeśli urodzi się córka, to jest *krystena na baba*, czyli otrzymuje imię babci ze strony ojca.

– A jeśli imię jest brzydkie albo staroświeckie, albo zwyczajnie nie lubi się teściowej, to co wtedy? – chciałam wiedzieć.

– To przynajmniej powinno mieć taką samą pierwszą literę.

– A jeśli rodzice mimo to wymyślą jakieś inne imię?

– To wtedy jest obraza i niezgoda – powiedział całkiem poważnie.

– A jak ma na imię twój ojciec? – zapytałam natychmiast.

– Cwetan, również po swoim dziadku.

– Czyli twój syn również musi otrzymać takie imię, to już z góry wiadomo, tak? – upewniłam się. Potwierdził, kiwając głową na boki.

– A jak ma na imię mama?

– Weselina.

O! Na chwilę zamilkłam. Nie brzmiało zbyt pięknie, raczej zabawnie, jeśli nie śmiesznie.

– Jak rozumiem, twoja córka również będzie Weseliną – stwierdziłam z przekąsem.

– Albo otrzyma inne imię na wu – dodał.

Nie za bardzo podobał mi się ten zwyczaj. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale raczej wolałabym mieć większą swobodę w wyborze imienia dla dziecka. Odbierałam to jako przymus i presję wywieraną na młodych rodziców.

– A jeżeli rodzice mają dwóch synów, którym rodzą się pierwsze córki, to obie dziewczynki otrzymają takie samo imię jak babcia? – dręczyłam Borysa.

– Prawdopodobnie tak – odparł. – Znam kilka takich przypadków.

– A twoi rodzice się nie buntowali? Podobało im się imię Borys dla syna?

Wtedy opowiedział mi romantyczną historię swoich rodziców:

– Zakochali się w sobie, ale rodzice ojca nie wyrażali zgody na ślub. Uważali, że syn jest za młody,

a kandydatka nieodpowiednia z wielu względów. Uparcie mówili „nie”. Jednak młody kawaler postawił na swoim, nie ugiął się, nie podporządkował woli rodziców i nie zrezygnował z ukochanej dziewczyny. Podjechał pewnego dnia motorem przed jej dom i ją porwał – oczywiście za jej zgodą. Wzięli potajemnie ślub, nie pytając nikogo o zdanie, i przepadli na kilka dni. Wybuchł rodzinny skandal, ale w końcu ich urażeni i wściekli rodzice musieli przełknąć obrazę, zapomnieć o hańbie i zaakceptować nowy stan rzeczy. Gdy się urodziłem, byłem *krysten na djado*^[1], żeby udobruchać zagniewanego dziadka. Co właściwie na dobre załatwiło sprawę. Czytałem, że to imię w języku protobułgarskim oznaczało „wilk” albo „mały”, ale to tylko przypuszczenia.

– Jesteś wysoki. Czy jesteś fizycznie podobny do ojca?

Potwierdził i dodał z cieniem dumy:

– Mój ojciec jest teraz po czterdziestce, ale wygląda bardzo dobrze.

Silna tradycja nadawania imion po przodkach sprawiła, że nikogo w Bułgarii nie dziwią stare imiona, takie jak Stefan, które w Polsce rzadko nadaje się dzieciom.

Ja z kolei zadziwiłam Borysa informacją, że w Polsce codziennie ktoś obchodzi imieniny.

– Jak to? Niemożliwe! Codziennie jest jakieś święto? – nie rozumiał.

Okazało się, że w Bułgarii obchodzi się imieniny, ale tylko wtedy, gdy jest jakieś święto w kalendarzu. Jego matka, Weselina, obchodzi imieniny pierwszego stycznia, w Nowy Rok, jak wielu innych, których imię pochodzi od słowa „weselić się”. Ojciec Cwetan i siostra Wioleta mają imieniny w Niedzielę Palmową, która jest ruchomym świętem i nazywa się w Bułgarii Cwetnica. Wtedy przypadają imieniny wszystkich osób mających „kwiatowe” imiona, bardzo różnorodne, na przykład Rosen, Rosica, Kalina, Lilia.

– Mój przyjaciel Christo, którego poznałaś, obchodzi imieniny dwudziestego piątego grudnia, w Boże Narodzenie.

– Myślałam, że imię Christo znaczy Chrystus. Wydawało mi się to dziwne, podobnie jak imię Jezus w krajach hiszpańskojęzycznych.

– Nie – sprostował Borys – to raczej „namaszczony”.

Ale podobnie jak w Polsce, w Bułgarii również świętuje się imieniny. Borys obchodził urodziny, ten dzień był dla niego ważniejszy. Urodził się w maju.

Zaciekawiło mnie nazwisko patronimiczne, czyli inaczej imię odojcowskie, *prezime*, z końcówką -ew lub -ow. Według tego wzoru, Borys nazywał się Borys Cwetanow Grigorow. Brzmiało to dziwnie, ale znośnie. A co robić, gdy ktoś nazywa się na przykład Bojan Bojanow Bojanow albo Dimityr Dimitrow Dimitrow? Trudno się nie śmiać.

Zdziwiłam się natomiast, że Boże Narodzenie obchodzi się w Bułgarii zawsze dwudziestego piątego grudnia, tak jak u nas, według kalendarza gregoriańskiego, inaczej niż w Cerkwi rosyjskiej.

I tak temat zszedł na tradycje świąteczne w Polsce i Bułgarii.

– W niektórych domach na stole pojawia się nieparzysta liczba potraw. Są skromne i oczywiście postne. Na przykład postne gołąbki z liści winogron, gotowana fasola, *tikwenik*, czyli *banica* z dynią na słodko. Ale najważniejsza jest *pitka*, drożdżowe ciasto w jak najpiękniejszym ozdobnym kształcie. W środku zapieka się monetę. Rodzina zgromadzona przy stole dzieli się *pitką*, a kto znajdzie monetę, tego czeka dobry, bogaty, pomyślny rok.

– Ty kiedyś znalazłaś? – spytałam.

– Zdarzyło mi się, dawno. Ale w ostatnich latach wyjeżdżałam na obozy sportowe i w grudniu nie było mnie w domu. – Zdziwiłam się, że obozy odbywają się podczas świąt.

Święty Mikołaj nazywał się w Bułgarii oczywiście Dziadek Mróz i przynosił prezenty w Nowy Rok. Bardzo lubiłam rozmawiać z Borysem o tradycjach i porównywać zwyczaje w obu krajach. Ale rozmowa o jedzeniu sprawiła, że zgłodnieliśmy. Po kąpieli, gdy wróciliśmy do naszego legowiska, wyjęłam z torby chleb i pomidory, które kupiliśmy na dzisiejszą przekąskę. Pokroiłam chleb w cienkie kromki i ułożyłam na nich plasterki pomidorów, czyli zrobiłam jednoskładnikowe kanapki po polsku. Borys nie mógł się nadziwić, że można tak kroić chleb i pomidory. Nigdy czegoś podobnego nie widział.

– Tak się nie robi – oznajmił. – Chleb powinno się kroić w grube kromki, a pomidory w ćwiartki. Nikt nie kroji pomidorów w plasterki i nie układa na chlebie! Pomidorów nie trzeba oszczędzać, Łucja! Chleb zagryza się pomidorem albo odwrotnie, pomidora chlebem – powtarzał.

– Takie kanapki z pomidorem zawsze jadam w domu, a dodatkowo na pomidorze kładę plasterki cebuli – powiedziałam.

Śmiał się. Nie mogłam pojąć, co w tym śmiesznego. Przypuszczałam, że takich różnic, kulinarnych i innych, jest dużo, dużo więcej. Miałam ochotę je odkrywać.

– Opowiedz mi o swoich ulubionych bułgarskich zwyczajach – poprosiłam.

Zastanowił się przez chwilę i wymienił dwa:

– *Kukeri* i *martenica*. – Te nazwy oczywiście nic mi wtedy nie mówiły. – Słowo *martenica* pochodzi od bułgarskiej nazwy marca: *mart* – wyjaśniał Borys. – To bardzo stary zwyczaj świętowania pierwszego marca, czyli powitania wiosny. Tego dnia i przez kilka następnych znajomi obdarowują się wzajemnie czerwono-białymi włóczkowymi gałgankami w postaci laleczek, pomponików, wstążeczek, bransoletek. Bułgarska nazwa marca to także imię kapryśnej staruszki. Baba Marta jest siostrą Stycznia i Lutego. Ma bardzo zmienny humor, przypominający wiosenną pogodę. Babę Martę trzeba więc obłaskawić, żeby złym humorem nie opóźniła odejścia zimy. Właśnie pierwszego marca Baba Marta postanawia posprzątać swój dom. Gdy zaczyna trzepać kołdry i poduszki, puch opada na ziemię w postaci śniegu. Marteniczki symbolizują budzenie się nowego życia, nadejście wiosny, nadzieję na zdrowie. W domu chronią przed pechem, chorobami. Kolor biały symbolizuje długie życie, a czerwony – zdrowie i siłę. Tego dnia warto nosić kilka marteniczek w kieszeni, żeby obdarować spotkanych przyjaciół. Marteniczki zawsze są podarkiem, nikt nie kupuje ich dla siebie. Ja zawsze zostawiam sobie jedną martenicę, a zwykle każdy otrzymuje kilka. Noszę ją do chwili, aż zobaczę kwitnące drzewo. Taki zwyczaj. Na wiosnę wiele drzew jest udekorowanych biało-czerwonymi ozdobami, bo Bułgarzy zostawiają na nich swoje marteniczki, żeby przekazać im energię i siłę konieczną do wzrostu i wydania owoców.

– Ciekawa tradycja. Podoba mi się.

– A *kukeri* to wielkie włochate kukły karnawałowe – opowiadał. – Tańczą na ulicach magiczne tańce, przeganiają złe moce i zapewniają ludziom dobry rok, pomyślność i szczęście. Wiesz, ta tradycja pochodzi z czasów trackich, bo Trakowie zamieszkiwali tereny dzisiejszej Bułgarii. Kukerzy, tylko mężczyźni, wkładają bogate, ręcznie wykonane kostiumy, szyte z kozich skór włosami na zewnątrz, i drewniane maski o dwóch twarzach, symbolizujących walkę dobra ze złem. Niektóre maski przypominają byki, kozy, barany, koguty. Symbolika i kolory strojów są bardzo bogate. Robi się je z plecionej słomy, wełny, frędzli. Gestom i krokom kukerów towarzyszy dźwięk dzwonek i grzechotek uwiązanych u pasa. Hałas bywa czasem ogłuszający. Obrzęd spełni swoje zadanie, jeśli maska i kostium będą wykonane w tajemnicy. Dlatego stroje przebierańców są tak różnorodne i niepowtarzalne. W Perniku, moim rodzinnym mieście, co roku pod koniec karnawału odbywa się

najślynniejszy kukerski festiwal, zwany Surwa. Barwne, wesole widowisko na ulicach. Bardzo bym chciał, żebyś to kiedyś zobaczyła. Może już za kilka miesięcy? Pernik jest znany z dwóch rzeczy – dodał. – Pierwsza to właśnie ten festiwal, a druga to wielka huta. Tam pracuje mój ojciec.

Na plaży pojawił się sprzedawca drobnych pamiątek. Rozłożył niedaleko mały kramik z koralikami i bransoletkami. Borys nagle wstał, sięgnął po portfel i podszedł do sprzedawcy. Dokładnie oglądał koraliki z muszelek, potem kupił coś i wrócił do mnie. Wręczył mi prezent: koraliki z malutkich różowych muszelek, delikatnych skręconych różków przypominających maleńkie lody.

– Chciałbym ci tyle dać, ale może na początek przynajmniej to, pamiątkę z naszej plaży – powiedział z tym nieśmiałym uśmiechem, który tak lubiłam.

Spojrzałam mu w oczy.

– *Błagodarja*. – Byłam naprawdę wzruszona. Pocałowałam go i założyłam koraliki na szyję.

Wiedziałam, że jestem kompletnie nieodporna na urok Borysa. Podobał mi się najbardziej na świecie. Był wysoki, szczupły, miał muskularną sylwetkę i ładną twarz: prosty nos, pełne usta i piękne ciemnobrązowe oczy, wesole i bystre. No i zawsze rozwichrzone, czarne, falujące włosy. Ale miał coś jeszcze, coś ważniejszego: ujmujący sposób bycia i romantyczny styl. Był szczery i serdeczny. Miły i uprzejmy. Otwarty, spontaniczny i z poczuciem humoru. Dobrze wychowany (opinia ciotek). Borys budził zaufanie. Był rozważny, ale też szalony. Wiedziałam już, że potrafi być czuły i delikatny. Wrażliwy i uważny. Ciągle się śmialiśmy. Kiedy go słuchałam, cała stawałam się uśmiechem. Ciekawił go świat, życie było dla niego przygodą. Był taki młody, a wydawał się o wiele dojrzały ode mnie. Interesował się wieloma rzeczami, ale teraz przede wszystkim mną, co wyrażał w każdej sytuacji w przemiły sposób. Czułam wielką radość z tego powodu. Świetnie się razem bawiliśmy, rozmowa zawsze była naturalna, niewymuszona, chociaż nie mówiliśmy w jednym języku i łatwo było mylić znaczenia słów i gubić sens. Zafascynował mnie. Rozstawaliśmy się w nocy zaledwie na parę godzin, a i tak nie mogłam się doczekać, kiedy znowu go zobaczę. Odnosiłam wrażenie, że znamy się od zawsze. Nigdy wcześniej nie zaznałam takiej bliskości. Przy nim czułam się bezpiecznie. Chciałam z nim siedzieć nad tym morzem do końca świata. Borys sprawiał, że miałam w sobie radość i spokój.

Tego dnia za długo kąpaliśmy się w morzu i groziło mi spóźnienie na kolację. Wtedy wpadł mi do głowy pewien pomysł.

– Chodź ze mną do tej restauracji. Porcje są bardzo duże, na pewno najemy się oboje – zaproponowałam.

Wiedziałam, że bardzo oszczędza każdego lewa, zwłaszcza na jedzeniu. Nigdy nie chciał mi powiedzieć, co sam jadł na kolację.

– Nie wiem, czy tak można. To dla wczasowiczów – opierał się, ale w końcu zaakceptował propozycję, może z ciekawości.

Nikogo nie uprzedziłam, że moja porcja będzie podzielona na dwoje. Nie obawiałam się reakcji ciotek, raczej uwag kelnerów. To w końcu była stołówka dla polskiej grupy.

Kiedy weszliśmy, prawie wszystkie stoliki były już zajęte. Ciotki też już siedziały przy naszym stałym sześciuosobowym stoliku, elegancko ubrane, jak na każdą kolację. Borys zajął krzesło, na którym zwykle siadałam, a ja usiadłam na tym, które zawsze było wolne.

– Dzisiaj zrobimy eksperyment: ja zjem zupę, a Borys drugie danie – poinformowałam ciotki z uśmiechem. Były zaskoczone, ale powstrzymały się od komentarzy. – *Njama problem* – dodałam po

bułgarsku. Nauczyłam się tego od Borysa.

Wczasowicze z Polski rzucali w naszą stronę zaciekawione spojrzenia, a kierowniczką turnusu tylko się do mnie uśmiechnęła, o nic nie pytała.

Kelner przyniósł zupę: krem z pomidorów, i postawił przede mną.

– Jedz – powiedział szybko Borys, widząc, że chcę mu zaproponować zupę. – Jak się podoba wycieczka w okolice Warny? – zapytał ciotkę Wandę po polsku, prawie poprawnie.

Ciocia Wanda zaczęła opowiadać o rezerwacie Kamienny Las.

– Myślałam, że to będzie las, czyli jakieś drzewa, a to po prostu pustynny teren, ani śladu cienia. Tylko pusty obszar usiany skałami, przypominającymi kolumny świątyni albo wysokie pnie drzew, którym ktoś odciął gałęzie i korony. Ciekawe, fantastyczne formy wyrzeźbione przez naturę w miejscu, gdzie kiedyś było morskie dno.

Ciotki były zadowolone z wycieczki, bo urozmaicona, krótka i nie bardzo męcząca. Każda chciała dorzucić coś do wspólnej narracji.

– Poznałyśmy sporo ciekawostek z historii, o Warneńczyku, Turkach, i z geologii, o skałach wapiennych.

– Szkoda, że nie pojechałaś – powiedziała ciocia Halina, patrząc na Borysa.

Jakoś nie żałowałam. Uśmiechnęłam się do niego.

– Tak, najlepszymi rzeźbiarzami są deszcz, wiatr i czas – skomentował.

Gdy kelner przyniósł drugie dania, od razu postawiłam przed Borysem kurczaka z ryżem.

– To bardzo popularna bułgarska potrawa – stwierdził. – Ciągle to jem na stołówce.

Do tego podano sałatkę z bakłażanów i papryki, którą bardzo polubiłam. Borys ze smakiem pochłaniał kurczaka. Ciocia z Piotrkowa zaproponowała mu dokładkę, bo sama nie miała ochoty na kurczaka. A może to była tylko wymówka, którą wymyśliła na poczekaniu? Borys się opierał, ale został pokonany, cztery do jednego. Taki duży, to musi dużo jeść. Nie ma dyskusji. Na deser były kawałki pokrojonego arbuza, którym się podzieliliśmy. Kolacja szczęśliwie, porcjami, w wolnym tempie dobiegła końca.

– Łucja, dziękuję, że mnie zaprosiłaś – szepnął – ale więcej nie namawiaj mnie na te kolacje. Nie chcę sprawiać kłopotu. Nie chcę, żebyś miała jakieś problemy przeze mnie.

Nie miałam żadnych kłopotów. Poza tym, że musiałam zaspokoić ciekawość kilku Polek z naszego turnusu. Mój Bułgar wzbudził powszechne zainteresowanie. To wszystko.

Po kolacji poszłam z ciotkami do domu, żeby się wykapać i przebrać. Borys miał po mnie przyjść za godzinę. Po drodze ciocia Wanda kolejny raz powiedziała do mnie:

– Bardzo mi się podoba twój chłopak.

Uwielbiałam tę jej bezpośredniość.

„Mój chłopak”, powtórzyłam w myślach. „Właśnie tak”.

Wzięłam szybki prysznic, zalewając całą łazienkę, i już w pokoju zaczęłam suszyć włosy. Wtedy wszedł Borys i od razu zaoferował pomoc. Miał na sobie „strój wieczorowy”, długie spodnie z szarego materiału i granatową bluzę z długim rękawem. Wyglądał bardzo ładnie. Zapamiętałam na zawsze kolejny obrazek: on w szarych spodniach suszy moje długie, mokre włosy. Pochyliła się nade mną. Delikatnie rozdziela pasma, rozczesuje, układa. Ciotka Halina obserwowała to spod oka, nie komentowała.

Potem poszłam na chwilę do pokoju cioci Wandy. Borys wszedł tam za mną. Zobaczyliśmy, jak ciocie z Piotrkowa liczą zarobione lewy. Plażowy handel detaliczny się opłacał. Na stoliku leżał gruby

plik banknotów. Oczy Borysa zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

– Usiądźcie – poprosiły ciocie i podsunęły nam ciastka.

Widziałam, że widok tyłu pieniędzy ułożonych w stos oszołomił Borysa. Wcałe tego nie ukrywał.

– Nigdy w życiu nie widziałem takiej ilości gotówki – powiedział do mnie po wyjściu z mieszkania.

– Ja też nie – przyznałam szczerze.

Zaśmialiśmy się oboje.

– Masz ciekawe ciotki – spuentował.

Też byłam tego zdania. I wtedy opowiedziałam mu zabawną scenkę. Dwa dni wcześniej przyłapałam ciotkę Halinę na przymierzaniu mojej sukienki w groszki. Szamotała się i wiła przed lustrem w drzwiach szafy jak gruby wąż, który nie może zrzucić ciasnej skóry. Mogłam do woli podziwiać jej wyeksponowany wielki tyłek w białych bawełnianych majtkach. Górna połowa ciała utknęła w za wąskiej i o parę rozmiarów za małej sukience. Nie miałam pojęcia, co ciotce strzeliło do głowy, żeby wkładać moje ubrania, w dodatku bez pozwolenia. Jednak widok był tak komiczny, że musiałam się roześmiać, a nie zezłościć. Zdobyłam się tylko na kąśliwe:

– Co ciocia wyprawia z moją sukienką?

Ciotka Halina, gdy wreszcie udało jej się uwolnić z pułapki, stała się czerwiejsza od najdojrzałych pomidorów na warneńskim bazarze.

– Chciałam tylko przymierzyć – powiedziała obrażona.

Cowieczorny spacer z Borysem. Lubiliśmy godzinami chodzić po Warnie, a zwłaszcza po długim parku ciągnącym się wzdłuż morza. Mieliśmy swoje ulubione zakątki i ławeczki. Zawsze też przychodziliśmy na pustą o tej porze plażę, żeby posiedzieć i popatrzeć na czarną wodę i niebo pełne gwiazd aż po horyzont. Romantyczne zachody słońca, znane z wakacji nad Bałtykiem, tutaj nie były tak malarsko widowiskowe. Słońce spokojnie zachodziło za miastem, daleko od morza, za drzewami i budynkami, nie tonęło powoli w wodzie, zmieniając na pożegnanie odcienie złota i purpury. Zachodziło też wcześniej niż w Polsce. Zmrok zapadał szybciej i jakoś bardziej gwałtownie. A mrok nad morzem był cichy, głęboki, aksamitny, ciepły. Rozświetlał go tylko księżyc i kolorowe światełka odległego portu.

Tego wieczoru usiedliśmy w jednym z wiklinowych koszy i patrzyliśmy na spokojną czerń falującej wody i świetlistą, bladożółtą tarczę księżyca w pełni. Na brzegu było wyjątkowo jasno. Kosze rzucały ukośne cienie na piasek, który wydawał się matowo srebrny. Trzymaliśmy się za ręce i milczeliśmy. Lubiłam tak spędzać czas. Nagle poczułam, że ta chwila jest cudowna, niepowtarzalna, wyjątkowa, chociaż nic wyjątkowego się nie zdarzyło. Że tę chwilę zapamiętam na zawsze... Byłam szczęśliwa. I równie nagle pojawił się kłujący żal, że za kilka dni się rozstaniemy, że ta chwila stanie się jedynie pięknym wspomnieniem. Och, jak bardzo wtedy chciałam zatrzymać czas.

Wkrótce nie będę mogła spacerować z Borysem, rozmawiać z nim ani siedzieć tak jak teraz, zwyczajnie, w milczeniu, które było tak naturalne w takiej chwili. Żal rozszerzał się niczym rtęć, przesunął wyżej, aż ścisnął mnie za gardło i poczułam, że nie zdołam powstrzymać łez. Popłynęły. Borys spojrział na mnie i delikatnie starł jedną palcem, drugą ustami. Pod powiekami cisnęły się jednak kolejne.

– Co się stało? – zapytał.

– Mam wielkie szczęście i wielkiego pecha – wydukałam po chwili. – Wielkie szczęście, że się spotkaliśmy i teraz siedzimy tu, trzymając się za ręce. A wielki pech, że mieszkamy daleko od siebie,

w różnych krajach, z których trudno wyjechać. Że za kilka dni musimy się rozstać i nie wiadomo, czy kiedykolwiek się jeszcze zobaczymy. Może nigdy? – mówiłam, szlochając.

Borys objął mnie i głaskał po włosach. Długo całował moją twarz delikatnymi drobnymi pocałunkami. W pewnym momencie wstał, a potem ukląkł przede mną na piasku.

– *Obiczam te*^[2] – powiedział po prostu. – Wiedziałem to od razu, kiedy tylko cię zobaczyłem. Od początku, od pierwszej chwili. Musiałem cię wtedy szukać. I znalazłem! Jesteś dziewczyną z moich marzeń. Nigdy wcześniej nie czułem nic podobnego. Ty jesteś moją miłością. Słyszałem o miłości od pierwszego wejrzenia, ale nie wierzyłem, że coś takiego zdarza się naprawdę. Tak bywa w filmach, bajkach i powieściach, ale nie w życiu... Ale już pierwszego dnia powiedziałem do Christo, że jestem zakochany i muszę tu zostać. On może to potwierdzić. Od razu zrozumiałem, że jesteś tą jedyną dziewczyną dla mnie. Jedynym człowiekiem, z którym chcę być. Nie sądziłem, że wystarczy chwila, by wiedzieć, że to właśnie ty, że na ciebie czekałem. Tak bardzo do siebie pasujemy. Chciałem ci to powiedzieć już wcześniej, ale pomyślałem, że powinnaś poznać mnie trochę lepiej, żeby wiedzieć, że to prawda. Miałem też nadzieję, że i ty mnie pokochasz. – Na chwilę zamilkł i patrzył na mnie błyszczącymi oczami. – Jesteś taka piękna, moja ukochana – szepnął. – W tym świetle wyglądasz jak syrena. Moja syrena z morza. Dziękuję losowi, że postawił cię na mojej drodze.

Łzy przestały płynąć.

– Ja też cię kocham – wyznałam szeptem.

Długo jeszcze rozmawialiśmy o tym, co każde z nas czuło przez ostatnie dni. Pierwszy raz tak otwarcie mówiliśmy o swoich uczuciach. Był wzruszony moimi słowami, nadal klęczał przede mną i całował moje dłonie. Srebrny chłopak na srebrnej plaży. Romantyczny, uroczy, taki kochany. I mój. Przydarzyło nam się coś cudownego. Szczęśliwa odwzajemniona miłość. Pierwsza miłość. Powinowactwo dusz? Psychiczna więź? Najszczęśliwsze porozumienie? Jak inaczej wyjaśnić tę całkowitą pewność, wszechogarniającą świadomość? To nie jest wakacyjny romans. Czuliśmy to oboje. Zakochałam się w Borysie. Zakochałam się w Bułgarii.

Borys otoczył mnie ramionami i mocno przytulił. Wtuliłam twarz w jego szyję. Objęłam go i zsunęłam się na piasek. Teraz klęczeliśmy oboje. Całowaliśmy się zachłannie, chcieliśmy być jak najbliżej siebie, skóra przy skórze. Nie wątpiłam ani przez moment, że mnie pokochał. Czułam to. Kochałam smak jego warg, nieśmiały uśmiech, wyraz uniesienia na twarzy, gdy mnie dotykał, wesołe spojrzenie. Lubiłam jego głos i ramiona. Poznaliśmy razem jeszcze jeden język, który nie wymaga żadnego tłumaczenia, uniwersalny język pragnienia. Zatraciliśmy się w pocałunkach. Płonęłam, leżąc na chłodnym piasku. Nieśmiało poznawaliśmy swoje ciała, które tak zachłannie oglądaliśmy w słońcu i w wodzie. Drżałam, ale nie czułam zimna. Obejmowałam mocno plecy Borysa i chciałam tak trwać zawsze. Niech ta noc nigdy się nie skończy. Serce waliło mi jak szalone. Czułam, że serce Borysa bije w podobnym rytmie. Z emocji paliła mnie twarz, usta miałam spuchnięte od pocałunków. Popatrzyłam Borysowi w oczy, w mroku wydawały się czarne. Lśniły zachwytem. Szczęście miało dla mnie właśnie taką twarz. Uśmiechało się i powtarzało, że mnie kocha.

– Chcę cię zapamiętać taką jak w tej chwili – szepnął. – Z promieniami księżycy we włosach.

7 Srebrny łańcuszek

Następnego dnia znowu spotkaliśmy się po śniadaniu. I znowu udaliśmy się na pazar po porcję witamin, a potem nad morze. Gdy szliśmy alejkami, trzymając się za ręce, ludzie zwracali na nas uwagę, oglądali się za nami. Rzucaliśmy się w oczy. Wyróżnialiśmy się nie tylko wzrostem. Byliśmy młodzi i szczęśliwi. Zakochani. Promienieliśmy szczęściem. Tak sobie to tłumaczyłam.

Zapowiadał się cudowny dzień. Na pozór nic się nie zmieniło, tylko Borys jeszcze częściej mnie całował, głaskał po włosach, cały czas trzymał za rękę albo obejmował. Czułam się kochana, doceniana i byłam wdzięczna za miłość, którą mi okazywał. Chciałam mu opowiedzieć o sobie jak najwięcej. O swoim dzieciństwie, o rodzinie, koleżankach, studiach, które mi się bardzo podobały. O życiu w Polsce. I o kończących się wakacjach. Chciałam się dowiedzieć wszystkiego o jego życiu. O nim. Jak najlepiej wykorzystać nasz wspólny za krótki czas, który ciągle przyspieszał.

– Czy znasz jakieś polskie ludowe piosenki? – zapytał mnie Borys, kiedy oboje staliśmy popas w morzu. Zaskoczył mnie.

– Ludowe? – zdziwiłam się. – Nie za bardzo. Może raczej biesiadne. *Szła dziewczeczka do laseczka* zna każdy.

– Zaśpiewaj – poprosił.

– Nie! Nawet dla ciebie.

– Łucja, chociaż zwrotkę... – I znowu ten uśmiech.

Przełamalam się, żeby spełnić jego prośbę. Zawsze byłam nieśmiała i śpiewanie solo kojarzyło mi się z czymś tak przyjemnym jak wizyta u dentysty. Wykonałam półgłosem przyspiewkę, stojąc w wodzie i rozglądając się czujnie na boki, czy nie wzbudzam sensacji, ale chyba nikt nie słyszał. Borys był zadowolony.

– Przetłumacz. O czym to? – Chyba mu się spodobało, bo poprosił o jeszcze jedną piosenkę.

Nie musiał mnie długo namawiać, chociaż mój repertuar ludowy był przerażająco ubogi. Wykonałam półszepcetem, trochę w stylu Magdy Umer, piosenkę *Hej, sokoly*, przyspieszając drugą zwrotkę, żeby prędzej mieć za sobą ten wodny występ.

– A to o czym jest? – chciał wiedzieć.

– A jak myślisz?

– To chyba piosenka kibiców futbolu dopingujących drużynę piłkarską, która gra przeciwko Ukrainie – stwierdził. – „Hej, hej!” to jest doping.

Roześmiałam się.

– To piosenka o miłości i tęsknocie – wyjaśniłam. – A dlaczego na Ukrainie? Za długo by wyjaśniać.

– U nas piosenki i tańce ludowe są bardzo popularne – powiedział. – Śpiewa się je i tańczy przy wielu okazjach i podczas świąt. Nie tylko na wsi.

Byłam wtedy zafascynowana muzyką rockową, zwłaszcza alternatywną. Słuchałam punk rocka i muzyki nowofalowej, której nie grano w radiu. Od trzech lat jeździłam na festiwal rockowy do Jarocina, który odbywał się przez kilka dni w środku lata, na przełomie lipca i sierpnia. Jarocin, magiczna nazwa. Słuchałam muzyki nagrywanej na kasety magnetofonowe podczas koncertów lub z jednej audycji radiowej w Trójce „Cały ten rock”, w której Marek Wiernik prezentował płyty najśłynniejszych grup punkowych.

– Do Jarocina zjeżdża pociągami z całej Polski ponad dwadzieścia tysięcy ludzi. Wszyscy mieszkają na ogromnym polu namiotowym za miastem – opowiadałam Borysowi.

Mówiłam o dniach wypełnionych muzyką i koncertach trwających do późna w noc, kiedy można obserwować na niebie całą drogę, jaką pokonuje Wielki Wóz. O tańcach i wspólnej zabawie tysięcy ludzi. O różnych subkulturach młodzieżowych. O barwnych, pomysłowych strojach i ciekawych fryzurach, które mają wyrażać niebanalną osobowość na przekór codziennej szarzyźnie. O ciekawych nurtach w muzyce alternatywnej. O życzliwych mieszkańcach miasteczka, którzy częstują przybyszy, czym tylko mogą: owocami z własnego sadu, wodą, zupą.

Wszystko to było nowe dla Borysa. Słuchał z zainteresowaniem. Żałowałam, że nie mam kaset z nagraniami dla zilustrowania opowieści. W Bułgarii też rock był modny, ale nie mieli festiwalu muzyki młodzieżowej. Nie znali muzyki alternatywnej, niezależnej. U nich muzyka rozrywkowa to wykonawcy śpiewający w telewizji, w stylu i oprawie przypominającej występy piosenkarzy z festiwali sopockich. Rockowych zespołów było niewiele. To mnie zaskoczyło. Borys wspominał mi o zespole Signal. Niestety, nigdy nie słyszałam ani nazwy, ani żadnych piosenek tej grupy. On nigdy nie słyszał o Jarocinie, największym festiwalu rockowym w obozie tak zwanej demokracji ludowej.

Czekałam na ten coroczny wyjazd do Jarocina, tak jak się czeka na wymarzony prezent albo pierwszą gwiazdkę. To było święto wolności, kontrolowanej wolności, a na pewno święto młodości i muzyki. Fenomen tego czasu.

– Na festiwalu w Jarocinie można zobaczyć kilkadziesiąt zespołów grających na dwóch scenach, w amfiteatrze i na stadionie, posłuchać niezależnych grup, które nie miały nagrań studyjnych i nie pojawiały się w mediach – opowiadałam. – W tym roku znowu wybrano dziesięciu laureatów. Wygrały między innymi dwie punkowe kapele Formacja Brudny Widelec i Karcer, a poza tym Fort BS, Kobranocka, One Million Bulgarians i Sztywny Pal Azji. – Utwór tego ostatniego zespołu *Nie wolno wznosić się za wysoko* mogłam od razu zaśpiewać Borysowi.

Próbowałam mu przetłumaczyć śmieszne nazwy grup, ale ciężko mi szło, bo jak wytłumaczyć komuś, kto nie zna Trylogii, na czym polega żartobliwa fraza „sztywny pal Azji”. O nazwach mogłabym mu długo opowiadać, ale o ile tłumaczenie nazw Siekiera, Dezerter czy Piersi było proste, to inne sprawiały mi kłopoty. Mój tata pracował w przedsiębiorstwie Kablobeton. Tę nazwę uważałam za idealną dla kapeli punkowej. Aż dziwne, że nikt jej nie przejął, w każdym razie nic o tym nie słyszałam w tamtym czasie. Jak przetłumaczyć to słowo, żeby oddać specyficzny, głęboki podtekst i zabawną wieloznaczność? Nie byłam zadowolona ze swoich translatorskich umiejętności.

Tak jak sądziłam, Borys bardzo zainteresował się nazwą rzeszowskiego zespołu Milion Bułgarów.

– Dlaczego Bułgarów? – zapytał.

– Nie wiem, może muzycy byli na wakacjach w Bułgarii i im się podobało.

– Ale dlaczego milion?

– Żeby było dziwacznie i niejednoznacznie. I oczywiście niezrozumiale – wymądrzałam się. – Żeby ludzie się zastanawiali, dlaczego taka nazwa, a nie inna, i ją zapamiętali. Im dziwniej, tym lepiej. Na przykład nazwa Gwardia Szwajcarska nie brzmi rockowo, ale nikomu nie kojarzy się negatywnie, jak choćby Milion Niemców czy Milion Ruskich, zresztą tej ostatniej nazwy nie przepuściłaby cenzura w Polsce. Wiesz, jest taki punkowy zespół Moskwa, również laureat festiwalu, ale sprzed dwóch lat. W jednej stacji radiowej można było usłyszeć ich utwór *Stań i walcz*, ale występowali jako M-kwa, czyli Emkwa. Nazwa „Moskwa” wydała się cenzorom nieakceptowalna w masowym rozpowszechnianiu, bo podejrzewali prześmiewczy, niecenzuralny antyradziecki podtekst.

Borysowi trudno było to pojąć.

– I oni mogą występować, grać?

– Tylko w niektórych miejscach. Te zespoły można czasami zobaczyć na koncertach w klubach studenckich albo na festiwalach muzyki alternatywnej, choćby w Warszawie na Róbrege, który lubię. Ale Jarocin to najważniejsza impreza – dodałam.

Po przerwie na pływanie opowiedziałam Borysowi jeszcze o tym, co mi się przydarzyło miesiąc temu:

– Tego lata, na początku sierpnia, pojechałam na festiwal do Jarocina z Elą, koleżanką z liceum. Podczas pobytu ukradziono nam z namiotu śpiwory. Nie wzięłyśmy ich na koncerty. Na szczęście lato było bardzo ciepłe i miałyśmy koc. Poza tym przykrym epizodem życie na prowizorycznym polu namiotowym, wielkim jak lotnisko, było fajną przygodą. Pamiętam, że w ubiegłym roku wielką sensacją, obiektem żartów, a dla wielu frustracji, stały się zbiorowe toalety, najprostsze szeregowe sławojki, z bocznymi ściankami, ale bez drzwi. Chyba w pośpiechu lub z niedbalstwa albo z braku drewna, które ktoś ukradł, nie zdążyli ich zamontować. A może był to prymitywny żarcik projektanta sanitariatów? Albo zrealizowana w praktyce perwersyjna fantazja podglądacza? Opinie były różne. W każdym razie musiałyśmy chodzić do toalety zawsze w duecie i z dużym ręcznikiem jako zasłonką. Nie było to komfortowe, ale wtedy, w wakacyjnej atmosferze, w muzycznym szaleństwie, starałyśmy się nie zwracać uwagi na absurdalne, drobne niedogodności. – Zaśmiałam się. – Jak widać, chodzenie do toalety z asystentką lub w roli asystentki, i plażowym ręcznikiem w charakterze przenośnej podręcznej zasłony, nie może zostać zapomniane.

Bardzo go rozśmieszyła ta historyjka. Spojrzał na mnie i zadał mi zabawne pytanie:

– Czy polskie punki całują w rękę?

– Zdarzyło mi się takich spotkać – odparłam ze śmiechem.

Podczas tego pobytu w Bułgarii zapamiętałam tylko jedną bułgarską piosenkę. Już wtedy przebój sprzed lat. Śpiewał go piosenkarz, który kojarzył mi się z Jackiem Lechem albo Jerzym Połomskim. To sentymentalna piosenka o miłości do Julii, która wyjechała, gdy skończyło się lato; tęskniło za nią serce chłopaka i szumiące morze. „Dzulija...”, śpiewał Emił Dimitrow. Często grali to w radiu i zawsze wtedy robiło mi się smutno. Prawdziwy wyciskacz łez. Byłam poniekąd tą Julią, bo też miałam wkrótce stąd wyjechać, chociaż to Borys musiał pierwszy opuścić Warnę i mnie. Odjechać ode mnie.

Gdy kolejny raz wyszliśmy z wody, bo zawsze kapaliśmy się w morzu razem, poczułam, że rośnie mi z boku na brodzie „wulkan”. Okropna pęczniejąca krostka. Właśnie teraz! Tutaj. W takie doskonale popołudnie. Wtedy coś podobnego mogło skutecznie popsuć mi humor. Zaczęłam dotykać brody, badać to palcami, zasłaniać.

Borys zauważył moje dziwne, maskujące ruchy i zapytał:

– Co robisz?

Niechętnie wyjaśniłam i dodałam żartem:

– Teraz nie będę ci się podobać. Z taką brzydką krostką.

Jego poważna odpowiedź mnie zaskoczyła:

– Kocham cię i będziesz mi się podobać zawsze! Jakie to ma znaczenie, czy coś się zrobiło na skórze, czy nie. Masz piękne serce i takie czyste oczy – powiedział to po polsku. – Kocham cię, bo to jesteś ty. I nieważne, jak wyglądasz.

Co można odpowiedzieć na tyle pięknych słów? Taki właśnie był Borys, takiego go

zapamiętałam. To, co sprawia, że ktoś cię kocha, zależy od tego, co w sobie masz. Ale skąd mogłam wtedy wiedzieć, co to jest?

Kiedy odprowadzał mnie na kolację, zaproponował, żebyśmy następnego dnia, dla odmiany, pojechali na wycieczkę do pobliskiej miejscowości.

– Bałczik jest mały, ma ładną plażę, nie tak zatłoczoną jak warneńska – powiedział. – Jest tam dużo spokojniej. Chcesz pojechać?

Ucieszyłam się, że zobaczę nowe miejsce.

– Pewnie, że chcę!

Ciotki nie robiły mi żadnych trudności.

Po śniadaniu poszliśmy na przystanek, w autobusie u konduktora kupiliśmy bilety i ruszyliśmy na północ, wzdłuż wybrzeża. Z ciekawością patrzyłam na mijane krajobrazy, w końcu pierwszy raz wyjeżdżałam poza Warnę. Park Nadmorski ciągnął się kilometrami, gdzieś tam pomiędzy pniami drzew pojawiało się morze. Po kilkunastu kilometrach mijaliśmy inne nadmorskie kurorty znane mi tylko z nazwy: Drużba, Złote Piaski, Ałbena.

W autobusie moją uwagę zwróciło młode małżeństwo z dzieckiem, które zajęło dwa miejsca naprzeciwko nas – siedzieli tyłem do kierunku jazdy. Kobieta trzymała na kolanach śliczną kilkuletnią dziewczynkę z czarnymi włosami związanymi w kucyki. Patrzyłam na nich urzeczona, wydali mi się piękni. Przez głowę przemknęło pragnienie: chciałabym tak podróżować z Borysem za kilka lat. Znowu ogarnął mnie znany już radosny spokój. Borys chyba myślał o czymś podobnym, bo ścisnął moją rękę i patrzył to na mnie, to na naszych sąsiadów. Uśmiechaliśmy się do siebie. Kobieta zapytała o coś Borysa. Odpowiedział. I rozpoczęli pogawędkę. Niewiele rozumiałam z tej radosnej wymiany zdań. I nie czułam się z tym dobrze. W tym momencie nie lubiłam tego efektu obcości, odizolowania w języku. Dopiero na końcu padło znajome słowo: „Polska”, okraszone uśmiechem. Wysiedliśmy w Bałcziku.

– Podobała mi się ta rodzina w autobusie – powiedziałam do Borysa. – Wyglądali na szczęśliwych. O czym rozmawialiście?

– Mówili, że jesteście ładną parą – odparł. – Pytali, jak długo się znamy. – A potem zadał mi nieoczekiwane pytanie: – Czy umiesz coś zrobić w kuchni?

Parsknęłam śmiechem.

– Tak. Zmywać! Eee, prawdę mówiąc, nie umiem gotować, jeśli o to ci chodzi. Potrafię przygotować jajecznicę i ugotować kilka zup, ale poza tym jestem nieszczególnie gotująca... Nie interesowałam się tym, jak dotąd. A co? Dlaczego pytasz? – zaciekawiałam się.

Uśmiechnął się.

– Mam swoje powody.

Spacerowaliśmy po miasteczku. Rzeczywiście było tu pusto, cicho i spokojnie. Zobaczyliśmy niewielką cerkiewkę, do której wchodziło się po schodach. Drzwi były otwarte zapraszająco. Weszliśmy. Przed ikonostasem paliły się świece: w małych lichtarzykach – za żywych, w pojemnikach z piaskiem – za zmarłych. Kupiłam jedną świecę, zapaliłam i włożyłam do lichtarzyka. Z podziękowaniem i prośbą. Borys stanął obok i wziął mnie za rękę. Staliśmy razem przed ołtarzem. Borys spojrzał mi głęboko w oczy, był bardzo poważny.

– Wiesz, że nie jestem wierzący, ale chciałbym ci powiedzieć, tutaj, w cerkwi, że cię Kocham i zawsze będę kochać. Będę na ciebie czekał i chciałbym, żebyś ty czekała na mnie.

Byłam tak wzruszona, że z trudem wykrztusiłam podobne wyznanie. Po chwili wyszliśmy bez

słowa.

Borys nie przestawał mnie zaskakiwać. Nie spodziewałam się, że zrobi coś podobnego. Że złoży mi taką obietnicę, w takim miejscu, w taki sposób. Sądziłam, że jestem osobą uczuciową i często reaguję zbyt emocjonalnie, ale w porównaniu z Borysem byłam powściągliwa i stonowana. Wiele mi brakowało do temperamentu południowca o gorącym sercu. Borys przejawiał wybitny talent do aranżowania romantycznych sytuacji, które mnie zaskakiwały i zachwycaly jednocześnie. Twierdził, że to ja jestem jego natchnieniem. Działał spontanicznie, kierował się nastrojem, urokiem miejsca i chwili. Nie miał żadnego problemu z wyrażaniem uczuć, słowem i gestem, co też mnie oczarowało. Robił to z fantazją i polotem.

Spacerowaliśmy po Bałcziku. Urokliwe miasteczko przytulone do zatoki. Jako Dionisopolis było jedną z najstarszych kolonii greckich na bułgarskim wybrzeżu. Ma kształt amfiteatru położonego na wapiennych skałach, a funkcję sceny pełni morze. Właśnie dzięki obecności tych białych skał pomiędzy domkami o czerwonych dachach Bałczik jest też nazywany Białym Miastem. Borys chciał mi pokazać piękny ogród botaniczny, który otacza dawny pałacyk rumuńskiej królowej Marii, ale był zamknięty. Nie zobaczyłam rzadkich egzotycznych roślin.

Na ładnej naturalnej plaży odpoczywało rzeczywiście niewiele osób. Było gorąco i od razu wskoczyliśmy do morza. Dopłynęłam do końca długiego betonowego pomostu i po drabince weszłam na górę. Borys zaś zawrócił i płynął z powrotem do brzegu. Siedziałam i patrzyłam na niego z przyjemnością. Płynął kraulem, stylowo, lekko, równym rytmem. Miał długie opalone ramiona. Wiedział, że go obserwuję. Dotarł do płytkiej wody, stanął i powoli wyszedł na brzeg. Odwrócił się i mi pomachał. Podszedł do naszych ręczników rozłożonych na piasku i usiadł. Patrzyliśmy na siebie z oddali. Było to przyjemne uczucie. Mój chłopak czeka na mnie na brzegu. Zaraz do niego pójde. Znowu będziemy siedzieć obok siebie i gadać. Albo milczeć. Wstałam i powoli szłam pomostem do brzegu. Krok za krokiem. Zeszłam na piasek. Jeszcze parę metrów i będę przy nim. Usiadłam. Pocałował mnie, długo, namiętnie. Miał słone, zimne usta.

– Wyglądałaś na tym pomoście jak syrena, która wynurzyła się z wody – powiedział. – Czy widziałaś, co się tam działo?

– Nie – zdziwiłam się. – Co się działo? Nie zauważyłam.

– Na pomoście siedziało kilku chłopaków, w różnym wieku – mówił Borys. – Jak wstałaś i szłaś, wszyscy zaczęli wskakiwać do wody jak nakręceni, żeby się popisać, żebyś spojrzała, zwróciła na nich uwagę. Nie widziałaś?

– Nie. Byli tam jacyś ludzie, ale nie przyglądałam się, co robią. Siedzą czy skaczą. Patrzyłam na ciebie – odparłam szczerze.

– A ja patrzyłem na modelkę na wybiegu, z mokrymi długimi włosami – powiedział, uśmiechnął się i dotknął moich włosów. – Moja miłość szła do mnie. Piękny obraz, niezapomniany.

Znowu zaczęliśmy się całować, często nam się to zdarzało na plaży. Sądziłam, że pocałunki w miejscu publicznym są powszechnie akceptowane, podobnie jak w Polsce. Tymczasem podeszła do nas jakaś kobieta i zaczęła szybko, podniesionym tonem wyrzucać z siebie gniewne słowa. Mowa ciała i intonacja wskazywały, że Bułgarka jest wkurzona. Od jakiegoś czasu siedziała w pobliżu w towarzystwie dwojga dzieci w wieku około dziesięciu, dwunastu lat. Kobieta wyładowała na nas złość i odeszła, nie czekając na odpowiedź. Z oburzoną miną usiadła na kocu. Patrzyłam na nią zdziwiona, Borys milczał. Speszył go ten wybuch. Miał niepewną minę.

– O co jej chodziło? – chciałam wiedzieć.

– Nie podoba jej się to, że tak się całujemy – wyjaśnił. – Za bardzo i za długo. A na plaży są dzieci.

– Jasne – pokiwałam głową – siejemy zgorszenie.

– Jesteśmy plażowymi gorszycielami. Zachowujemy się niemoralnie i tak dalej, a to przecież tylko niewinne pocałunki.

– W takim razie nie będziemy się całować – postanowiłam.

– Raczej chodźmy w inne miejsce, jak najdalej od tej obrażonej kobiety – zaproponował, ale nie musieliśmy się przenosić, bo kobieta pierwsza zaczęła zbierać rzeczy i razem z dziećmi, nachmurzona i ponura, opuściła plażę.

– Czy w Bułgarii nie wolno się całować w miejscu publicznym? – zapytałam Borysa.

– Nie istnieje taki zakaz. Ale jak widać, reakcje ludzi są różne. Nie ma się czym przejmować, *njama problem*.

W Warnie były odcinki plaży dla nudystów, w centrum miasta. Na całej plaży można było opalać się topless. Borys zapytał mnie kiedyś, dlaczego nie zdejmuję góry od kostiumu. Nie chciałam, uważałam, że mój biust o wiele ładniej wygląda w kostiumie. Poza tym podobał mi się ten kostium.

Słońce zmierzało ku zachodowi, a my powinniśmy kierować się powoli w stronę Warny. Musiałam zdążyć na kolację o szóstej. Autobusy często jeździły tą trasą, co kilkanaście minut. Poszliśmy na przystanek. Część plastikowej wiaty w środku wyklejona była klepsydrami. Tak początkowo pomyślałam – że to klepsydry. Pojedyncze widywałam wcześniej w Warnie, ale nigdy w takiej liczbie. Zdziwiło mnie, że w tej małej miejscowości ostatnio zmarło aż tyle osób. Gdy jednak zaczęłam czytać te kartki, zorientowałam się, że to rocznicowe wypominki. Każde ze zdjęciem zmarłego, datami urodzin i śmierci, krótkim opisem. Wspomnienie o zmarłym, który nie żyje od trzydziestu, dwudziestu, dziesięciu lat albo od kilku miesięcy.

– To stara bułgarska tradycja wspominania i czczenia zmarłych – wyjaśnił mi Borys. – Kartki wypominkowe wieszają się w różnych miejscach, także na drzewach czy płotach na przystankach.

– Kiedy w Bułgarii obchodzi się Święto Zmarłych? Czy też pierwszego listopada odwiedza się groby? – zapytałam moje niezastąpione chodzące źródło informacji.

Po raz kolejny odpowiedź Borysa mnie zaskoczyła.

– Starsze osoby zawsze otacza się szacunkiem, dba się o pamięć zmarłych przodków. Bułgarzy nie odwiedzają rodzinnych grobów pierwszego listopada, ale obchodzą Święto Zmarłych kilka razy w roku.

– Jak to?

– Zaduszki, po bułgarsku zadusznica, obchodzi się na przykład osiem tygodni przed Wielkanocą, zawsze w sobotę, bo sobota w tradycji bułgarskiej to dzień zmarłych. Tego dnia przygotowuje się koliwo, ugotowane i posłodzone żyto. Częstojesz nim rodzinę i znajomych z prośbą, aby wspomnieli twojego zmarłego krewnego. Odwiedza się w tym dniu groby zmarłych. Zaduszki obchodzi się również w dzień świętego Łazarza, czyli tydzień przed Wielkanocą. W podobny sposób. W niektórych regionach kolejna okazja do wspominania zmarłych to Wniebowstąpienie Pańskie, czyli czterdzieści dni po Wielkanocy. Wtedy obdarowuje się znajomych szklankami, żeby pijąc z nich, wspominali zmarłych osoby, która je podarowała.

– Niezwykły zwyczaj!

– Następna okazja, dla mnie najciekawsza, to Czereśniowa zadusznica. Przypada w czerwcu, w sezonie zbiorów czereśni. Tym razem obdarowuje się przyjaciół i znajomych czereśniami

z podobną intencją: żeby jedząc je, wspominali twoich bliskich zmarłych. Tych świąt jest jeszcze kilka, ale nie wiem, czy dobrze pamiętam, od paru lat rzadko bywam w domu.

Bułgarska tradycja podtrzymywania pamięci o tych, którzy odeszli, wydała mi się piękna, fascynująca i bogatsza niż polski zwyczaj. W przeciwieństwie do wieszania kartek wypominkowych w różnych, czasem dziwnych miejscach.

Wróciliśmy do Warny. Pobiegłam na kolację, którą chciałam zjeść jak najszybciej, żeby znowu spotkać się z Borysem. Czas uciekał. Mieliśmy go coraz mniej. Moje bułgarskie wakacje zbliżały się do końca. Borys miał wyjechać jeszcze wcześniej, już za kilka dni. Chcieliśmy spędzać ze sobą jak najwięcej czasu, rozstawaliśmy się w nocy, coraz później, niemal nad ranem. Wydłużaliśmy ten czas, przeciągaliśmy na swoją stronę, ale nie dał się nagiąć ani oszukać. Płynął nieubłaganie.

Godzinami siedzieliśmy na plaży. Chyba nie byłam jeszcze nigdy tak opalona. Włosy mi zjaśniały, zrobiły mi się naturalne platynowe pasemka. Bardzo podobały się Borysowi. Byłam szczęśliwa. Chciałam zatrzymać ten stan. Na zawsze. I nie wracać do Polski.

Któregoś wieczoru, gdy spacerowaliśmy nad morzem, Borys zdjął z szyi krótki srebrny łańcuszek.
– Nie zapomnij o mnie – powiedział. – Nic więcej nie mam, tylko to. Chciałbym, żebyś go nosiła. To tak, jakbym był przy tobie. Bo będę. Myślami zawsze będę przy tobie. Pamiętaj o tym. – Zapiął łańcuszek na mojej szyi.

Wzruszyłam się. Pocałowałam go, starałam się włożyć w ten pocałunek wszystko, co czułam. Wtuliłam twarz w ulubione miejsce między szyją a ramieniem. Objęłam go ciasno i starałam się nie rozplakać. Nie teraz. Nie w tej chwili. Teraz jestem przecież szczęśliwa. Jeszcze jesteśmy razem. Jeszcze się nie rozstajemy. Nie miałam nic, co mogłabym ofiarować Borysowi na pamiątkę. Kosmyk włosów? To by świadczyło o przedawkowaniu romantycznych lektur. Szkoda, że nie wzięłam rzemykowych bransoletek ani żadnych wisiorków. Kolejny raz żałowałam. Nie widziałam też nic ciekawego w sklepach, co ewentualnie mogłabym kupić dla Borysa. Chciałam, żeby to było coś wyjątkowego dla wyjątkowego człowieka, jakim był, a nie miałam absolutnie nic.

– Dałaś mi najwspanialszy prezent: swoje serce – powiedział. – Nie mogłem dostać nic piękniejszego.

To był cały Borys.

Nie wiem, co robiliśmy ostatniego dnia, gdzie chodziliśmy, o czym rozmawialiśmy, co jedliśmy. Ten dzień jest dla mnie zamazaną, niewyraźną kartą zasnutą niepamięcią. Pamiętam tylko, że prawie do świtu siedzieliśmy na ławeczce w parku. Chcieliśmy się jeszcze sobą nacieszyć. Wypowiadaliśmy wiele słów, najpiękniejszych, najczulszych. Miały starczyć na wiele długich miesięcy. Wypełnić pustkę. Oszukać samotność. Być pozorem niesamotności. Byłam coraz bardziej świadoma zbliżającego się rozstania. Znowu chciałam zatrzymać czas. Nasze wspólne wielkie chwile wcale nie były tak wielkie. Składały się z gestów i słów, których się czepiałam, żeby zatrzymać go przy sobie. Zamykałam oczy i w ciemności dotykałam jego szczupłej twarzy, żeby ją zapamiętać palcami, utrwalić rysy we wnętrzu moich dłoni, kształt czoła, linię brwi, wypukłość kości policzkowych, kształt i miękkość ust, budowę brody, gładkość skóry, kształt nosa. Lekcja geografii twarzy rozpoznawanej dotykiem. Te dziesięć wspólnie spędzonych wakacyjnych dni miało być wszystkim, co los zechciał nam ofiarować. Taka przekorna zabawa w teatrze żywych marionetek. Kaprys losu. Zły humor przeznaczenia, które daje, a potem odbiera.

Dostaliśmy tylko tyle. Aż tyle. Wiele. Za mało.

W środku dnia odprowadzam Borysa do pociągu. Na jego ramieniu wisi mały plecak, w lewej ręce dźwiga czarną torbę podróżną z uszami, a w prawej mocno trzyma moją dłoń. Musimy pokonać prawie pół miasta, by dotrzeć do dworca. Idziemy przez Park Nadmorski, mijamy główne ulice, skrzyżowania i miejsca, które są nam dobrze znane. Tyle razy przechadzaliśmy się tu bez celu, z ciekawości, skręcając to w lewo, to w prawo. Czasami szliśmy za dźwiękiem, czasem za zapachem. Tam kupowaliśmy baniczki, tam wodę, a tam orzeszki. Tam oglądałam pocztówki, za rogiem jedliśmy kiedyś lody. Teraz mamy cel, do którego zmierzamy szybkim, równym krokiem. W linii prostej, prawie bez zakrętów. Borys milczy. Ja też nie mam ochoty na słowa. Ogarnia mnie żal, pączkujący, rosnący. Zimny i głęboki. Niewysłowny smutek nadchodzącego nieuchronnego rozstania.

Czuję, że nie zdążyłam zapytać Borysa o tak wiele rzeczy. Zerkam na niego. Jest smutny i milczący. Nie uśmiecha się. Jest inny niż zazwyczaj. Podchodzimy do kasy. Borys za ostatnie lewy kupuje bilet do Sofii. Pociąg już czeka przy peronie. Warna jest stacją końcową, dalej rozlewa się morze. Zawsze lubiłam krańce, takie ostatnie kolejowe przystanki, skąd można wyruszyć po szynach tylko w drogę powrotną. Wagony pociągu pospiesznego Warna–Sofia są stare. Skład przypomina polskie pociągi podmiejskie, bez przedziałów. W pociągu siedzi niewiele osób. Jest sporo wolnych miejsc. Nie ma dantejskich scen ani walk o miejsca, które pamiętałam ze Świnoujścia czy Kołobrzegu. Tutaj panuje spokój. Melancholia końca lata. Podróż do Sofii potrwa kilka godzin.

Przyglądałam się Borysowi zachłannie, chcę wszystko zapamiętać – jego twarz, jego spojrzenie, całą postać. Ma na sobie długie spodnie z szarego materiału, które nosił zawsze, gdy umawialiśmy się na wieczorne spotkania. Biała koszulka z krótkim rękawkiem wspaniale kontrastuje z jego śniadą cerą i piękną opalenizną. Staram się nie rozplakać. Nie mogę go przecież zatrzymać. Borys patrzy na mnie poważnym wzrokiem, próbuje się uśmiechać.

– Tak ładnie wyglądasz, Łucja – mówi po bułgarsku. – To było piękne lato.

Mam na sobie szeroką spódnicę z Hofflandu, niebieską w białe grochy, którą lubił, i białą bluzkę. Milczę.

– Napisz zaraz, jak wrócisz do Polski. Będę czekał na twój list. Ja też napiszę. Kocham cię, pamiętaj o tym. Zawsze.

Kiwam głową i już nie wiem, który raz przypominam sobie, że ten gest może być dla niego mylący, odwrotnie rozumiany, że mam mówić „tak” albo „dobrze”, a nie kiwać głową. Ta myśl wywołuje lekki uśmiech i kolejne wspomnienia zabawnych, niejasnych gestów.

Żeby rozbawić Borysa, mówię:

– Będę ci machać palcami odwrócona tyłem, tak jak Liza Minnelli w mistrzowskiej scenie pełnej emocji w filmie *Kabaret*. Zawsze chciałam tak zrobić, trafiła się okazja.

Ale Borys się nie uśmiecha. Ostatni uścisk, ostatni szybki pocałunek. Nie puszczę go. Ogarnia mnie lęk, że już go nie zobaczę, tych roześmianych oczu tuż przy mojej twarzy, że nie poczuję ciepła jego rąk. Łzy już płyną. Nie mogę ich powstrzymać. Ramiona opadają. Pociąg powoli, cicho rusza. Borys odwraca się i z hałasem otwiera drzwi, wskakuje do wagonu, odjeżdża. Stoi w drzwiach, wychyla się i macha lewą ręką. Powoli idę po peronie za pociągiem, też macham na pożegnanie. Pociąg oddala się, nabiera prędkości, skręca łukiem w prawo. Sylwetka Borysa staje się coraz mniejsza, w końcu rozplywa się niczym nieudana wodnista akwarela impresjonisty. Z daleka widać jeszcze tylko białą koszulkę i czarne rozwiane włosy. Białe i czarne w kolorze. Pociąg zniknął. Czas minął.

Stoję na peronie, łyżki płyną strumykami po moich policzkach, nic nie widzę. Koniec sceny finałowej. Jestem kiepską bohaterką melodramatu. Nie lubię pożegnań. Dlaczego muszę rozstawać się z człowiekiem, z którym chcę być na zawsze? Siadam na ławce, żeby się uspokoić. Łyżki jak groch kapią na białe grochy spódnicy. Żal trzyma mnie w mocnym uścisku. Nie puszcza.

Kolejne dwa dni były czasem utrwalania w pamięci wydarzeń i rozpamiętywania tego, co nam się przydarzyło. Tego, co było nam dane. Gdy chodziłam po parku, każda ławka, na której kiedykolwiek siadaliśmy, przypominała mi Borysa i rozmowę, która się tam odbyła. W tym zakątku, przy klombie, usiedliśmy, gdy pewnego dnia wracaliśmy z poczty. Borys był zdenerwowany, że Christo nie przysłał mu pieniędzy, o które prosił. Telegram wysłany parę dni wcześniej pozostał bez odpowiedzi. A na tamtej ławce pod drzewami Borys opowiadał mi, że wielokrotnie oglądał polski serial *Czterej pancerni i pies*, który bardzo podobał się w Bułgarii. Zawsze chciał być Jankiem, gdy bawili się z kolegami w załogę czołgu. Jak chyba każdy chłopak w tamtym czasie w podstawówce. Ale nikt nie był podobny do jasnowłosego Janka, ani w klasie, ani na podwórku. A z kolei na tamtym murku przy plaży Borys zastanawiał się, jak to możliwe, że taka wspaniała dziewczyna jak ja mogła pokochać kogoś takiego jak on. Chłopaka, który nic nie ma i nie może mnie nigdzie zaprosić, nawet na kolację. W którymś z tych plażowych koszy całowaliśmy się jak szaleni. A na znanym mi bliżej figowcu zostały tylko gęste liście...

Patrzyłam na Warnę, jakby była opustoszałą sceną, z której zniknęli główni aktorzy, Borys i ja. Zostały dekoracje, ale już nie takie same, straciły żywe słoneczne barwy, zbladły. Wiedziałam, że to miasto zawsze będzie dla mnie ważne. Miałam szczególne powody, by je lubić. Tu zobaczyłam Borysa. Tutaj się poznaliśmy. Tutaj zaczęła się nasza miłość, miłość wzajemna. Ten urokliwy park, szum morza, ciepły piasek i słońce codziennie nam towarzyszyły. Były koniecznym tłem, romantycznym, scenerią doskonałą. Jednak szczęśliwy, beztroski czas okazał się zbyt krótki. Zawsze trwa za krótko. Próbowałam rozpoznać swoje uczucia. Czułam jednocześnie wielką radość, że mogłam przeżyć coś tak pięknego, i smutek, że te chwile już minęły. Już są za mną. Stały się wspomnieniem. On wyjechał, ja zostałam w mieście, które stało się tak przedziwnie puste. Spędziłam z Borysem tylko dziesięć dni, a mimo to miałam wrażenie, że znał mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Nie można mierzyć uczuć wspólnie spędzonym czasem, tylko wagą chwil składających się na ten czas. Byłam pewna, że wkrótce zobaczę Borysa. Kiedyś, gdzieś, może w Polsce. To niemożliwe, żebyśmy się nie spotkali. Absolutnie niemożliwe. Tak wtedy naiwnie myślałam.

Ostatnie dwa dni wakacji spędziłam z ciotkami. Na plaży i na zakupach. Olejek różany dla mamy, koniak Słoneczny Brzeg dla taty – zrobiłam powtórkę z prezentów sprzed kilku lat. Byłam milcząca, niechętnie odpowiadałam na pytania typu:

– Dlaczego on już wyjechał? Czemu nie mógł zostać? – To ciotka Wanda.

– Czy to już koniec znajomości? – Niezawodna ciotka Halina.

I najbardziej irytujące:

– Będzie ślub? – One obie i dwie pozostałe.

Odpowiadałam półsłówkami, ogólnikami i mruknięciami, które miały zniechęcić ciotki do bardziej dociekliwych pytań. Siedziałam z nimi na plaży, ale byłam nieobecna duchem. Wolałam przypominać sobie chwile spędzone z Borysem, nasze zabawy, rozmowy i sytuacje, kiedy się śmialiśmy. Historyjki, które mi opowiadał. Dotyk jego dłoni. To, jak Borys całował mnie w rękę na powitanie i pożegnanie, zginając się wpół. Piękne słowa, które mi mówił. Miałam przed oczami jego uśmiechniętą twarz. Zawsze uśmiechniętą, z wyjątkiem tego ostatniego dnia. Każda chwila spędzona

z nim nabierała teraz wyjątkowego znaczenia, stawała się symboliczną, bardzo ważną. Cały czas myślami byłam przy nim.

Dotykałam srebrnego łańcuszka na szyi i zastanawiałam się, co teraz może robić: czy szykuje się na wyjazd na obóz, czy trenuje, czy pojechał na chwilę do domu, do Pernika. Zdążyłam przyzwyczaić się do jego intensywnej obecności. Teraz odczuwałam dotkliwy brak. Utratę. Pustkę. Tęskniłam.

Ostatniego dnia pożegnałyśmy się serdecznie z naszymi miłymi bułgarskimi gospodarzami. Ciocia Wanda wręczyła im drobne prezenty: krem Nivea, wodę toaletową „Być może” i słodycze dla dziewczynek.

Wracałam z tych wakacji odmieniona wewnątrz, bogatsza. Nie tylko dlatego, że mogłam zetknąć się z inną kulturą, innymi zwyczajami. Każda podróż zmienia człowieka, ubogaca. Borys przybliżył mi Bułgarię – patrzyłam, słuchałam, smakowałam. Dzięki niemu przeżyłam ten krótki wakacyjny pobyt tak intensywnie. Nieoczekiwanie znalazłam skarb, którego nie szukałam: pierwszą miłość. Miłość od pierwszego wejrzenia. Byłam w Warnie bardzo szczęśliwa. Mogłabym opisać to pamiętne lato także innymi słowami: radość, zachwyt, wewnętrzny spokój. Wierzyłam, że nasz związek na odległość przetrwa. Miałam nadzieję, że pokonamy wszelkie przeszkody.

Wiara, nadzieja i miłość towarzyszyły mi, gdy na dworcu w Warnie wsiadałam do pociągu. Za chwilę odjeżdżałam do Polski.

8 Czas listów

Nie pamiętam podróży powrotnej do Warszawy. Żadnych rozmów ani szczegółów pejzażu za oknem. Na dworcu w Warszawie jeszcze raz podziękowałam cioci Wandzie za ten wspólny wyjazd. Na peron przyszedł po mnie tato. Rzuciłam mu się na szyję, pocałowałam szorstki policzek i wypaliłam od razu przy powitaniu:

- Zakochałam się, tato!
- W kim? – zainteresował się natychmiast z błyskiem w oku.
- W Bułgarze – wtrąciła się ciocia Halina, która stała obok. – Taki przystojny, wysoki chłopak, Łucja musiała stawać przy nim na palcach.
- Bardzo nam się wszystkim podobał. Grzeczny, miły i w ogóle – dorzuciła ciocia Wanda, żeby zareklamować Borysa. Na jej dobre słowo zawsze można było liczyć. – Bardzo do siebie pasują.

Tato zrobił kwaśną minę i nie drążył tematu. Miałam wrażenie, że nie jest zachwycony tą rewelacją, a może był po prostu zaskoczony. Nigdy w domu nie zdarzyło mi się ogłosić, że jestem zakochana.

Kolejne dni wypełniały opowieści o Borysie i Bułgarii. Czułam się, jakbym wróciła z bardzo daleka. Powtarzałam swoje relacje z wakacji kilkakrotnie, różnym osobom, wciąż na nowo przeżywając minione chwile. Rodzice poznali wersję skróconą mojej historii miłosnej, za to opis miasta, jedzenia, owoców, a zwłaszcza targu starałam się przekazać najbarwniej, jak umiałam, ze wszelkimi detalami. Ale kilka przyjaciółek poznało szczegółowo historię znajomości z Borysem. Oczekiwały z zainteresowaniem dalszego ciągu. Moja przyjaciółka Jolka, zawsze praktyczna i konkretna, już następnego dnia zapytała:

- A gdzie są zdjęcia? Jeszcze niewywołane?! Na co czekasz? Idź do fotografa, niech szybko je wywoła. I dowiedz się w urzędzie, jak ma wyglądać to zaproszenie. Działaj! – przynaglała mnie.

Jolka i inne koleżanki, którym opowiadałam o moim chłopaku w Bułgarii, były bardzo zaintrygowane całą sytuacją. W czasach, kiedy żyliśmy w sowieckiej klatce, podróże były tak utrudnione, a kontakty zagraniczne ograniczane, miłość cudzoziemca, miłość do cudzoziemca, była czymś niezwykle, prawie niemożliwym, na pewno nieczęstym. To nie powinno się zdarzyć, nie mogło się udać. Zwłaszcza gdy był to cudzoziemiec z „zaprzyjaźnionego kraju” i tego samego, właściwego „obozu”.

Kontynuację znajomości utrudniał przede wszystkim brak telefonu w domu. Telefon był powszechnym obiektem pożądania, ale mieli go nieliczni. Borys nie mógł do mnie zadzwonić. Ja znałam tylko numer telefonu do jego domu w Perniku, ale przecież tam bywał rzadko. Podał mi wprawdzie numer do hotelu dla sportowców, w którym mieszkał w Sofii, jednak ten kontakt nie był ani prosty, ani oczywisty. Musiałam dzwonić do niego z poczty. O internecie i komórkach nikomu się wtedy nawet nie śniło. Jedyнным sposobem komunikacji były więc listy, pisane na papierze, lub telegramy. Byliśmy na nie skazani. Czasem wysyłaliśmy też pocztówki. Niektóre listy ginęły, inne szły dwa tygodnie lub dłużej, chociaż kupowałam droższe znaczki na list lotniczy.

Po powrocie z Bułgarii nadszedł więc dla mnie czas listów. Pisanych i otrzymywanych. Czas pod znakiem kolorowych znaczków. O zapachu umiarkowanie barwnych papeterii. Naznaczony wesołymi bułgarskimi kopertami. Jesień tamtego roku była wypełniona czekaniem na list od Borysa. Od jego listów robiło się weselej w domu i cieplej w sercu, gdy wieczorem wracałam do domu

z uczelni. Fruwały wtedy za mną jasne anioły. Całymi chmurami. Nigdy bym nie przypuszczała, że po latach czas studiów będzie mi się kojarzył nie z nauką, nie z imprezami, lekturami, koncertami, ale właśnie z listami od Borysa. Czekaniem na listy i pisanem listów. Czekaniem i pisanem. Miłością na odległość. Miłością poprzez listy. To nie była papierowa miłość. Ani letnia, ani wakacyjna. To była wielka miłość. Ale czasem wielka miłość i największa namiętność nie wystarczą...

Fotograf wywołał mój czarno-biały film z Bułgarii. Wręczył mi pięć zdjęć. Efekt sesji zdjęciowej z dnia, w którym poznaliśmy swoje imiona. Byłam zawiedziona i rozczarowana. Tylko pięć fotografii?! Dwie wspólne, trzecia z tą straszłą, złowrogą plamą czerni, która mnie pochłonęła... Poprosiłam o zrobienie podwójnych odbitek, żeby wysłać cztery fotografie Borysowi. Przynajmniej tyle. Skromna pamiątka z tamtego lata. Dowód, że to nie był tylko piękny sen, że to naprawdę się zdarzyło, że ta miłość była nam dana. Miała swój czas i konkretne miejsce. I barwną sekwencję zdarzeń wartą zapamiętania i utrwalenia choćby na marnym papierze.

Czas listów stał się czasem rdzawych liści. Zaczął się nowy rok akademicki. Byłam studentką drugiego roku, miałam sporo zajęć na uczelni, od rana do wieczora. Powoli wciągały mnie studia, koncerty rockowe, umiarkowanie ciekawe życie studenckie. Ale przede wszystkim zajmowały myśli o Borysie. Budziłam się rano i myślałam, co on teraz robi. Czy jest na treningu czy w szkole. Gdy jechałam autobusem na uczelnię, długą trasę wypełniały wspomnienia i marzenia, wszystkie związane z Borysem. Otulałam się nimi w jesiennej szarudze. Od razu robiło się cieplej i jaśniej...

Na wykładach o sztuce renesansu czy baroku myślałam, czy on też jest teraz na wykładzie. Na jakim? Czego się uczy? Piłam herbatę w „Kazimierzu” albo w „Harendzie”, a myśli wędrowały do Bułgarii, do Sofii. Zbierałam w parku kasztany i pytałam sama siebie, czy Borys też lubi je zbierać. Czy na jego ulicy rosną kasztanowce? Nie znałam odpowiedzi, nie zapytałam. Takie drobne, najdrobniejsze szczegóły były dla mnie ważne. Pozwoliły budować scenerię. Scenerię dla marzeń. Wieczorami, siedząc w swoim pokoju, zastanawiałam się, co on teraz czyta, czego słucha, z kim się spotyka, czy o mnie myśli. Pierwszy list napisałam po polsku, tak jak prosił. Uważał, że pisany język polski będzie dla niego łatwy do zrozumienia. Na kopercie wykaligrafowałam jego domowy adres w Perniku, bo Borys jeszcze nie wiedział, gdzie będzie mieszkał w Sofii jesienią – czy w hotelu sportowym swojego klubu, czy w akademiku. Nasze pierwsze listy minęły się w drodze. Ten od niego, napisany po rosyjsku, dostałam trzy dni po wysłaniu swojego, szedł ponad tydzień

Moja Ukochana – pisał – cały czas czekam na list od Ciebie. Bardzo tęsknię. Nigdy nie spotkałem i nie spotkam takiej dziewczyny jak ty. Ty jesteś dla mnie jedyna na świecie. Moja wielka miłość. Mam nadzieję, że wkrótce się spotkamy, moja kochana. Zrobię wszystko, żeby przyjechać do Ciebie. A jeśli możesz, przyjedź do mnie do Sofii, czekam na Ciebie. Proszę Cię, przyslij mi zdjęcia, które robiliśmy nad morzem. Jeśli jeszcze ich nie masz, wyślij mi przynajmniej swoje małe zdjęcie, żebym mógł zawsze widzieć Twoją twarz, oczy i włosy, które tak uwielbiam...

Za kilka dni dostałam kolejny list.

Kochana moja!

Dzisiaj dostałem Twój pierwszy list. Bardzo, bardzo się ucieszyłem, gdy go zobaczyłem. W tym momencie poczułem, jak bardzo, jak mocno Cię kocham. Nigdy w moim krótkim życiu nie czułem nic podobnego do żadnej dziewczyny. TY jesteś moją pierwszą i jedyną miłością! Tak bardzo chciałbym, żebyś była przy mnie

codziennie, w każdej chwili. Chciałbym Ci powiedzieć tyle pięknych słów, szkoda, że nie znam lepiej rosyjskiego. Ale najważniejsze jest to: kocham Cię i będę to powtarzać tysiące razy.

Miła moja, gdy piszę te słowa, wydaje mi się, że znowu jesteście razem. Ale wiem, że Ty przeczytasz ten list za tydzień lub za dziesięć dni. W każdym razie kiedyś przeczytasz, że ja bardzo, bardzo Cię kocham i całuję milion razy. Teraz moi koledzy słyszą tylko to: „Kiedy byliśmy z Łucją... Co teraz robi Łucja? Łucja, Łucja...”. Myślę i mówię tylko o Tobie, moja ukochana. Żyję czekaniem – kiedy się znowu zobaczymy.

Bardzo dziękuję za przysłane fotografie. Wiszą już u mnie nad łóżkiem. Łucja, wiesz, jestem teraz szczęśliwym człowiekiem. Każdy człowiek ma swoje szczęście, a moje – to twoja miłość. Jestem najszczęśliwszy pod słońcem, bo mnie kochasz i ja kocham Ciebie... Jest po północy, wszyscy w pokoju już śpią, a ja będę czytał kolejny raz Twój list i jeszcze raz będę oglądał zdjęcia...

Kochałam jego listy. Były pełne czułych, pięknych słów. Borys potrafił pisać o swoich myślach i uczuciach, nie wstydził się ich. Pisał niewiele o wydarzeniach, o studiach, o treningach. Nie było to dla niego ważne, „wszystko normalnie, nic ciekawego” – kwitował to krótko, lakonicznie, więc nie znałam wielu szczegółów. Ja pisałam więcej o codziennym życiu, jak ono wygląda w Warszawie. Gdzie byłam, co robiłam, na jakim wykładzie siedzę. Często pisałam listy na wykładach. Byłam w kinie, na czym. Byłam w teatrze, na czym. Byłam na koncercie, z kim, kto grał, jak to wyglądało i brzmiało. Pisałam, że kocham, tęsknię i czekam, ale on potrafił zapełnić kilka stron słowami tylko o swoich uczuciach. Kiedy napisałam mu, że kupiłam słownik bułgarsko-polski, kolejny list był już po bułgarsku.

Kochana moja!

Nie wytrzymam dłużej bez Ciebie. Nie mogę tak żyć. Dlaczego jesteś tak daleko? To takie niesprawiedliwe. Cały czas myślę o Tobie. Kocham Cię, Łucjo, kocham Cię z całego serca i z całej duszy. Cały czas wspominam te piękne, szczęśliwe dni, kiedy byliśmy razem. Twoje jasne włosy, piękne usta, uśmiech, wszystko... Widzę Cię przed sobą, przypominam sobie, jak uczyłem Cię wymawiać bułgarskie słowa: grozde, molja, dobyr weczner, nasze rozmowy, i w ogóle wszystko, wszystko. Od pierwszej chwili, kiedy Cię zobaczyłem, do odjazdu mojego pociągu, kiedy ostatni raz usłyszałem, że mnie kochasz...

A jeśli chodzi o mój przyjazd do Polski, jutro wybieram się do polskiej ambasady po informacje. Muszę sprawdzić, ile kosztuje bilet. Mam nadzieję, że jeśli nie na Nowy Rok, to na zimowe ferie na pewno przyjadę. A jeśli ty możesz wcześniej, przyjeźdź!

Borys podał mi telefon do hotelu Lewski Spartak, w którym mieszkał. Wielokrotnie dzwoniłam do niego z automatu na pocztę przy Białobrzskiej, bo – ku mojej radości – już przy pierwszej próbie odkryłam, że można z niego dzwonić za granicę bez wrzucania monet. Nic mi to jednak nie dało, bo nigdy nie zdołałam porozmawiać z Borysem. Dyżurna recepcjonistka w hotelu, co prawda, odbierała telefon i słyszałam znajome: аааа?, ale gdy wymieniłam nazwisko Borysa i podałam numer jego pokoju, następowała seria trzasków i prędzej czy później połączenie było przerwane. W końcu uznałam, że to beznadziejna sprawa. Albo Borysa nie było w pokoju, albo recepcjonistka odkładała słuchawkę, gdy uznała, że „czas minął”? Nie wiem. Wiem, że nie udało mi się do niego dodzwonić ani zostawić dla niego żadnej wiadomości. Pozostawały więc listy.

Borys miał ładne, zdecydowane, wyraźne i równe pismo. Mocne i męskie. W charakterystyczny sposób stawiał niektóre litery, na przykład bułgarskie „b” i „t”, z fantazyjnym zawijaszem. Litery były

duże, lekko pochylone w prawo, co świadczyło, że był osobą lubiącą ruch i działanie, to zresztą wiedziałam. Tak pisze człowiek energiczny, entuzjasta, optymista. Pisał bez błędów, bez skreśleń. Formułował myśli w ujmujący sposób. Nie zostawiał dużych marginesów, wypełniał całe strony, oszczędzał miejsce. Często pisał późno w nocy, podawał daty i godzinę, kiedy skończył list – lubiłam to i też tak robiłam. Gdybym go nie znała, mogłabym zabawić się w kryptologa i na podstawie pisma próbować odgadnąć cechy charakteru. Wydawał się uporządkowany, zdyscyplinowany, spokojny, zrównoważony, ale też uczuciowy i spontaniczny. Typ sangwiniczno-melancholijny. Romantyk. Czuły i sentymentalny. W listach widać było, kiedy się zastanawia nad słowem, a kiedy jego myśli płyną szybko i chce je natychmiast przelać na papier. Widać było złość lub niecierpliwość, gdy na przykład długopis odmówił współpracy. Miałam przed oczami obraz, jak gorączkowo szuka innego długopisu i kończy list innym kolorem, na przykład zielonym. Wiedziałam, kiedy pisał w pośpiechu, a kiedy miał więcej czasu i ważył słowa. Kształt liter mówił mi też, że było późno i Borys był zmęczony. Pisał listy krótsze lub dłuższe. Czasem bardzo długie. Na białym papierze listowym A4 lub w mniejszym formacie, w kratkę lub w linię. Listy od niego czytałam wielokrotnie i lubiłam w nich odnajdywać niewidoczne, niepisane znaki między słowami, między wierszami, zdradzające nastrój chwili, w której pisał.

W listach przysyłał swoje czarno-białe zdjęcia, malutkie legitymacyjne lub większe, z wakacji. Zawsze je podpisywał, wszystkie miały wzruszające dedykacje, wyznania, obietnice. Lubiałam też oglądać koperty z kolorowymi nadrukami przedstawiającymi kwiaty albo Park Narodowy Witosza i kolorowe znaczki za 25 stotinek. Borys dotykał tych kopert, starannie kaligrafował mój adres, myślał wtedy o mnie, wiem to.

Z turniejów siatkarskich, na które wyjeżdżał do innych miast, również wysyłał listy. Kochał mnie! A co we mnie kochał? Wiele rzeczy. Na pewno kochał moje włosy. W jednym z listów wspomniałam, że je skróciłam do ramion. Napisał, że jest niezadowolony.

Proszę cię, nie obcinaj ich. Niech rosną i osiągną swoją poprzednią długość. Obiecuj, że nie będziesz ich już obcinać! Kocham w Tobie wszystko, tylko dlatego że... jest. Kocham wszystko, co jest twoje, tylko dlatego, że jest twoje! Jesteś dla mnie jedyna na świecie. W Bułgarii jest wiele pięknych i mądrych dziewczyn, ale takiej jak ty nie ma nigdzie. TY jesteś dla mnie najpiękniejsza i najlepsza.

A co z moimi cechami, których nie zdążył poznać albo ich nie dostrzegł? Lenistwem, brakiem pewności siebie, niecierpliwością, zmiennymi nastrojami. Czy mam mu o tym opowiadać w listach?

Mam wiele wad, napisałam kiedyś. Ja nie zauważyłem żadnych, odpowiedział.

W Urzędzie Miasta dowiedziałam się, że do Bułgarii mogę wyjechać indywidualnie tylko na zaproszenie. Albo w grupie, na wczasy. Nie mogę, ot tak, kupić biletu i po prostu pojechać do Sofii. Z Borysem było podobnie. Indywidualnie mógł przyjechać do Polski tylko na zaproszenie osoby dorosłej i pracującej. Ja nie pracowałam. Poprosiłam więc mamę, żeby wypełniła stosowne dokumenty i w swoim imieniu zaprosiła Borysa do Polski. Załatwiła to szybko, też bardzo chciała go wreszcie poznać. Potrzebne były tylko jego podstawowe dane, z adresem i datą urodzenia, oraz zaświadczenie z jej pracy, że zarabia i może utrzymać gościa cudzoziemca. Zaproszenie było ważne tylko do końca roku. Wysłałam je pod koniec listopada. Miałam nadzieję, że Borys przyjedzie na święta Bożego Narodzenia albo na sylwestra.

Bardzo dziękuję za zaproszenie, odpisał. Zrobiłaś mi wielką niespodziankę. Nie sądziłem, że dostanę je tak szybko. Ja też mam dla Ciebie niespodziankę. Prawdopodobnie przyjedziemy zimą na turniej siatkarski do Polski, chyba do Olsztyna. Tak się cieszę, że się zobaczymy, moja Kochana. Będiesz mogła przyjechać do Olsztyna? Dlaczego jesteś tak daleko? Moja wieczna miłość, moja jedyna... Dziękuję losowi, że mogliśmy się poznać. Kocham Cię bardzo, bardzo, bardzo!

W kolejnym liście zawiadomił mnie, że, niestety, nie przyjedzie na sylwestra do Polski, bo do trzydziestego grudnia jest na zgrupowaniu kadry narodowej, nawet do domu wpadnie tylko na chwilę, na Nowy Rok, bo rodzice chcą, żeby te dwa dni spędził z nimi. Zdziwiłam się, że nie spędzi świąt w domu, ale wspominał mi nad morzem, że odkąd jest w kadrze, to się zdarza co roku. W styczniu i w lutym też musi pojechać z drużyną na obóz treningowy. Jako sportowiec miał bardzo napięty grafik. Nie było czasu na prywatne podróże.

W grudniu Borys dołączył również krótki list do mojej mamy, z podziękowaniem za zaproszenie. Mile mnie tym zaskoczył. Wkrótce po Nowym Roku dostałam od niego kolejny list, tym razem z obozu w mieście Jamboł, z informacją, że wyjazd na mecz do Polski został odłożony i nie wiadomo, czy w ogóle dojdzie do skutku. Fatum dało o sobie znać po raz kolejny. Borys jednak niezmiennie zapewniał mnie:

Pamiętaj, że należę do Ciebie, ciałem i duszą. Cały czas jesteś w moich myślach. Ty i tylko TY.

Tymczasem kończył się rok. Pamiętny rok, w którym wybuchł reaktor w Czarnobylu, a w Polsce była widoczna kometa Halleya. Wiosną, kiedy ją obserwowałam, pomyślałam sobie, że niektóre rzeczy zdarzają się w życiu tylko raz. Kometa Halleya będzie ponownie widoczna w 2061 roku. Po raz drugi jej raczej nie zobaczę. Mijający rok był dla mnie wyjątkowy. Poznałam Borysa. Uważałam, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Otrzymałam największy dar, jaki można dostać na tym świecie: miłość.

Sylwestra spędziłam ze znajomymi i z marzeniami o Borysie.

O północy myślałem o Tobie. Kocham Cię, powtórzyłem to w myślach wiele razy. Dłużej nie wytrzymam bez Ciebie. Chciałbym Cię ścisnąć, przytulić i całować całe ciało, milion razy... – pisał w styczniu.

Poprosiłam mamę, żeby załatwiła w urzędzie nowe zaproszenie, może w tym roku uda się Borysowi przyjechać. Zgodziła się, ale już mniej chętnie, z ociąganiem, z rezerwą. Pod koniec stycznia wysłałam kolejne zaproszenie, ważne do końca 1987 roku. Przyjeżdż, kiedy możesz, napisałam.

Nie wiem, jak Ci dziękować za kolejne zaproszenie – pisał w następnym liście. – Podziękuj też Twojej mamie. Zrobię, co się da, żeby przyjechać. Może zobaczymy się na wiosnę, a jak nie, to latem w Bułgarii. Czekam na Ciebie. Ani moje wspomnienia, ani twój obraz nie zbladły w mojej pamięci. Pamiętam wszystko tak wyraźnie, jakby to było wczoraj! Proszę Cię, przyslij mi więcej swoich zdjęć, w różnych ujęciach, w różnych pozach. Tak chciałbym Cię zobaczyć... Jesteś moją miłością, moim wiecznym marzeniem... Pamiętaj, że Cię kocham i czekam.

W lutym pisał, że nabawił się kontuzji i ma krótką przerwę w treningach. Trenował dwa razy dziennie – rano siłownia, po południu siatkówka. Informował mnie o swoich świetnych wynikach w podnoszeniu sztangi. Lubiałam te szczegóły. Komentował zdjęcia, które mu wysyłałam. I

niezmiennie zapewniał:

Dzień, kiedy dostaję Twój list, to dla mnie święto. Jestem wesoly, szczęśliwy. Czuję taką radość! Pisz, pisz jak najczęściej.

Już wiedziałam, że będzie trudno się spotkać. Borys żył bardzo intensywnie. Nie miałam pojęcia, jak godzi sport z nauką i tymi długimi wyjazdami na obozy, na turnieje. Miał jakieś egzaminy, zdawał je, ale wyniki go nie zadowalały. Wspominał o tym lakonicznie. Siatkówka była wtedy jego pasją.

W wolnych chwilach chodziłam po Warszawie i patrzyłam na miasto, które kiedyś obejrzy Borys. Dokąd go zaprowadzę? Chciałam, żeby zobaczył to szare, rozległe miasto od jak najlepszej strony. Warszawa drugiej połowy lat osiemdziesiątych nie była miastem łatwego piękna, kolorowym, radosnym, dynamicznym. Ale istniało piękno nieoczywiste, piękno do odkrywania. Zakurzone, zniszczone albo zamaskowane. Miałam ulubione miejsca i ulubione zakątki. Chciałam mu je pokazać. Przede wszystkim Łazienki Królewskie. Urokliwy park, który kochają mieszkańcy miasta w każdym wieku. Park dla romantyków. Stała tam moja ławeczka nad stawem, gdzie lubiłam czytać książkę. Tam pójdziemy. Park jest najpiękniejszy wiosną i jesienią. Mieni się wtedy kolorami jak barwny wachlarz, jak ogon pawia. Czy Borys przyjedzie na wiosnę? On lubi przyrodę, więc na pewno mu się spodoba. Będziemy spacerować, trzymając się za rękę, karmić kaczki i wiewiórki...

Pójdziemy też na spacer na Starówkę, której przydałby się jednak remont. Pokażę mu dom, do którego wchodzi się z drugiego piętra, i najwęższą kamieniczkę. Zwiedzimy Zamek Królewski, czyli mały Escorial, barok bez ozdób – jako przysły historyk sztuki chętnie go po nim oprowadzę. Zwiedzimy Muzeum Historyczne przy Rynku Starego Miasta – lubię jego małe sale, labirynt przejść, różne zakamarki, gdzie poukrywano mnóstwo ciekawych eksponatów. Zrobię Borysowi zdjęcie przy Syrence, która stoi za murem, niedaleko Barbakanu. Pójdziemy na pyszne wuzetki do „Zapiecka”, a potem zaprowadzę go do „Murzynka”, gdzie często przychodzę z koleżankami na tak zwane spaghetti, czyli makaron z pieczarkami. Obejrzymy Nowe Miasto i będziemy siedzieć na ławce z widokiem na Wisłę, dziką rzekę dzielącą miasto na połówki. Potem możemy wstąpić na herbatę do „Boruty” albo na wino do „Fukiera”, tam lubią bywać koledzy ze studiów. Pokażę mu mój ulubiony sklep z płytami przy Freta i sklep z zabawkami na rogu Nowomiejskiej i Mostowej, gdzie na wystawie przyciąga wzrok przepiękny domek dla lalek z mebelkami i maleńkimi realistycznymi rekwizytami. Dzieło artysty. Czy ja wspominałam Borysowi, że od dziecka lubię domki dla lalek? Ten na wystawie sklepowej zachwyił mnie tak, że spytałam o nazwisko wykonawcy. „To jakiś student z ASP, nazywa się Althamer”, usłyszałam od sprzedawcy. Pokażę Borysowi jeszcze jedną ciekawostkę – przy ulicy Świętojerskiej w zwykłym niskim powojennym bloku, na niedużym balkonie na piętrze, znajduje się niezwykła rzecz: wielka otwarta dłoń, ogromna rzeźba, która mnie zafascynowała. Jak ręka olbrzyma zamkniętego w betonowym pudełku, uwięzionego w pułapce złożonej z kilku klatek schodowych. Tę ogromną dłoń zobaczyłam kiedyś przypadkiem, podczas spaceru. Spodoba się Borysowi. Pokażę mu również moją ulubioną czytelnię na Świętojańskiej, gdzie bywam wieczorami. Lubiałam czytać przy ciepłym świetle lamp stojących na dużych biurkach. Koniecznie też będzie musiał zjeść jakieś polskie danie w barze mlecznym. Najczęściej żywiłam się w „Karaluchu”, czyli „Barze Uniwersyteckim” przy Krakowskim Przedmieściu, ale bardzo lubię też „Bar Szwajcarski” na początku Nowego Świata. Borys będzie musiał spróbować pierogów albo

naleśników, cokolwiek zechce.

Może pójdziemy również do mojego ulubionego kina Iluzjon, na tyłach placu Trzech Krzyży. Nigdy nie byliśmy razem w kinie. Pójdziemy też na koncert do „Remontu”, co piątek odbywają się tam fajne koncerty. Spodoba mu się. A może dyskoteka w „Stodole”? On lubi dyskoteki. To może być dla niego ciekawe, zobaczyć, jak wygląda dyskoteka w Polsce. Będziemy spacerować po Polu Mokotowskim, które znajduje się niedaleko mojego domu. Lubimy przecież spacerować. Co jeszcze? Pokażę mu stare wille na Żoliborzu oficerskim i okolice placu Konfederacji, z ulubioną uliczką Płatniczą z przedwojennymi domkami. Pokażę mu wejścia do kanałów, którymi powstańcy ewakuowali się ze Starówki i Mokotowa. Odwiedzimy kilka najładniejszych kościołów na Starówce. I zaprowadzę go do modnego miejsca dla wtajemniczonych, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Chińskiej przy Senatorskiej, gdzie serwowano tylko trzy dania z ryżem: potrawkę łagodną, pikantną i mieszaną, na którą często chodzę z koleżankami. Jest pyszna. Do niej obowiązkowo napój pomarańczowy. To warszawska egzotyka kulinarna w załączku. Zamierzałam pokazać Borysowi teren uniwersytetu, mój wydział i „Harendę”, gdzie wpadałam pomiędzy zajęciami, kiedy miałam okienko.

Może pojedziemy też pociągiem do Krakowa, tam jest tyle do oglądania. Chciałam, żeby Borys poznał Polskę, historię mojego kraju, architekturę, różne smaki. W Warszawie rzadko chodziłam do restauracji, czasami do kawiarni. Nigdy nie byłam w restauracji „Sofia”, która znajdowała się przy placu Powstańców Warszawy. Teraz zwróciłam na nią uwagę. Wydawała się nieciekawą spelunką. Nie, tam nie pójdziemy. Jeszcze coś wymyślę. Będzie świetnie, żeby tylko wreszcie przyjechał.

Snułam plany. Marzyłam. Czekałam. Tęskniłam. Mogłabym pisać w każdym liście melancholijnie: „Tęsknię, więc jestem”. Miałam nadzieję, że jeśli nie wiosną, to spotkamy się latem. Wtedy na pewno przyjedzie, a może później zaprosi mnie do Bułgarii. Na biurku i na półce przy łóżku ustawiłam jego zdjęcia. Lubiałam je oglądać. Mama śmiała się, że rozstawiam w pokoju „ołtarzyki”.

Wiosną Borys pojechał z drużyną na miesiąc do Jugosławii, rozgrywali turnieje siatkarskie w różnych miastach: w Belgradzie, Zagrzebiu, Sarajewie i w innych. Kiedy wrócił i nie znalazł listu ode mnie, napisał pełen niepokoju:

Dlaczego nie pisziesz? Czy już o mnie zapomniałaś? Proszę, napisz, że tak nie jest. Kocham Cię, nic się nie zmieniło. Nie mam żadnej wiadomości od tak dawna. Dwa miesiące! Proszę, napisz. Spotykaj się, z kim chcesz. Wychodź, z kim chcesz, ale nie zapominaj, że Cię kocham.

Niektóre listy ginęły, inne szły bardzo długo. Kiedyś napisał, że dostał dwa listy naraz, a wysłałam je w odstępie trzech tygodni.

Nie zapomniałam o Borysie. Pamiętałam. Bardzo mi go brakowało. Marnie znosiłam jego nieobecność, a swoją samotność. Zaczęłam się jednak przyzwyczajać. Bez tego związku wydawałam się sobie niepełna, okaleczona. Moje życie miało sens, bo byłam dla niego ważna, najważniejsza. Byliśmy razem, chociaż rozdzieleni. Miałam dwadzieścia jeden lat, przebywałam wśród ludzi, licznych znajomych, ale czasami bywało trudno. Nie miałam z kim iść na wesele koleżanki, nie poszłam więc na nie wcale, wymyślając jakiś pretekst. Na imprezach nie miałam pary. Polubiłam jedynie samotne wyjścia do kina.

Świat częściowo traci znaczenie, gdy się kogoś kocha, i to zarówno wtedy, gdy wszystko układa się pomyślnie, jak i wtedy, gdy jest wprost przeciwnie. A w Polsce wtedy sporo się działo. Wiosną

znowu wzrosły ceny żywności, energii i opału. W maju w Lesie Kabackim rozbił się samolot, o czym nie poinformował Dziennik TV. Tato dowiedział się o tym na mieście. W czerwcu po raz trzeci przybył do Polski z pielgrzymką Jan Paweł II, widziałam tłumy wiwatujących wzdłuż ulicy Żwirki i Wigury, którą jechał z lotniska. Oklaskiwano też samochód amerykańskiego ambasadora. Obserwowałam to z okna mojego pokoju. Pamiętny czas pełen rezygnacji i zarazem nadziei. Musiałam napisać kilka prac zaliczeniowych, czekały mnie cztery egzaminy, w tym jeden z baroku, najtrudniejszy. Miałam sporo nauki.

Przed wakacjami dostałam list, który mnie poważnie zaniepokoił. Borys napisał, że w czerwcu i lipcu zdaje egzaminy. Sierpień ma wolny i czeka na mnie. Czy przyjadę do niego? Pierwszy raz napisał, że od dawna prosi rodziców, żeby mnie zaprosili do Bułgarii – bez efektu. On sam nie może mnie zaprosić, bo jest studentem, nie pracuje. Jego ojciec jest bardzo konserwatywny i głuchy na prośby o zaproszenie dla mnie. Szczegółów nigdy mi Borys nie podał. Zaproszenia nie będzie.

Konserwatywny, srogi ojciec z zasadami – ale właściwie jakimi? – któremu nie odpowiada dziewczyna syna. O co chodzi? Poczułam, że dotyczą mnie dylematy żywcem wzięte z dziewiętnastowiecznej powieści angielskiej. Ale w moim przypadku to nie była literatura, tylko życie. Ojciec Borysa się nie zgadza, nie akceptuje związku syna. Nawet nie chce mnie poznać, zobaczyć. Dlaczego? To był szok. Pamiętałam, że związek rodziców Borysa też nie został zaakceptowany przez obie rodziny. Może to taka bułgarska tradycja? Ale ojciec Borysa wykazał się kiedyś odwagą i brawurą. Walczył o miłość. A teraz wobec syna stosuje zasady, które sam złamał.

Moi rodzice są przeciw nam – napisał Borys otwarcie. – Uważają, że Polska jest za daleko i w ogóle ...

Bardzo mnie interesowało, co się kryje za tym „w ogóle”, ale nigdy nie wyjaśnił. Chodzi o to, że jestem z innego kraju? Dalekiego kraju? Biednego? Pograżonego w kryzysie? Katolickiego? Że nie mówię po bułgarsku? Nie jestem Bułgarką? Że jestem rok starsza od Borysa? Nie podobałam im się na zdjęciach? Byłam za chuda? Za wysoka? Za brzydka? Nie mogłam zrozumieć, na czym polega problem, a Borys – mimo pytań – nigdy mi nie wytłumaczył. Listy się mijały. Może nie chciał o tym pisać. Mnożyły się niewyjaśnione niejasności. Niedopowiedzenia. Nie do powiedzenia i nie do opisanego. Zapewne nie chciał sprawiać mi przykrości, ale to i tak było nieprzyjemne. Świadomość, że ktoś cię przekreśla, nie wiedząc, kim jesteś ani jaka jesteś. Nie licząc się z uczuciami syna. Przecież chodziło o wspólne wakacje, nie miałam zamiaru porywać Borysa i uwięzić go w Polsce. Byliśmy bardzo młodzi, chcieliśmy tylko spędzić razem lato. Nikt nie wspominał o jakimś poważnym związku. Rodzice nie pozwalali mu do mnie przyjechać ani ja nie mogłam pojechać do niego.

Nie pokażę więc Borysowi Polski. Nie pojadę do Bułgarii. Nie poznam lepiej jego kraju. Nie spotkamy się. Czy to kolejny złośliwy żart losu? Fatalizm w nowej odsłonie?

Dlaczego tak go przede mną bronią? Przecież nie jestem ani najgłupsza, ani najbiedniejsza, ani najgorsza. Nie jestem złym człowiekiem. Takie myśli krążyły mi po głowie. Nie jestem sierotą ani panną bez posagu, chociaż mój ojciec nie jest milionerem. Nie jestem bohaterką z książki Jane Austen. Rodzice mojego ukochanego nie akceptują naszego związku... Taka była rzeczywistość, która powoli do mnie docierała, ale jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, że w tamtych warunkach to wyrok. Nieodwołalny?

Moja mama mówi, że nie ma żadnego sensu kochać dziewczynę, która mieszka tak daleko – przeczytałam

w kolejnym liście. – *Miłość na odległość nie ma sensu. To tylko niepotrzebne męczenie duszy. Ale co mnie obchodzi rozsądek, jeśli ja i tak Cię kocham. Nic na to nie poradzę. Nigdy bym nie przypuszczał, że to możliwe: taka miłość jak nasza. Miłość w listach, poprzez listy, w snach, w marzeniach. Ale tylko tyle mamy: piękne wspomnienia dni spędzonych razem i tych kilka listów. Tak bardzo żałuję, że mamy tylko tyle. Ale kocham Cię bardzo!*

Sytuacja wydawała się patowa. Zdałam sobie sprawę z bezwładnie opadającego biegu wydarzeń. Borys nie może mnie kochać, bo mieszkam za górami, za lasami, za kilkoma granicami i nie możemy się spotkać, a jego rodzice zrobią wszystko, żeby małe realne spotkanie stało się niemożliwe. Było mi przykro. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Potraktowałam to osobiście. W jakimś sensie zostałam odrzucona przez ludzi, których nawet nie znałam. W tej sytuacji nie miałam zamiaru dzwonić na domowy numer Borysa. Nigdy. Do tej pory próbowałam dzwonić tylko do hotelu. Bezskutecznie. Na soboty i niedziele Borys jeździł do domu. Nie chciałam rozmawiać z jego matką ani z groźnym, konserwatywnym ojcem. Nie dali nam szansy ani czasu. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że wielka miłość to nie wszystko. Myślałam, że to wystarczy. Młodość lubi iluzje. Uwielbia się łudzić. Zostaliśmy poddani działaniu różnych sił, które powoli, niezauważalnie, ale konsekwentnie działały na naszą niekorzyść. Jedną z nich był czas, drugą owa osławiona odległość, trzecią pieniądze, a właściwie ich brak, czwartą zależność od rodziców, piątą (i wcale nie ostatnią) – opór, perswazje i nieugięte stanowisko jego rodziców. Trudno pokonać aż tyle przeszkód.

Czy można wiedzieć, że pierwsza miłość jest na całe życie? Czy osoba, z którą spędziliśmy dziesięć niezapomnianych dni, jest tą jedyną? Czy wobec licznych przeciwności można mówić o przeznaczeniu?

Moi rodzice zachowywali się inaczej niż rodzice Borysa. Nie byli zachwyceni, ale nie mieli nic przeciwko chłopakowi, którego nie znali. Do czasu. Musiałam w końcu z nimi porozmawiać i powiedzieć prawdę, chociaż tego trudnego tematu unikałam dotąd jak ognia. Mama wielokrotnie pytała mnie, kiedy Borys wreszcie przyjedzie, przecież drugie zaproszenie dawno wysłałam, dlaczego więc nie pisze o konkretach, wakacje już za pasem. Unikałam odpowiedzi.

– Mamo, on nie przyjedzie – powiedziałam któregoś wieczoru, przyparta do muru, gdy piłyśmy we dwie herbatę w kuchni.

Długo odwlekałam tę rozmowę. Trzeba było jednak podjąć temat.

Mama zrobiła wielkie oczy. Ze zdziwienia były jeszcze bardziej zielone niż zwykle. Nie spodziewała się widocznie takiej szczerzej odpowiedzi.

– Jak to? W ogóle? Dlaczego? Nie może?

Za wiele pytań... Za trudne odpowiedzi.

– Rodzice mu nie pozwalają skorzystać z twojego zaproszenia – zaczęłam. – Chyba nie chodzi o pieniądze, koszty podróży... chociaż może też, ale on nic o tym nie wspomina. Chodzi o to, że jego rodzice nie zgadzają się na nasz związek, tak mi napisał. Nikt by się tym normalnie tak bardzo nie przejmował, ale w naszym przypadku to ważne. Nie przyślą mi zaproszenia. Nie pojedę do Bułgarii. To znaczy, mogę pojechać, ale tylko na wczasy lub zorganizowany obóz. On bardzo prosi, chce, żebym przyjechała... ale rodzice są nieugięci i mówią: nie. Tak to wygląda. – Opowiedziałam krótko o niejasnych argumentach przeciwko mnie.

– I co będzie? – Mama nie spodziewała się takich komplikacji.

– Nie wiem. Może pojedziemy tam na wczasy?

– Nie, to niemożliwe. Nie stać nas na zagraniczne wczasy w tym roku. Jeszcze dla trzech osób – oznajmiła od razu.

– To może pojedę sama? – zapytałam nieśmiało.

– Absolutnie! Nie ma mowy. Nie możesz jechać sama – oburzyła się. – Jak to sobie wyobrażasz? Że pojedziesz na wczasy do Warny, a on cię będzie odwiedzał? Albo wprowadzi się do ciebie? Wykluczone! A jak tam pojedziesz, to zawsze może się okazać, że rodzice nie pozwolą mu wyjechać nad morze w tym czasie. Na przykład nie dostanie pieniędzy na wyjazd. I co wtedy zrobisz? Pojedziesz do niego? Jeśli rodzice się sprzeciwiają, to nie rokuje dobrze. Szkoda. To przykre. Zrozum, Łucjo, nie mogę pozwolić, żebyś pojechała, bo jemu to odpowiada i tak jest dla niego najlepiej i najwygodniej.

– To może pojedę z ciocią Wandą?

– Wanda jedzie z siostrą we wrześniu na wycieczkę do NRD. Nie ma w planach wczasów w Bułgarii. Zresztą nie zgadzam się. To nie pasuje, nie wypada, tak nie może być. Jak mu na tobie zależy, powinien się bardziej postarać.

– Ale to jest wyjątkowa sytuacja, on nie mieszka w Polsce...

– Tym gorzej.

– Dla kogo?

– Dla niego i dla ciebie. Gdyby mieszkał w Polsce, nie byłoby tych kłopotów z zaproszeniami i zagranicznymi wyjazdami.

– To znaczy, że się nie spotkamy tego lata? Tak na to czekaliśmy...

– Łucjo, nie mogę... Nie mogę pozwolić, żebyś dojeżdżała do niego do Bułgarii. Jego rodzice powinni cię poznać. Tak nie można. Nie będziesz przecież za nim biegać. To nie wypada. Nie pojedziesz. Powinien przekonać rodziców i przyjechać po wakacjach. Powinien, jeśli mu zależy – dodała.

– Nie przyjedzie. – Byłam tego pewna. – W październiku zaczyna się rok akademicki. Nauka, treningi...

– Powinien przyjechać. Jesteśmy twoimi rodzicami i chcemy go poznać. Dopiero wtedy ewentualnie zgodzimy się na twój wyjazd do niego. Teraz jego kolej. Jeżeli mu zależy na tobie, niech tu przyjedzie. – Mamie najwyraźniej coraz bardziej podobała się ta nieugięta postawa, którą przyjęła.

– To może pojedę na obóz do Bułgarii? – zaproponowałam desperacko.

– Nie. Nie ma sensu jechać na obóz studencki. Po pierwsze, to też kosztuje. A poza tym co? Przecież on nie może z tobą być na obozie. Przychodziłby w odwiedziny? Dojeżdżał?

– Co byś zrobiła na moim miejscu?

– Nie pojechałabym – odparła po chwili. – Trzeba mieć honor. Szanować się. A gdybyś wróciła w ciąży...? To co wtedy? Myślałaś o tym?

„Oho! Argumenty najcięższego kalibru”, pomyślałam.

– Nie!

– No właśnie! A co by na to powiedzieli jego rodzice? Wyobrażasz to sobie? Sądzisz, że byliby zachwyceni? Przyczepiła się jakaś Polka, przyjeżdża do niego nieproszona...

– Mamo, przestań, wymyślasz niestworzone rzeczy!

– Ja tylko mówię, jak to wygląda z mojej perspektywy. Mam doświadczenie i trochę już widziałam ludzkich dramatów. On jest bardzo młody, ty też. Oczywiście jest mi przykro, że jego rodzice nie akceptują mojego dziecka, ale tym bardziej nie mogę pozwolić, żebyś tam jechała. Jako

kto? Nie może zaprosić swojej dziewczyny, więc napisz mu, że nie przyjedziesz. Naprawdę nie mogę wam pomóc. Wszystko teraz zależy od niego. Wiem, że on nie decyduje o sobie, jest zależny od rodziców i na ich utrzymaniu, ale nic na to nie poradzę.

O odbyliśmy wiele podobnych rozmów, czasem włączał się też tato, który zwykle towarzyszył nam swoim milczeniem. Rodzice byli jednak stanowczy i jednomyślni. Bułgaria to dla mnie zamknięta strefa. Nie zobaczę Borysa w tym roku. Więc kiedy?

W jakiś sposób zmienił się też ich stosunek do niego. Do tej pory był raczej życzliwy. Byli zaniepokojeni, obserwowali wszystko ze spokojem i nie wygłaszali negatywnych komentarzy. Nie zniechęcali mnie, nie krytykowali. Gdy przychodziły listy, pytali, co pisze, co u niego, jakie nowiny. Teraz to się zmieniło. Nie rozmawialiśmy o tym, ale miałam wrażenie, że w jakiś sposób czuli się urażeni i rozczarowani. Zawiedzeni w moim imieniu. Byłam ukochaną córeczką tatusia. Skarbem i dumą. Ktoś odrzucił ich dziecko, sprawił mu przykrość. To nie mogło się podobać. Teraz, gdy sama jestem matką, rozumiem to lepiej. Ale nigdy nie zrozumiałam rodziców Borysa, którzy nie pozwolili pojechać synowi na wakacje do Polski. W każdym razie atmosfera domowej akceptacji dla mojego związku z Borysem uległa zmianie. Umiarkowanie serdeczne zainteresowanie zastąpiła milcząca obojętność i zniecierpliwienie. Pojawiły się ironiczne uwagi.

Rozczarowana, postanowiłam zorganizować sobie szybko jakieś wakacje. Po ostatnim egzaminie pojechałam na spływ kajakowy Rospudą i Biebrzą. Umówiłam się ze znajomymi na doroczny wyjazd na festiwal do Jarocina. W sierpniu planowałam wyjazd z Jolką pod namiot nad Bałtyk, a we wrześniu na wędrowkę w Tatry. Lato, na które tak czekałam, przemknęło bez niespodzianek, bez rewelacji, bez euforii. Ogarnęła mnie cicha, spokojna rezygnacja.

Pod koniec września dostałam list z Bułgarii.

Kochana moja!

W sierpniu pojechałam nad morze, do Warny. Byłam w tych wszystkich miejscach, gdzie byliśmy razem, gdzie razem spacerowaliśmy. Byłam na tej plaży, gdzie pierwszy raz Cię pocałowałam. Wszędzie tam, gdzie chodziliśmy. Byłam w restauracji, gdzie jadłaś posiłki. Chodziłam po parku i myślałam o Tobie. Byłam przed tym blokiem, gdzie mieszkasz i gdzie codziennie stałam pod balkonem na parterze, gdy się żegnaliśmy. Przypominałam sobie nasze szczęśliwe chwile i wszystkie miejsca, które razem odwiedzaliśmy. To było strasznie smutne, że nie było Cię obok. Nawet nie wiesz, co czułam. Straszny, straszny żal. Dlaczego tak musi być? Warny wygląda tak samo, ale bez Ciebie to już nie to samo. Byłam tam z Christo, którego pewnie pamiętasz, i dwoma innymi kolegami. Poznaliśmy sporo nowych osób, spotkaliśmy znajomych z ubiegłych lat, ale ja i tak byłam sama. Cały czas jestem myślami przy Tobie. Kocham Cię bardzo, bardzo, bardzo. Niech będą przekłete wszystkie granice, które nas rozdzielają...

Jego pełne namiętności, czułe listy sprawiały, że płakałam i nie mogłam przestać. Byłam kompletnie rozbita. Każde zdanie czytałam dziesiątki razy. Tylko to mi zostało.

Jesienią znowu zaczęły się studia, normalne życie i stare problemy. Znowu dostałam zaproszenie na wesele koleżanki, pojechałam na nie sama.

Pisałam do Borysa i on pisał. Nowe wieści były takie, że zrezygnował z trenowania siatkówki. Pokłócił się z trenerem, miał jakieś kłopoty, których szczegółowo nie opisywał. Poważnie zajął się nauką, zamierzał studiować drugi kierunek, z ekonomią w nazwie. Zaczął myśleć o przyszłości.

Jeśli skończę studia, to za parę lat będziesz znała inżyniera geologa i ekonomistę Borysa

Grigorowa, pisał żartobliwie.

Zainteresował się karate, stylem aikido, ale tylko jako hobby. Opisywał mi swój ulubiony basen Republika, na który często chodził. Bardzo lubił pływać. Zapisywał się na różne kursy. Skończył kurs dla sędziów siatkarskich i dla ratowników. Chciał latem pracować jako ratownik nad morzem. Zamierzał uczyć się włoskiego i wyszlifować angielski. Zastanawiał się nad kursem dla przewodników wycieczek. Nauczył się grać na gitarze. Imponowało mi, że jest taki aktywny i lubi się uczyć nowych rzeczy. Miał wiele zainteresowań. W jednym z listów pisał, że w wolnych chwilach zajmuje się rzeźbieniem drzeworytów. Wielokrotnie wspominał, że robi coś „dla swojej przyszłości”, żeby „zapewnić sobie przyszłość”, „mieć dobrą pracę”. Podziwiałam to nastawienie, bo ja w ogóle nie myślałam o przyszłości. Żyłam z dnia na dzień, nic nie planowałam. Nie potrafiłam. Oczywiście, wiedziałam, że muszę skończyć studia. Chciałam pracować w swoim zawodzie, ale nie umiałam myśleć perspektywicznie. Było mi głupio, że nie mogę się pochwalić wielkimi sukcesami naukowymi ani innymi, nie kończyłam żadnych dodatkowych kursów, nie zdobywałam nowych umiejętności. Wszystko, czym się zajmowałam – literatura, muzyka rockowa, sztuka, podróże po Polsce, ceramika – było tylko hobby. Nie umiałam grać na żadnym instrumencie, sport uprawiałam tylko sezonowo. Podziwiałam impet Borysa. Wiedziałam, że wiele rzeczy, którymi się zajmował, to zapewne słomiany ogień, ale podobało mi się, że umie godzić tyle rzeczy i jest tak dobrze zorganizowany. Znałam wielu gnuśnych, ospałych ludzi, którym nic się nie chciało. Nie interesowali się niczym. Nie odkrywali swoich talentów, nie szukali inspiracji. Borys był inny – dynamiczny, otwarty, poszukiwał własnej drogi. Ceniłam to – niestety, z oddali i wyłącznie na papierze.

Od jesieni zamieszkał w miasteczku studenckim w Sofii. Podobała mi się nazwa w oryginalnym brzmieniu: Studentski Grad. Po polsku zabawnie wieloznaczna. W nowym miejscu „sprawy telefoniczne” okazały się podobne, jeśli nie gorsze. Tam też nie sposób było się dodzwonić. Udawało mi się porozmawiać tylko z niemrawą „panią na recepcji”, z Borysem – nigdy.

Kończył się rok, Borys obiecywał, że setny raz poprosi rodziców o zgodę na wyjazd do Polski. Zaproszenie było ważne do końca grudnia. Nic z tego nie wyszło, nie przyjechał. Sylwestra znowu spędziłam ze znajomymi, tym razem w górach.

W styczniu 1988 roku tato ucieszył się, że przestali wreszcie zagłuszać Wolną Europę, której był wiernym słuchaczem. W pamięci utkwił mi nic nieznaczący fakt, z którego się wtedy śmiałyśmy. Rada Państwa nie wiadomo za co odznaczyła Nicolae Ceaușescu Wielkim Orderem Zasługi PRL. Ceaușescu odznaczenia nie przyjął, co bardzo bawiło mojego ojca i, jego zdaniem, dowodziło, że szalony Rumun dostrzega jednak jakieś absurdy rzeczywistości. W marcu zniesiono kartki na czekoladę, co nie bardzo mnie obeszło.

– „Wiosna, lato, jesień, zima, a ukochanego ni ma...” – nucił tato i łypał na mnie znacząco.

Nadal pisałam i dostawałam listy. Borys prosił o zdjęcia, więc je wysyłałam. Dbałam o tę miłość, podtrzymywałam ją, wydawało mi się, że będzie wieczna. Borys też niezmiennie zapewniał mnie o swoich uczuciach.

Pisał:

Jeszcze Cię nie pytałem, jakie kwiaty lubisz najbardziej. Sam się dziwię, że tego nadal nie wiem. Napisz mi o tym koniecznie. Lubisz róże? Ja wyobrażam sobie, że codziennie kupuję Ci kwiaty. Najpiękniejsze. Idę do Ciebie ulicą i niosę wielki bukiet róż. Dla kobiety mojego życia...

Pisał:

Miłość jest wierszem bez końca. Ty jesteś moim wierszem... Gdybyś mogła do mnie przyjechać, do Sofii, gdybyśmy mogli zawsze być razem, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na Ziemi!

Pisał:

To niemożliwe, żeby taka miłość jak nasza mogła nie trwać wiecznie. Gdy tylko o Tobie pomyślę, czuję, jak mocno Cię kocham. To straszne, że nie możemy się zobaczyć, moja kochana. Czekam na Ciebie i nie tracę nadziei, że może w następnym roku przyjedziesz do mnie.

Pisał:

Piszesz, że nie możesz nikogo kochać. Wierzę Ci, tak właśnie jest. Człowiek jeden raz oddaje komuś swoje serce i daje je całe. Tak jest, moja ukochana, moja jedyna, ja oddałem Ci swoje serce i ono jest Twoje. Jestem cały Twój, należę do Ciebie. Pamiętaj o tym zawsze! Moja ręka też nie może należeć do nikogo innego, bo jest moja. Podobnie jest z miłością. Kocham Ciebie i Ty stałaś się częścią mnie.

Pisał:

Nie mogę znieść, że jestem w Bułgarii, a Ty, moja jedyna, jesteś w Polsce, tak daleko ode mnie. Moje serce jest przy Tobie. Nie zapominaj o mnie. Bardzo się boję, że ktoś inny pojawi się przy Tobie, bo tak długo jesteśmy rozdzieleni, a ja nie mogę przyjechać. Tkwię tu i nie przestaję marzyć o Tobie. Czekam na Ciebie! Całuję Cię milion razy.

Pisał:

Ty jesteś najpiękniejszą dziewczyną na świecie, moją wielką miłością, moim wiecznym marzeniem. Pisz do mnie często. Pisz, żebym wiedział, że o mnie myślisz i że mnie kochasz.

Pisał:

Nasza miłość narodziła się latem, ale nie jest „letnia”, nie jest wakacyjna. To miłość na zawsze. Jestem wdzięczny losowi, że byłem wtedy nad morzem, że Cię poznałem i pokochałem. Jesteś skarbem, na który nie zasłużyłem. Miłość dziewczyny takiej jak Ty to dar.

Pisał:

Piszesz, że czujesz się samotna. Nie chcę, żebyś była smutna ani samotna, kochana moja. Co mogę zrobić? Mogę Ci tylko powiedzieć, że myślę o Tobie cały czas, w każdej chwili. Myślę o Tobie ciągle i wyobrażam sobie, że jestem przy Tobie. Kocham bardzo, bardzo, bardzo.

Te listy i przysyłane fotografie podtrzymywały uczucie. Czasem jednak bywało trudno. Wspomnienia nie blakły, nadal były żywe. Koncentrowałam się na sobie, ale zauważyłam, że życie wokół się zmienia. W każdym możliwym sensie. Na wiosnę zaczęły się kolejne strajki, strajkował też nasz uniwersytet. Kończyłam trzeci rok studiów. Życie znajomych zaczynało układać się parami. Powoli kończyły się wspólne imprezy, grupowe wyjazdy, robiło się puściej i spokojniej. Bliskie koleżanki, które zawsze były dla mnie oparciem, miały swoich chłopaków. Ja na towarzyskich spotkaniach byłam ciągle sama.

Zaplanowałam kolejne wakacje bez Borysa. Musiałam coś ze sobą zrobić. Chciałam pojechać na obóz żeglarski, obóz był połączony z kursem i egzaminem. Skończę wreszcie jakiś kurs! Przynajmniej

będę miała patent żeglarza. Byłam pewna, że Borysowi spodoba się ten pomysł. Miałam w planie również obóz konny. Może mi się kiedyś przyda taka umiejętność. Kto to może wiedzieć? Fascynowały mnie konie. Ciekawa byłam, czy spodoba mi się jazda konna. Opowiem później o tym Borysowi.

O wczasach w Bułgarii czy zaproszeniu już nie wspominałam, bo rodzice zdradzali oznaki irytacji i nie można było o tym spokojnie rozmawiać. Któregoś razu, latem, odbyłyśmy z mamą nieprzyjemną rozmowę. Pierwszą z wielu, bo potem od czasu do czasu się powtarzały. Jednak wtedy pewne argumenty pojawiły się po raz pierwszy.

Był ciepły sierpniowy wieczór, okno w kuchni pozostawało szeroko otwarte, łagodny wiatr poruszał firanką. Zza okna dobiegał szum przejeżdżających samochodów. Niezmienne tło kuchennych rozmów.

– Nie sądzisz, że pora z tym skończyć? – zaczęła nagle mama podczas kolacji, którą jadłyśmy we dwie.

Siedziałyśmy przy stoliku w kuchni nad jajecznicą. Zwykły wieczór, banalna kolacja.

– Co konkretnie masz na myśli? – udałam, że nie wiem, do czego zmierza. Wolno smarowałam masłem chleb.

– Znajomość z tym Bułgarem.

– Ten Bułgar ma na imię Borys, mamó. – Ugryzłam kromkę i obojętnie kłułam jajecznicę widelcem.

– Wiem. – Wypiła łyk herbaty. Po chwili zaczęła znowu: – Martwię się. Tak dłużej nie można, Łucjo. To po prostu zawracanie głowy. Mijają dwa lata, a ty tylko czekasz na jego listy. Marnujesz czas. Marnujesz młodość. Nie jesteś żoną marynarza, który wypłynął w morze i nie wraca, tylko pisze.

– Niczego nie marnuję. To mi odpowiada. Uwielbiam jego listy. Poza tym dobrze się bawię. Mam przyjaciół, dużo znajomych... – ciągnęłam, nakładając sobie na talerzyk pomidory z cebulą, żeby zająć ręce.

– Nie o tym mówię. Tracisz czas i energię na podtrzymywanie związku, który jest bez przyszłości. Boję się, że możesz przeoczyć kogoś, kto będzie dla ciebie odpowiedniejszy. I do tego na miejscu, obok, w tym samym mieście.

– Nikogo takiego nie znam. Jak zobaczę, to ci powiem – zażartowałam.

– Obawiam się, że nie jesteś w stanie zobaczyć takiego człowieka, nawet gdyby stanął tuż przed twoim nosem i zagroził ci drogę – westchnęła. – I to mnie właśnie martwi. Tylu fajnych chłopaków chodzi ulicami...

– Dobrze, już wiem, że mam się rozglądać i znaleźć sobie innego chłopaka, który ci się spodoba. Co jeszcze? Jakież konkretne wskazówki?

– Nie, ale zastanów się nad tym, o czym mówię. To ważne. Nie wolałabyś spotykać się w Warszawie z Polakiem, jechać razem na wakacje, iść na dyskotekę, na koncert, niż siedzieć w domu, czekać na list, potem płakać...?

– A co by było, gdyby przestał pisać?

– Nie wiem... Nie mogę sobie tego wyobrazić.

– Jesteś uzależniona od jego listów, idealizujesz go. Żyjesz marzeniami i złudzeniami. Co będzie, jak spotkasz go za rok, jak dobrze pójdzie, albo za trzy lata i stwierdzisz, że już ci się nie podoba, że się zmienił, ma irytujące cechy, gesty i tak dalej? To już nie będzie uroczy chłopak z Warny. Wiele

rzeczy się zmienia, czas szybko płynie. Nie macie wspólnych spraw, wspólnego środowiska, znajomych...

– Poznałam jednego jego przyjaciela, byli razem w kadrze narodowej. Christo jest teraz w wojsku w Sofii, często spotykają się z Borysem. Ja też mu piszę o moich koleżankach.

– Łucjo, to nie to samo. Proszę cię tylko, żebyś się nad tym wszystkim zastanowiła i spróbowała jakoś to zakończyć. Po wakacjach będziesz na czwartym roku, trzeba sobie układać życie...

– Aha, o to chodzi! Chcesz, żebym pomyślała o poważnym, prawdziwym narzeczonym, który przyjdzie i przedstawi się rodzicom – zażartowałam, bo już miałam dosyć tej powagi i patosu.

– Żebyś wiedziała. Wolałabym go poznać, niż tylko o nim słyszeć. Chłopak widmo. „Czekaj na mnie, ale nie mogę cię do siebie zaprosić”. Denerwująco bezradny. Wykup wczasy nad Morzem Czarnym i przyjeźdź do mnie! – Mama dała wyraz swojej irytacji. – Chciałam ci uświadomić jeszcze jedną rzecz, o której może nie myślisz. Bułgaria to biedny kraj. Bardzo zsowietyzowany, jeszcze bardziej niż Polska. Komunistyczny. Czy chciałabyś tam mieszkać? Co byś tam robiła? Jak byś tam żyła? Czy potrafisz sobie wyobrazić, że tam mieszkasz, a jego rodzice cię nie akceptują, ignorują?

– Nie sięgam myślami tak daleko. Nie wiem, gdzie będę mieszkać ani co się ze mną stanie. Na razie nie chcę nic planować oprócz studiów po wakacjach. Ale tam też ludzie żyją szczęśliwie, mamo. Tak jak wszędzie. To nie jest kolonia karna.

Wypiłam herbatę i poszłam do swojego pokoju posłuchać dla pocieszenia z kasety zespołu A-ha, *The Sun Always Shines on TV* i innych utworów, które były przebojami lata i jakoś dobrze współgrały z moimi emocjami. Jednak ziarno wątpliwości i goryczy zostało posiane.

Nie chciałam tego przyznać sama przed sobą, ale słowa mamy nie dawały mi spokoju. Co mam robić? Nic, po prostu żyj, powtarzałam sobie. Nie dopuszczaj napływającego smutku. Zobacz, jaki piękny wieczór. Ty panujesz nad swoimi nastrojami. Ty decydujesz o pogodzie ducha. Pozwalasz przypląnąć czarnym chmurom pełnym zwątpienia. Możesz powstrzymać ten deszcz-płacz. Pomyśl o dobrych chwilach, a w środku wszystko się przejaśni, tak jak przejaśnia się na dworze, gdy wychodzi słońce. Łatwo powiedzieć!

We wrześniu pojechałam na obóz konny. Nie za bardzo mi się tam podobało. Jazda konna nie stała się moją pasją. O wiele bardziej lubiłam zajmować się końmi, karmić je, czyścić, pielęgnować. Zdecydowanie wolałam, żeby wolne biegały po łące, niż chodziły w koło na lonży, dźwigając jeźdźców w siodle, nieporadnych, a przede wszystkim ciężkich. Wolałam towarzystwo koni od spotkanych tam ludzi, którzy stanowili kadrę obozu albo byli uczestnikami.

Po powrocie umówiłam się z Jolką, żeby sobie poprawić nastrój. Spotkałyśmy się za domem towarowym Sawa, na ulicy Rutkowskiego, teraz Chmielnej, i spacerkiem szłyśmy w stronę Nowego Świata. Oglądałyśmy sklepowe wystawy. Jolka barwnie opowiadała o wakacjach i o swoim chłopaku, Marku, który studiował na Politechnice Warszawskiej. Była na żaglach z jego kolegami. Pływali jachtem po mazurskich jeziorach. Ja tylko nieśmiało wtrącałam, że mam już patent żeglarsza, ale nie mam z kim pływać.

– W przyszłym roku zabierzemy cię ze sobą – obiecała natychmiast. – Masz to jak w banku! A właściwie to dlaczego nie wspomniałaś, że chcesz pojechać na Mazury?

– Bo zapisałam się wcześniej na te konie.

– Aha, no tak, ale wiesz, Marek ma bardzo fajnych kolegów. Na Politechnice jest tylu świetnych chłopaków. Mógłby cię poznać z kilkoma. – Jolka stała się entuzjastką studentów informatyki, co było oczywiste.

– Dobrze, chętnie ich poznam, skoro są tacy rewelacyjni. Przy okazji.

Zatrzymałyśmy się przed sklepem zoologicznym przy Nowym Świecie, naszym ulubionym. Lubiliśmy tam oglądać świnki morskie, małe króliki, ptaki. Nie miałam żadnych zwierząt domowych, Jolka miała psa. W tym momencie pomyślałam o Borysie. Jak zawsze. Czy on miał jakieś zwierzęta? Psa albo kota? Czy lubił psy? A ptaki? Czy mi o tym mówił? Nie pamiętam. Dlaczego nie wiem? O tylu rzeczach nie wiedziałam. Nigdy nie pisał o zwierzętach. O tylu sprawach nie pisał. Nie sposób opisać całego życia w listach. Wybiera się fragmenty, epizody i łączy niczym koraliki, które nawleka się na sznurek wątku. Po kolei, dokonując wyboru, selekcji. Zawsze coś zostanie pominięte, a nieopisane nie istnieje.

Wspomniałam o tym Jolce, gdy usiadłyśmy w stylowej, stylizowanej na starą, kawiarni „Nowy Świat” na rogu Nowego Światu i Świętokrzyskiej. Lubiliśmy stolik tuż przy oknie. Zamówiliśmy tradycyjnie wuzetki i herbatę.

– Nie o wszystko można zapytać. Pisanie jest trudne, to nie to co rozmowa, osobisty kontakt – skomentowała moje zwierzenia. – Nie wyobrażam sobie tego, nigdy nie wysyłałam do nikogo listów tak często i przez tak długi czas, nie miałam też chłopaka w innym mieście. Związek na odległość to nie dla mnie.

– Mówisz tak, bo nie kochałaś chłopaka, który mieszka daleko, w innym kraju.

– To prawda, ale rozumiem, że to musi być trudne. Wiesz, przeczytałam w jakiejś książce bardzo mądre zdania: Miłość jest jak strumień, który musi być zasilany. Nie płynie sam z siebie, musi mieć jakieś dopływy, inaczej źródło z czasem wysycha.

– Nie dobijaj mnie, wystarczy, że rodzice się tym zajmują.

– To znaczy? – zaciekawiała się.

– Chcą, żebym dała sobie spokój z Borysem. On tu nie przyjedzie i mnie do siebie nie zaprosi, już to wiem. Chyba że będzie niezależny finansowo, skończy studia i znajdzie pracę, czyli za około cztery lata. Co ty na to?

– Nieciekawa perspektywa, to zdecydowanie za długo. Cholera, ciężka sprawa! – Jolka westchnęła. – Słuchaj, Łucja, nigdy cię nie pytałam, ale skąd ty wiesz, co on teraz robi? Skąd wiesz, że z nikim się nie spotyka? Studiuje, mieszka w akademiku, prowadzi na pewno wesołe życie. Co robił tego lata? Może kogoś poznał?

Wuzetka przestała mi nagle smakować, chociaż zjadłam już połowę i wydawała się pyszna. Popatrzyłam w okno. Za szybą przechodzili roześmiani młodzi ludzie, świeciło słońce. Staralam się odpowiedzieć wesoło, chociaż nie znajdowałam w sobie radości.

– Nie wiem, ale tak czuję. Wierzę w to, co on pisze. Po prostu. Wiem, że jest szczerzy. Znam go. Zapewnia, że mnie kocha i że czeka. To mi wystarcza.

– A gdzie jest teraz?

– Nie wiem, chyba w domu, w Perniku. Od października będzie w Sofii, rok akademicki zaczyna się tam tak jak u nas.

– Nie widziałaś go dwa lata, przez ten czas ani razu z nim nie rozmawiałaś... Szczerze ci powiem: to niezwykle.

– Teraz długo nie pisał. To mnie martwi, nie ukrywam – zwierzyłam się – ale postanowiłam poczekać, nie odzywać się pierwsza. Zobaczmy, co będzie.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Nie ma dobrej rady. To okropne, że nie możecie się spotkać. Może w przyszłym roku?

– A co się zmieni do przyszłego roku?

Okazało się, że zmienić się może bardzo wiele, czasem w jednej chwili, w jednym momencie nic już nie będzie takie jak dawniej. Zmiana to stan ciągły, tylko czasami widać ją na pierwszy rzut oka, a czasami po wielu latach.

W połowie października dostałam wreszcie list od Borysa, po czterech miesiącach milczenia.

Zdrawej, moja Łucja!

Nie wiem, czy mogę jeszcze pisać moja. Ułynęło tyle czasu od tych pięknych dni, które spędziliśmy razem.

Wiesz, tego lata byłem w lipcu nad morzem. W Batcziku. Pamiętasz, byliśmy tam razem. Uwierz mi, jak tylko wysiadłem z autobusu, od razu pomyślałem o Tobie. I od razu, z bagażem, poszedłem prosto na plażę, gdzie byłem z Tobą. Tak, właśnie tak było, zamiast iść do pokoju, w którym miałem mieszkać, poszedłem na plażę, gdzie byliśmy razem. Pamiętasz, tam pewna kobieta miała do nas pretensje, że za bardzo się całujemy. Łucjo kochana, tak strasznie ciężko na duszy, że jesteśmy rozdzieleni. Nie chcę, żeby między nas wkradło się zwątpienie, nie chcę! Pisz do mnie, proszę cię! Pisz jak najczęściej.

Z całych sił jeszcze raz będę prosił moich rodziców, żeby przygotowali dla ciebie zaproszenie. Może się uda spotkać za miesiąc? Muszę Ci przystać to zaproszenie. Obiecuję!

Co mogę napisać o sobie? Zaczął się rok akademicki, a z nim studenckie życie. Idę na uczelnię, wracam, idę, wracam. Studiuję drugi kierunek, o czym już wspominałem. Gdy skończę studia, będę mógł wybrać, w jakim zawodzie chcę pracować. W wolnych chwilach uczę się włoskiego. Poza tym nic nowego. Tęsknię i nie przestaję myśleć o Tobie. Całuję Cię i mam nadzieję, że wreszcie będę mógł to zrobić naprawdę...

Minał kolejny miesiąc, nie łudziłam się już, że pojedę do Bułgarii na sylwestra. Nie byłam jednak w stanie nie odpisywać na listy Borysa. Robiłam wszystko, żeby podtrzymać tę słabnącą, ślaniającą się miłość. Szukałam różnych aktualnych informacji o Bułgarii, ale było to trudne. Czasami chodziłam do Bułgarskiego Instytutu Kultury przy Alejach Ujazdowskich, ale niewiele się tam wtedy działo. Wypożyczałam w bibliotece bułgarskie powieści. Przeczytałam też *Sztukę ziemi trackiej, Traków* Danowa i książkę *Bułgarzy: od czasów pogańskich do podboju przez Turcję Osmańską* Langa. Słuchałam Jeana-Michela Jarre'a, bo Borys pisał mi, że słucha jego muzyki wieczorami i myśli o mnie. Rozpaczliwy muzyczny audiomost. Nie miałam dostępu do żadnej bułgarskiej muzyki. Pamiętałam, że Borys wymieniał nazwę Ahat, czyli agat. Gdyby w latach osiemdziesiątych ktoś wymyślił internet, nie mielibyśmy takich problemów. No, nie wymagajmy zbyt wiele, wystarczyło gdybym przynajmniej miała w domu telefon... Niestety, realia pocztowe też były przeciw nam. Nie było sensu wysyłać w paczce żadnych kaset. Raz wysłałam koleździe do Olsztyna dwie kasety z koncertowymi nagraniami Moskwy, Dezertera i grupy Izrael. Dostał paczkę, owszem, ale w środku były tylko... puste pudełka po kasetach.

Przed świętami Borys napisał długi list, jak zwykle czuły, wspominając niezmiennie o ciąży nad nami fatum. Prosił o zdjęcia. Lubił wieszać je nad łóżkiem i patrzeć na nie przed snem. Uświadomiłam sobie, że pamiętam go dobrze, ale już nie tak wyraźnie, jak bym tego pragnęła. Oczywiście nie zapomniałam, jak wygląda, że jest wysportowany, przystojny. Podziwiałam kiedyś jego swobodę ruchów, ale zatarły się w pamięci drobne gesty, szczegóły. Jakie ma rzęsy? Jaki kształt mają jego paznokcie? Przecież tak lubiłam jego ręce. Czy lubi piwo? A może woli wino albo rakiję? Nie pamiętałam. Czy pamiętam smak jego pocałunków? Nie byłam pewna. „Lepiej o tym nie myśl”, nakazałam sobie. „Zajmij się czymś innym”.

Na czwartym roku studiów miałam sporo nauki. Czekały mnie ostatnie egzaminy z realizmu i impresjonizmu, z postimpresjonizmu i secesji. A w sesji letniej trudny egzamin ze sztuki XX wieku. Musiałam też wybrać temat pracy magisterskiej. Chciałam pisać o polskim baroku. Przymierzałam się do pracy o życiu i dziełach Tylmana z Gameraen, najwybitniejszego architekta XVII wieku, Holendra z urodzenia, Polaka z wyboru. Mistrza harmonii, który miał pracownię w Ujazdowie. Spacerowałam po Warszawie i oglądałam to, co zaprojektował: Pałac Krasińskich, urokliwy maleńki kościół Sakramentek na Nowym Mieście, kościół Bernardynów na Czerniakowie. Podobał mi się monumentalny, dekoracyjny styl pozbawiony patosu. Chciałam w przyszłości obejrzeć wszystkie dzieła Tylmana w Krakowie, Rzeszowie, w Gdańsku i Lublinie.

Zaczął się kolejny rok, studia dopiero teraz wciągnęły mnie na dobre. Rozsmakowałam się w nich, już nie opuszczałam wykładów, nie zajmowałam się na nich pisanem listów. Wszystko mnie ciekawiło. Może to świadomość końca studiowania sprawiła, że postanowiłam wykorzystać ten czas najlepiej, jak potrafię. Nie mogłam tego powiedzieć o trzech poprzednich latach. Teraz zamierzałam kierować się instynktem i pasją. W końcu zgłębiałam coś fascynującego, historię sztuki, czyli historię ludzkich szaleństw, jak pisał Herbert.

Mijała kolejna zima, autobus codziennie taplał się w śniegu, trwały obrady przy Okrągłym Stole. Czytałam książki, chodziłam do kina, zdawałam egzaminy, spotykałam się ze znajomymi. Wiosną były podwyżki prawie wszystkiego. Zerwał mi się srebrny łańcuszek, który dostałam od Borysa. Nosiłam go tak długo, że już czerniał. Wyczyściłam go i odłożyłam do szkatułki. Zła wróżba? Znak od losu? Bezgraniczna miłość jednak miała granice, wiele granic, nie była w stanie ich pokonać.

W czerwcu miały się odbyć w Polsce kontraktowe wybory. Szło nowe, niektórym tak się przynajmniej wydawało, mój tato do nich nie należał.

W marcu na seminarium profesor zaproponował mi inny temat pracy magisterskiej. Miałam pisać o bardzo zdolnym polskim architekcie okresu baroku, Kacprze Bażance. Mało było o nim materiałów, bo zmarł młodo i niewiele dzieł po sobie zostawił, ale – jak zapewniał promotor – praca i badania mogą być ciekawe. Po krótkim namyśle zgodziłam się, miałam nowy cel naukowy.

Powoli zapoznawałam się z Kacprem Bażanką. Pochodził z Podlasia. Studiował w Akademii Świętego Łukasza w Rzymie. W 1704 roku, w wieku 24 lat, zdobył tam pierwszą nagrodę w konkursie. Po powrocie do Polski w 1711 roku rozpoczął pracę nad swoim największym dziełem: odbudową kościoła i klasztoru Norbertanek w Imbramowicach. Często stosował lustra odbijające światło oraz malowidła iluzjonistyczne. Pracował głównie w Krakowie, w kościele św.św. Piotra i Pawła, dla którego zaprojektował figurowe ogrodzenie, oraz na Wawelu. Podobno cierpiący na padaczkę artysta wypadł z sań w mroźny wieczór. Zanim go znaleźli, zamarł. Pochowano go w 1726 roku w kościele św.św. Piotra i Pawła w Krakowie, z którym był najbardziej związany.

O tym wszystkim nie pisałam Borysowi. Listy od niego przychodziły już dużo rzadziej. Raz na dwa, trzy miesiące. Dostrzegłam też zmianę w sobie. Zaczęli mnie interesować młodzi mężczyźni, zauważałam ich, niektórych nawet obserwowałam. Zastanawiałam się, czy mogą mnie pokochać. Nie wszyscy byli nieciekawi, jak dotąd myślałam, zdarzali się naprawdę interesujący, sympatyczni, inteligentni, z poczuciem humoru. Jeden pasjonował się kinem, drugi sportem, trzeci uwielbiał górskie wycieczki.

W maju, na dwudziestych trzecich urodzinach Jolki, poznałam Marcina. Był kolegą jej chłopaka, Marka, studiowali razem na Politechnice. Marcin nie odstępował mnie na krok. Przetkańczyliśmy razem cały wieczór. Dobrze tańczył, a ja lubiłam tańczyć. „W tańcu dobrze widać, jaki kto ma

charakter”, mawiała ciocia Wanda, która też uwielbiała tańce. Opowiadała mi kiedyś, że poznali się z wujkiem Stefanem właśnie na potańcówce na Bielanach. „Ludzie tańczący potrafią się lepiej zgrać i rozumieć bez słów. Mogą się lepiej poznać w tańcu – mówiła. – Muzyka pogłębia emocje. Często od tańca zaczyna się przyjaźń albo miłość. Od razu widać, kto ma poczucie rytmu, a kto nie, kto lubi prowadzić, a kto się do tego nie nadaje, kto lubi wolno, a kto szybko, jeden woli podskakiwać, a drugi tylko się niemrawo przesuwać. Inaczej tańczy nieśmiały, a inaczej pewny siebie. Taniec to zarówno forma, układ, system kroków, jak i szaleństwo i improwizacja. Stałe zasady i fantazje tancerza. Tak, w tańcu może się wiele wydarzyć. Przetańczyć z kimś noc to o wiele przyjemniejsze, niż zjeść beczkę soli”, przypomniałam sobie słowa cioci Wandy.

Marcin wolał spokojniejsze tańce, ale lubił improwizować. Miał ładne ręce. Pomyślałam o nich, że są dobre. Niewiele mówił o sobie, nie próbował mnie olśnić ani natrętnie wypytywać. Rozmawialiśmy od niechcienia o studiach i o wakacyjnych planach. Na początku czerwca wyjeżdżał ze znajomymi na kilka dni w Góry Stołowe. Pod koniec imprezy nieoczekiwanie zapytał, czy chciałabym z nimi pojechać. Byłam zaskoczona propozycją. Odparłam, że się zastanowię. Nie miałam telefonu, więc umówiliśmy się za tydzień, w sobotę, na spacer po Polu Mokotowskim, przy „Klubie Medyka”.

Przez całą imprezę Jolka i Marek obserwowali nas dyskretnie. Wymieniłam z przyjaciółką kilka uśmiechów. Wydawała się zadowolona.

Marcin był punktualny. Przyszedł na spotkanie z bukietem konwalii, czym mnie oczywiście rozczulił. Dawno nie dostałam kwiatów od chłopaka. Spacerowaliśmy kilka godzin. Jego pasją była informatyka i górskie wędrówki. Był wysokim, szczupłym szatynem o piwnych oczach. Zaciekał mnie, lubiłam entuzjastów. Postanowiłam skorzystać z propozycji i wyjechać na pięć dni z nim i jego znajomymi. Tym sposobem nie miałam okazji wziąć udziału w pamiętnych czerwcowych wyborach. Mój tato świadomie je zbojkotował. Ja wybrałam wędrówki po bajkowych skalnych labiryntach Szczelińca Wielkiego i Szczelińca Małego oraz ruchome szopki w Wambierzycach. Tato oznajmił, że nie będzie brał udziału w wyborczej szopce politycznej.

Podobam się Marcinowi, tak, już to wiedziałam. Na górskich szlakach był opiekuńczy i troskliwy. Na kwaterach i w schroniskach zawsze wybierał miejsce obok mnie, chociaż byliśmy w ośmioosobowym gronie dziewczyn i chłopaków. Po powrocie chciał kontynuować znajomość. Odwiedził mnie w domu, w naszym dwupokojowym mieszkaniu. Spodobał się mojej mamie. Małostkowo podejrzewałam, że spodobałby się jej każdy student, który mówi po polsku i mieszka niedaleko, a Marcin mieszkał w Śródmieściu. Miał więc wszystkie potrzebne atuty.

W czerwcu zdałam egzaminy, jedno lepiej, drugie gorzej. Trafiła mi się też niecodzienna i nieoczekiwana oferta. Wyjazd studencki na trzy tygodnie do Związku Radzieckiego, tak zwana kulturalna wymiana z Uniwersytetem im. Łomonosowa. Dziesięcioosobowa grupa dziewczyn z naszego roku miała spędzić dwa tygodnie w Moskwie i jeden tydzień w Leningradzie. Byłby to mój drugi wyjazd zagraniczny, po Bułgarii. Pojechałam.

W Moskwie zwiedzałyśmy muzea i do znudzenia jeździłyśmy metrem, tak się nam spodobało. Polubiłam kwas chlebowy z ulicznych automatów, biały twaróg i ulewny, ciepły letni deszcz, który spadał gwałtownie i równie szybko ustawał. W Leningradzie zaś oszołomiły mnie słynne białe noce. Nie mogłyśmy spać do drugiej, trzeciej nad ranem, chodziłyśmy po pięknym mieście, opisanym w powieściach Dostojewskiego, szukając adresu Raskolnikowa czy Nastazji Filipowny. Podziwiałymy niezwykle bogactwa zgromadzone w Ermitażu, ale największym szokiem było

Muzeum Historii Religii i Ateizmu, urządzone w dawnej katedrze prawosławnej pw. Matki Boskiej Kazańskiej, gdzie każda religia miała swoje „stoisko” z rekwizytami. Narzędzie propagandy nie do zapomnienia.

Po powrocie dowiedziałam się, że prezydentem Polski został generał Jaruzelski.

– Nawet nie będę tego komentował, szkoda słów – powiedział tato.

Zniesiono kartki na mięso. Panował chaos rynkowy, niektóre towary podrożały siedmiokrotnie.

Borys nie napisał ani słowa od kwietnia. Ja też milczałam, ale on nadal stał na cokole z moich marzeń. Na piedestale zbudowanym z nieobecności.

Marcin odwiedził mnie w sierpniu i zapytał, czy nie wybrałabym się z nim na rejs jachtem po Mazurach, razem z Jolką, Markiem i jeszcze jednym kolegą. Zgodziłam się, nie miałam innych planów. Pojechaliśmy. Byłam bardzo zadowolona z rejsu, bo tworzyliśmy zgraną ekipę. Jola obserwowała nas ukradkiem i szepnęła mi parę razy, że Marcin jest we mnie zakochany. Nie dawałam temu wiary. Bagatelizowałam to. Nie przyjmowałam do wiadomości. Powiedziałam mu przecież, że mam chłopaka w Bułgarii, że kocham Borysa. Zaakceptował to, ale skomentował:

– Niby jest, ale właściwie go nie ma.

We wrześniu Marcin przedstawił mi ciekawy pomysł. Jego znajomi co roku pracowali latem na Krecie, zbierając winogrona. Jesienią rozpoczynał się sezon zbioru oliwek. Marcin zaproponował, żebyśmy wzięli urlop dziekański i pojechali na zbiory do Grecji. Znajdziemy pracę, a za zarobione pieniądze będziemy mogli zwiedzić ten piękny kraj, oczywiście weźmiemy namiot, będziemy podróżować autostopem.

Propozycja Marcina mnie zachwyciła. Byłam żądna przygód, chciałam jechać w świat, poznawać go, doświadczać, oglądać. I zarabiać na swoje podróże. Pojadę! Jasne, że tak! Nie wahałam się ani chwili.

Rodzice, zaskoczeni pomysłem, początkowo byli sceptyczni, ale ostatecznie wyrazili zgodę. Tato miał wątpliwości, czy nie warto najpierw skończyć studiów, ale powiedziałam mu, że każdy je przedłuży. Dlaczego zawsze muszę być taka perfekcyjna i wszystko robić w terminie? Tym razem chcę inaczej. Dostałam urlop na uczelni. Kacper Bażanka może poczekać. Został mi ostatni, piąty rok studiów, czyli tylko pisanie i obrona pracy magisterskiej, zrobię to za rok, bez problemu.

Do ambasady Grecji na Żoliborzu stały długie kolejki. Wielu studentów chciało wyjechać z turystyczną wizą do sezonowej pracy. Wizę na trzy miesiące dostawał prawie każdy. Mieliśmy lecieć samolotem do Aten pod koniec października 1989 roku.

Wtedy też przypadkiem dowiedziałam się, że do Bułgarii można już swobodnie jeździć... bez zaproszenia.

9 Do Sofii naokoło

Na Krecie pracowaliśmy z Marcinem od jesieni do wiosny. Jako pracownicy najemni ze specjalnością: oliwki i pomarańcze. Gałązki oliwne trzepane trzepaczką i niebieskie plastikowe płachty rozkładane pod drzewami śniły mi się po nocach. Zdecydowanie wolałam zbierać pomarańcze, chociaż gałązki miały długie kolce i dotkliwie drapały dłonie.

Mieszkaliśmy w urokliwej wiosce niedaleko Chani. Wynajmowaliśmy mały domek wraz z innymi Polakami ciułającymi drachmy. Tam dowiedziałam się o Jesieni Ludów, a w grudniu o egzekucji rumuńskiego dyktatora. Świat się zmieniał na naszych oczach.

Zarobione pieniądze odkładaliśmy na podróż po Grecji. Trwała ponad miesiąc. Zwiedziliśmy ten piękny kraj, podróżując autostopem. Rozbijaliśmy namiot w najdziwniejszych miejscach. Powoli kierowaliśmy się na północ. Droga powrotna wiodła oczywiście przez Bułgarię.

Na granicy grecko-bułgarskiej byłam podekscytowana i podenerwowana. Jednak nie bardzo obchodziło mnie to, że jest czwarty kwiecień, a więc wizy w naszych paszportach są dawno nieważne, że nielegalnie przedłużyliśmy pobyt w Grecji o kilka miesięcy i możemy mieć kłopoty albo płacić karę. Moje emocje miały inne źródło:

„Wkrótce będę w Bułgarii!”, myślałam z radością. „Wreszcie!”

Wprawdzie od roku nie miałam od Borysa żadnych wiadomości, ale może jesienią lub zimą do mnie pisał? Nie wiedziałam, nie miałam żadnego kontaktu także z rodzicami. Miesiąc temu napisałam im tylko w liście, że wracam na początku kwietnia.

Idę do Bułgarii! Pieszko! Będę w Sofii, WRESZCIE zobaczę Borysa! Muszę go zobaczyć! Tak długo się nie widzieliśmy. Trzy i pół roku! Ponad tysiąc dwieście dni. Żałowałam, że nie mogę go wcześniej zawiadomić, jakoś uprzedzić. Miałam w notesie adres jego akademika – sprzed roku. Prawdopodobnie nadal tam mieszka. Spotkam go!!!

Grecy na granicy długo oglądali nasze nieaktualne wizy, ale widocznie wykroczenie nie było zbyt poważne, bo bez słowa machnęli ręką i przybili pieczętki na do widzenia. Szybkim krokiem ruszyliśmy z plecakami do Bułgarii. Kontrola w Kułacie była tylko formalnością. Za przejściem granicznym zdjęliśmy plecaki i obserwowaliśmy samochody, które przekraczały granice. Osobowe i ciężarowe. Trzeba było wytypować taki, który byłby „złotą strzałą” i zawiózł nas od razu do Sofii. Mieliśmy już spore doświadczenie na stopie. Wiedzieliśmy, że na długie trasy najlepsze są tiry. Marcin podszedł więc do kierowców tirów, żeby zapytać, czy ktoś jedzie przez Sofię i czy nas zabierze. Zgłosił się turecki kierowca, który jechał do Sofii, a potem do Turcji. Natychmiast załadowaliśmy plecaki do jego szoferki. Turek mówił tylko w ojczystym języku, więc trudno było się porozumieć, ale wydawał się sympatyczny i częstował nas bananami. Zjadłam ich tyle, że stara droga handlowa Saloniki–Sofia będzie mieć dla mnie zawsze smak bananów. Jechaliśmy na północ, przez Błagoewgrad i miejscowość o zabawnie brzmiącej nazwie Dupnica. Mijane miasta wydały mi się szare, niezbyt piękne. W pobliżu Sofii zwróciłam uwagę na drogowskazy z nazwą miasta: Pernik. To przecież rodzinne miasto Borysa, tam mieszkają jego rodzice.

Już wczesnym popołudniem zobaczyłam szare bloki na przedmieściach bułgarskiej stolicy. Sofia leżała w kotlinie. Ogarnął mnie niepokój zmieszany ze wzruszeniem.

Turecki kierowca wysadził nas gdzieś „w pobliżu centrum”. Pożegnaliśmy się i ruszyliśmy w kierunku, który nam wskazał. Było ciepło, świeciło słońce, drzewa już zielone. Szłam powoli,

rozglądając się. Może gdzieś zobaczę Borysa? Jak idzie sobie ulicą... To by dopiero było niesamowite spotkanie. Ale nie, jest poniedziałek, środek dnia, pewnie Borys ma zajęcia, wykłady, chyba nie spaceruje po mieście. Nie mieliśmy żadnej mapy, drogowskazem były złote kopuły cerkwi. Po drodze wstąpiliśmy do banku, żeby wymienić pieniądze, chcieliśmy kupić bilet na samolot.

Sofia na pierwszy rzut oka wydała mi się szara, dominowały betonowe komunistyczne bloki. W centrum było trochę starszych, stylowych kamienic, ale bardzo zaniedbanych. W sklepie kupiliśmy przekąskę: bułgarskie baniczki z serem. Wszystko może działać jak wehikuł czasu, jakiś przedmiot, muzyka, a zwłaszcza smak i zapach. Zalały mnie wspomnienia niezapomnianych dni z Borysem. Przypomniałam sobie, jak mi przedstawił baniczki tamtego lata, w Warnie. Od kilku miesięcy codziennie był przy mnie Marcin, razem pracowaliśmy, razem podróżowaliśmy, to nas łączyło. Wspólne życie na obczyźnie. Blaski i cienie. Smutek i radość z przeżywanego razem greckiego przygody. Był dobrym człowiekiem, lubiłam go, ceniłam, wiedziałam, ile jest wart. Kochał mnie, ale w moim sercu nadal był Borys. Moja miłość przeszła w stan chroniczny, utajony. Przyczaiła się, ale nie zniknęła, nie odeszła. Myślałam, że jest wieczna, czasami wydawało mi się, że jednak wietrzna, ale nie przemieniała z wiatrem, nie rozwiała się, nie uleciała. Była częścią mnie.

Poszliśmy z plecakami do największej i najbardziej ozłoczonej cerkwi św. Aleksandra Newskiego zbudowanej w stylu neobizantyjskim. Obejrzeliśmy ją, dźwigając ze sobą plecaki. W pobliżu stał pomnik cara Aleksandra II, cara Wyzwoliciele, wielbionego w Bułgarii. Ten pomnik nie może podobać się Polakom. Wolimy nie pamiętać, że ten car został odznaczony Orderem Orła Białego i był królem Polski przez dwadzieścia kilka lat.

Niewygodnie było zwiedzać miasto z bagażem, postanowiliśmy więc pojechać na lotnisko i kupić bilety na samolot. Potem koniecznie musiałam znaleźć Borysa w miasteczku studenckim. Na spacer po Sofii chciałam iść z nim. Marcin nie był zachwycony tym pomysłem, ale nie protestował. Liczył na to, że jeszcze dzisiaj będziemy mieli samolot do Warszawy. Tak by wolał.

Najbliższy samolot do Warszawy odlatywał następnego dnia o wpół do drugiej. Marcin miał skwaszoną minę, najchętniej odleciałby stąd natychmiast, ale ja się ucieszyłam. Nie mogłam wyjechać bez rozmowy z Borysem. To było ważne. Tyle o tym myślałam. To, że za parę godzin go spotkam, napawało mnie dziką radością.

Kupiliśmy bilety, wzięliśmy plecaki i wyszliśmy przed lotnisko. W informacji wskazano nam odpowiedni autobus, który jechał w stronę miasteczka studenckiego. Życzliwi pasażerowie zadbali, żebyśmy wysiedli na odpowiednim przystanku, wśród szarych wysokich bloków, które przypominały akademiki przy Żwirki i Wigury. Było po godzinie siedemnastej.

Borys mieszkał ostatnio w bloku numer 1. Podeszliśmy do najbliższego akademika, miał właśnie taki numer. Weszliśmy do środka. W dużej oszklonej recepcji siedziała otyła kobieta w średnim wieku. Po minie poznałam, że nie lubi swojej pracy. Przywitałam się po bułgarsku i, przechodząc na rosyjski, zapytałam:

- Czy mieszka tu Borys Grigorow?
- Tak, mieszka! W pokoju numer 763.
- Czy jest w pokoju? – Serce waliło mi coraz mocniej.

Recepcjonistka zadzwoniła na piętro, telefon prawdopodobnie wisiał na korytarzu. Już wiedziałam, dlaczego nigdy nie mogłam się tutaj dodzwonić. Telefon na korytarzu odbierały przechodzące przypadkowe osoby albo nie odbierały wcale, by oszczędzić sobie fadygi. Po bardzo długiej chwili ktoś jednak odebrał i rozmawiał z recepcjonistką. Trwała wymiana zdań, nie bardzo

rozumiałam, o co chodzi. Recepcjonistka odłożyła słuchawkę i oznajmiła burkliwie:

– Nie ma go, w pokoju są współmieszkańcy.

– Proszę zadzwonić jeszcze raz. Chciałabym zostawić jego kolegom wiadomość dla Borysa. Może poczekam gdzieś w pobliżu.

Recepcjonistka z niecierpliwym fuknięciem ponownie wybrała numer wewnętrzny. Znowu długo trwało, zanim ktoś raczył odebrać na siódmym piętrze. Za chwilę kobieta bez słowa podała mi słuchawkę.

Przedstawiłam się, powiedziałam, skąd jestem, i po rosyjsku zapytałam o Borysa.

– Nie wiem, kiedy wróci – odparł męski głos – ale poczekaj na dole, zaraz tam zjadę.

– Dobrze, bardzo dziękuję. – Odłożyłam słuchawkę, ciekawa, co się wydarzy.

Po dziesięciu minutach z windy wysiadło dwóch Bułgarów, jeden był mojego wzrostu, o czarnych, prostych, zaczesanych do tyłu włosach, drugi – niski, krępy, z czarnymi, kręconymi włosami i grubymi, krzaczastymi brwiami – przypominał kudłatego niedźwiadka. Podeszli do mnie.

– *Zdrawej!* – powiedział ten wyższy. To z nim rozmawiałam przez telefon. – Mam na imię Stojan. A to jest Kirył. Mieszkamy z Borysem.

Przedstawiłam im Marcina, który stał przy plecakach, z boku.

– Chciałabym koniecznie spotkać się z Borysem – zaczęłam. – Jutro mam samolot do Warszawy. Czy można tu gdzieś poczekać albo prznocować? Może da się wynająć pokój gościnny w akademiku?

Stojan wykonał głową gest zaprzeczenia, który wywołał uśmiech na mojej twarzy, chociaż odmowa powinna mnie zmartwić. Czar wspomnień.

– Niestety, do akademika mogą wchodzić tylko zameldowani mieszkańcy. Nie możemy teraz tak po prostu wjechać windą na górę. Nie ma u nas pokoi gościnnych – mówił półgłosem po rosyjsku. – Ale nic nie szkodzi, zapraszamy was, możecie prznocować u nas. Poczekać na Borysa w pokoju. Musimy tylko wejść inaczej, przez okno, bo ona nas nie przepuści. – Dyskretnie wskazał ręką recepcjonistkę.

– Jak to: przez okno? Gdzie? – zdziwiłam się.

– Kirył zaraz pójdzie do jednego pokoju, gdzie mieszkają nasi przyjaciele. Na parterze. Poprosi, żeby otworzyli okno. Wejdziecie tamtędy.

Miałam niepewną minę, więc dodał:

– Spokojnie, to nic trudnego. Wiele osób już tam wchodziło. Znany szlak. – Uśmiechnął się i potem szepnął coś do Kiryła.

Kolega oddalił się szybkim krokiem, a Stojan wskazał nam drzwi wyjściowe. Ruszył przodem. Wzięliśmy plecaki i wyszliśmy z budynku. Obeszliśmy akademik i szliśmy wzdłuż okien od strony ulicy. Stojan zatrzymał się pod oknem na parterze, które było otwarte na oścież. W oknie ukazała się głowa Kiryła. Skinął ręką, żebyśmy najpierw podali plecaki. Bagaze szybko zniknęły w środku. Teraz Stojan popatrzył na mnie:

– Twoja kolej. Śmiało! Pomożemy.

Miałam na sobie trampki, stare farbowane zielone dżinsy i długi kolorowy rozciągnięty sweter, który sama zrobiłam z różnych włóczek. Nie był to idealny strój wspinaczkowy, ale musiałam przecież jakoś dać sobie radę. Parter nie był zbyt wysoki. Oparłam stopę na wystającym murku, chwyciłam rękę Marcina, odbiłam się i złapałam parapetu. Podciągnęłam się na rękach, Kirył chwycił mnie z góry. Opierając się stopami na murze, wgramoliłam się do środka. Niezbyt zgrabnie, ale

skutecznie. Przywitałam się z męskimi mieszkańcami pokoju, którzy wyglądali na rozbawionych. Stanowiliśmy atrakcyjny przerywnik w nauce. Za chwilę na parapecie pojawił się Marcin. Kirył zamknął okno i powiedział, żebyśmy poczekali na Stojana. Gdy do pokoju wszedł Stojan, dla odmiany drzwiami, podziękował kolegom za pomoc, wziął mój plecak i wyszliśmy na korytarz. Ruszyliśmy schodami na wyższe piętro i dopiero tam skierowaliśmy się do windy. Reguły życia w akademiku były rzeczywiście dość surowe. Goście – a może cudzoziemcy? – mogli wchodzić tam tylko ukradkiem, najlepiej przez okno!

Szliśmy długim korytarzem z białymi drzwiami po obu stronach. Stojan otworzył kluczem jedno z nich w rzędzie po prawej. Weszliśmy do trzyosobowego pokoju, w którym mieszkał Borys z kolegami. Był to duży pokój, wyposażony tylko w niezbędne, proste sprzęty. Tapczan Borysa stał po prawej stronie od drzwi, wzdłuż ściany. Biała pościel była przykryta szarym wojskowym cienkim kocem. Nad łóżkiem znajdowała się pojedyncza półka z podręcznikami. Książki geologiczne, techniczne, wyższa matematyka. Kilkanaście tytułów. Żadnych ozdób, żadnych zdjęć, żadnych gadżetów. Ani jednego osobistego drobiazgu. Dalej znajdował się tapczan Stojana, pod oknem był kącik Kiryła. W pokoju stała jeszcze niewielka szafa, po lewej stronie od drzwi, a na środku duży drewniany stół bez obrusa i cztery krzesła. Skromne, podstawowe wyposażenie. Zaskoczyło mnie tylko, że pokój nie był małą klitką, ale miał sporą powierzchnię. Na podłodze, na karimatach mogło przenocować kilka osób. Na piętrze znajdowały się wspólne toalety i łazienka. Akademik był koedukacyjny.

Postawiliśmy nasze plecaki ze stelażem w kącie przy drzwiach, żeby nie przeszkadzały. Usiadłam na łóżku Borysa, dotknęłam ręką koca. Czułam wzruszenie i niedowierzanie. To niemożliwe! Jestem tutaj, w jego pokoju. Przejechałam tyle kilometrów, żeby tutaj dotrzeć, chociaż pewnie za późno, nie w porę. Ciekawe, jak zachowa się Borys, gdy wróci i mnie zobaczy. Przeżyje szok, to pewne. Ale chyba się ucieszy. Na pewno się ucieszy, w końcu trochę go znałam. Musimy porozmawiać. Mój Boże, dlaczego marzenia spełniają się w tak pokrętny sposób? Czasem te spełnione trudno rozpoznać w nowym kształcie, w nowej postaci. Miałam przyjechać do Borysa na wakacje albo on do mnie, a tymczasem po roku milczenia zjawiam się niespodziewanie, po półrocznym pobycie w Grecji, w towarzystwie chłopaka, przejazdem, w przelocie, na kilkanaście godzin. Czego oczekiwałam? Właściwa odpowiedź brzmiała: niczego. Nie miałam żadnych oczekiwań. Chciałam go tylko zobaczyć, dowiedzieć się, co u niego, jak mu się wiedzie i czy jest szczęśliwy. Jakie ma plany. Opowiedzieć mu o sobie, co się ostatnio ze mną działo i dlaczego towarzyszy mi Marcin. Przecież nie mogłam wyjechać z Sofii, nie zobaczywszy Borysa. Jest częścią mojego życia. Zawsze będzie.

Stojan i Kirył chcieli nas jakoś ugościć. Wkrótce na stole pojawił się chleb, ser, pomidory, jakieś wędliny, wino. My wyjęliśmy z plecaków greckie konserwy, które zostały nam z podróży, pszenne grecki chleb i czarną herbatę Lipton w torebkach z greckiego supermarketu. Greckie kalmary w zalewie zyskały uznanie, ale herbata wzbudziła zdziwienie. Pamiętałam, że w Bułgarii nie pije się czarnej herbaty, podobnie jak w Grecji, i trudno ją kupić. Bułgarzy preferują kawę albo herbaty ziołowe. Na czarną herbatę mieliśmy ochotę tylko ja i Marcin.

– Jesteście chorzy? – pytali nas Bułgarzy. – Herbatę pije się podczas choroby.

Wiść o wizycie cudzoziemców szybko rozeszła się po piętrze. Stanowiliśmy niecodzienną atrakcję. Ciekawy przerywnik w wieczornej rutynie poniedziałku. Do pokoju wciąż zaglądały nowe osoby, koledzy i koleżanki z sąsiedztwa – obejrzeć nas, przywitać się, zamienić kilka słów.

– Skąd przyjechaliście? Dokąd jedziecie? – pytali.

– Co tu robicie?

– Dlaczego nie zostajecie dłużej?

Nie zapamiętałam wielu imion. Czasem przychodzili z własnymi krzesłami. Często palili papierosami. Zauważyłam, że wszyscy tutaj palą, i to dużo. Siedzieliśmy w kłębach dymu. Było to trochę uciążliwe, bo nie należałam do palaczy. Marcin też nie.

Rozmowa była bardzo sympatyczna, ale ja nerwowo, w rosnącym napięciu, zerkałam na drzwi i nieruchomiałam za każdym razem, gdy się otwierały. Kiedy ukaże się w nich znajoma sylwetka? Wchodzili różni ludzie, ale nie Borys. Marcin, początkowo sztywny i milczący, rozkręcił się i aktywnie brał udział w rozmowie. Mówiliśmy specyficzną mieszanką: angielsko-rosyjsko-bułgarsko-polską. Opowiadaliśmy Bułgarom o przemianach politycznych w Polsce, o systemie studiów u nas, o wyjeździe do Grecji i pracy dla cudzoziemców z turystyczną wizą. Oni nie mogli tam wyjeżdżać, ale byli bardzo zainteresowani sezonową pracą, wielkością zarobków, autostopem i wieloma innymi rzeczami, o których mówiliśmy tego wieczoru. Opowiadaliśmy im o pracy zimą na Krecie, przecież byliśmy ekspertami od gajów oliwnych i pomarańczowych. Z radia dobiegały przeboje Roxette, czas szybko mijał.

Borysa nadal nie było. Pytałam gospodarzy, co się dzieje w Bułgarii. Opowiadali o ostatnich zaskakujących, dynamicznych zmianach, buchając dymem. Usłyszeliśmy, że w listopadzie władzę stracił Todor Żiwkow, który parę miesięcy później, czyli już w tym roku, został aresztowany. Bułgarska Partia Komunistyczna zmieniła nazwę na Socjalistyczna, a potem założono Bułgarską Partię Socjaldemokratyczną. Właśnie wczoraj parlament wybrał komunistę Petyra Mładenowa na prezydenta, ale nie były to demokratyczne wybory. W Bułgarii trwały obrady Okrągłego Stołu. Gorący czas, kiedy wszystko wydawało się kruche, niepewne, niestabilne, pozorowane, tymczasowe.

Zorientowałam się, że współmieszkańcy Borysa nie byli jego bliskimi przyjaciółmi, niewiele o nim wiedzieli. Przypadkiem mieszkali razem w akademiku. Studiowali różne kierunki, pochodzili z różnych regionów Bułgarii, mijali się w pokoju.

– Gdzie jest Borys? – pytałam.

– Nie wiemy – odpowiedział Stojan.

– Czy dzisiaj wróci?

Wzruszali ramionami.

– Może wyjechał do Pernika?

– Nie, był tam podczas weekendu – odparł Stojan. – Wczoraj wrócił, nocował w akademiku, widzieliśmy się rano.

– Co u niego?

– Normalnie, wychodzi i wraca – dodał Kiril.

– Co robi wieczorami?

– Czyta, uczy się, czasami wychodzi.

– Kiedy skończy studia?

– Jak wszystko pozdaje w terminie, to pewnie za dwa lata – poinformował Stojan.

– Może poszedł do jakichś znajomych, do dziewczyny?

– Nie wiemy.

– Czy wróci na noc?

Nie potrafili odpowiedzieć.

– Czy można jakoś go zawiadomić, że na niego tu czekam?

– Nie.

– Może on w ogóle dzisiaj nie wróci? – zapytałam w końcu.

– Nie wiadomo, nigdy nie informuje, co zamierza robić – przyznał Kiril.

Nie chciałam być natrętna i zadawać zbyt wielu pytań, a z enigmatycznych odpowiedzi niewiele mogłam się dowiedzieć o Borysie. Może był taki skryty i nie opowiadał o sobie. A może współmieszkańcy nie chcieli podawać żadnych szczegółów. Krótko opowiedziałam im, skąd znam Borysa, gdzie i kiedy się poznaliśmy.

Rozmowa toczyła się niespiesznie w miłej atmosferze, jedni goście wychodzili, inni wpadali na chwilę. Od tyłu godzin niespokojnie spoglądałam na drzwi. Wieczór przeszedł w noc. Powoli zbliżała się północ. Stojan i Kiril zaczęli sprzątać ze stołu, to był znak, że impreza dobiegła końca. Wychodzili też ich znajomi. Nie wiedziałam, co robić. Czekać? Czekanie od lat kojarzyło mi się niezmiennie ze zjawiskiem o imieniu „Borys”. I drugie słowo: „nieobecność”. Zaczęłam się obawiać, że on w ogóle nie przyjdzie. Czy to możliwe, żeby fatum zadziało również teraz? Znowu? Nie zapomniało o mnie. Chyba bardzo przywiązało się do mnie i Borysa. Nie zamierzało nas opuścić? Nawet dziś?

Pomagaliśmy gospodarzom sprzątać, myć kubki i szklanki. Stojan zaproponował, żebym rozłożyła swój śpiwór na łóżku Borysa. Rozpakowałam śpiwór, wyjęłam kosmetyczkę i piżamę. Marcin rozpakował swój śpiwór i karimatę i rozłożył wszystko na podłodze koło stołu. Poszłam do łazienki, żeby się umyć. Myłam zęby w zbiorowej umywalni, patrzyłam w lustro i zastanawiałam się, co jeszcze może się wydarzyć. A co będzie, jeśli Borys wróci nad ranem i zastanie mnie śpiącą na jego łóżku? Po co fundować sobie – i jemu – coś takiego? I niech ktoś powie, że życie nie może nas zaskoczyć. Chęć zobaczenia Borysa była żywiołowa i silniejsza niż wszystkie obawy i niepewność. Wtedy przypomniała mi się piosenka Marka Grechuty do wiersza Ewy Lipskiej: „Była już taka miłość, ale nie mam pewności, że to była nasza. Byli już tacy ludzie, ale nie mam pewności, że to byliśmy my...”. Teraz rosła niepewność, czy dobrze zrobiłam, że tu przyjechałam bez uprzedzenia.

– Wolę spać na podłodze, tu rozłożę sobie karimatę – powiedziałam po powrocie do pokoju.

Stojan i Kiril zaprotestowali.

– Daj spokój, on już na pewno nie wróci na noc – powiedział Stojan. – Nigdy nie wraca tak późno. Śpij na łóżku.

Ustałam, ale niechętnie.

To było dziwne uczucie – leżeć na jego łóżku. Na cienkiej kołdrze i kocu. Lekko dotykałam chłodnej poduszki. „To jego poduszka”, myślałam ze wzruszeniem. Przedmiot ze świata Borysa, z jego codziennego życia tutaj. Taka namiastka jego obecności. Chciałam, żeby wrócił, żeby przyszedł... Dalej nie sięgała moja wyobraźnia. Tego „niebycia” też jeszcze dzisiaj rano nie mogłam sobie wyobrazić. Że się nie zobaczymy, nie porozmawiamy, rozmieniemy z daleka.

Nie można spać, gdy człowieka przepełniają emocje i uczucia, których nie da się wypowiedzieć słowami. Wydawało mi się, że nie zmrużę oka do rana, a jednak zapadłam w nerwowy sen. Obudził mnie słoneczny poranek. Rozejrzałam się po przestronnym pokoju. Stojan i Kiril już wstali. Marcin też nie spał. Borysa nie było. Co za intensywna nieobecność.

Zaczęłam się ubierać. Poszłam do łazienki, żeby umyć się i uczesać. Gdy wróciłam, Marcin już zwijał śpiwór i karimatę. Kiril zaproponował szybkie śniadanie: chleb i kawa, a dla nas czarna herbata. Obaj musieli jechać na zajęcia. Jedliśmy w milczeniu. Czułam zawód i rosnący żal. Trudno było go ubrać w słowa i położyć na stół.

Po śniadaniu poprosiłam o kartkę papieru. Napisałam krótki list.

Kochany Borysie, jest mi strasznie przykro, że nie mogliśmy się spotkać. Teraz muszę jechać na lotnisko. O 13.30 odlatuje mój samolot do Warszawy.

Ściskam Cię i pozdrawiam gorąco

Łucja

Wyrównałam pościel i koc, położyłam kartkę na środku łóżka.

Stojan i Kiril zaczęli pakować zeszyty do małych plecaków. Było po dziewiątej.

– Czy możemy wyjść z akademika przez recepcję? – zapytał Marcin.

– Tak, teraz już nikt nie będzie robił problemu. Ta najgorsza recepcjonistka już skończyła pracę – odparł Kiril.

Zjechaliśmy windą na parter i niezatrzymywani wyszliśmy z budynku. Bułgarzy odprowadzili nas na przystanek i wskazali numer autobusu, którym mieliśmy pojechać na lotnisko.

Podziękowałam im serdecznie za gościnę i miły wieczór.

– Pozdrówcie Borysa i opowiedzcie mu wszystko, o czym rozmawialiśmy – poprosiłam.

Kiwali głowami na boki – po bułgarsku. Uśmiechali się. Gdy wsiedliśmy do autobusu, pomachali nam na pożegnanie i poszli w swoją stronę.

Jechaliśmy na lotnisko, oglądając miasto zza szyby. Nic mnie w nim nie zachwyciło. Zniszczyła je szara, betonowa, komunistyczna zabudowa. Na pewno gdzieś były ładne zakątki, parki, ciekawe miejsca, ale ja ich nie widziałam, nie poznałam. Nie było mi dane. Za to bardzo spodobały mi się góry, które otaczały miasto pierścieniem. Zauważyłam też, że mieszkańcy akademika mają dobrą wodę w kranach, pewnie z pobliskich gór. W porównaniu z wodą warszawską smakowała znakomicie i nie zostawiała żadnych osadów na kubkach po herbacie.

Marcin cieszył się, że już wracamy do domu po tak długiej nieobecności. Za półtora tygodnia Wielkanoc. Ja miałam mieszane uczucia. Z jednej strony, również chciałam już znaleźć się w domu po tak długiej podróży, ale z drugiej, miałam ochotę zobaczyć miasto, w którym mieszka Borys. Zwiedzić je z nim. I najważniejsze: nie docierało do mnie, że los znowu tak z nas zadrwił, zabawił się naszym kosztem. Czy ktoś wymyśliłby taki scenariusz? Dlaczego akurat wczoraj Borys nie wrócił na noc do akademika? Coś niesamowitego! Życie zaskakuje i popycha człowieka w określonym kierunku. Nieodwracalnie. Bez możliwości odwrotu.

Wysiedliśmy z autobusu i weszliśmy do hali lotniska, które było niewielkie, podobnie jak w Warszawie. Mieliśmy ponad godzinę do odprawy. Ustawiliśmy plecaki-szafy koło ławki w głębi. Najpierw Marcin poszedł na rekonesans otoczenia, ale szybko wrócił, bo nie było wiele do oglądania. Potem ruszyłam ja. Niedaleko wejścia znajdował się sklepik z gazetami, słodyczami i napojami. Marcin, który przechowywał wszystkie nasze pieniądze, poprosił, żebym w tym kiosku wydała drobne lewy i stotinki, które nam zostały. Kupiłam jakieś batony i wyszłam przed sklep, trzymając na otwartej dłoni kilka drobnych monet. Chciałam je przeliczyć, ale na chwilę uniosłam głowę. W tym momencie do hali wbiegł wysoki mężczyzna w ciemnym płaszczu do kolan. Monety wypadły mi z ręki i z brzękiem rozsypały się po posadzce. Wtedy on też mnie zobaczył. Szybko ruszyłam w jego stronę. Podbiegł i wylądowałam w jego ramionach.

CZĘŚĆ 2

1 Powrót

Bułgaria, którą odwiedziłam w 1980, 1986 i 1990 roku, wydawała się daleka. Droga do niej była bardzo długa. Dopiero podróże lotnicze, coraz bardziej popularne i przystępne, skróciły ten dystans. Uprościły cały świat, ułatwiły mierzenie się z dawnymi rozdziałami naszego życia. Sentymentalna podróż w przeszłość stała się bardzo łatwa.

Kiedy przygotowywałam się do tej podróży, dawne wydarzenia i przygasłe emocje w przedziwny sposób nabierały barw, jakbym przeżywała je wczoraj, a nie ponad dwadzieścia lat temu. Jakby ktoś jednym ruchem stał z nich gruby kurz minionego czasu. Odzyskiwały dawne kolory. Co odkryję dla siebie, mając w pamięci tyle wspomnień? Co tam przeżyję? Jaka okaże się dla mnie „moja” Bułgaria? Po tylu latach, po zmianach, przemianach, odmianach i różnych skrajnych doświadczeniach. Po liftingu systemu, odnowie i eksperymentach modernizacji. Bliska? Daleka?

Na początku czerwca kupiłam bilety na samolot do Warny. Wylot dwudziestego pierwszego czerwca, w piątek przed południem. Wakacje w Bułgarii zbliżały się wielkimi krokami. Zarezerwowałam tani hotel w Warnie i droższy w Sofii, a także samochód na warneńskim lotnisku. Dalej zdamy się z moją koleżanką Agnieszką na łut szczęścia. Zobaczymy, co się wydarzy i jak się ułoży ta podróż. Zawsze warto częściowo coś zaplanować, a potem spontanicznie reagować na rzeczywistość. Obie to lubiliśmy.

Niepokoił mnie brak wiadomości od Borysa. Wysłałam mu mejl z informacją, kiedy mniej więcej będę w Sofii i gdzie się zatrzymam. Podałam swój numer telefonu i poprosiłam o kontakt. Nie odezwał się. To było dziwne. Nie wiedziałam, jak interpretować to wymowne milczenie. Dlaczego po prostu nie napisze, że nie chce się ze mną spotkać? Albo nie poda jakiegokolwiek powodu: jestem chory, zajęty, wyjeżdżam na koniec świata... Niech nawet coś zmyśli. Czy to takie trudne? Czy to zbyt wielki wysiłek? Kilka prostych słów. Zrozumiałabym. Potrzebowałam logicznego wyjaśnienia. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Czy takie ignorowanie milczeniem można nazwać prawem do zmiany zdania? Nie mogłam w to uwierzyć. Takie zachowanie nie pasowało do Borysa, którego kiedyś znałam.

Rozłożyłam mapę Sofii. Postanowiłam zaproponować jakieś konkretne miejsce spotkania. Mimo jego uporczywego milczenia. W samym centrum wypatrzyłam cerkiew Sweta Nedelja. To dobre miejsce i łatwy dojazd z wielu stron. Wysłałam kolejny mejl, ostatni:

Drogi Borysie!

Nie wiem, czy to w ogóle możliwe, ale może nie dostałeś mojej ostatniej wiadomości. Przyjadę do Sofii 26 czerwca, w środę. Będę na Ciebie czekać przy cerkwi Sweta Nedelja o godz. 18.00. Przyjdź, jeśli możesz. Jeśli nie, napisz albo zadzwoń, proszę.

Pozdrawiam Cię serdecznie. Do zobaczenia – mam nadzieję. Łucja

Ten mejl wysłałam dwa dni przed wyjazdem. Nie dostałam żadnej odpowiedzi.

Skupiłam się na zamykaniu różnych spraw w pracy. Miałam sporo zadań w związku z jesienną wystawą Guercina w Muzeum Narodowym, ale było mi trudno skoncentrować się na opisie barokowych dzieł artysty, skoro za chwilę czekał mnie tak niezwykły wyjazd i skok do innego świata. Powoli pakowałam plecak, drukowałam ciekawe materiały o historii różnych miejsc, jakie zamierzałyśmy z Agnieszką odwiedzić, czytałam przewodniki...

W piątek rano pożegnałam się z Filipem, który wychodząc do pracy, nie szczędził mi na koniec różnych przestróg. Obiecałam dzwonić codziennie i informować go na bieżąco, co robimy i gdzie jesteśmy.

– Uważajcie na siebie i nie zawierajcie podejrzanych znajomości! – powiedział na pożegnanie, pomachał mi i zniknął za drzwiami.

Sprawdziłam ostatni raz, czy mam dowód, prawo jazdy, pieniądze. Pogłaskałam psa i pojechałam na Okęcie.

Agnieszka tryskała humorem. Wydawała się bardzo podekscytowana podróżą, bo nigdy nie była w Bułgarii. Lubiła poznawać nowe kraje. Co prawda skończyła slawistykę i kiedyś musiała przyswajając sobie zawiłą historię tego kraju, ale twierdziła, że nic nie pamięta. Nie знаła bułgarskiego. Tworzyłyśmy ciekawy duet. Ja – wysoka blondynka z długimi włosami, Agnieszka – niska, szczupła brunetka z włosami do ramion. Mnie wysłały w drogę wspomnienia i sentymenty, ją – chęć przeżycia nowej przygody. Agnieszka miała kilku bułgarskich znajomych z czasów studiów, ja – tylko jednego. Zamierzała skontaktować się z koleżanką, z którą kiedyś mieszkała w akademiku.

– To normalne. Skoro tam jadę, to trzeba się zobaczyć – oznajmiła. – Bardzo lubię takie „spotkanie się”, a spotkania po latach są cenne, bo nieczęste, a czasem nawet niepowtarzalne, choćby z powodu odległości.

Podzielałam to zdanie. Łączyły nas poza tym inne pasje: film, muzyka oraz słowo – pisane. I jeszcze jedno: różne wycieczki na łono natury w towarzystwie naszych mężów. Jednak taka wspólna jazda samochodem, tylko we dwie, po obcym kraju, była wydarzeniem premierowym.

Przyglądałam się ludziom czekającym na odprawę. Samolot był czarterowy, większość pasażerów stanowiły polskie rodziny z dziećmi, wybierające się na wczasy do czarnomorskich kurortów. Za tydzień miały zacząć się wakacje. Mój syn, Kacper, zawsze bardzo się cieszył, gdy wyjeżdżaliśmy wcześniej, przed zakończeniem roku szkolnego. Takie wyjazdy były tańsze w biurach podróży. Wczasy przed sezonem. Zauważyłam też sporo par w starszym wieku. Powrót sentymentalny? Sama znałam kilku emerytów, którzy po latach przerwy co roku odwiedzali Bułgarię. Z wakacji w latach siedemdziesiątych zachowali dobre wspomnienia i teraz, kiedy ceny biletów były przystępne na bogatszą, emerycką kieszeń, wyjeżdżali ponownie.

Patrzyłam na polskich współpasażerów i zastanawiałam się, jak prezentują się za granicą. Jasnowłose, młode, niewysokie kobiety, niektóre bardzo ładne, kolorowo ubrane, jedne sportowo, inne stylowo, raczej wszystkie zadbane, w większości mogły się podobać. Wiele z nich było z dziećmi, czasem bardzo małymi, bo nastała moda na podróżujące niemowlęta. Znacznie gorzej wyglądali mężczyźni: młodzi, a już otyli, z wyraźną nadwagą, drugim podbródkiem, zaawansowani w łysieniu, niscy albo średniego wzrostu. Prawie każdy ze sterzącym brzuchem. Otyłość brzuszna w natarciu. W znakomitej większości nie wydawali się ani trochę atrakcyjni. Ciekawe, jak byli postrzegani za granicą, na przykład w Bułgarii?

Myślałam o tym, bo przypomniał mi się okropny artykuł, który wpadł mi niedawno w ręce. Ukazał się w piśmie o podróżach. Była to relacja z podróży właśnie po Bułgarii. W tekście dominowały skrajnie negatywne oceny i krytykanckie opisy miejsc i ludzi, słowem: brzydko, szaro i nieciekawie. Bułgarzy byli przedstawiani w obraźliwy sposób – wszyscy brzydki, grubi, niedomocy, niegrzeczni, z brakami w uzębieniu, fatalnie ubrani i inne tego typu krzywdzące i niesprawiedliwe opinie. Artykuł miał jednoznaczną wymowę: nie zbliżać się do tego kraju i jego mieszkańców. Po jego przeczytaniu czułam niechęć – do autora tekstu i czasopisma. Po raz kolejny przekonałam się, że

nie warto wierzyć w to, co wydrukowane, nawet w magazynie podróżniczym. Do diabła z takim dziennikarstwem! Czy o Polakach lub innym narodzie nie można napisać czegoś podobnego? Ze złą wolą można napisać tak o każdym.

Podzieliłam się z Agnieszka swoimi myślami, kiedy już siedziałyśmy w samolocie.

– Wiesz, to ciekawe, że Bułgaria, która była kiedyś tak lubiana przez Polaków i wielu z nich wspomina pobyt w tym kraju z wielkim sentymentem, od dawna ma u nas niezbyt dobrą prasę – powiedziałam.

– Wydaje mi się, że tak jest od lat dziewięćdziesiątych – przyznała Agnieszka. – Bo wtedy przyjechało do Polski mnóstwo zebrzących Cyganów, nie wiadomo było dokładnie, czy są z Rumunii czy z Bułgarii, gdzieś stamtąd. Czarni, niebezpieczni, obcy. Poza tym te czarnowłose tirówki przy drogach, jakaś mafia, jacyś handlarze kobietami, bułgarscy alfonsi i inne tego typu rzeczy. Pisano o tym i to nie robiło dobrej atmosfery.

– Pamiętam. Kilka lat zebrali na ulicach, potem zniknęli. Ale mnie się nigdy Cyganie nie kojarzyli z Bułgarami. W sensie: Bułgar to jest Cygan. A spotkałam się z tym nawet niedawno. Gdy powiedziałam młodszej koleżance w pracy, dokąd się wybieram, to pierwsze, co usłyszałam: „Tam mieszka bardzo dużo Cyganów”. Nie wiem, skąd jej wiedza, skoro nigdy nie była w Bułgarii. Cyganie to w tym kraju mniejszość etniczna, chociaż mieszka ich tam procentowo dużo więcej niż Romów w Polsce.

– Wszystko się zmienia. W latach dziewięćdziesiątych Polacy przestali jeździć do Bułgarii – powiedziała Agnieszka.

– Bo otwarły się nowe możliwości, nowe granice, Polacy chcieli poznawać inne kraje. Upajali się tym, że można mieć w domu paszport i gdzieś wyjechać bez wizy. Do Grecji, Turcji, Włoch czy Hiszpanii. Zobaczyć Zachód. Trudno się dziwić.

– A ty dlaczego dopiero teraz tam wracasz, to znaczy do Bułgarii? Dlaczego nie pojechałaś wcześniej? – zapytała Agnieszka.

– Chciałam, ale nie było to możliwe. Kacper był mały. Mieszkaliśmy w trójkę w malutkim mieszkaniu, właściwie w jednym pokoju. Nie mieliśmy pieniędzy na drogie wyjazdy, tym bardziej podróże zagraniczne. Pierwszy raz pojechaliśmy nad Bałtyk, gdy Kacper miał kilka lat. – Zamyśliłam się. – A potem, gdy Marcin już lepiej zarabiał, a ja dostałam pracę w muzeum, były trudności innego typu... No... powiedzmy... subiektywne. Marcin absolutnie nie chciał tam jechać. Proponowałam wielokrotnie, ale zawsze w odpowiedzi słyszałam: „Nie ma mowy, na pewno chcesz się tam spotkać z tym Bułgarem”. Złość i zazdrość w jednym. Tak to wyglądało. W dwa tysiące czwartym roku rozwiedliśmy się. Czasami oglądałam katalogi różnych biur podróży. Chciałam jechać, ale chyba bałam się wspomnień. No a kiedy Polska weszła do Unii Europejskiej, pojawiło się sporo ciekawych propozycji na wakacje. Dostępne stały się egzotyczne podróże: Indie, Meksyk, Kenia, do wyboru, do koloru. Większość Polaków wybiera jednak wakacje w Europie niż na Bora Bora. Jeździłam trochę po świecie z Filipem.

– Ale dlaczego nie pojechałaś do Bułgarii? Na przykład pięć, siedem lat temu? – naciskała Agnieszka.

– Nie wiem... Bałam się, że się rozczaruję, bo wszystko będzie inaczej, może gorzej – przyznałam się. – Poza tym nie wyobrażałam sobie, żeby tam nie zobaczyć Borysa – dodałam po chwili. – A nie miałam z nim żadnego kontaktu aż do tego roku, czyli ponad dwadzieścia lat. Czasami myślałam, żeby napisać, ale wiesz, jak to jest... Mija rok za rokiem, właściwie nie wiadomo kiedy. Zwłaszcza

ostatnie lata biegly w tempie jednostajnie przyspieszonym. Gdyby do mnie kiedyś napisał, odezwał się... byłoby inaczej.

– A teraz nie boisz się tych wspomnień? – zapytała.

– Trochę, ale już mniej. Czas szybko biegnie i zmienia się sposób odczuwania i widzenia różnych rzeczy. Nie wiem, jak zareaguję, sama jestem ciekawa. Poza tym chcę zobaczyć to, czego w Bułgarii jeszcze nie widziałam. Lubię ten kraj i z takim nastawieniem jadę.

– A Borys? Spotkacie się? Ostatnio mówiłaś, że nadal milczy. To byłoby bardzo ciekawe spotkanie po latach. – Agnieszka nie musiała mi tego powtarzać. Tego pytania wolałabym nie słyszeć.

– Nie wiem, od marca się nie odzywa, nie mam pojęcia dlaczego. To mnie dręczy. – Musiałam wypowiedzieć to na głos. – Napisałam do niego przedwczoraj, że będę czekała w Sofii, koło takiej znanej cerkwi w centrum. Zadzwoń albo nie. Przyjdzie albo nie przyjdzie. Nie wiadomo. Wolałabym wiedzieć, ale znając nasze perypetie, nie zdziwiłabym się, jakby akurat wtedy potracił mnie tam samochód, a on by stał z drugiej strony i niczego nie dostrzegł. Albo przyszedłby nie do tej cerkwi, bo są tam dwie albo nawet trzy o tej samej nazwie. W scenariuszu naszej znajomości wszystko jest możliwe.

– *Niezapomniany romans* z Carym Grantem i Deborah Kerr! – wykrzyknęła Agnieszka. – *An Affair to Remember!*

– Filmowe bingo! – Na jej skojarzenia zawsze mogłam liczyć. – Ale w tym filmie para umawia się, że spotka się za pół roku na dachu Empire State Building. Ja umawiałam się w innym, dłuższym trybie, więc efekt końcowy może nie być taki widowiskowy.

– Nie trać nadziei na szczęśliwe zakończenie.

„Szczęśliwe, czyli jakie?”, nie zapytałam na głos.

Samolot zaczął podchodzić do lądowania. Dwie godziny lotu minęły bardzo szybko. Przez okno dostrzegłyśmy połyskujący błękit Morza Czarnego i ziemiste barwy lądu. Za chwilę wylądujemy w Warnie.

Byłam podekscytowana, ale też trochę zdenerwowana, czułam napięcie i lekki niepokój. Zaraz będę w Warnie! A gdzie wakacyjna radość? Chwilowo w uśpieniu. A dreszczyk emocji? Znieczulony stresem.

Po symbolicznej kontroli paszportowej poszliśmy po odbiór bagażu. Niepokój nasilił się, bo nigdy nie wiadomo, czy na taśmie pojawi się twoja walizka lub plecak, a jeśli nawet, to w jakim będzie stanie. Ot, pospolita trauma podróżnika. Sama nie miałam dotąd złych doświadczeń, choć sporo podróżowałam, ale od znajomych słyszałam, jak bagażowe przygody potrafią skutecznie zepsuć wakacje. Na szczęście oba nasze plecaki pojawiły się na taśmie.

Wyszliśmy do głównego holu. Na wczasowiczów z Polski czekali rezydenci kilku popularnych biur podróży. Młode kobiety i młodzi mężczyźni mieli na sobie schludne mundurki i tabliczki w rękach. Zręcznie sterowali tłumem, który podzielił się na wąskie strumienie odpływające w kierunku kilku oznaczonych numerami autobusów. W holu stało też parę osób z polskimi nazwiskami wypisanymi na kartkach. Na nas nie czekał nikt.

Nie, jednak ktoś nas oczekiwał: pan z wypożyczalni samochodów, za kontuarem swego stoiska. Musiałam przeczytać umowę, podpisać ją, wpłacić kaucję. Za Volkswagena Golfa rocznik 2007 płaciłyśmy trzydzieści euro za dzień. Sympatyczny pan wręczył mi kluczyki do samochodu, dokładną mapę miasta i wskazał, jak dojechać do hotelu, gdzie miałyśmy zarezerwowane pierwsze dwa noclegi.

Wyszliśmy z budynku lotniska. Nasz czerwony golf stał zaparkowany w pobliżu. Świeciło słońce.

Powietrze pachniało ciepłem, latem i... benzyną. Parking okupowało kilka autokarów. Popatrzyłam na nazwę lotniska, nadal nie mogłam uwierzyć, że jestem w Warnie. Znowu tutaj. Nie docierało to do mnie. Jeszcze nie.

Wrzuciłyśmy plecaki do bagażnika. Wsiadłyśmy do samochodu. Uruchomiłam silnik. Ruszyłyśmy. Przygoda się rozpoczęła.

Jechałam powoli główną drogą wzdłuż wybrzeża, od czasu do czasu zerkałam na boki, ale żaden widok nie wydawał mi się znajomy. Szare bloki mieszkalne wspinały się na wzgórza. Obce miasto. Nasz hotelik był niewielki i tani, usytuowany w północnej części miasta, w skupisku kilku innych hoteli, blisko przystanku autobusowego i małego centrum handlowego.

Kiedy meldowałyśmy się na recepcji, zwróciłam uwagę na ogłoszenie przypięte obok do korkowej tablicy: *Nestinarstwo*, z dzisiejszą datą i opisem po bułgarsku i angielsku. Wskazałam kartkę Agnieszce.

– Zobacz, to dzisiaj. Musimy to koniecznie zobaczyć! To bardzo stara bułgarska tradycja. Taniec na rozżarzonych węglach.

– Taaak? I to akurat dzisiaj? Super! Można się jeszcze zapisać?

Okazało się, że tak. Były to oczywiście pokazy dla turystów, gdzieś za Warną. Recepcjonistka wpisała nas na listę. O wpół do dziewiątej miał przyjechać po nas busik.

Było wczesne popołudnie. Szybko rozpakowałyśmy się w małym pokoiku z widokiem na basen i... pobiegłyśmy nad morze. Po drodze minęłyśmy kilka hoteli wymagających renowacji, a potem niewielki lasek z wydeptaną wąską ścieżką, która wiodła do metalowych, stromych schodów. Okazało się, że mieszkamy na wysokim klifie, a w dole znajduje się malutka plaża wielkości kilku rozłożonych plażowych ręczników, na którą z trzech stron napierają skały. Trzy osoby zajęły już swoje miejscówki, dla innych potencjalnych plażowiczów nie zostało zbyt wiele miejsca. Zeszłam na piasek, zanurzyłam stopy w ciepłej solance. Niebo było czyste, mocno błękitne, z białymi nitkami obłoków. Morze spokojne, zapraszało do kąpieli.

„Jestem tu znowu!”, pomyślałam i poczułam, jak wzruszenie ściska mi gardło. „Tylko się nie rozplącz”, nakazałam sobie. „Nie rozpamiętuj!”.

– Trzeba się wykapać! Teraz! – zarządziła Agnieszka i ruszyła do wody w dwuczęściowym kostiumie w kolorowe kwiaty.

Wąskie zejście do morza było oczyszczone ze skał i kamieni. Teraz zrozumiałam, dlaczego nasz hotel był taki tani. Nie chodziło tylko o to, że potrzebuje remontu i znajduje się daleko od centrum. W tym rejonie nie było plaży, trzeba było dojeżdżać do niej autobusem. Rozglądałam się, stojąc w wodzie po kolana – jak okiem sięgnąć, z lewej i prawej, fale uderzały o wysoki skalisty brzeg. Port i centrum miasta były daleko na południe. „Pojedziemy tam jutro autobusem”, postanowiłam.

Po godzinie odprężającej kąpieli poczułyśmy głód. Trzeba wrócić do hotelu i poszukać jakiejś knajpki.

– To jedna z przyjemniejszych rzeczy podczas podróży – powiedziałam, gdy przebierałyśmy się w pokoju – kuchnia w obcym miejscu. Próbowanie różnych potraw, odkrywanie nowych smaków. Nie można poznać danego kraju, jeśli się go nie posmakuje. To część kultury. Po tym można też poznać mieszkających tu ludzi. Bo wszystko, co tu rośnie, co uprawiają, co jedzą, formuje ich samych.

– Głodnemu chleb na myśli – uśmiechnęła się Agnieszka. – Na co masz ochotę? Co cię dzisiaj uformuje?

– Oczywiście tutejsze pomidory. Nie zapomniałam ich smaku i zapachu. Są przepyszne. Lubię kuchnię bułgarską, tę jej warzywno-mięsną różnorodność. Każdy znajdzie coś dla siebie. Ja wolę warzywa, a ty mięso. Moja ulubiona warzywna trójca to pomidor, bakłażan i papryka. I jeszcze mam ochotę na wino.

– Ślina mi cieknie, już nic nie mów. Wychodzimy!

W pobliskim niewielkim centrum handlowym usiadłyśmy w jednej z wielu restauracyjek. Na początek zamówiłyśmy *tarator* – bułgarski chłodnik z *kiselo mljako*, z ogórkami, koprem, orzechami włoskimi i czosnkiem. Był przepyszny. Doskonale chłodził w gorące dni, takie jak dzisiejszy. Na drugie danie mięsożerna Agnieszka zafundowała sobie jagnięcinę z grilla i ziemniaki purée z warzywami, a ja na przystawkę ulubione *kiopotu*, czyli pieczone bakłażany z czosnkiem i przyprawami, do tego wielki talerz sałatki szopskiej i musakę. Pierwsza kolacja w Bułgarii jeszcze się nie skończyła, a już narobiła nam apetytu na kolejne potrawy, które miałyśmy ochotę zamówić z karty, teraz, już. Gdy na stole pojawił się pszenny chleb, przypomniałam sobie, że chleb je się tu do wszystkiego, nawet do frytek. Ale smaczny posiłek wymagał stosownej oprawy z wina. Oczywiście tylko bułgarskiego. Potrzebowałyśmy pomocy kelnera. Zaproponował nam mawrud z winnicy Katarzyna Estate. Katarzyna? Czyżby polska firma? Kelner twierdził, że francuska. Wino nazywało się Mezzek. Polecał jeszcze wina z lokalnych szczepów pamid i gymza. Do tej pory z bułgarskich win znałam tylko Sopię, najpopularniejszą w Polsce, i Melnik. Mezzek był wytrawny, treściwy, owocowy, korzenny, z porzeczkowo-śliwkową nutą. Smakował soczystą wiśnią z przyprawami. Bułgarski mawrud stał się dla nas odkryciem wieczoru. Nie zauważyłam go w polskich sklepach, a lubię wino. Trzeba będzie sprawdzić...

Chciałyśmy się dowiedzieć czegoś więcej o „winnej Katarzynie”. Od czego pan Google w smartfonie? Okazało się, że właścicielem firmy jest Polak z Francji, Krzysztof Tryliński. Plantacje winogron znajdują się niedaleko wsi Mezek, na tym samym równoleżniku co region Bordeaux we Francji. Ponad pięćset hektarów obsadzono najważniejszymi odmianami winorośli. Rosną w pobliżu granicy z Turcją, gdzie nigdy nie prowadzono żadnych upraw.

Po pysznej kolacji poszłyśmy obejrzeć sklepy, w tym najważniejszy: bułgarski supermarket. Byłyśmy ciekawe, czy oprócz „wina od Katarzyny” znajdziemy jeszcze jakieś polskie produkty. Nie zawiodłyśmy się. W dziale spożywczym zobaczyłyśmy ser Gouda z Mlekovity i margarynę do pieczenia. Były też polskie ciastka i krakersy. Wśród puszek wypatrzyłyśmy polskie rybki w oleju. Natomiast na półkach z kosmetykami stały słoiczki znanych nam marek takich jak Ziaja, Irena Eris czy Farmona. Ale do naszych koszyków trafiły produkty bułgarskie: butelka wody mineralnej Michałkowo, *kiselo mljako* z bulgaricusem jako inwestycja w długowieczność i dwie puszek piwa marki Zagorka.

Wróciłyśmy do hotelu, by przygotować się na wieczorne widowisko.

Tajemniczy obrzęd musiał się odbywać w głębokiej ciemności. Niebo było usiane gwiazdami. Na łące nieduży krąg żarzących się węgli (około trzy metry średnicy) przypominał migoczący gwiazdzisty wir. Zgromadzeni widzowie siedzieli lub stali na obrzeżach, jakby wyrzuceni poza jego orbitę.

Misterium rozpoczęły bębny. Dwoje tancerzy, kobieta i mężczyzna, stali w kręgu na piasku, tam gdzie nie sięgał żar. Ona miała na sobie długą białą szatę do kostek, on – białą płócienną koszulę i czarne luźne spodnie. Oboje byli boso. Kobieta trzymała przed sobą ikonę. Pierwsza stanęła na rozżarzonych węglach i drobnymi kroczkami, w rytm coraz szybszej muzyki, szła po kole w kierunku

przeciwnym do ruchów wskazówek zegara. Stawiała stopy jedna za drugą, bardzo szybko, jakby szła w wąskiej spódnicy. Po kilku okrążeniach odeszła na bok, a spacer po węglach rozpoczął mężczyzna – samotnie, bez ikony, w tym samym kierunku. Muzyka była coraz szybsza, ludowe bułgarskie rytmy wypełniały noc. Tancerze powtórzyli jeszcze kilka razy taniec na żarze. Po kilkunastu minutach muzyka nagle ucichła, a oni zniknęli w ciemnościach.

Nigdy dotąd nie widziałam czegoś podobnego. Misterium nie trwało długo, ale miało w sobie jakąś pierwotną siłę, magię, tajemnicę, choć zdawałam sobie sprawę, że była to jedynie namiastka starego symbolicznego obrzędu uzdrowienia i oczyszczenia świata. Czy religijna żarliwość chroni przed złem?

Dzieliłyśmy się z Agnieszką wrażeniami, gdy nagle ktoś zapytał po polsku, z obcym akcentem:

– Czy podobało się wam? – Obok nas stał starszy mężczyzna.

– Tak – powiedziałyśmy jednocześnie.

– To stara bułgarska tradycja. Może jeszcze z czasów trackich. Taniec nestinarów. Najlepsi pochodzą z wioski Byłgari w górach Strandża. Tam się odprawia ten rytuał na początku czerwca. Czy jesteście z mojej grupy?

– Nie – odparłyśmy zdziwione.

– Jestem opiekunem polskiej grupy, ale nie znam wszystkich, bo wczoraj przyjechali. Mam na imię Georgi.

– Czy ci żar-tancerze mają inne podeszwy stóp? Żaroodporne? – zaciękała się Agnieszka.

– Oni się uczą specjalnego sposobu chodzenia. To lata ćwiczeń, technika i koncentracja – wyjaśnił. – Ja też kiedyś chciałem spróbować. Byłem młody, jeszcze na studiach. Przebiegłem po tych rozżarzonych węglach i tak się poparzyłem, że dwa tygodnie nie mogłem chodzić. Wtedy straciłem ochotę na udowadnianie, że to łatwe i każdy potrafi.

„Czy Borys też kiedyś tego próbował?”, pomyślałam.

Nie wiedziałam.

– Za chwilę na pobliskiej scenie odbędą się pokazy tańców ludowych z różnych regionów – dodał Georgi i odszedł.

Zatem czekała nas kolejna atrakcja, tym razem żywiolowy bułgarski folk pod księżycem w pełni.

Hotelowe śniadanie nie było zachwycające: zwykłe wędliny, parówki, jajka. Gdyby nie przepyszne pomidory, słony ser *sirene* i rumianek do picia, nie poczułabym, że jestem w Bułgarii.

Dziś zamierzałam pokazać Agnieszce Warnę, no i oczywiście piaszczystą plażę. Spakowałyśmy więc ręczniki plażowe do małych plecaków i autobusem 409, za jednego lewa, pojechałyśmy do centrum.

– W każdym autobusie jedzie konduktor? – zdziwiła się zawsze praktyczna Agnieszka. – Nie prościej byłoby kupować bilety w kiosku? I zainstalować kasowniki? To chyba oszczędniej dla komunikacji miejskiej.

– Może to metoda na bezrobocie? Albo dawny tutejszy zwyczaj? Relikt przeszłości? Nie mam pojęcia – odparłam. – W Indiach też w autobusach często jeździ kierowca z asystentem, który zarabia jakieś grosze, ale przynajmniej pracuje. A tu mamy duet: kierowca z konduktorem.

– Dla pasażerów to nawet wygodniej, tylko czy ktoś się kieruje potrzebami pasażerów?

Po przejechaniu kilku przystanków wysiadłyśmy przy Parku Nadmorskim. Przed laty tak bardzo lubiłam ten park. Z przyjemnością zanurzyłam się w zielony cień drzew. Szłam powoli, uważnie się

rozglądając. Czy rozpoznam znajome miejsca? Dryfowałam w stronę alejek prowadzących do morza. Czy rozpoznam plażę, gdzie poznaliśmy się z Borysem? Czy jeszcze istnieje restauracja na palach? Czy pozostały jakieś fragmenty pejzażu pamiętające tamto lato?

Drzewa w parku wydawały się jakieś inne. Na pewno rosły rzadziej, było ich mniej. Dawniej park wydawał mi się bardziej gęsty, bardziej zaciszny. Tylko rzeźby stały na swoich miejscach. Proste alejki parku wydawały się labiryntem, w którym błdziły moje wspomnienia. Miotaly się nerwowo, na ślepo. Nie rozpoznawały żadnych ławek, murków, zakątków...

Za późno tu przyjechałam. Galopujące zmiany są naturalnym zjawiskiem, zwłaszcza w letnim kurorcie, ale było mi przykro, że nie potrafiłam trafić tam, gdzie kiedyś mieszkałam. Nie pamiętałam nazwy ulicy, numeru bloku. Miałam mapę miasta, ale co z tego?

– Co tak skanujesz te krzaki? – zainteresowała się Agnieszka.

– Po prostu się rozglądam.

– Zrób zdjęcie tej kępie krzewów i ławce – poprosiła.

– Po co? – zdziwiłam się.

– Żeby potem powiększyć.

– Nie rozumiem.

– Może odkryjesz tam trupa.

– Jakiego znowu trupa? – Zmarszczyłam czoło w roztargnieniu.

– Minionego czasu. Albo jeśli wolisz: trupa tamtego lata.

– Aha, o to ci chodzi! *Powiększenie Antonioniego*. – Roześmiałam się.

– Wreszcie się uśmiechnęłaś, bo wyglądałaś jak zasepiony sęp.

– Analizuję, a to wymaga skupienia – Zamyśliłam się. – I nie ma tam żadnego trupa.

Wspomnienia są wiecznie żywe. Przynajmniej moje.

Żarty Agnieszki rozpraszały mnie. Nie byłam w stanie odnaleźć mojego drzewka figowego. Gdzie ono rośnie? Może uszło? Zostało wycięte? Minęło dwadzieścia lat z okładem, a ja rozglądałam się za jednym drzewem w długim na kilka kilometrów parku. „Jestem kompletną idiotką! Trzeba jak najszybciej przestać myśleć o tym figowcu. Natychmiast!”, przykazałam sobie.

Po chwili dostrzegłam staw. Czy to ten, gdzie pływały kiedyś kaczki? To tu pierwszy raz zobaczyłam Borysa i stanął jak zaczarowany. Czy to jest TEN staw? Wygląda jakoś inaczej, przypomina raczej sadzawkę. I nie ma ogrodzenia – metalowy płotek był na pewno. Może jest tu jeszcze jakiś inny staw? Wydawałoby się, że zabytkowy park niewiele się zmieni. Było inaczej. Zresztą, wystarczy przestawić ławki, usunąć krzewy, posadzić nowe rośliny, nowe drzewa. Rozglądałam się i ogarniała mnie coraz większa nostalgia. „Ja minę, ty miniesz...”^[3] Powrót do ważnych miejsc, które są już inne, odmienione, nie nasze – boli. Nigdy nie odczuwałam tego tak intensywnie jak teraz.

Miotaliśmy się po tym parku od alejki do alejki, w końcu skręciliśmy w stronę plaży. Patrzyłam na nią ze skarpy. Wyglądała inaczej. Teraz była taka jak inne, z kolorowymi parasolami, wypożyczalnią łóżek i leżaków, brązowożółtym piaskiem. Wybudowano długie pomosty z kamieni, biegnące daleko w morze, które na pewno cieszyły wędkarzy, bo licznie je obsiedli. Pomosty dzieliły wybrzeże na odcinki, każdy miał swoją nazwę. Znana mi restauracja zniknęła. Nie potrafiłam nawet zlokalizować miejsca, w którym stała. Ciekawe, co się z nią stało? Spróchniały stare pale podtrzymujące konstrukcję? Porwał ją zimowy sztorm? Zawaliła się? Została rozebrana? Przebudowana na plażowy bar? W którym roku? Czy ktokolwiek może to wiedzieć? A Borys? Czy był w Warnie w ostatnich latach? Czy wie, jak bardzo zmieniła się plaża? Czy spędza wakacje nad

morzem? W mojej głowie pytanie goniło pytanie. Czy to tu z nim przychodziłam? Tu zrobiliśmy kilka czarno-białych zdjęć? Czy to tu byłam taka szczęśliwa? Nikt nie odpowie na te pytania.

Czułam, że jeszcze trochę i rozłożę się na kawałki tak kompletnie, że nie będzie co zbierać. Rozplączę się, dostanę depra, zepsuję wakacje Agnieszce. Nie sądziłam, że będę tak dramatycznie to przeżywać. Przecież nie oczekiwałam niczego, i to było dobre nastawienie, więc skąd to wielkie rozczarowanie? Czy gdybym zobaczyła tę restaurację i znajomą plażę w pobliżu, czułabym się lepiej? Może to dobrze, że nie istnieje nic, co zawiera w sobie tamten czas i zarazem jest jego częścią, co było świadkiem i scenografią wydarzeń tamtego lata. Istnieje tylko w mojej pamięci. I tam zostanie. „Muszę się uspokoić i zostawić w spokoju tę plażę i park. I to już!”, zdecydowałam.

Ten sentymentalny slalom i nerwowy trawers po parku osłabił mojego ducha przygody. Zaczęłam się bać bliższego spotkania z Warną. „Czy to na pewno była dobra decyzja, żeby tu powrócić po latach? I właśnie od tego miejsca rozpocząć podróż?”, pomyślałam. Ogarnęły mnie wątpliwości. Przerwałam te rozmyślenia, bo w końcu park wypuścił nas z labiryntu na ulicę Kniazia Borysa I.

– Wreszcie coś znajomego! – wykrzyknęłam radośnie.

Wkrótce potem zobaczyłam malutką cerkiew Sweti Nikoła – tego świętego od ryb w grudniu, a w oddali znajomy stary drapacz chmur – hotel Czerno More. Już nie musiałam powtarzać Agnieszce: „Tu było...”, ale oznajmiłam triumfalnie: „Nadal jest!”. Potrzebowałam stałych, niezmiennych punktów. Dla równowagi.

Trochę poprawił mi się humor, raźniej ruszyłam w miasto. Ulica wiodła do placu Nezawisimost, który prawie ćwierć wieku temu inaczej się nazywał. Pełno było tu teraz eleganckich sklepów kuszących kolorowymi wystawami. Ale ja nie rozglądałam się za ubraniami, ale za... baniczkami. Chciałam, żeby Agnieszka spróbowała tej bardzo bułgarskiej przekąski. Wiedziałam, że gdy ugryzę pierwszy kęs, znowu osaczą mnie wspomnienia niczym drapieżne ptaki, które trudno będzie nie tylko ignorować, ale i rozpędzić. Jednak nie dostrzegłam żadnej piekarni ani baniczkarnicy, więc chwilowo byłam bezpieczna.

Kilka kroków dalej witał nas pięknie odnowiony budynek opery, w kolorze ceglanym z kremowobiałymi zdobieniami. A za nim wieża zegarowa i... mój ulubiony targ! Patrzyłam ze wzruszeniem. Przed laty przychodziłam tu codziennie rano po owoce z Borysem... „Dosyć!”, skarciłam siebie.

Targ był w tym samym miejscu i jak zawsze kusił i zapraszał bogactwem owoców i warzyw. Wydawał mi się tylko nieco mniejszy niż kiedyś i bardziej uporządkowany. Część stoisk znajdowała się pod plastikowymi, identycznymi w kształcie daszkami. Nie dostrzegłam jednak nigdzie starszych, ubranych na czarno kobiet w chustkach. Nie było też ani jednego osiołka. Może już nie wpuszcza się ich do kurortu? Ale targ działał w najlepsze, cieszył oko kolorami, tętnił życiem i niech tak zostanie do końca świata.

Z radością zanurzyłam się pomiędzy stragany pełne kolorowych, soczystych skarbów, chociaż w czerwcu oferowano mniej owoców niż we wrześniu, ale były dorodne arbuzy o ciepłym soczystym miąższu, słodkie melony i ogromne rubinowe czereśnie. Jeden ze sprzedawców powiedział nam, że dziś obchodzi się w Bułgarii Czereśniowe Zaduszki. Kupiliśmy więc kilo czereśni, żeby włączyć się w lokalną tradycję. Wtedy pomyślałam też o moich bliskich zmarłych, zwłaszcza o tacie i cioci Wandzie.

Za skwerkiem, przy największej warneńskiej cerkwi ze złocistymi kopułami, stało stado żółtych

taksówek czekających na klientów. Agnieszka chciała obejrzeć cerkiew, była otwarta. Wewnątrz sporo zwiedzających, głównie Rosjan. Podziwialiśmy ikonostas i dwudziestowieczne freski.

Już wiedziałam, że ta cerkiew jest bardzo podobna do cerkwi Aleksandra Newskiego w Sofii, tylko trochę mniejsza.

Spacerowałyśmy po mieście. Poruszałyśmy się bez mapy, ruchami Browna, to w tę stronę, to w tamtą, odbijając się od skrzyżowań i zakrętów. Po drodze znalazłyśmy piekarnię, gdzie kupiłyśmy baniczki. Agnieszka oczywiście wybrała z mięsem, ja – z porem, dla mnie nowość, całkiem smaczna. W pewnej chwili znalazłyśmy się w pobliżu Urzędu Miasta. Na schodach przed budynkiem leżała góra kamieni, na niej kwiaty i zdjęcia. Przypomniałam sobie, że kilka miesięcy wcześniej podpalili się tu jakiś człowiek. Od około dwóch tygodni w różnych miastach Bułgarii codziennie trwały protesty, również w Warnie. Mieszkańcy zbierali się na manifestacje właśnie tutaj. Dzisiaj też. Trafiliśmy na czas protestów, jakich od dawna nie było w Bułgarii. Trudny czas. Ludzie domagali się ustąpienia rządu premiera Oreszarskiego. Na ziemi wały się różne transparenty, które potwierdzały, że Bułgarzy są zdesperowani. „Ostatnie 25 lat reżyserowała mafia. Czas się uwolnić!”, głosiło jedno z haseł.

Zawróciłyśmy i skierowałyśmy się w stronę portu. Wiedziałam, że w tej okolicy znajduje się dworzec kolejowy. Trzeba go ominąć szerokim łukiem. Krążyłyśmy splątanymi wąskimi uliczkami starej dzielnicy, aż znalazłyśmy się w pobliżu term rzymskich. Agnieszka wołała podziwiać ruiny zza ogrodzenia. Było wczesne sobotnie popołudnie, słońce prażyło. Zamierzałyśmy zakotwiczyć gdzieś na plaży i jak najszybciej wejść do morza. Dryfowałyśmy więc w stronę lekkiej orzeźwiającej bryzy. Pamiętałam, że gdzieś tu stała pamiętna budka z pysznymi baniczkami. „Nie znajdę jej, na pewno już nie istnieje. Nawet nie będę próbowała jej szukać”, pomyślałam. Uliczki rozplatały się w kierunku morza. Zeszliśmy na plażę. Zasłużyłyśmy na odpoczynek, na leniwe plażowe popołudnie. Słysmy chwilę brzegiem na północ, aż wybrałyśmy któryś z parasolowych sektorów. W kostiumach ułożyłyśmy się na ręcznikach w cieniu parasola.

Po leżakowaniu i kąpeli wybrałam się sama na krótki spacer brzegiem morza. Czy cokolwiek rozpoznam? W odległości kilkudziesięciu metrów od morza ciągnęły się tandetne w wystroju, hałaśliwe, betonowe bary na piasku. Potem plaża się kończyła, zaczynały skały, trzeba było wejść wyżej i iść dalej asfaltem. Wzdłuż drogi kolejny ciąg restauracji rybnych, jedna przy drugiej, nie małych, kameralnych, ale o świetlicowej powierzchni. Zatokę rybnych jadłodajni zamykał betonowy pomost, za nim znowu piasek, potem długi fragment skalny... Nie chciało mi się iść dalej. Miałam już obraz całości. Wszystko wygląda inaczej.

– I jak tam? Coś ci się jeszcze przypomina? – zapytała Agnieszka spod parasola, gdy stanęłam obok niej.

– To zabrzmiało, jakbym miała zaniki pamięci. – Roześmiałam się sztucznie. – Albo jakbym robiła wizję lokalną.

– Bo robisz. W końcu to dla ciebie pamiętne miejsce. Lubiłaś je.

– Tak, ale patrzę na nie przez pryzmat tego, co tu przeżyłam. Samo miasto nie zachwyca urodą. Ja w ogóle wolę małe, urokliwe, spokojne miasteczka, na uboczu, gdzieś na krańcach, unikam kurortów. Nikomu nie poleciłabym pobytu tutaj. Chętnie odwiedziłabym Bałczik, ale boję się tam wrócić. Zwłaszcza po dzisiejszym spacerze. Niech przynajmniej tamto miasteczko pozostanie w mojej pamięci takie, jakie było kiedyś.

– Warna nie bardzo mi się podoba, chociaż ten wielki park wzdłuż morza, z gorącymi źródłami,

jest bardzo ładny. A samo morze po prostu cudowne – powiedziała Agnieszka z zachwytem.

Nie mogłam się nie zgodzić. Gdy się zanurzałam w jego wodach, odpływały wszystkie traumy, znikwały natrętne, dręczące myśli. Czułam błogostan, lekkość bytu, nie tylko znośną, ale bardzo, bardzo przyjemną. To morze zawsze mnie kołysało i uspokajało. Nigdy nie widziałam tutaj sztormu. Podobno podczas burzy, z powodu jakichś siarczków, kolor wody staje się szaroczarny, stąd nazwa: Morze Czarne.

Siedziałyśmy z Agnieszką pod parasolem i obserwowałyśmy plażowiczów. Nie mogłam uwierzyć, że w gorące sobotnie popołudnie jest tu tak pusto. Gdzie są młodzi ludzie, których kiedyś było tu mnóstwo? Godzinami przesiadywali na plaży. Gdzie rodziny z dziećmi? Gdzie maluchy stawiające babki z piasku na brzegu? Gdzie są chłopcy z tamtych lat? A dziewczęta?

W najbliższym otoczeniu prawie wszystkie miejsca pod parasolami były wolne. Bliżej wody gdzieś tam plażowały pojedyncze osoby w naszym wieku lub starsze. Brzegiem od czasu do czasu spacerowali rosyjscy turyści.

– To naprawdę niezwykle, zmienił się nawet wiek plażowiczów – podzieliłam się socjologiczną obserwacją. – I niemal pusto! Kiedyś na tych plażach dominowały rodziny z małymi dziećmi i tabuny młodzieży. Dobrze to pamiętam. Było sporo cudzoziemców, ale też wielu Bułgarów. Gdzie są ci wszyscy ludzie?

– W Bułgarii też jest kryzys demograficzny – zauważyła Agnieszka. – A gdzie mogą być młodzi? Zasuwiają na zmywakach w Grecji albo na Zachodzie. Zarabiają na życie. Pracują, jeśli mogą i mają to szczęście, albo siedzą w domu na zasiłku i nie stać ich na wakacje w Warnie.

– A mieszkańcy miasta? Nie ma tu młodych ludzi?

– Są, ale w mniejszości, tak jak w Polsce. Czytałam, że w latach osiemdziesiątych Bułgarów było dziesięć milionów, teraz jest siedem, do tego wielu wyjechało w poszukiwaniu pracy. Masz odpowiedź. Akurat w Warnie jest dużo hoteli i restauracji. Tu na pewno młodzi ludzie znajdują zajęcie. Siedzą więc w pracy, nie nad morzem.

– Nie sądziłam, że te zmiany będą tak widoczne gołym okiem. – Rozejrzałam się kolejny raz. – Pusta plaża podczas weekendu w sezonie to nietypowy widok. Ciekawe, kto przychodzi do tych wielkich restauracji rybnych? Na kim tu zarabiają?

– Może to jakiś relikwyt minionych, lepszych czasów? Choćby sprzed dziesięciu, piętnastu lat? Może wtedy tłumnie tu przyjeżdżali Niemcy albo Rosjanie?

– Być może w lipcu czy sierpniu jest więcej ludzi. Trudno powiedzieć. Raczej tego nie sprawdzę – westchnęłam.

Zgłodniałyśmy. Na plaży niedaleko nas znajdowała się niewielka restauracja. Młody kelner wręczył nam plastikową kartę. Opisom towarzyszyły zdjęcia potraw, co zawsze pomaga w wyborze. Chciałyśmy zamówić dwa talerze smażonych rybek *caca*, ale kelner uczciwie wytłumaczył, że porcja jest bardzo duża i jedną spokojnie najemy się we dwie. Do tego talerz frytek, obowiązkowa sałatka szopska i piwo Ariana, nowa marka do przetestowania.

Z zaskoczeniem odkryłam, że podają tu także frytki z serem, ze słonym białym serem *sirene*, startym na tarce. Film *Pulp Fiction* spopularyzował holenderską ciekawostkę: frytki z majonezem. „Szkoda, że tylko nieliczni znają ciekawą wersję bułgarską”, pomyślałam. Nie każde frytki trafią na swojego Tarantino albo odwrotnie. Ja wolę wersję bułgarską.

Sposób podania przekąsek bardzo mi się podobał: trzy wielkie talerze pełne jedzenia i dwa widelce. Nie ma to jak prosty posiłek ze wspólnej michy, to znaczy trzech talerzy. Świeże, smażone

w całości srebrzyste rybki, które okazały się szprotkami, były przepyszne, zwłaszcza z piwem, które też bardzo przypadło mi do gustu. Niskoprocentowe, lekkie, o smaku lata i wakacji.

Zapach smakowitych rybek wkrótce przyciągnął na posiłek niespodziewanych gości. Obok nas pojawił się rudy kot, potem drugi – czarny, trzeci.... Niczyje koty plażowe, które mieszkały wśród barowych kontenerów, tekturowych pudeł i różnych pojemników. Żyły na plaży, tu miały dom. Kocie stado. Koty młode i stare. Jedne wyglądały zdrowo, inne były kulawe, poranione, po dramatycznych starciach. Śmiałe albo płochliwe. Wszystkie głodne. Trafiły na właściwe osoby. Na tym właśnie polega szczęście, by spotkać odpowiednią osobę we właściwym czasie. Żeby nie pojawić się za wcześnie, ale też nie spóźnić. Tego wieczoru dobrze wybrały. Nikt ich nie odpędzał od stołu. Głodnego trzeba nakarmić. Sprawiedliwie dzieliłyśmy więc między koty głowy malutkich rybek, całą górę łebków, które powoli znikwały w kocich pyszczkach. Ale kotów ciągle przybywało. Nie odpędzały się nawzajem, nie walczyły ze sobą, rywalizowały, wygrywał ten, kto miał lepszy refleks i był szybszy. Koty zbratane w bezdomności tworzyły ciekawą społeczność: plażowe koty barowe. Ostatnie przybyłe na ucztę dostały już tylko frytki. Zabrakło im szczęścia. Tak się zdarza.

Kelner powiedział nam, że na plaży żyje sporo bezdomnych kotów. Akurat ta grupa, koczująca na zapleczu restauracji, mogła liczyć na życzliwość jej pracowników oraz resztki ze stołów i z kuchni, ale nie było to regułą. Ciekawe, że tu zamieszkały właśnie bezdomne koty. W Tajlandii zawsze widziałam plażowe psy. Miały swoje sektory i rewiry. Spały na piasku, pod parasolami i zawsze mogły liczyć na posiłek od plażowiczów lub w licznych barach pod palmami. Nie były agresywne, chętnie bawiły się z ludźmi. Niektóre chodziły ze mną i z Filipem na dłuższe spacery brzegiem morza. Nie byłam pewna, czy rzeczywiście są bezpieczne.

Przypomniało mi się jedno z moich najbardziej kompromitujących doświadczeń ze zwierzętami.

– To było podczas pierwszego pobytu na Krecie, w Chani – zaczęłam opowiadać. – Gdy siedzieliśmy z Marcinem na ławce na skwerku, podszedł do nas niewielki kudłaty kundelek. Oczywiście zaczęłam go głaskać. Po chwili pojawił się kolejny pies, i jeszcze jeden. Każdy domagał się głaskania, dosłownie wsuwał głowę pod dłoń. Były tak spragnione kontaktu z człowiekiem, że walczyły o dostęp do rąk. Wyrastały jak spod ziemi. Większe psy odpędzały mniejsze. W krótkim czasie koło naszej ławki krążyło kilkanaście dużych bezpiecznych psów. Największy z nich zdominował pozostałe i domagał się pieszczot, kładąc łeb na moich kolanach. Największy zwyciężył w konkurencji. Zaczęłam zdradzać oznaki niepokoju, bo psów było już ponad dwadzieścia. Nie wiedziałam, co robić. Wstaliśmy z ławki. Psy widocznie uznały mnie za swoją opiekunkę i były gotowe iść za mną. Ruszyłam powoli, a za mną sznurem psie stado, od największych po najmniejsze. Psia mama i jej podopieczni. Marcin próbował je odgonić, wtedy niektóre zaczęły warczeć. Albo uznały go za intruza, albo chciały mnie bronić. Wpadłam w panikę. No bo jak tu iść przez miasto z gromadą psów? – Roześmiałam się. – W odległości kilkudziesięciu metrów stała cerkiew. Drzwi były otwarte. Ruszyliśmy w jej stronę, psy za nami. Weszliśmy do środka. Psi orszak niepewnie zatrzymał się przed drzwiami. Zwierzęta bały się wejść, niespokojnie krążyły przed cerkwią. Postanowiliśmy chwilę poczekać. Może znudzą się i odejdą. Czułam się podle. Rozbudziłam ich nadzieję na bycie kochanymi, na dom, na pełną miskę, a teraz tchórzliwie zwiewam. Psy były cierplive. Niektóre spokojnie siedziały przed wejściem, inne leżały, kilka ciekawie zaglądało do środka. Odważniejsze próbowały wejść, ale batiuszka od razu je przegonił. Czekwały więc, aż wyjdę. Czekwały na mnie. Być może przeżywały to już wielokrotnie. Nadzieję i zawód. Zaczynałam się załamywać. Co robić? Marcin zauważył, że w cerkwi znajdują się boczne drzwi. Uchylił je i rozejrzał

się na zewnątrz. Dał mi znak, że można iść, droga wolna. W taki oto wredny i typowo ludzki sposób, bocznym wyjściem, chyłkiem, boczkim, cichaczem, salwowałam się ucieczką przed zwierzakami, które mnie wybrały i obdarzyły zaufaniem. Chciały być moje. Zawiodłam i czułam się z tym fatalnie. „Zanim coś zrobisz, pomyśl”, powiedział mi wtedy Marcin. „Nawet jeśli wyciągasz do kogoś rękę”.

Nie zapomniałam tamtej lekcji, ale i tak powtarzałam ten błąd.

Kiedy wróciłyśmy do hotelu, był już wieczór. Poszłyśmy nad morze. Wśród drzew rosnących na klifie latały świetliki. Punktowały światełkami gęstniejącą ciemność. Magiczne przedstawienie. Wiał lekki wietrzyk, morze łagodnie falowało i połyskiwało. Siedziałyśmy w ciszy na małej plaży. Myślałam o dzisiejszym dniu i o przeszłości. Dlaczego wracamy do miejsc, w których byliśmy szczęśliwi? Wtedy zlatują się nasze niegdyś obawy, radości, tęsknoty, złudzenia. Wydają się naiwne, śmieszne, patetyczne. Młodość to czas zmarnowany na iluzje. Również iluzje na temat miłości – takiej na całe życie. Każdy chce być szczęśliwy, ale szczęśliwi bywają tylko nieliczni. To nie jest stan stały, ale stały w nietrwałości. Czasem dopiero gdy szczęście przemija, człowiek zdaje sobie sprawę, że go doświadczył. Albo dopiero pod koniec życia.

Ja wiedziałam już wtedy, tamtego lata w Bułgarii, że jestem szczęśliwa. Nie wiedziałam tylko, że nigdy, w żadnym miejscu i o żadnej porze nie uda mi się tego powtórzyć. Tych emocji, tej euforii, tej radości... Nie każdemu życie układa się tak, jak by chciał. Niby każdy pragnie szczęścia, ale niewielu go zaznaje. Niektórzy, pewni siebie i swoich wyborów, myślą, że jest im dane na zawsze. Inni, zakompleksieni, zbyt skromni lub nieuważni, czasem go nie dostrzegają, nie rozpoznają w porę, nie doceniają. Jeszcze inni, tchórzliwi, pełni lęków, omijają je szerokim łukiem, żeby ich przypadkiem nie dotknęło. Jak to jest, że na dziesięć gramów spełnienia, przypada kilo niespełnienia?

Nie mogłam myśleć o Warnie bez wzruszenia, chociaż bardzo chciałam już stąd wyjechać. Warnia bez Borysa była innym miastem – pustym, nijakim, przeciętnym. Już nie moim, ale jednak na zawsze mi bliskim. Tu były nasze miejsca, których nie mogłam dziś odnaleźć. To miasto stało się naszym jedynym wspólnym światem, punktem odniesienia. Tłem naszej młodszej miłości, fascynacji i przyjaźni. Mieszkaliśmy tutaj w tym samym czasie. Tu się poznaliśmy. Tyle było nam pisane: tamta przestrzeń, tamten krótki czas kończącego się lata. Dziesięć dni na całe życie, tylko tyle dostaliśmy od losu. W Warnie sprzed lat zawsze będziemy spotykać się i spacerować, trzymając się za ręce i rozmawiając w pomieszany języku – wolni, radośni, zakochani, beztroscy, nierozłączni, chociaż los nas rozłączył. Nasze młodsze wersje będą siedzieć razem na progu dojrzałości i patrzeć na morze. Ten świat, opowiedziany, będzie istnieć.

W hotelu odbywało się wesele. Pod gołym niebem, przy basenie. Nie mogłyśmy przepuścić takiej okazji. Weszłyśmy do hotelowej restauracji, usiadłyśmy przy stoliku, zamówiłyśmy piwo – powtórka z zagorki – i obserwowałyśmy. Zbliżała się dziesiąta, więc weselnicy byli już dobrze rozkręceni. Sześćdziesiąt kilka osób siedziało przy dwóch długich stołach ustawionych pod kątem prostym, przed nimi przestrzeń taneczna. Didżej puszczał ogólnie znane, aktualne angielskojęzyczne hity. Na „teren weselny” można było wejść przez udekorowaną wstążkami łukowatą bramę – od strony budynku hotelu i restauracji – lub zupełnie swobodnie – od strony basenu, który znajdował się za plecami gości. Z naszego punktu obserwacyjnego widziałyśmy wszystko doskonale.

Młoda para prezentowała się standardowo, ona w bieli, on w czarnym garniturze. W pewnym momencie uświadomiłam sobie, że coś tu nie gra. I wcale nie chodziło o muzykę, didżej bardzo się starał. Gdyby nie obecność młodej pary, wcale nie byłabym pewna, czy to wesele, czy jakaś inna,

mniej oficjalna uroczystość. Chodziło o stroje panów. Niewielu włożyło garnitur, jeszcze mniej zawiązało krawaty. Niektórzy mieli na sobie wymięte koszulki, jakby wpadli tu przypadkiem po pracy wypić z kolegami piwo. Dwóch czy trzech było w dżinsach i T-shirtach. Kobiety prezentowały się lepiej. Były w wieczorowych sukniach, długich lub krótkich, z falbankami, cekinami, złoceniami, w żywych kolorach, żadne tam pastele. Również fryzury wyszły spod ręki fryzjera – loki i koki, wymyślne, fantazyjne, niecodzienne, trochę kiczowate. Niektóre natapirowane, inne przysypane brokatem. Zwłaszcza „tapiry” wykonane karbownicą przyciągały naszą uwagę, wyglądały dość egzotycznie. Ale jedna kobieta, mniej więcej po czterdziestce, przykuwała wzrok. Miała na sobie osobliwy komplet: bluzkę i spodnie z cienkiego materiału w kolorze fuksji. Wyglądała jak wielki, karykaturalny, pulchny bobas w różowym pajacyku. Na szpilkach i oczywiście „w tapirze”. Wcielenie kiczu.

– Nie szata zdoła szatyna – zażartowała Agnieszka, gdy wymienialiśmy opinię na temat niedbałych, delikatnie mówiąc, męskich ubrań i butów. – Może panowie uznali, że ta uroczystość nie jest warta starań. Albo nie lubią używać żelazka i pasty do butów.

– Nie szata, ale szatan – dorzuciłam. – Wiesz, wydaje mi się, że na polskich weselach jest też dużo więcej jedzenia. Różne przystawki, wędliny, sałatki, zupa, dania ciepłe, dania zimne. Potrawy są serwowane przez całą noc, lody, ciasta, owoce...

– To fakt. Tu jest mało potraw. Załedwie kilka. Kelnerzy od dawna nie zmieniają talerzy. Wszyscy siedzą od godziny przy jednej sałatce. Do wyboru mają jeszcze jakieś sery albo panierowane mięso. No i na polskich stołach jest mnóstwo alkoholu, tu nie.

– Tak, u nas stoi na stole moc butelek, wódka, wino. A tu chyba tylko piwo. A gdzie rakija?

Towarzystwo było też mało tańczące. Tańczyły głównie kobiety, w kółku. Mężczyźni woleli siedzieć i biesiadować. Weselnicy ożywiali się przy znanych bułgarskich przebojach, które chórem śpiewali, lub przy tańcach ludowych. Tak, tańce ludowe na weselu to piękne zjawisko, u nas niespotykane. W Bułgarii folklor jest żywy, nie zamyka się go w skansenie. Czy ktoś na polskim weselu potrafiłby zatańczyć mazurka lub kujawiaka? Wątpliwe. A poloneza? Polonezem powinno się otwierać każdy bal, nie tylko studniówkę w liceum. Czekaliśmy na taniec choro, ale może spóźniłyśmy się i tańczono go wcześniej.

– Skąd jesteście? – usłyszałyśmy pytanie zadane po bułgarsku. Dwaj młodzi weselnicy w stroju niedbałym wracali z baru i zatrzymali się obok nas.

– *Polsza* – udzieliłam odpowiedzi po bułgarsku.

– Na jak długo przyjechałyście?

– Tydzień – powiedziała Agnieszka po angielsku.

– Podoba się Bułgaria?

– Tak.

Udzieliliśmy właściwej odpowiedzi na trzy podstawowe pytania. Język – czy też brak wspólnego języka – był dzielącą nas barierą. Tak często bywa. Wyczerpawszy wspólny język, wyczerpaliśmy temat i to, co mieliśmy w tej chwili do powiedzenia.

Obserwowałam nowożeńców tańczących na parkiecie. Panna młoda poruszała się w takt szybkiej muzyki, jej mąż podrygiwał nierytmicznie. Czy Borys też miał takie przyjęcie po ślubie? Czy wyglądało podobnie?

– Udane wesele? – zapytałam jeszcze.

– Nie bardzo – powiedział jeden z mężczyzn.

- Dlaczego? – zdziwiłam się.
- Bo pan młody nie umie tańczyć – usłyszałam.

2 Podróż przed siebie

Wyjechałyśmy wcześniej, żeby zobaczyć Kamienny Las. Pierwszą ciekawostkę przyrodniczą na naszej trasie wiodącej w głąb Bułgarii. Niezwykły rezerwat, który miałam szansę kiedyś obejrzeć, ale z tego zrezygnowałam. Teraz mogłam nadrobić zaległość. Lepiej późno niż wcale.

Rezerwat Pobiti kamyni to niezwykle miejsce. Gdyby znajdował się w innym kraju, takim, który potrafi reklamować nawet najbardziej banalne atrakcje, to tu przybywałyby tłumy. A tak wielu turystów nie wie, że w odległości kilkunastu kilometrów znajduje się niezwykła „świątynia Matki Natury”, która dla zabawy ustawiła tutaj liczne kolumny z artystycznymi zdobieniami. Te ozdoby to flora i fauna morska fantazyjnie zaklęte w kamień. Wśród tych kolumn zaplątał się chyba niezdarny olbrzym z gór i niczym słoń w składzie porcelany niektóre rozrzucił lub połamał. Pachnie tu głównie czubrycą, czyli cząbrem górskim, najbardziej znaną bułgarską przyprawą, ale rośnie też wiele innych ziół.

A może dobrze, że ten urokliwy zakątek leży na uboczu, taki cichy i niezdeptany? Że nie ma tu wielu zwiedzających? Panuje tu dzwoniąca wręcz cisza, właściwa dla każdej świątyni, zwłaszcza świątyni przyrody.

Upał dopiero powoli podnosi się z kolan, wieje lekki wietrzyk, słońce rozpala blaskiem kremowożółte skały. Tu kolejny raz pomyślałam o cioci Wandzie, która przed laty oglądała to miejsce podczas wakacji. Te skały, kamienie, rośliny nadal tu są. Jej już nie ma...

Ruszyłyśmy dalej na zachód, w kierunku Sofii. Droga nie była najlepszej jakości, pełna łatanych dziur i krzywo położonego asfaltu.

– Oho, mamy tutaj polski standard – oceniła Agnieszka. – Aż głowa odskakuje.

Jechałyśmy bardzo wolno, bo prowadząc, rozglądałam się. Byłam ciekawa, jak wygląda Bułgaria poza miastami.

– Pierwsze spostrzeżenie zmotoryzowanego turysty – ogłosiła Agnieszka. – Na drodze nie ma prawie żadnych samochodów osobowych. Tylko dostawcze i ciężarowe. Czyż to nie dziwne?

– Faktycznie. Ruch jest bardzo mały, samochodów niewiele. Nikt nie podróżuje? Nie przemieszcza się? Dzisiaj niedziela. Może to dlatego?

– Benzyna jest droga – stwierdziła moja przyjaciółka, gdy mijałyśmy stację. – Oszczędzają. Jedzie ten, kto musi.

– W stronę Warny też tylko samochody dostawcze i autobusy.

– Taaak, szkoda, że nie zdecydowałyśmy się na autostop. Byłoby taniej.

– Ale mniej komfortowo. A dwie panie po czterdziestce na autostopie to rzadki widok...

Ciekawe, jak reagowałiby kierowcy. Może spróbujemy w przyszłym roku, w kraju, gdzie jeździ więcej aut.

Wkrótce zjechałyśmy z głównej drogi. Naszym kolejnym celem była Pliska, pierwsza stolica Bułgarii, czy raczej: pierwszego państwa bułgarskiego. Tu można zobaczyć – dosłownie i w przenośni – fundamenty tego państwa i jego średniowiecznej potęgi. Uznałyśmy, że poznawanie historii kraju od jego fundamentów jest dobrym pomysłem i przeszłyśmy przez jedną ze zrekonstruowanych bram, tę od północy. Po zburzonych pałacach zostały tylko kamienne podłogi, a niegdyś grube i wysokie mury dziś sięgają kolan. Częściowo zrekonstruowane fundamenty budynków pomagają wyobraźni wznieść gród z 681 roku. Wtedy to chan Asparuch pokonał armię Bizantyjczyków,

założył tu obóz, a następnie miasto. Pliska pozostała stolicą państwa do końca IX wieku.

Chan Borys, który przyjął chrześcijaństwo w 864 roku, wybudował na obrzeżach miasta bazylikę – trójnawową, z atrium, portykami i wieżami. W tamtym czasie była drugą pod względem wielkości na Bałkanach, po bazylice Hagia Sofia w Konstantynopolu. Częściowo zrekonstruowano fragmenty murów, które przypominają teatralne dekoracje w plenerze. Fragmenty ścian i kolumn stoją dziś wśród traw i kęp maków, w morzu zieleni. Chan Borys po chrzcie przyjął imię Michał i tytuł cara. Bułgaria jest pierwszym krajem słowiańskim, które przyjęło chrześcijaństwo jako religię państwową. W Plisce car gościł Nauma i Klimenta – twórców cyrylicy – uczniów Cyryla i Metodego, świętych braci, którzy chrzcili lud na Morawach.

Złoty wiek Bułgarii zakończyła okupacja bizantyjska. Pierwsze państwo bułgarskie przestało istnieć na początku XI wieku. Kiedy polski król Władysław III zmierzał z wojskami pod Warnę, by walczyć z Turkami, Pliska była już opustoszałym rumowiskiem kamieni i cegieł.

– Wiesz, że ja to wszystko zapomniałam – westchnęła Agnieszka, gdy skończyłyśmy czytać opisy. – Przecież kiedyś się tego uczyłam. Musiałam dopiero tu przyjechać, żeby sobie przypomnieć, że Bułgaria to państwo o wiele starsze od naszego i kraj, który od średniowiecza ma taką samą nazwę. A ten język starocerkiewnosłowiański, taka straszna zmora na studiach...

Kolejną ciekawostką, którą zamierzałyśmy obejrzeć, był Jeździec z Madary w rezerwacie historyczno-archeologicznym. Droga do niego wiodła przez morze słoneczników. Żółte, postrzępione tarcze z ciemnym środkiem skierowały się w tę samą stronę, jak na akademii ku czci słońca. Ale im bliżej było do Jeżdźca, tym słoneczników mniej, ustępowały pola kukurydzy.

Jeździec znajdował się na skalnej, zalesionej górze, która z daleka wyglądała jak długi statek podwodny wynurzający się z oceanu kukurydzianych pól. Do unikalnej „dynamicznej” płaskorzeźby prowadziły wysokie kamienne schody. Jeżdźca wykuto w litej skale: siedzi w długiej szacie na koniu, za nim biegnie pies, a przy kopytach konia leży upolowany lew. Przypuszcza się, że ów Jeździec to Heros, bóg tracki, albo któryś z chanów bułgarskich. Jego wizerunek można dziś znaleźć na wszystkich bułgarskich monetach, oprócz jednego lewa. Jeździec z Madary stał się symbolem Bułgarii.

– To nie do wiary, że ta płaskorzeźba zachowała się w tak doskonałym stanie. – Patrzyłam na nią z niedowierzaniem. Znowu odezwał się we mnie historyk sztuki. – A erozja? Jeździec ma aż tysiąc dwieście lat, a przecież to piaskowiec. Dlaczego tureccy wrogowie nie chcieli go zetrzeć z tej skały? Prawdziwy Nieznikający Jeździec.

– Koń wygląda jak żywy. Także pies jest wyrzeźbiony tak realistycznie. Niezwykłe! – oceniła Agnieszka. – Ten relief przetrwał, bo ukrywa się w mało dostępnym miejscu, w lesie, na uboczu, dwadzieścia parę metrów nad ziemią. Trudno było go znaleźć i zniszczyć. Samotny jeździec i jego zwierzęta...

– To rzeczywiście niesamowite miejsce. Zobacz, jaskinie, groty mieszkalne, ruiny paru twierdz, groby mnichów w skałach, pogańskie świątynie, fragmenty bazyliki i jeszcze ruiny rzymskiego miasta na dole. Zanim Bułgaria przyjęła chrześcijaństwo, ta góra była głównym miejscem kultu.

– Tutaj być może jest czakram energetyczny Ziemi, skoro ludzie od tysiącleci tu właśnie mieszkali i budowali świątynie – powiedziała Agnieszka. – Takie miejsca przyciągają, pewnie to jedno z „miejsc mocy”. W Polsce mamy ich kilka, na przykład Wawel, Jasna Góra, Ślęza albo kręgi Gotów w Odrach... Pospacerujmy tu trochę i naładujmy się kosmiczną energią.

Wzmocnione energetycznie udałyśmy się następnie w drogę do Szumenu. Byłyśmy ciekawe tego

miasta, również z powodu polskich śladów. Tu schronili się bowiem konfederaci barscy, przyjęci przez władze tureckie. Po Wiośnie Ludów w tym mieście stacjonowały oddziały powstańcze Węgrów i Polaków, wśród nich Lajos Kossuth i Józef Bem. Wtedy w Szumenie powstały też pierwsze bułgarskie instytucje kulturalne: teatr, orkiestra symfoniczna, zorganizowane przez polskich i węgierskich żołnierzy. Polak założył pierwszą w Bułgarii linię telegraficzną: Szumen–Konstantynopol.

– Co my tu mamy oglądać? – zapytała Agnieszka. – Na pierwszy rzut oka miasto nie jest zbyt piękne.

– Tombuł, największy meczet w Bułgarii – odparłam, wskazując strzelisty minaret celujący w niebo. – Czytałam, że ozdobiono go w barokowym stylu tureckim, nazywanym też „tulipanowym” – od tulipanów dostarczonych w tym czasie na dwór sułtana. Jak sądzę, Bułgarzy nie bardzo cenią ten zabytek. Trudno się dziwić. Jest symbolem pięćsetletniej niewoli, krwawej i okrutnej okupacji tureckiej.

Podczas spaceru po mieście przy jednej z ulic udało nam się odkryć piękne domy z czasów bułgarskiego odrodzenia. Potem na Bulwarze Sławiańskim, z zielonym skwerem biegnącym środkiem, postanowiłyśmy zjeść lunch. Oczywiście baniczki z *sirene* i *boza*. Było gorąco, ale wiał lekki wietrzyk. Patrzyłyśmy na nieciekawą reprezentacyjną ulicę miasta i ogromną betonową ruinę jakiegoś budynku.

– Jak trudno wymazać z pejzażu miasta brzydotę architektury – powiedziała Agnieszka.

– Kisiel kiedyś pisał, że komunizm się skończy, ale te szare, okropne bloki w dużych miastach i brzydkie, klockowate domy jednorodzinne w małych miasteczkach zostaną i będą straszyć kolejne pokolenia. Miał rację – westchnęłam. – Bloki z płyty, szare pustaki, azbestowe dachy. Architektura z czasów komunizmu szpeci nawet najpiękniejsze miejsca.

– Bloki na obrzeżach miasta to jeszcze pół biedy, ale te straszdyła w centrum to już dramat. Wyglądają jak schrony z czasów wojny. – Na twarzy Agnieszki widać było zniesmaczenie.

– A z drugiej strony – ciągnęłam – Bułgarzy konsekwentnie burzyli to, co zostało po tureckim panowaniu: meczety, szkoły koraniczne... Zła decyzja, jeśli chodzi o historię sztuki i wygląd miast, ale zrozumiała z psychologicznego punktu widzenia. To był rodzaj zemsty za wieki upokorzenia. Podobnie jak w latach osiemdziesiątych akcja zmiany nazwisk tureckich na bułgarskie czy przymusowa emigracja. Nawet ja pamiętam ten słynny przypadek olimpijczyka, wielokrotnego złotego medalisty. Bułgarski sztangista pochodzenia tureckiego, Naim Sulejmanow, wyjechał do Turcji i powrócił do nazwiska Süleymanoğlu. Bułgarzy, którzy przyjęli islam, nazywają się Pomacy. To podobna społeczność jak Boszniacy, czyli muzułmanie w Bośni i Hercegowinie, ale nieliczna. Wywodzi się z tych samych czasów. Przyjmowali islam dobrowolnie lub pod przymusem. Najczęściej z powodów ekonomicznych. Można się domyślić, jak byli traktowani przez prawosławnych Bułgarów po odzyskaniu niepodległości. Mieszkają głównie w środkowych Rodopach.

– Bułgarzy nigdy nie pozbędą się tureckich śladów. To niemożliwe. Wiele potraw wywodzi się z Turcji, a przede wszystkim mają sporo tureckich słów w języku.

– Tak! Moje ulubione to *kysmet*. – Roześmiałam się. – Czyli szczęście i zarazem przeznaczenie. Szczęście w szerszym pojęciu. Czytałam gdzieś, że po odzyskaniu niepodległości, pod koniec dziewiętnastego wieku, odbywała się w Bułgarii „językowa rewolucja”: usuwano tureckie słowa, a zastępowano je rosyjskimi odpowiednikami. Stąd wrażenie, że języki bułgarski i rosyjski są bardzo

podobne, ale to tylko pozory. Trudno sobie wyobrazić w praktyce takie językowe przedsięwzięcie bez pomocy mediów, bez radia i telewizji, współczesnych środków przekazu. To chyba długi i trudny proces, ale częściowo się powiodł.

– W języku polskim też jest dużo tureckich słów: bilet, dywan, kotara, buława, haracz, bakalie i oczywiście arbuz – wyliczała Agnieszka.

– I często ostatnio nadużywane: wataha – dodałam. – I kary koń. Nikt nie mówi czarny, tylko kary. Horda, bazar, kajdany, kurhan!

– Kefir i jogurt! – Agnieszka lubiła zabawy językowe i rywalizację.

– Kołczan i kołpak.

– Kara Mustafa w turbanie i kaftanie na rumaku!

– Z tytoniem w cybuchu.

– Rozbisurmanił się, więc trzeba go wybatożyć i w jasyr!

– A słowo „Polska” po turecku brzmi tak pięknie siedemnastowiecznie – przypomniałam sobie: – Lechistan.

Pomiędzy blokami wracaliśmy do samochodu. Nagle zobaczyliśmy dym unoszący się z balkonu na parterze. Pożar? Coś się pali? Nic podobnego. Do naszych nozdrzy dotarł smakowity zapach grillowanego mięsa. Okazało się, że ktoś przygotowuje obiad na ruszcie – właśnie na balkonie. Tak poznałyśmy jedną z bułgarskich osobliwości: grillowanie na balkonie. Zastanawiałyśmy się, co na takie grillowanie mówią blokowi sąsiedzi. Pewnie też grillują i nikt się temu nie dziwi i nie protestuje.

– Ciekawe, czy przyrządzają *kjufteta* czy *kebapczeta*? – powiedziałam.

Zachichotałyśmy i szybko się oddaliśmy.

Naszym ostatnim celem tego dnia było Wielkie Tyrnowo. Tam zaplanowałyśmy spałaszować obfitą kolację. Jechaliśmy zieloną doliną między górami. Droga wprawdzie asfaltowa, choć dziur na niej bez liku, a ruch – symboliczny. Po obu jej stronach kilometrami ciągnęły się pokołchozowe pola słonecznikowe i kukurydziane. Z rzadka pojawiały się miasteczka lub wioski – skupiska murowanych domków krytych czerwoną dachówką, przytulonych do zboczy gór. Wzdłuż naszej trasy biegło od morza w głąb kraju zielone zwarte pasmo górskie Stara Płanina, które Turcy osmańscy nazywali Bałkanem, dając początek nazwie całego regionu.

W Wielkim Tyrnowie zatrzymałyśmy się w dużym hotelu w centrum, licząc na wolne miejsca. Nie miałyśmy rezerwacji, bo nie wiedziałam, gdzie nam wypadnie nocleg. Otrzymałyśmy pokój z widokiem. Cudnym! Wielkie Tyrnowo zachwycało mnie od pierwszego spojrzenia przez okno. Wjeżdżając do miasta, podziwiałam malownicze zielone wzgórza, na których jest położone, ale nie wiedziałam, że „w środku”, na dnie, coś się kryje. W dole wiła się królowa tego miasta – rzeka Jantra, która zataczała między wzgórzami liczne ciasne pętle. Utworzyła długi, stromy i kręty skalisty wąwóz. Na jego zboczach „wisała” Starówka. Jantra płynęła bystrym nurtem, kilkakrotnie skracając o sto osiemdziesiąt stopni. W niektórych miejscach spieszyła się, w innych zwalniała. To jedno z najpiękniej położonych miast, jakie widziałam, wspaniale wkomponowane w naturalny, górzisty krajobraz. Dlaczego nie reklamuje się Wielkiego Tyrnowa jako „bułgarskiej perły”? Dlaczego nie jest powszechnie znane jako miejsce piękne, jedyne w swoim rodzaju, niepowtarzalne? Ze swoją średniowieczną bogatą historią, urodą i legendami. Kto o nim wie, poza Bułgarią?

Było późne popołudnie. Ciepłe, złotawe światło słoneczne zmieniało odcień białych, kremowych i żółtych domów o czerwonych dachach, stojących po obu stronach wąskiego wąwozu. Budynki

wydawały się zsuwać z urwiska w kłębiącą się zieleni drzew, do szumiącej w dole rzeki.

– Coś wspaniałego! – wykrzyknęła Agnieszka, kiedy stanęliśmy na krawędzi skały.

Stąd widać było cztery najważniejsze wzgórza, na których rozgosiło się miasto: Carewec, gdzie zbudowano twierdzę, Trapezica, Momina Krepost i Sweta Gora. Oba brzegi gdzieś spinały mosty, a raczej kładki dla pieszych. O dawnej świetności jednego z najważniejszych miast średniowiecznej Europy przypominają pałace bojarów oraz liczne carskie cerkwie. Tyrnowgrad nazywano Królem Miast i Miastem Carów. Było stolicą drugiego państwa bułgarskiego do najazdu Turków pod koniec XIV wieku. Po odzyskaniu niepodległości, po pięciuset latach, właśnie tutaj, w dawnej stolicy, ogłoszono bułgarską konstytucję.

Spacerowałyśmy uliczkami w górę i w dół, ukośnie, stromo, pochyło, równoległe i przekątnie. Malownicze zaułki wybrukowane kocimi łbami co jakiś czas ukazywały nam przepaść. Stawałyśmy więc na krawędzi klifu, by kolejny raz oglądać fakturę czerwonych dachów i kominów leżących u naszych stóp, zaglądać od góry na balkony domów spiętrzonych i przyklejonych do skał. Zmieniałyśmy punkty widokowe i pola widzenia, a miasto z każdej perspektywy wyglądało urokliwie i aż się prosiło, by je malować, fotografować. Takie miejsce musi przyciągać artystów. Inspiruje i zachwyca.

– Czy do tych domów wchodzi się od góry? – zacięła się Agnieszka. – To znaczy oczywiście nie z dachu, ale na przykład z pierwszego piętra na parter albo z drugiego w dół. Jest tak stromo, że byłoby chyba prościej i wygodniej.

– Nie wiem, ale takie położenie na pewno wymaga niestandardowych rozwiązań. To wiszące miasto. Były wiszące ogrody, to i budynki mogą wisieć – dodałam. – A stąd, gdzie stoimy, nawet nie można zejść nad rzekę, to pionowa skalna ściana.

W ciasnych uliczkach z budynkami z czasów odrodzenia znajdowało się mnóstwo sklepików z pamiątkami, galerii, restauracyjek. Zachodziło słońce, byliśmy głodne.

– Trzeba wreszcie wybrać jakieś urokliwe miejsce na kolację, pyszną kolację z widokiem na jar – zarządziła moja koleżanka.

Wielkie Tyrnowo karmiło widokami, ale my zamarzyłyśmy o smacznym potrawie z bułgarskiej kuchni. Wypatrzyłyśmy z góry odpowiednie miejsce, znajdowało się kilka metrów niżej, ale trzeba było zejść naokoło, trawersem.

Na małym tarasie przy restauracji stały trzy czteroosobowe stoliki. Od przepaści w dole i morza zieleni oddzielał go niski kamienny murek. Wszystkie stoliki były jednak zajęte, ale kilka miejsc wolnych. Przy jednym siedziała jakaś para, przy drugim – czteroosobowa rodzina, przy trzecim – samotny mężczyzna około czterdziestki kończył pić piwo. Stanęłyśmy niezdecydowane, czekać czy szukać czegoś innego. Mężczyzna popatrzył na nas, uśmiechnął się i wskazał wolne miejsca przy swoim stoliku.

– Zapraszam – powiedział uprzejmie po angielsku. – Zaraz kończę piwo, stół będzie wolny. Tu jest ładny widok.

Miał sympatyczną twarz i miły głos. Wesole brązowe oczy, czarne, krótko przystrzyżone włosy. Lekko zaokrąglony brzuch widoczny pod granatową koszulką polo.

Wymieniłyśmy z Agnieszką spojrzenia, porozumiałyśmy się bez słów i skorzystałyśmy z zaproszenia.

– Angielki? – zapytał. – Będę miał okazję, żeby pogadać po angielsku.

– Nie, jesteśmy z Polski, po angielsku mówimy z polskim akcentem, więc możesz się

rozczarować – odpowiedziałam.

– *Polsza!* – wyraźnie się ucieszył. – Witam w Bułgarii. Myślałem, że jesteście z Anglii, bo sporo Anglików ostatnio do nas przyjeżdża. Kupują tu ziemię, domy, spędzają czas na emeryturze. Dla nich u nas jest bardzo tanio. Życie jest tanie. Lubią wieś, zwłaszcza Rodopy. Byłyście w Rodopach? Nie? To piękne miejsce, najpiękniejsze w Bułgarii. Polecam. Ale Polacy raczej wolą siedzieć nad morzem – stwierdził.

A potem zadał podstawowe pytania: Jak długo tu zostaniemy? Czy nam się podoba?, które pominął na początku.

„Gaduła”, pomyślałam. „To dobrze”.

– Mamy przed sobą jeszcze tydzień podróży – poinformowała go Agnieszka.

– To miło, że interesuje was ten kraj. Bułgaria od dawna nikogo nie obchodzi. Nie szanują nas. Mają za nic. Jesteśmy biednym krajem taniej siły roboczej – ciągnął już bez uśmiechu. – W Unii na ostatnim miejscu we wszystkich rankingach, nawet Rumunia nas wyprzedziła, jeszcze niedawno byliśmy przed nią. Teraz jesteśmy na szarym końcu, na równi pochyłej. Bułgaria jest piękna, ale ciężko tu żyć. Ja się jeszcze nie przedstawiłem. Mam na imię Petyr – zindywidualizował się.

– Agnieszka – przedstawiła się moja przyjaciółka i podała mu dłoń. Ja zrobiłam to samo.

Petyr powtórzył imię Agnieszki i się roześmiał.

– O co chodzi? – zdziwiła się.

– Twoje imię... – próbował wytłumaczyć. Widać było, że lubi się śmiać, byle drobiazg potrafił go rozbawić. – Twoje imię bardzo zabawnie brzmi po bułgarsku. *Agneszko* to znaczy jagnięcina. W tej restauracji podają takie bułgarskie danie: jagnięcina z ziemniakami. Bardzo dobre, może spróbujesz? Idealne dla ciebie...

– Aha, no tak, trzeba coś zamówić – powiedziała niepewnie i też się uśmiechnęła. Spojrzała w menu i dodała: – Mam więc na imię Jagnięcina. Chyba muszę wymyślić jakąś ksywkę na czas tej podróży – mruknęła do mnie po polsku.

Otworzyliśmy kartę dań. Przy wyborze Petyr chętnie służył nam pomocą. Polecił nam tutejszą specjalność, no i oczywiście miejscowe wino. Sam pozostał przy piwie, jako że był już po kolacji. Zamówiliśmy zestaw różnych sałatek i polecaną kawyrnę – gulasz warzywno-mięsny, tradycyjne danie bałkańskie. Do tego czerwone wino cabernet sauvignon ze znajomej już „winiarni Katarzyny”. Wprawdzie miałam ochotę na jakieś danie z grilla, zachęcona „balkonową kuchnią” w Szumenie, ale skusiłam się na kawyrnę, której chyba wcześniej nie jadłam. Czy próbowałam jej przed laty w Warnie? Nie pamiętałam.

Petyr pracował na miejscowym Uniwersytecie Cyryla i Metodego, był asystentem na Wydziale Fizyki. Wydawał się otwartym, szczerym, gadatliwym człowiekiem, łatwo nawiązywał kontakty z ludźmi. Prawdziwa słowiańska dusza. Lubił ludzi i lubił z nimi rozmawiać, to się czuło od pierwszej chwili. Można poznawać historię i kulturę obcego kraju, czytając o nim książki i oglądając zabytki czy filmy, ale nic tak nie wzbogaca podróży jak spotkanie z człowiekiem. Petyr mógł być naszym źródłem informacji o życiu w Bułgarii, tu i teraz.

– Jak się żyje w Bułgarii? – zagałam.

– Marnie. – Skrzywił się. – Od kilkunastu dni znowu trwają protesty. Ludzie mają dość rządu socjalistów. Demonstracje zimą, które obaliły rząd Borisowa, miały przyczyny ekonomiczne. Były skierowane przeciwko energetycznemu monopolistom, który ciągle podwyższa ceny energii. Teraz protestujemy przeciwko oligarchom. Problemem jest arogancja władzy i straszna korupcja. Nowy

rząd beczelnie mianował Deljana Peewskiego, typowego mafiosa, na szefa Agencji Bezpieczeństwa Publicznego. Tego było już naprawdę za wiele! W Bułgarii rządzi mafia. Sojusz kryminalistów z politykami i bankierami. Obsadzają najważniejsze stanowiska w państwie, mają wpływy w mediach...

– Tak jest też w innych krajach – wtrąciła Agnieszka.

– Jednak chyba nie w takiej skali. Tutaj nikt się z tym nie kryje. Przemysł jest zrujnowany albo wyprzedawany. Już właściwie nie ma przemysłu. Nie ma fabryk, nie ma stoczni.

– Stocznia w Warnie jest zamknięta? – zapytałam.

– Jeszcze nie całkiem, ale to już tylko montownia. Mafia jest zależna od Rosji. W Bułgarii są spore złoża łupków, ale oczywiście nic nie będzie z wydobywania, bo Rosja chce dawać pożyczki na rozbudowę elektrowni atomowej w Kozłoduju. A nasi rządzący będą robić tak, jak sobie zażyczy Rosja. Gospodarka jest słaba, nie ma pracy, ludzie wyjeżdżają za chlebem. Ale musimy pracować do sześćdziesiątego siódmego roku życia, jak chce Unia.

– Jakie są zarobki?

– Bardzo niskie – powiedział, zapalając papierosa. – Średnia pensja to pięćset lewów.

– Czyli dwieście pięćdziesiąt euro – przeliczyłam. – A ceny w sklepach takie jak w Polsce.

– Ale niektórzy zarabiają i trzysta lewów. Najwięcej oczywiście lekarze, informatycy, pracownicy zagranicznych koncernów, około dwa tysiące lewów, góra. Na samym dole płac są nauczyciele. Emerytury głodowe. No i wysokie bezrobocie, kilkanaście procent. Mówią, że czternaście, ale przecież mnóstwo ludzi wyjechało do Niemiec, nawet do Grecji i Hiszpanii, gdzie niby panuje kryzys. A co panuje u nas? Hiperkryzys – zawiesił głos, ale po chwili kontynuował temat. – Właściwie nie ma dziedziny, która by po transformacji dobrze funkcjonowała. W Bułgarii nie było lustracji. Dawni działacze partyjni stali się z dnia na dzień tak zwanymi demokratami i biznesmenami. Uwłaszczyli się na majątku, którym zarządzali. Tak było w rolnictwie. Przedsiębiorczość jest bardzo słaba, ludzie nie mają środków, żeby zainwestować we własną firmę. Na przykład mamy mnóstwo źródeł mineralnych. Białe bogactwo. Można by budować uzdrowiska, sanatoria, wykorzystywać tę wodę. Już Żiwkow o tym mówił. I co się z tym dzieje? Nic. Nie ma woli, nie ma pieniędzy, nie ma pomysłów. Inercja. A choćby winiarnie – zmienił temat, bo kelner przyniósł nam wino i sałatki. – Znakomite warunki do uprawy, dobry klimat, nasłonecznienie... Niektóre bułgarskie regiony mogłyby dorównać francuskim czy włoskim, ale nie ma tradycji rodzinnych winiarni. Ludzie nie wiedzą, jak się do tego zabrać, jak prowadzić plantacje. Nie umieją produkować wina. No i nie mają za co kupić ziemi.

– W Polsce też mamy różne problemy – wtrąciła Agnieszka.

– Ale wasz kraj jest dużo większy, trudniej go zniszczyć gospodarczo. Pewnie też was to czeka, tylko później. Z nami od dawna nikt się nie liczy. Głównie z powodu słabości ekonomicznej, bezwładności, braku reform i niezniszczalnej postkomuny. Mają nas za nic.

Spróbowałam wina. Było czerwone, gęste. Smakowało owocowo, ale też paprykowo i kawowo. Bardzo smaczne.

Petyr chciał wiedzieć, gdzie mieszkamy i pracujemy.

– A twoja praca nie jest satysfakcjonująca? – zapytałam, gdy opowiedziałyśmy pokrótce, co robimy i z czego żyjemy w Polsce. Jedzenie sałatki wymagało lżejszych tematów.

– Lubię to, co robię, ale zarobki mnie nie zachwycają. Muszę utrzymać rodzinę, żona uczy bułgarskiego w szkole średniej. Wystarcza na opłaty, jedzenie i skromne życie. Bez rewelacji.

– Wczoraj słyszałam w waszej telewizji, że poziom nauczania w szkołach jest kiepski – powiedziałam. – Co drugi uczeń oblał egzamin z bułgarskiego, ale nie pamiętam, czy to były wyniki z podstawówki czy z liceum.

– Tak, od kilku dni o tym gadają do znudzenia – potwierdził. – Rzeczywiście, kiedyś nauka na poziomie ogólnokształcącym była lepsza. Nawet w komunie mieliśmy dobre szkoły, były nawet takie z wiodącym językiem obcym. Moja kuzynka kończyła takie liceum. A teraz szkoła też sięgnęła dna, na egzaminach w szkole średniej uczniowie mają testy, które kiedyś były na poziomie podstawówki. Wymagania są minimalne. A najgorsze są szkoły prywatne, tam nauka to pozory.

– U was też? A studia? – zapytała Agnieszka.

Petyr bardzo się zdziwił, że w Polsce dzienne studia na państwowych uczelniach są bezpłatne. W Bułgarii wszystkie studia, bez względu na status uczelni, są płatne.

– Studia też wyglądają teraz inaczej. Mało godzin, niewielkie wymagania wobec studentów. Brak perspektyw po skończeniu nauki. Również nastawienie studentów kompletnie inne. Nie ma mowy o relacji mistrz-uczeń. Raczej jest tak: szybko dawaj zaliczenie i spadaj.

– Wygląda na to, że wróciłam do Bułgarii w kiepskim czasie – westchnęłam. – Wszędzie jest trudno w tej części Europy, ale nie sądziłam, że nastroje są tutaj aż tak złe.

– Bułgarzy od dwudziestu lat narzekają, że nic się nie udaje, że powoli zsuwamy się w przepaść, ale w tym roku chyba osiągnęliśmy dno we wszystkim. Gorzej nie było, przynajmniej ja nie pamiętam. Wiele osób powie to samo. Opowiem wam dowcip, który to ilustruje i świetnie brzmi po angielsku: Spotyka się Amerykanin i Bułgar. Amerykanin mówi: „We have Obama, Stevie Wonder, Bob Hope, Johnny Cash and Steven Jobs”. Na to Bułgar: „We have Oreszarski and no wonder, no hope, no cash and no jobs”. Albo jeszcze jeden znany żart: Podchodzi Bułgar do drugiego Bułgara siedzącego ze zwieszoną głową i pyta: „Co się stało? Jesteś w depresji?” „Nie, w Bułgarii”, odpowiada tamten.

Kelner przyniósł zamówione dania. Smakowicie pachnący gulasz ozdabiało jajko sadzone, ułożone na środku. Potrawa, przyprawiona ziołami, okazała się pyszna. Podziękowałyśmy Petyrowi za rekomendację.

– *Kawyrma* to chyba tureckie danie – podjęła temat Agnieszka, próbując potrawy. – Wydaje mi się, że coś podobnego jadłam w Turcji.

– Czy w szkole dokładnie uczy się bułgarskiej historii? – zapytałam, pijąc wino. – Choćby o niewoli tureckiej. O powstaniach. U nas robi się z nauką historii różne dziwne eksperymenty... – Krótko wyjaśniłam, o co chodzi.

– Tutaj wybuchu bułgarskich powstań przeciwko Turkom nikt nie kwestionuje, ale jest coś innego: poprawność polityczna. Zawsze mówiło się: „niewola turecka”, tak wszyscy uczyliśmy się w szkole od pokoleń. Aż tu nagle, w ostatnich latach, powstał nowy termin: niewola osmańska. Trzeba współpracować z Turcją, są różne państwowe interesy, import-eksport i tak dalej, więc to, co najgorsze we wspólnej historii, przierzucamy na Osmanów. To naprawdę śmieszne...

– A jaka była ta niewola turecka? – zapytała Agnieszka.

– Strasznie długa, okrutna, krwawa. Bułgaria ucierpiała najbardziej, bo została podbita już w czternastym wieku. Byliśmy poddanymi, a Turcy panami. Tu nigdy nie było szlachty, Turcy na to nie pozwolili. Potrzebni im byli tylko chłopci do pracy w polu, pasterze i młodzi mężczyźni do wojska. Porywali małych chłopców. – Umilkł na chwilę, po czym zapytał: – Czy mówi wam coś taka nazwa: Dzień Koguta, *Petliowden*?

Pokręciliśmy głowami. Nie mówi.

– To jest święto mężczyzn. Obchodzimy je w Bułgarii drugiego lutego. Tego dnia w dawnych czasach najprzystojniejsi młodzi mężczyźni prezentowali się wspólnie wszystkim mieszkańcom wsi, pokazywali swoją siłę i zręczność. W ten sposób czczono męskich potomków w rodzinie. Turcy zorientowali się, że jest taki zwyczaj i postanowili skorzystać z okazji. Właśnie wtedy najeżdżali wioski, żeby zabierać tych najlepszych, najzdrowszych albo zabijać, jeśli stawiali opór. Jeśli z danego gospodarstwa już wzięli chłopaka, na bramie malowali znak krwią. Sprytnie kobiety szybko wpadły na pomysł, jak przechytrzyć Turków. Zabijały koguty i ich krwią oznaczały domostwa, żeby najeżdźcy je ominęli i nie zabrali syna do wojska. Z tego powodu do dzisiaj święto mężczyzn nazywa się Dzień Koguta.

– Bardzo ciekawa historia – oceniłam. – Słyszałam, że korzenie bułgarskiej architektury też sięgają tych czasów. Chodzi mi o te charakterystyczne domy z wysuniętym piętrzem. Podobno budowano tak dlatego, żeby z okien na piętrze szybciej dostrzec, czy zbliżają się Turcy. Czy to prawda?

– Istnieje taka teoria, ale nie mam pojęcia, czy właściwa – powiedział Petyr i roześmiał się. – Jest jeszcze jedna rzecz, która miała wpływ na architekturę. Nie można było budować wysokich budynków, nie mogły być wyższe niż Turek na koniu, chyba że był to meczet. Nie wolno było budować cerkwi, ale ludzie jakoś sobie radzili i stawiali w górach małe kaplice, paraklisy. Jedźcie w Rodopy, to je zobaczycie.

– To, że nie było w Bułgarii bogatej szlachty, też ma wpływ na architekturę – wtrąciłam. – Nie macie pałaców ani zabytkowych rezydencji...

– Zgadza się. To, że Bułgarzy przetrwali tyle wieków, to cud. Stało się tak dzięki religii i tradycji. Folklor jest tu częścią życia. Stroje ludowe, taniec, zwyczaje są dla Bułgarów bardzo ważne i widać to nie tylko od święta.

Petyr opowiedział nam tyle ciekawych rzeczy, że postanowiłam zrobić mu przyjemność i wspomnieć o znanych Bułgarach.

– To nieprawda, że Bułgarzy nie liczą się na świecie – zaczęłam po przełknięciu ostatniego kęsa.

– Tak? – zaciekawił się. – Myślisz o gospodarce czy... o sporcie?

– O sporcie oczywiście też. Każdy wie, kto to jest Christo Stoiczkow, nawet jak nie bardzo lubi futbol. Pamiętam, jak strzelał gole na mistrzostwach. Macie teraz świetną drużynę siatkarzy. Zawsze im kibicuję, jeśli tylko nie grają z Polską. Mój tato pamiętał piosenkarkę, Lili Iwanową. Dawno, dawno temu występowała w Sopocie. To taka bułgarska Maryla Rodowicz, gwiazda estrady, i też jeszcze śpiewa – powiedziałam po polsku do Agnieszki. – Jest bardzo dobry aktor, nazywa się Christo Szopow. Występował w wielu zagranicznych filmach, również w polskich. Grał Piłata w filmie *Pasja*. Poza tym chyba literaturoznawcom znany jest Iwan Wazow. Pisał ku pokrzepieniu serc, jak Sienkiewicz, zresztą żył mniej więcej w tym samym czasie. Napisał powieść *Pod jarzmem*, o powstaniu kwietniowym w tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym roku, o sile bułgarskiego narodu, o życiu w tamtych czasach. Co tam jeszcze...

– No, no, jestem pod wrażeniem... – roześmiał się Petyr. – Proszę dalej.

– Ona po prostu lubi Bułgarię, nie da się ukryć. Jak to się mówi: interesuje się... – dorzuciła moja przyjaciółka.

– Na pewno teraz wiem więcej niż kiedyś, choćby dwadzieścia lat temu – przyznałam. – Wtedy potrafiłam wymienić tylko jedno nazwisko: Żiwkow, i jednego artystę: Christo. Pamiętam to, bo było mi głupio, że wiedziałam tylko tyle...

– Miło, że przyjechałaś tu znowu. – Patrzył na mnie zza chmury dymu. – Chyba masz jakiś sentyment, co? Miłość nad morzem?

Speszyłam się. Trzeba było szybko zmienić temat.

– Aha, przypomniałam sobie! – Upiłam łyk wina. – Jeszcze jedna znana postać: Baba Wanga!

– Chyba nie słyszałam – mruknęła Agnieszka.

– To słynna jasnowidzka i znachorka, zmarła w latach dziewięćdziesiątych – wyjaśniłam, ciesząc się w duchu, że udało mi się porzucić grząski grunt. – Nostradamus dwudziestego wieku.

– Niezwykła postać – przyznał Petyr. – To niemal symbol narodowy. Znana w całej Bułgarii, ale tajemnicza. Gdy była małą dziewczynką, wiatr ją porwał podczas huraganu i cisnął o ziemię. Tak zasypał oczy piachem, że straciła wzrok. Wtedy stała się jasnowidzącą. Przepowiadała przyszłość, leczyla ziołami. Większość jej proroctw się sprawdziła.

– Przepowiedziała upadek Związku Radzieckiego i zatonięcie okrętu podwodnego „Kursk” – wtrącałam. – Wymieniała tę nazwę, ale nikt nie wiedział wtedy, o co chodzi.

– To prawda. Atak na World Trade Center też przewidziała. Ale przepowiedziała też trzecią wojnę światową.

– Tak? I kiedy wybuchnie? – zapytała Agnieszka.

– Jak Syria upadnie – odparł Petyr spokojnie.

– Jak to? – zdziwiłyśmy się.

– Takie jest proroctwo. Wojna światowa wybuchnie, jak upadnie Syria, a w Syrii już toczy się lokalna wojna.

– Czy ta Wanga nigdy się nie myliła?

– Nie wiem, ja u niej nie byłem, ale przepowiedziała, że wojna wybuchnie w dwa tysiące dziesiątym, teraz mamy trzynasty, więc trzeba być dobrej myśli. Może się pomyliła. Może wojna nie tak prędko wybuchnie, a może wcale.

– A ty znasz jakichś sławnych Polaków? – zapytała go Agnieszka.

– Jan Paweł II – wymienił natychmiast. – Był w Bułgarii kilka lat przed śmiercią, chyba w dwa tysiące drugim. Wtedy powiedział w Sofii pamiętne słowa, że nigdy nie przestał kochać narodu bułgarskiego. To było bardzo ważne dla nas. Mówił, że nie wierzy w istnienie tak zwanego bułgarskiego śladu w przygotowywaniu zamachu na jego życie. Ludzi to bardzo podniosło na duchu, aplauz był niesamowity – wspominał Petyr.

Nie chciałam rozwijać tego tematu. W polskiej prasie ukazało się na ten temat ostatnio kilka artykułów. Bułgarski ślad jednak był. Pierwsza napisała o tym ponad dwadzieścia lat temu amerykańska dziennikarka Claire Sterling w „The Reader’s Digest”. Według autorki, zamach nie był dziełem fanatycznego islamisty, ale został zainspirowany przez władze komunistycznej Bułgarii i Związku Radzieckiego. Artykuł wywołał burzę i ataki na autorkę. Wkrótce Ağca, po dwóch latach od procesu, w którym wziął na siebie całą odpowiedzialność, poinformował, że zamach na papieża był przygotowywany przez KGB i wywiad bułgarski, że do Włoch wysłali go Bułgarzy. Podał nazwiska Bułgarów mieszkających w Rzymie, rozpoznał ich na zdjęciach. Okazało się, że „Kolew” to Todor Ajwazow, kasjer ambasady w Rzymie. „Petrow” to Żelju Wasilew, zastępca attaché wojskowego ambasady. I „Bajramik”, czyli Sergej Antonow, zastępca dyrektora bułgarskich linii lotniczych Bulganair w Rzymie. Ağca opisał ich mieszkania i zwyczaje. W Bułgarii zawrzało. Zwołano konferencję prasową dla dziennikarzy z całego świata, przedstawiając zeznania Ağcy jako kłamstwa i prowokacje. Poinformowano wkrótce, że Turek, używając fałszywego paszportu, popełnił w Sofii

przestępstwo, więc trzeba go przesłuchać. Dwaj bułgarscy prokuratorzy odwiedzili go w celi. Jeden z nich, Ormakow vel Ormankow, był w rzeczywistości wysokim funkcjonariuszem pionu śledczego bezpieki, tylko udawał prokuratora. Naiwni Włosi zgodzili się, żeby Bułgar porozmawiał z Ağcą sam na sam, podczas nieobecności włoskiego sędziego. Tymczasem przed włoskim sądem stanęli dwaj tureccy mafiosi i Antonow. „Petrow” i „Kolew” zdążyli już wcześniej wyjechać do Bułgarii. Z kolei Ağca już na pierwszej rozprawie zaczął symulować chorobę psychiczną i odwołał wszystkie wcześniejsze zeznania. Tego trzyma się do dziś, uważając się za Mesjasza i prosząc o polskie obywatelstwo. Dostał dożywocie. Dwaj Turcy i Antonow zostali zwolnieni z braku dowodów. A potem zaczęła się seria tajemniczych śmierci. W wypadku na drodze zginął generał Wasil Kocew, szef bułgarskiej bezpieki. Później samobójstwo popełnił Stojan Stojanow, nadzorujący operacje specjalne. W latach dziewięćdziesiątych w wypadku samochodowym zginął „Petrow”, a jego kolega „Kolew” wkrótce został śmiertelnie postrzelony podczas polowania. „Bajramik”-Antonow zmarł w 2007 roku, według lekarzy z powodu wylewu. Kilka lat wcześniej otrzymał od rządu specjalną emeryturę „za zasługi dla kraju”. Czytałam o tym całkiem niedawno.

To nie był raczej temat do rozmowy z przypadkowo poznanym, miłym Bułgarem w ciepły czerwcowy wieczór na wakacjach.

Zrobiło się późno. Trzeba było wracać. Pożegnałyśmy się serdecznie z Petyrem. Wymieniliśmy adresy mejlowe.

– Jeszcze się spotkamy – powiedział na pożegnanie – choćby na Facebooku. Świat stał się mały.

„Tylko że mnie nie ma na Facebooku”, pomyślałam.

Wielkie Tyrnowo nocą wyglądało magicznie. W oknach zapaliły się światełka. Rozjarzyły się uliczne latarnie. Tysiące światełek w cudzych oknach. Dziesiątki lamp na fasadach spiętrzonych budynków. Wzgórza nad wąwozem wyglądały, jakby ktoś przykrył je świetlistą makatą o abstrakcyjnym, jasnym, nieregularnym wzorze. Ziemskie piękno świateł konkurowało z pięknem kosmicznym rozgwieżdżonego nieba. Było cicho, mrok kocim krokiem wychodził z ciemnych zaułków, gdzie czasem przemykały koty.

W hotelu sprawdziłam wiadomości. Jeden telefon od męża, jeden esemes od syna. Kacper pytał, kiedy wracam. Typowe: nie wie, chociaż mówiłam mu kilka razy. Od Borysa żadnej wiadomości.

3 Płatek czerwony czy różowy?

Następnego dnia rano po kamiennej grobli poszliśmy na wzgórze Carewec. Do dawnej siedziby bułgarskich carów wchodzi się przez podwójną bramę. Carskie miasto otacza gruby mur, z wieżami i strzelnicami. Na szczycie wznosi się malownicza katedra patriarchalna.

Z Carewca, leżącego wysoko w zakolu Jantry, roztacza się bajeczny widok na sąsiednie wzgórza. Niektóre zamieszkane, inne zielone, pozbawione domów. Na przeciwległym zboczu, na drugim brzegu rzeki, pejzaż szpeci wielokątny dziwaczny budynek ze szklanymi ścianami i płaską betonową czapą. Jakby unosił się nad domkami o czerwonych dachach i był trochę nie z tego świata. Ale jest z tego świata, jak najbardziej – to dawna willa Żiwkowa, willa o śmiałej architekturze, z widokiem na Carewec, która teraz jest jednym z wielu budynków należących do uniwersytetu.

Stara stolica Bułgarii jest urokliwa. I jest to piękno, którego nie potrzeba porównywać z innym, bardziej znanym i uznanym pięknem wąwozów włoskich, hiszpańskich czy luksemburskich i urodą przełomów wielkich rzek. Wielkie Tyrnowo to rzadkie połączenie zgodnej twórczości dwóch architektów: natury i człowieka, w otocze bogatej wielowiekowej historii i legend. Nic dziwnego, że zawsze przyciągało artystów.

Ciekawe, czy Borys lubi to miasto? Kiedy tu ostatnio był? Na wycieczce szkolnej? Podczas wiosennego weekendu? Może ma w albumie zdjęcie klasowe przed bramą Carewca. Carewec to taki bułgarski Wawel, ale pokruszony, rozsypany, rozłożony na kamienne części pierwsze, do kości fundamentów. Wspomnienie po minionej potędze, która skruszała.

Lubiłam zmysłowe odczuwanie miast. Najłatwiej zapamiętać obrazy i dźwięki. Tak jak w filmach *Niebo nad Berlinem* czy *Lisbon Story*. Czasem ważne jest także jedzenie, jak w japońskim kinie kulinarnym. Smak nowych potraw, pomidorów czy dorodnych czereśni może wywołać niepowtarzalne wspomnienia skuteczniej niż obraz. Wszystko po latach może być proustowską magdalenką. Również *kawyrma* jedzona o zmierzchu na krawędzi stromego urwiska, nad czerwonymi dachami zasłaniającymi szumiącą w dole rzekę.

Rano ruszyliśmy dalej. Sytuacja na trasie po weekendzie nie zmieniła się, samochodów było nadal bardzo mało, a osobowych – prawie wcale.

– Benzyna jest bardzo droga – stwierdziła Agnieszka, gdy zatrzymałyśmy się na stacji benzynowej, która nie była Lukoilem, bo te skwapliwie omijałyśmy.

Napełniłam bak. Benzyna kosztowała drożej niż w Polsce.

Zbliżało się południe. Dolinę podziwialiśmy przez okna samochodu. I jeszcze jeden szczegół krajobrazu rzucał się w oczy: ani w rzadko mijanych miastach, ani w wioskach nie widać było żadnej nowo rozpoczętej budowy. Wszędzie tylko stare domy, komunistyczne blokowiska, zabytki bez renowacji, opustoszałe budynki przemysłowe. Zastój budowlany? Brak potrzeb? Wyludniająca się domy? Brak funduszy?

Skręciliśmy do Trjawni. Miasteczka, które jest jak bajkowa scenografia. Żywa sceneria filmowa.

– Czuję się jak na pielgrzymce – skomentowała Agnieszka ze śmiechem. – Najczęściej chyba zwiedzamy cerkwie.

– I tak pewnie będzie do końca, jeszcze sporo cerkwi i monastyrów przed nami.

Zrobiliśmy przystanek w Etyrze, wiosce-skansenie, na tradycyjny lunch – baniczki z dynią i bożę – i ruszyliśmy dalej, do Szipki, ważnego miejsca w historii Bułgarów.

Aby znaleźć się po drugiej stronie gór, w Dolinie Trackich Królów, trzeba pokonać Przełęcz Szypczeńską. Poniżej wśród drzew lśniło złoto pięciu kopuł dużej cerkwi: dar Rosji za udział Bułgarów w wojnie rosyjsko-tureckiej w latach 1877–1878.

Około dziewięćset stopni wiedzie na szczyt góry, do monumentalnego pomnika Wolności, w kształcie wieży, który zna każdy Bułgar. W ten sposób uczczono rosyjskich żołnierzy i bułgarskich ochotników, którzy odpierali ataki wojska tureckiego, usiłującego zdobyć przełęcz.

W bitwie zginęło wielu Polaków. Przełęczy broniły pułki: Żytomierski, Podolski, Wołyński, Warszawski, Wileński. Te nazwy znalazłyśmy w krypcie cerkwi na marmurowych sarkofagach z wypisanymi polskimi nazwiskami poległych. Wzgórze Wołyńskie nazwano tak na pamiątkę walczącego tam pułku. Szefem sztabu armii, którą dowodził brat cara Aleksandra II, czyli cara Wyzwoliciele, książę Mikołaj, był polski generał. Połowę armii księcia Mikołaja stanowili Polacy. Tu spłotła się historia towarzyszy broni, Bułgarów i Polaków.

Zjechałyśmy do Doliny Królów Trackich. W okolicach miasta Szypka i miasta o dziko brzmiącej nazwie Kazanłyk znaleziono około tysiąca trackich kurhanów. Z drogi, którą jechałyśmy w kierunku Kazanłyku, widać było płaską zieloną dolinę. Gdzieniedzie spokojny, łagodny, płaski pejzaż zaburzały niewielkie pagórki. To właśnie trackie grobowce królów lub ważnych osobistości. Budowano je z kamienia lub, w późniejszych czasach, z wypalanej cegły. Komorę, w której chowano ciało, pokrywa kopuła. Przysypane ziemią, porośnięte trawą grobowce przypominają kopce rozsiane na rozległej przestrzeni łąk.

– Liczne trackie plemiona zamieszkiwały niegdyś tereny dzisiejszej Bułgarii. – Agnieszka czytała na głos wydrukowane przeze mnie informacje. – Osiągnęły wysoki poziom rozwoju, również dzięki kontaktom handlowym z koloniami greckimi. Traków spotykamy w poezji Homera, który wspomina o nich, opisując wojnę trojańską. Byli sprzymierzeńcami Trojan. Herodot uważał ich za drugi co do liczebności lud, zaraz po mieszkańcach Indii. Pisał, że gdyby rozproszone liczne plemiona miały jednego władcę, Trakowie byliby niepokonani. Niestety, nigdy się nie zjednoczyli. Macedończycy z plemiennych władców trackich zrobili lenników, ale po przegranej wojnie z Rzymianami utracili zwierzchnictwo nad Tracją na rzecz Cesarstwa Rzymskiego. Rzymskie panowanie wywarło duży wpływ na te ziemie i zmieniło je w rzymską prowincję. Po upadku Cesarstwa na teren Tracji najpierw przybyli Słowianie (VI w. n.e.), a potem Protobułgarzy (VII w. n.e.) Po założeniu państwa bułgarskiego ziemie trackie znalazły się w jego granicach. Trakowie byli jedną z trzech narodowości, które dały początek narodowi bułgarskiemu.

– Ho, ho! Starożytne korzenie. – Uśmiechnęłam się.

– Trakowie zajmowali się głównie rolnictwem, hodowlą bydła i toczeniem wojen – czytała dalej Agnieszka. – Znali się na produkcji wina, winiarstwo stało się jednym z podstawowych działów rolnictwa. Byli mistrzami w wyrobie biżuterii ze złota, srebra i brązu. W starożytnej Tracji dużą wagę przywiązywano do siły fizycznej. Stąd pochodził prawdopodobnie Spartakus, przywódca powstania niewolników w Rzymie. Wiele elementów z politeistycznej religii Traków zostało przejętych przez Greków, na przykład kult Aresa, Dionizosa czy mit o Orfeuszu, misteria dionizyjskie, wiara w nieśmiertelność duszy. Trakowie nie stworzyli pisma. Wszystko, co o nich wiemy, przekazali greccy pisarze. Według Herodota, plemiona południowo-wschodnie najbardziej czciły Słońce. Charakterystyczny i powszechny był kult tak zwanego Jeźdźca trackiego, porównywanego z Herkulesem. Tracy posiadali silnie rozwinięty kult zmarłych. Zmarły władca stawał się równy bogom, a jego grobowiec – świątynią.

– Właśnie taki jeden grobowiec jest naszym celem w Kazanłyku – oznajmiłam. – Zaraz go obejrzymy.

Niedokładnie tak było. Obok prawdziwego kurhanu wybudowano jego replikę, gdzie odtworzono wygląd wnętrza grobowca i wszystkie barwne freski oryginału. Zaskakujący pomysł. Na malowidłach przedstawiono walczących wojowników (bitwę Traków z Macedończykami), ucztę ku czci zmarłego i najciekawsze: sceny z galopującymi końmi i wyścigi rydwanów – być może tracki wynalazek. Dzięki tym freskom wiemy, jak Trakowie wyglądali, w co się ubierali, jakich przedmiotów używali, co jedli, jak walczyli. I to, że cenili i lubili konie. Freski to fascynująca tracka opowieść w obrazkach. Niczym list sprzed wieków od tych, co nie znali pisma.

Udałyśmy się do centrum, żeby znaleźć jakieś miejsce na nocleg. Przy głównym placu Sewtopolis stał wielki szary hotel, w którym postanowiłyśmy się zatrzymać, żeby nie tracić czasu na poszukiwanie czegoś ciekawszego. Hotel był prawie pusty. Spóźniłyśmy się kilka tygodni na Święto Róż, które obchodzi się w Kazanłyku na początku czerwca. A wtedy w mieście trudno o miejsce do spania.

Bardzo szybko wyszłyśmy, żeby nie tracić kontaktu z tracką historią i zdążyć do muzeum, które znajdowało się po drugiej stronie parku. Tam zebrano skarby z zatopionego miasta Sewtopolis i ciekawe znaleziska z licznych trackich kurhanów w okolicy. Nigdzie wcześniej nie widziałam piękniejszej złotej biżuterii. Naszyjniki ze złotych paciorków, misternie dekorowane złote wisiorki niezliczonych kształtów, pięknie zdobione złote przywieszki, złote i srebrne brosze z kwiatowymi ornamentami... i prawdziwe złote cudo: ozdoba na głowę wykonana z delikatnych złotych gałązek i pędów, z wiotkimi listkami również ze złota i złotymi żółędziami, do złudzenia imitującymi wianek z rozwierzonych dębowych witek, jakby niedawno zerwanych. Symbol mistrzowskiego realizmu starożytnego złotnika i arcydzieło precyzji w trackim złotym wieku. Były też złote naczynia i inne przedmioty ze szlachetnego kruszcu wykonane w mistrzowski sposób. Tyle zostało po starożytnej kulturze Traków. Wyszłyśmy oślepięte złotem, oszołomione ilością kunsztownie wykonanych złotych przedmiotów i ich zaskakująco „współczesnym” wzornictwem, przytłoczone złotymi skarbami kazanłyckiego sezamu.

Wędrowałyśmy po mieście w poszukiwaniu ciekawego miejsca na odpoczynek i posiłek. W bocznych uliczkach, między budynkami i blokami, dokonałam kolejnego odkrycia: bułgarski figowiec rośnie w wielu miejscach. Nie jest rzadkością, jak kiedyś myślałam. Jest tak banalny i powszechny niczym chwast.

Po strawie dla oczu i ducha przyszedł czas na ucztę dla ciała.

– Tutaj w różnych sklepach sprzedaje się jako przekąski, a właściwie przegryzki, orzechy, pestki, nasiona w łupinach – zauważyłam. – Nazywają to *jadki*.

Stragany z orzeszkami i pestkami widywałyśmy już wcześniej, ale okazało się, że to stały element „życia kulinarnego na szybko”, kultury skubania i przegryzania między posiłkami, zdrowego fast foodu. Asortyment „jadjkowy” jest naprawdę bogaty: nasiona oferuje się w stanie podstawowym i prażone, surowe i przyprawiane, solone i cukrzane. Bułgarzy bardzo lubią jeść słonecznik. W kraju, gdzie jest tyle pól słonecznikowych, to popularna przegryzka.

W małym sklepiku kupiłyśmy torebkę klasycznych orzeszków laskowych i ruszyłyśmy w stronę głównego placu. W centrum miasta dostrzegłyśmy restaurację pod gołym niebem. Stoły były nakryte barwnymi obrusami w ludowe wzory. Postanowiłyśmy tam posmakować kuchni trackiej. Było późne popołudnie, upał stygł. Na początek zamówiłyśmy piwo. Agnieszka polubiła arianę. Ja

poprosiłam o kamenitzę, piwo reklamowane jako najstarsze w kraju. W te gorące czerwcowe dni smakował mi każdy rodzaj bułgarskiego piwa, spróbowałyśmy już różnych marek. Poprosiłyśmy o wielki talerz szopskiej, do tego papryki nadziewane serem (ja) i bułgarską musakę (Aga). Potem dyskutowałyśmy o wyższości musaki greckiej (z bakłazanami) nad musaką bułgarską (ziemniaczaną). Pyszną kolację zakończyłyśmy kolejnym lokalnym piwem. Agnieszka wybrała „mocne”, bo 4,5-procentową astikę, a ja „słabe” – 4,1-procentową bolyarkę, bo podobala mi się nazwa i miejsce produkcji: Wielkie Tyrnowo.

Po kolacji spacerowałyśmy leniwie po niewielkim centrum Kazanłyku, zerkając na wystawy sklepów. Agnieszka stwierdziła, że najpopularniejszym zagranicznym pisarzem jest tutaj Dan Brown, bo za wystawową szybą księgarni najwięcej było tytułów jego autorstwa.

– To jest naprawdę świetny pomysł! – zawołała nagle Agnieszka, zatrzymując się dłużej przy dziwnym dużym automacie na chodniku, przy banku. Studiowała jego instrukcję obsługi. – Można sobie kupić kawę na ulicy, kawę w biegu, na szybko, w kubeczku. Z kawomatu! Zaraz sprawdzę, jak działa i czy robi dobrą kawę. – Wrzuciła monety i po chwili trzymała w dłoni kawę w plastikowym kubku. – Całkiem niezła jak na kawę chodnikową.

– Kolejna bułgarska ciekawostka – roześmiałam się. – To jest naród kawoszy, od razu widać. Kawa musi być powszechnie dostępna, nawet na ulicy. Widziałam te urządzenia w różnych sklepach, ale myślałam, że można kupować tylko zimne napoje w puszkach, tak jak u nas, a to chyba też były kawomaty. Ten jest pewnie wyjątkowo potrzebny klientom banku.

– Spacerowicze też kawą nie pogardzą – dodała Agnieszka, obserwując, jak z automatu korzystają dwie dziewczyny.

W hotelu padłyśmy na łóżka i sprawdzałyśmy, co proponuje bułgarska telewizja. Były to: gadające głowy, godzinami komentujące w studiu protesty i napiętą sytuację polityczną – słowo ostawka padało bardzo często; tureckie telenowele, amerykańskie filmy bez dubbingu, z bułgarskimi podpisami; jakiś terapeutyczny talk show, którego celem było doprowadzenie gościa (młodej kobiety) do łez chyba ulgi; program dla wędkarzy na Hobby TV (rodzaje przynęty). W pewnym momencie Agnieszka znalazła kanał, który serwował klipy. Zastygłyśmy ze zdumienia. Nie mogliśmy oderwać oczu od ekranu.

– Gdybym już nie leżała, tobym chyba padła – szepnęła moja przyjaciółka. – Co to za dziwo? Demoniczny pornogrubas...

Na ekranie w towarzystwie półnagich mężczyzn śpiewał i wyginał się wyzywająco dziwny twór estradowy, niejaki Azis. Na pierwszy rzut oka hermafrodyta bułgarskiego etnopopu, czyli swoistej mieszanki folku z zaśpiewem tureckim czy greckim, popfolku zwanego tutaj czałga.

– Ciekawe, czy on jest popularny – zastanowiłam się, gdy ochłonęłam z szoku.

Agnieszka zaczerpnęła wiedzy ze smartfona i oznajmiła:

– Jeszcze jak! Pochodzi z romskiej rodziny. Kilka lat temu w plebiscycie „Wielcy Bułgarzy” zajęli dwudzieste pierwsze miejsce wśród Bułgarów wszech czasów, jako drugi spośród żyjących, po Christo Stoiczkowie! Wyobrażasz sobie? Tak wybrali widzowie. Coś niebywałego! Skandalizujący wokalista jest gejem. Azis to pseudonim artystyczny. Śpiewa, wydał sporo płyt. Napisał nawet swoją autobiografię, chociaż ma dopiero trzydzieści parę lat. Odniósł sukces komercyjny w branży muzycznej, tak o nim piszą. Może przełączymy, ja nie daję rady oglądać. Potrzeba do tego więcej piwa... albo czegoś mocniejszego.

Zadzwoiłam do Filipa, żeby zdać mu relację z podróży i opowiedzieć, co widziałyśmy dzisiaj

i jakie mamy plany na najbliższe dni. Odpisałam na esemesa od Kacpra. Nadal nie było żadnych wieści od Borysa. Nie odezwał się. Jutro już będę w Sofii. To milczenie bolało, ale miałam silne znieczulenie: bardzo intensywnie zajmowałam się Bułgarią. Tu i teraz. Od rana do wieczora. To „zajmowanie się” wciągnęło mnie bez reszty. Nie miałam czasu na rozpamiętywanie i zadawanie sobie pytań, na które i tak nie znajdowałam odpowiedzi. Poznawanie i odkrywanie mało znanej historii tego kraju, sztuki, tradycji i ciekawostek lokalnego życia codziennego całkiem mnie pochłonęło. Gromadziłam socjologiczne obserwacje, swobodnie kolekcjonowałam wrażenia, smakowałam potrawy. Oglądałam malownicze pasma górskie i zielone doliny, miasta i miasteczka. Porównywałam, analizowałam. Pasjonowałam się emocjonalną przygodą, jaką była ta podróż przed siebie, w nieznaną – w słoneczną krainę, krainę pięknych wspomnień i niewykorzystanych możliwości. Szkoda tylko, że towarzyszyło mi niemiłe przeczucie, że w Sofii nie spotkam Borysa, któremu mogłabym o tym opowiedzieć...

Rano opuściliśmy Kazanłyk. Chciałyśmy jeszcze poznać tracką dolinę od innej strony – różanej. Dolina Trackich Królów nosi bowiem też piękną nazwę: Dolina Róż. Z Indii, przez Persję, Syrię i Turcję, trafił tu gatunek róży o nazwie róża damasceńska. Znalazł idealne warunki: glebę, temperaturę, nasłonecznienie i wilgotność, żeby wkrótce rozwinąć kwiaty, z których wytwarza się najlepszy jakościowo olejek. W Kazanłyku powstała pierwsza firma sprzedająca olejek różany. Region stał się centrum przemysłu różanego, a Bułgaria największym na świecie eksporterem tego pięknie pachnącego towaru. I tak jest do dzisiaj. Nic dziwnego, że róża stała się narodowym symbolem tego kraju.

Na cześć królowej kwiatów obchodzi się w Kazanłyku w pierwszym tygodniu czerwca Święto Róży. Podczas festiwalu wybiera się najpiękniejszą uczestniczkę i koronuje na królową Róży. Tradycyjnym rytuałom zbiorów towarzyszą regionalne pieśni i tańce. Zabawa trwa kilka dni. Do miasta przybywają wtedy tłumy turystów. Gdy o tym czytałam, zastanawiałam się, czy Borys był kiedyś na tym festiwalu.

Niestety, nieco rozminęłyśmy się w czasie z różanymi zbiorami. Rozległe pola różanych krzewów w większości były już pozbawione kwiatów. Tony przerobiono na olejek, bo z trzech ton świeżych kwiatów otrzymuje się... tylko kilogram cennej substancji. Tajemnica trwałego, mocnego zapachu tkwi w zbieraniu kwiatów o właściwej porze, czyli wtedy, gdy wstaje nowy dzień. O brzasku, kiedy powietrze jest czyste i wilgotne. Między czwartą a piątą rano róże witają słońce najintensywniejszym, najśłodszym zapachem. Wtedy pomiędzy długie rzędy wchodzi zbieraczki i delikatnymi kwiatami napęniają wielkie wiklinowe kosze. Praca na pozór romantyczna, ale bardzo ciężka. Zbiory trwają najpóźniej do godziny dziewiątej.

– Jaki właściwie kolor ma ta niezwykła róża? Czerwony czy różowy? – zapytała Agnieszka.

Koniecznym chcieliśmy obejrzeć pola różane, których nie widać z głównej drogi prowadzącej do Sofii, więc skręciłyśmy w kierunku Skobelewa. Zauważyłyśmy tabliczki z napisem „Bułgarska róża”. O to nam chodziło. Znalazłyśmy się na wielkiej plantacji. Różane zagony wyglądały przepięknie, choć kwiaty tej odmiany nie są wielkie, ale mają gęste, różowe, delikatne, aksamitne płatki.

Damasceńska róża jest różą różową.

Na plantacji, gdzie również znajdowała się wytwórnia olejku różanego, zaaranżowano stałą wystawę dawnych urządzeń przetwórczych, wiklinowych koszy i naczyń. Był tam również niewielki ogród różany i – oczywiście! – sklepik dobrze zaopatrzone we wszystko, co z róży można wycisnąć, a właściwie odparować. To, co tam oferowano, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Od pierwszej

chwili było wiadomo, że zostawimy tu sporo lewów.

Ile rodzajów kosmetyków używa przeciętnie jedna kobieta? Kilka? Kilkanaście? Nawet jeśli stosuje ponad dwadzieścia, musiałaby poświęcić parę miesięcy, żeby wypróbować każdy różany kosmetyk, codziennie jeden. Różane mydła, żele pod prysznic, sole do kąpieli, peelingi do ciała, olejki ujędrniające, olejki odżywcze, masło do ciała. Szampony, odżywki, podkłady pod makijaż, różane kremy na dzień i na noc, nawilżające i półtłuste, kremy do liftingu, peelingi do twarzy. Maseczki z olejkiem różanym, kremy i żele pod oczy, kremy do rąk i do stóp. Błyszczki i balsamy do ust. Toniki i mleczka do twarzy. Nawet puder różany. Kosmetyki dla kobiet i dla mężczyzn. Pojedyncze i w zestawach. Wszystko, żeby upiększać ciało i pielęgnować urodę. Nacierać się, wklepywać, smarować, nakładać, a na końcu rozpylać perfumy i, czując świeży różany zapach, myśleć o wakacjach w Bułgarii. A zimą wieczorami palić różane świece. Ile możliwości! Kolejne różane „coś” może zostać na jakiś czas wywoływaczem wspomnień.

Postanowiłyśmy ograniczyć listę pokus do dziesięciu, poza prezentami dla rodziny i znajomych. Kosmetyki na bazie olejku różanego są niedrogie i dobrej jakości. Stworzyłyśmy też listę różnych osobliwości. Znalazły się na niej produkty spożywcze, też dla ciała: konfitury z płatków róży (pyszne), różana rakija i różany likier. Kupiłyśmy kilka pudełek różanej galaretki, która w Bułgarii nazywa się *lokum* i jest wersją tureckiego rachatlukum (albo tym samym, tylko pod innym szyldem). Pół pudełka zjadłyśmy od razu na miejscu, w różanych okolicznościach przyrody.

Zapakowałyśmy torby do bagażnika i wróciłyśmy na szlak wiodący do stolicy. Połatana autostrada omijała kolejne miasteczka i wioski na zboczach gór. Sytuacja na drodze nie zmieniła się, nadal było pusto w środku dnia. Gdyby nie marna jakość dróg, prowadzenie samochodu byłoby komfortowe.

Zatrzymałyśmy się na krótko w miejscowości o swojsko brzmiącej nazwie Sopot, która leży w Dolinie Róż i słynie jako rodzinne miasto Iwana Wazowa, zwanego ojcem literatury bułgarskiej.

– Czuję się niedouczona – przyznała Agnieszka. – Nie potrafię wymienić żadnego tytułu bułgarskiej powieści, oprócz jednej książki Wazowa.

– A ja się zastanawiam, czy w ogóle są jakieś tłumaczenia bułgarskiej literatury współczesnej w ostatnich latach. Chyba bardzo mało. Czy w ogóle jest jakaś wymiana myśli? I odwrotnie. Czy w Bułgarii ktoś zna polskiego pisarza, który nie nazywa się Sienkiewicz? Teraz, niestety, dominują tłumaczenia z angielskiego.

Ruszyłyśmy dalej. Nie chciałyśmy się spóźnić. Byłyśmy umówione na wieczór. Agnieszka miała w Sofii koleżankę z czasów studenckich, Cwetę. Skontaktowała się z nią na Facebooku przed wyjazdem. Zadzwoiła do niej trzy dni temu, żeby ustalić szczegóły. Cwetelina Gospodinowa bardzo się cieszyła na to spotkanie. Zaprosiła nas do domu na kolację. Była tak miła, że obiecała przyjechać po nas do hotelu o piątej, żebyśmy nie błądziły po mieście. Agnieszkę czekało więc ciekawe spotkanie po dwudziestu latach. Z Bułgarką, która mówiła po polsku i знаła nasz kraj. Która bardzo chciała zostać w Polsce, ale ostatecznie po studiach musiała wrócić do Sofii.

Kolejny raz sprawdziłam wiadomości. Zero. Borys nie dał znaku życia. Dlaczego? Myślałam o tym z przykrością. Przecież jutro mamy się spotkać. Przyjdzie czy nie przyjdzie?

4 Witamy w Zoście

Łagodne pasmo Starej Płaniny prowadziło nas w głąb kraju. Towarzyszyło nam zielonymi zboczami z prawej strony. W pewnym momencie w oddali dostrzegłyśmy długie fioletowe pasma – jakby ktoś znudzony zielenią wziął pędzel i zmienił kolorystykę kawałka doliny, dodając mocniejszej, żywszej barwy u stóp wzgórz. Skrzyliśmy tam natychmiast.

Lawendowe pola w słońcu! Drobne, gęste kwiatostany kołyszące się na sztywnych łodyżkach. Dopiero przygotowując się do tej podróży, dowiedziałam się, że Bułgaria to największy dostawca lawendy i oleju lawendowego, największy lawendowy ogród, za który powszechnie uważa się Prowansję. Niesłusznie.

Dla fotografa kwitnące pola lawendy to po prostu radość dla oka i obiektywu. Miałam uczucie, że fotografuję poletko Najwyższego Kolorysty, który jest realistą z wyboru, ale impresjonistą z upodobania. Próbował w tym miejscu, na tym kawałku palety, różnych odcieni lila i fioletu. Upiększył zielony krajobraz. Wszystko jest kombinacją linii i kolorów. Barwy mocne i wyraziste oznaczają radość. Fioletowe miękkie pasma ciągnęły się równo i daleko niczym mocne pociągnięcia pędzla o rzadkich włosach. Zapraszały do wędrówki przed siebie, do zanurzenia się w barwnym, miękkim, słodko pachnącym morzu. Bułgarskie lawendowe pola. Można się tu owijać w malarskie motywy i w nich zatracać.

Na drodze stopniowo pojawiało się coraz więcej samochodów dostawczych. Czasami również osobowe. To oznaczało, że zbliżamy się do Sofii. Pierwsze obrazy, jakie zarejestrowałam, wjeżdżając na przedmieścia stolicy, to liczne firmy sprzedające używane samochody, zapewne dostarczane z Niemiec. Stada starych samochodów, których nikt nie kupuje, stojących bezładnie na wielkich ogrodzonych placach. Samochodowe graciarnie, magazyny niechcianych aut, którym daleko do firmowych salonów. W tym przypadku widać błędne ekonomiczne kalkulacje – znaczny przerost podaży. Mało kogo stać na taki czterokołowy gadżet nie pierwszej potrzeby. Kupujących brak. Kiedyś auta były dla niektórych. Wróciło nowe.

Drugi obraz, który dobrze pamiętałam, to wielkie szare bloki mieszkalne, jakich pełno w Europie Środkowo-Wschodniej. Szczelnie obsiadły obrzeża Sofii i napierają z każdej strony niczym betonowy kordon. Miasto leży w kotlinie otoczonej górami: od północy wznosi się Stara Płanina, od południowego zachodu – góry Ljulin, od południa – pasmo Witosza, a od południowego wschodu – Góry Łozenskie. Ten górski pierścień jest malowniczy i urokliwy, więc można podnieść wzrok i nie zauważać betonowej brzydoty pierwszego planu. Wydawałoby się, że malownicze położenie Sofii u stóp pasm górskich sprawi, że miasto będzie piękne. Musi być piękne.

Dotarliśmy w okolice parku Borisowa Gradina. Tam, przy ulicy Nezabrawka, stał wysoki hotel, betonowo-szklany obelisk, w którym miałyśmy zamieszkać. Szybko załatwiłyśmy formalności meldunkowe. Czekał na nas niewielki pokój z imponującym widokiem – z ostatniego, piętnastego piętra miałyśmy Sofię i Witoszę jak na dłoni.

Zacząłyśmy przygotowywać się do wizyty. Cweta miała się pojawić za niespełna godzinę.

Agnieszka przedstawiła ciekawą teorię: Cwecie zapewne nieźle się wiedzie.

– Dlaczego tak myślisz? – zainteresowałam się. – Opowiedz mi o niej. Napisała coś więcej?

Agnieszka wyszła z łazienki z mokrymi włosami i grzebała w plecaku, by wyciągnąć kilka potrzebnych na wieczór ubrań.

– Wymieniłyśmy tylko kilka informacji. Pracuje w agencji tłumaczeń. Wyszła za męża. Jej mąż, Rosen, pracuje w drukarni. Urodziła córkę po trzydziestce. Teraz ta dziewczynka ma chyba trzynaście lat. Widziałam zdjęcie Cwety na Facebooku. Niewiele się zmieniła. Teraz nosi okulary.

– Ale skąd wiesz, że jej się dobrze wiedzie? – dopytywałam, malując oko. – Zamieściła zdjęcia na tle pięknego domu? Nosi markowe okulary?

– Nie, skąd! Po prostu... natychmiast odpowiedziała, że chce się spotkać. W przeciwieństwie do tego twojego Borysa, który nie wiadomo, czy chce, czy raczej nie chce.

– To fakt – musiałam przyznać z goryczą.

– Cweta zamierza nas przyjąć w domu, ugościć. To bardzo miłe. Ale może nie każdego tutaj na to stać. Jeśli człowiek nie ma pracy, raczej nikogo do siebie nie zaprosi, by go częstować jedzeniem, na którym oszczędza. Jedzenie jest drogie. Jak wszystko.

– Mówi Sherlock... – powiedziałam ze śmiechem, malując drugie oko.

– Mam doświadczenie w spotkaniach po latach, zjazdach absolwentów różnych szkół i innych imprezach tego typu... Nigdy nie przychodzą na nie ci, których gryzie jakiś mol albo wydarzyło się coś, co można uznać za porażkę: rozwód, porzucenie przez męża, strata pracy, choroba, problemy z dziećmi, jakieś niepowodzenia życiowe. Nie przychodzą, bo nie mają się czym pochwalić, żadnego sukcesu, wręcz przeciwnie – przynajmniej oni, lub one, tak to oceniają. Bo o czym opowiadać na takim spotkaniu? Że kiepsko mi się żyje? Że się nie udało? Po co się spotykać, gdy jestem na życiowym zakręcie? Żeby się jeszcze bardziej zdołować, słysząc, że innym się całkiem dobrze wiedzie?

– Pewnie masz rację – przyznałam.

– Nie widziałam Cwety dwadzieścia lat. Mieszkałyśmy razem dwa lata w akademiku. To była bardzo fajna dziewczyna, ale teraz mogłaby pomyśleć: „Czego ta Polka ode mnie chce? Nie odzywała się tyle czasu. O czym rozmawiać po latach?”. Wszystko zależy od człowieka.

– Tak, niektórzy myślą, że dawnych lat nie warto wspominać – dodałam. „A Borys? Jak jest z nim?”, kołatało mi w głowie, a głośno dorzuciłam: – Poza tym ludzie są teraz zabiegani, zajęci.

– Słyszałam też opinie, że spotkania po latach są niezręczne, sztuczne, niepotrzebne, stresujące – mówiła Agnieszka, wkładając kolorową luźną bluzkę pasującą do granatowych dżinsów. – Ludzie cię oceniają. Porównują twoją nową formę z poprzednią. Bardziej formę, mniej treść. Analizują, jak wyglądasz. Czy bardzo się zmieniłaś. Czy się starzejesz na tłusto, czy na zmarszczkowo. Powiększasz się czy kurczysz. Dlatego przykładam teraz taką wagę do ubrania i makijażu. Maskuję się – rzuciła ze śmiechem. – Przez ostatnie dni nie przejmowałam się tym za bardzo. Teraz chcę się dobrze przygotować.

– A ja uważam, że takie spotkania są bardzo ciekawe, mogą też być zabawne i bardzo wzruszające. Oczywiście zależy z kim. Chciałabym spotykać osoby, które były dla mnie ważne, miłe, znaczące. Które podziwiałam, lubiłam albo kochałam. Nie ze wszystkimi – dodałam, wkładając białą spódniczkę przed kolano i granatową bluzkę na ramiączkach.

– Cieszę się, że Cweta od razu zareagowała tak serdecznie. Miałam też więcej czasu, żeby przygotować prezenty.

Agnieszka przywiozła dla koleżanki duży album fotograficzny z pięknych rejonów Polski, a dla jej córki pudełko „Ptasiego mlecza”. Ja miałam dla Cwety płytę Zakopowera, a dla jej męża żubrówkę.

O umówionej godzinie zjechałyśmy na recepcję. Cweta już czekała.

– Góra z górą się nie zjedzie, ale człowiek z człowiekiem... – zaprezentowała na dzień dobry swoją niemal doskonałą polszczyznę z lekkim bułgarskim akcentem.

Ucałowały się z Agnieszką serdecznie, potem Aga mnie przedstawiła.

Cweta była pulchną brunetką średniego wzrostu. Włosy upięła w kok, nosiła okulary w metalowej cienkiej oprawce. Miała jasną cerę, szeroki uśmiech, białe zęby i pełne usta. Piękne grube czarne brwi. Włożyła jasnoniebieską sukienkę z białym paskiem i białe sandały na obcasie. Wydawała się wesoła i bezpośrednia. Widać było, że cieszy się z niecodziennego spotkania. Od razu ją polubiłam.

Wyszliśmy przed budynek. Prosto w popołudniowy skwar. Samochód Cwety stał niedaleko.

– Witamy w Zośce. Od kilku dni jest bardzo gorąco, dawno nie padało – powiedziała.

– I tak ma być – oznajmiła Agnieszka. – W końcu przyjechaliśmy na Południe.

– Tak, wy musicie się wygrzewać – roześmiała się Bułgarka.

Agnieszka usiadła z przodu, ja z tyłu. Jechaliśmy Carigradsko szose w stronę centrum. Wkrótce samochód zatrzymał się na ulicy Christo Botewa, w pobliżu skrzyżowania z ulicą Cara Simeona. Po obu stronach ulicy stały w ciągu, jeden przy drugim, niskie, niewielkie, najwyżej czteropiętrowe, klockowate budynki bez zdobień. W jednym z nich mieszkała Cweta. Gdy wchodziliśmy do klatki schodowej, środkiem ulicy przejechał stary hałaśliwy tramwaj – kątem oka zauważyłam, że pomalowany był na pomarańczowo i niebiesko. Mieszkanie Cwety znajdowało się na trzecim piętrze, na tym samym poziomie były jeszcze dwa inne. Przed każdymi drzwiami leżała nieskazitelnie czysta wycieraczka.

Stałam boso w przedpokoju, na chłodnej brązowej terakocie, klapki postawiłam na odpowiedniej półce. Ściany przedpokoju wyłożono jasną tapetą w drobne kolorowe kwiatki. Mieszkanie nie było duże, ale wystarczające dla trzyosobowej rodziny. Z przedpokoju kolejne drzwi prowadziły do pokoju dziennego, sypialni, pokoju córki, kuchni i łazienki.

Cweta zaprosiła nas do pokoju dziennego. Kiedy zniknęła w kuchni, rozejrzałyśmy się po pokoju: ściany w kolorze kremowym, na nich kilka obrazów, z sufitu zwisała ozdobna lampa z trzema kloszami, wyglądająca na antyk. Naprzeciwko kanapy meblościanka z ciemnego drewna, w tym szafa. Półki wypełniały książki. W centrum meblościanki królował telewizor. Przy oknie przysłoniętym długą białą firanką stał stół i cztery krzesła z taką samą brązową tapicerką jak kanapa. Obok kanapy duży fotel. Okno balkonowe wychodziło na ruchliwą ulicę. Najbardziej dawał się we znaki zgrzytliwy hałas przejeżdżających tramwajów.

Cweta przyniosła zastawę stołową i ustawiała na białym obrusie białe głębokie talerze w delikatne niebieskie kwiatuszki. Rzuciłyśmy się, żeby jej pomóc w nakrywaniu. W malutkiej kuchni z trudem mieściłyśmy się we trzy. Ale udało nam się sprawnie przygotować szopską, według wskazówek gospodyni. Zupę i drugie danie Cweta przygotowała już wcześniej.

Weszłam do łazienki. I tam ogarnęły mnie wspomnienia: podobnie jak w warneńskim mieszkaniu sprzed lat, tu też nie było brodzika pod prysznicem ani zasłony! Widocznie pewne rzeczy w bułgarskich mieszkaniach się nie zmieniają albo zmieniają bardzo wolno. Nie sądziłam, że taki łazienkowy szczegół może mnie wzruszyć, a jednak...

Zaczęłyśmy ucztować. Na przystawkę była szopska, *kaszkwat*, bułgarski ostry żółty ser i papryka marynowana w oleju. Kochana Cweta, upiekła specjalnie dla nas banicę z serem sirene. I ugotowała smaczną zupę, którą nazwałyśmy „kartoflanką z kwaśnym mlekiem”. Smakowałyśmy i wspominałyśmy...

Cweta, absolwentka sławistyki, знаła kilka języków. Znalazła pracę w swoim zawodzie, od lat tłumaczyła umowy dla firm, najczęściej z Chorwacji i Serbii. Nie była w Polsce od czasów studiów.

Może kiedyś odwiedzi Warszawę. Bardzo by chciała. Dobrze mówiła po polsku, ale od czasu do czasu w potoku słów słyhać było, że szybki postęp technologiczny ostatnich lat znacznie wyprzedził językoznawstwo. Nie znała słów oznaczających najnowsze wynalazki: „komórka”, „esemes”, „smartfon”, „klawiatura komputera”.

– Spotkałyśmy się w innym świecie – podsumowała ze śmiechem. – Nie do uwierzenia, jak wiele się zmieniło, jak bardzo zmieniała się rzeczywistość. Gdyby nie internet, nie jadłybyśmy teraz razem kolacji. Agnieszka by mnie nie znalazła...

Zapytałam Cwetę, czy mogę mówić do niej „Kwiecieńko”. Miała takie ładne kwiatowe imię. Oczywiście, znała książkę Hrabala, który tak się zwracał do amerykańskiej studentki o imieniu April. Po bułgarsku czwarty miesiąc w roku nie nazywa się kwiatowo, ale właśnie *april*.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Do domu weszli córka i mąż Kwiecieńki. Wrócili z basenu. Mąż Cwety, Rosen, miał bułgarską urodę: wysoki, czarnowłosy, piwne oczy, i wyraźne skłonności do tycia. Córka o słodkim imieniu Temenużka, czyli po polsku Bratek – była śliczną brunetką o długich, czarnych, prostych włosach związanych w koński ogon. Miała grube czarne brwi Cwety i oczy jej męża. Kilka dni temu skończyła dwanaście lat.

Po powitaniu i wręczeniu prezentów gospodarzom usiedliśmy razem do stołu. Rosen i Temenużka zjedli zupę. Rosen zadał nam oczywiście trzy podstawowe pytania: Jak długo zostajemy w Bułgarii? Jak nam się podoba? Dokąd jedziemy? Na nasze pytania odpowiadał z pomocą żony. Pracował w drukarni, której był współwłaścicielem.

– To rodzinna firma, kilkanaście lat temu założyli ją moi rodzice – mówił. – Pracujemy razem. Mamy dużo zleceń i zamówień. Nie narzekam, lubię swoją pracę.

– Ja też jestem zadowolona – dodała Cweta – chociaż trochę nudzą mnie umowy i paragrafy, które muszę tłumaczyć. Wolałabym przekładać literaturę, ale wtedy ciężko byłoby opłacać rachunki.

Cweta podała drugie danie: *kjufteta* z fasolką i ljutenicą własnej roboty. Bardzo lubiłam ljutenicę – gęsty sos przygotowany z upieczonych bakłażanów i papryki, przecieru pomidorowego i czosnku, z dodatkiem przypraw. Świetnie smakował z kotlecikami. Piliśmy smaczne wino domowe, wyrób własny rodziców Kwiecieńki. Rosen poczęstował nas alkoholem narodowym – rakiją ze śliwek, z kolei dziadkowej produkcji. Śliwowica była strasznie mocna.

– Jest słaba – twierdził Rosen. – Ma tylko czterdzieści procent. Trzeba pić i jeść szopską – pouczył nas.

Pozostałam przy winie. Chwaliłam bułgarskie wina, zwłaszcza mawrud, czym zrobiłam przyjemność gospodarzom.

– Kiedy obchodzi się w Bułgarii święto wina? – chciała wiedzieć Agnieszka.

– W walentynki – padła odpowiedź.

– Naprawdę? – zdziwiłyśmy się.

– Tak, ale to zbieg okoliczności. Czternastego lutego przypada Dzień Winiarza, dzień świętego Trifona – wyjaśniła Cweta. – Wtedy polewa się winem krzewy, co ma zapewnić dobre zbiory. To radosny dzień świętowania i odwiedzin.

– Trifona? Jest taki święty? – zapytała Agnieszka.

– W prawosławiu. Prześladowany za wiarę, ścięty przez Rzymian. Legenda głosi, że w dniu jego śmierci wszystkie winnice zostały zaatakowane przez insekty. Od tamtej pory winiarze uważają go za swojego patrona. Nazywa się go Tryfon Zarezan, od przycinania, bo podobno przycinał winorośl tak dokładnie, że skaleczył sobie nos. Walentynki nałożyły się na to stare święto. Ta tradycja pochodzi

chyba jeszcze od starożytnych dionizji.

– A jakie święto jest najważniejsze w Bułgarii? – zapytałam, sądząc, że będzie to Wielkanoc lub Boże Narodzenie.

Cweta i Rosen zastanawiali się przez chwilę.

– Oprócz Wielkanocy? Czy ja wiem? Może *Gergiowden*? Dzień świętego Jerzego – powiedziała Cweta. – Wypada na wiosnę. To święto ludzi różnych zawodów, przede wszystkim pasterzy, popularny i odpowiedzialny zawód na wsi. Pasterzom powierza się duże stada. Bułgarzy są rolnikami lub potomkami rolników. Święty Jerzy ma zapewnić wszystkim dobry urodzaj. W tym celu odprawia się mnóstwo rytuałów. Trzeba też w tym dniu jeść jagnięcinę, jeśli tylko kogoś na nią stać.

– To także dzień odwagi i wojska – dodał Rosen. – W całym kraju odbywają się parady, chociaż w tym roku ta w Sofii była dużo skromniejsza niż jeszcze kilka lat temu. Co robić, kryzys.

– Aha, i jeszcze tego dnia Cyganie świętują swoje Ederlezi, Festiwal Wiosny. Też jedzą jagnięcinę – uzupełniła Kwiecieńka.

– Tak, w Bułgarii mieszka dużo Cyganów, przeważnie nie pracują. Mieszkają w Sofii w paru dzielnicach. Strach tam chodzić. Jedna z nich jest nazywana Zona Kambodża – powiedział Rosen i zapalił papierosa. – Cyganów jest w Bułgarii chyba z milion, wyjeżdżają za granicę, żebrzą, kradną, a potem mówi się, że to robią Bułgarzy.

– Oglądałam taki film... – przypominałam sobie. – Dokumentalny. Dostał nagrody na kilku festiwalach. Nosi tytuł *Ostatnia karetka w Sofii*. – Cweta i Rosen zrobili gest potakiwania, myślący, ale gdy wykonali go jednocześnie, wyglądało to bardzo zabawnie. Znali ten film. – Ten dokument opowiada o fatalnej sytuacji pogotowia ratunkowego w Bułgarii, ale były w nim też motywy cygańskie. Lekarze boją się jeździć karetką do cygańskich dzielnic. Boją się napadów i pobicia.

– To prawda. Tak się często zdarza. Po tym filmie zapowiedziano reformę bułgarskiej służby zdrowia, ale to tylko gadanina. Nic się nie zmienia na lepsze. I nie zmieni. – Rosen nie krył rozczarowania.

Po tradycyjnych drobiazgowych pytaniach o rodzinę, pracę i sytuację życiową przerwaliśmy się na ulubiony temat Bułgarów i Polaków: politykę. Ona wdziera się do rozmów w każdym zakątku świata. Taksówkarz czy sprzedawca w sklepie może się przeistoczyć w komentatora politycznego. Rozmowy o polityce dają ludziom poczucie, że mają jakiś wpływ na swoją przyszłość, że nie są bezsilnymi widzami. Ale tylko rozmowy w czterech ścianach wydają się bezpieczne. Przy kolacji i winie można szczerze mówić, co się myśli.

– Przyjechałyście tu w kiepskim czasie. Nie mogłyście trafić gorzej – powiedział Rosen, wydmuchując dym. – Teraz trwają protesty. Ludzie są zdesperowani. Chcą zmian. Wiosną odbyły się przedterminowe wybory, ale nic to nie dało i nic nie da. Polityka, biznes i świat przestępczy wzajemnie się przenikają. Oligarchowie uzależnieni od Rosji walczą o wpływy. Wyborcy nikomu już nie ufają. Następuje szybka atrofia państwa, nic nie działa tak, jak należy. Bułgaria zanika.

– Wiecie, co mówi znane graffiti w Sofii? – zapytała Cweta. Pokręciłyśmy głowami... „po polsku”. Wszyscy się roześmiali. – „Gdyby wybory miały cokolwiek zmienić, zostałyby natychmiast zakazane”. To bardzo trafne – spuentowała.

– Kraj jest niestabilny – dodał Rosen. – Ale ten Peewski naprawdę rozgniewał ludzi. Tylko że on jest magnatem medialnym, właścicielem większości gazet w Bułgarii. No to jak dziennikarze mają pisać prawdę, kiedy on im płaci. Wszyscy się boją.

– Może uda się zmienić rząd Oreszarskiego i tych, których wybrał na różne stanowiska.

– Wątpię. Nie ma rady na korupcję i degrengoladę prawną. Kupowanie głosów w wyborach – wyliczał Rosen. – Opozycja też ma nierealne postulaty. Na przykład żądają więzienia dla wszystkich, którzy sprawowali władzę po upadku komunizmu. Przecież to absurd. Nikt nigdy tego nie przeprowadzi. Mafia sama wyrównuje ze sobą porachunki. Likwidują się nawzajem. Czy wiecie, że nie żyją już najbogatsi Bułgarzy, tak zwani biznesmeni, którzy zbili fortuny na początku lat dziewięćdziesiątych? Niemal wszyscy zginęli w biały dzień, albo od strzału, albo od wybuchu bomby. Gazety opisywały te zabójstwa. Przeraza poziom niemocy w każdej dziedzinie. A jeszcze bardziej rozmontowywanie państwa i kolejny awans oligarchy na eksponowane stanowisko rządowe. – Rosen mówił coraz szybciej. Cweta z trudem nadała z tłumaczeniem. – Rosyjskie lobby ma status jednego z członków założycieli bułgarskiej mafii. A Bułgaria jest w tej chwili w Unii najważniejszym ośrodkiem rosyjskiego wpływu. Obywatele Federacji Rosyjskiej mogą nabywać bułgarskie paszporty, czyli unijne, jeżeli mają pozwolenie na stały pobyt i gdy zainwestują milion lewów w jakiś bułgarski biznes. Tak się dzieje głównie nad morzem: wybrzeże jest wyprzedawane Rosjanom. O tym wszystkim nie dowiedziecie się na wczasach, prawda?

Co można odpowiedzieć na takie pytanie? Przypomniała mi się Warna i plaża zabudowana obskurnymi barami dla Rosjan.

– Widziałyśmy transparenty przed urzędem miasta w Warnie. Zdjęcia jednego człowieka... – zaczęłam.

– Tak, kilka miesięcy temu podpalił się tam Płamen Goranow. Ludzie mówili, że w tym nazwisku była zapowiedź jego śmierci, jego przeznaczenie – powiedziała Cweta. – Domagał się odwołania władz miasta, protestował przeciwko korupcji i biedzie. Potem było więcej takich wypadków. Straszne... Ludzie czasem ledwo wiążą koniec z końcem – usłyszałyśmy kolejny raz. – Niektórym nie starcza nawet na rachunki. Moja babcia ma dwieście lewów emerytury. To jest czterysta złotych polskich. Ale są też niższe emerytury. Pomagają jej moi rodzice, bo mają pracę, bez tego chyba umarłaby z głodu. A co mają zrobić ci, którym nie ma kto pomóc? Pensje są też bardzo niskie. W tym filmie dokumentalnym, o którym mówiłaś, wypowiadają się lekarze pogotowia i pielęgniarki. Oni masowo wyjeżdżają do pracy za granicę, bo za pensje w Bułgarii nie mogą utrzymać rodziny.

Rozmowa przebiegała tradycyjnie: od polityki przez gospodarkę do spraw osobistych lub neutralnych. Córka gospodarzy, znudzona, poszła do swojego pokoju. Chcąc zmienić temat, powiedziałam, że w Bułgarii jest bardzo dobre i zdrowe jedzenie.

– Pyszne pomidory i inne warzywa. Wspaniałe owoce. Zdrowa kuchnia, może oprócz tego pszennego chleba, który je się do wszystkiego. Bułgarzy są długowieczni – zakończyłam wyliczankę.

Gospodarze się rozchmurzyli.

– Jedzenie rzeczywiście jest zdrowe i smaczne. Akurat to doceniamy, ale trzeba mieć za co je kupić – skomentował Rosen, pijąc rakiję. – A wiecie, co jeszcze sprzyja długowieczności?

Nie wiedziałyśmy.

– Mocne więzi międzyludzkie. To, że Bułgarzy lubią żyć razem, blisko siebie. Często się spotykają, odwiedzają. Mam wielu przyjaciół z lat szkolnych, z którymi regularnie się widuję. To naprawdę spora grupa, nie jedna osoba. Wspieramy się, pomagamy sobie. Podobnie jest w rodzinie.

– To prawda – potwierdziła Cweta. – Świątujemy różne rodzinne rocznice, na przykład urodziny czy imieniny dzieci, także znajomych, kolegów z pracy. W innych krajach tego nie ma. Wiem, bo mam sporo znajomych cudzoziemców. Bułgarzy tworzą większe wspólnoty i to nie są puste słowa.

Bardzo też szanuje się starsze osoby w rodzinie. Pielęgnowujemy te więzi, to pomaga żyć, zwłaszcza gdy czasy są trudne. Mamy też bardzo dużo znajomych.

– A znacie może Borysa Grigorowa? – wypaliłam bez namysłu.

Po chwili zgodnie kiwnęli głową na znak zaprzeczenia.

– W Sofii mieszka chyba półtora miliona ludzi, akurat tego człowieka nie znamy – powiedział Rosen. – Kto to?

– Znajomy Łucji z dawnych lat – wyjaśniła Agnieszka.

– Świat jest mały, czasami za rogiem czają się niespodzianki – powiedziałam. – Ale nie tym razem, szkoda. On mieszka w Sofii, ale pochodzi z Pernika.

– Byłem w Perniku przejazdem – poinformował Rosen, jedząc kawałek banicy. – To miasto nie ma dobrej opinii, mówi się, że jest niebezpieczne. Tam kiedyś była wielka huta, teraz już nie istnieje. A gdzie pracuje ten Borys?

– Nie wiem – odparłam.

– Napijecie się kawy? – zapytała Cweta.

Agnieszka była kawoszem, ja poprosiłam o herbatę. Po chwili dostałam herbatę zieloną. Oczywiście! Nikomu nie przyszłoby w Bułgarii do głowy, że chcę czarną. Natomiast Agnieszka otrzymała „zestaw samoobsługowy”. Wrzątek w kubku i nescę w słoiczku z łyżeczką. Tak właśnie podaje się tutaj kawę? Kolejna osobliwość. A może to tylko taki domowy zwyczaj.

Zrobiło się późno. Wizyta niespiesznie dobiegała końca. Zaczęliśmy się żegnać z gospodarzami i dziękować za wspólny wieczór i pyszną kolację. Kwiecieńka zamówiła nam taksówkę. Na pożegnanie dostałyśmy suszone papryczki i po słoiczku miodu z ostu.

– To dobry miód. Bułgarska viagra – śmiał się Rosen.

Agnieszka zaprosiła ich do Polski.

– *Blгодарja* – powiedziała Cweta. – Może kiedyś się wybierzemy. I zadzwoń, jak znowu przyjedziesz do Bułgarii. Jeszcze się zobaczymy!

To pożegnanie zabrzmiało jak echo z dawnych czasów.

5 Jakie piękne niespotkanie

Następnego dnia obudziłam się w hotelowym pokoju, stanęłam przy oknie i patrzyłam na morze zieleni w dole i złote kopuły cerkwi w oddali, w pobliżu betonowych kominów elektrowni albo innego dymiącego zakładu.

Dopadła mnie chandra podróżnika: Co ja tutaj robię? Czego szukam? Co robić w mieście, gdzie nikogo nie znam? Oglądać, wspominać, chłonać.

Była środa, dwudziesty szósty czerwca. Dzień, w którym miałam spotkać się z Borysem, ale nadal nie wiedziałam, czy on chce się ze mną spotkać. Milczał jak zaklęty. Jakby go nie było.

Po śniadaniu wyruszyliśmy tramwajem do centrum. Wstał letni słoneczny poranek, który zapowiadał południowy upał. Tramwaj numer 18 zanurzył się w lesie, bo Borisowa Gradina, czyli Park Borysa, w tej części był zwartym leśnym gąszczem.

– Czy my na pewno jedziemy do centrum? – zaniepokoiła się Agnieszka. – Jedziemy tramwajem przez las, chyba poza miasto. Czuję się, jakbym jechała na wycieczkę w góry. I to czym? Tramwajem!

Borisowa Gradina mnie zachwyciła. Nie widziałam drugiego takiego miasta, którego centrum zajmowałby tak duży teren parkowo-leśny. Budynek otaczały go z każdej strony, okalały królestwo drzew zwartym pierścieniem, niektóre wciskały się do środka, zakłócając gęstą zielenią. Betonowe przyczółki, które widać było tylko z góry, z naszego hotelowego okna. Z lasu wystawała też igła wieży telewizyjnej. Ostro celowała w niebo.

Spojrzałam na mapę miasta.

– Tak, jedziemy w dobrym kierunku. A z tą wycieczką w góry tramwajem to wcale nie żart. Można podjechać do podnóża Witoszy, do początku szlaku, i dalej już pieszo w góry.

Skasowałyśmy bilety tramwajowe w kasowniku, który przypomniał mi lata osiemdziesiąte. Dziurkował bilety, od dawna nie ma takich w Warszawie. Wkrótce zjawiała się też konduktorka-kontrolerka. Nieodczowny element w starej bułgarskiej komunikacji miejskiej.

Wysiadłyśmy tam, gdzie nam się spodobało, i skierowałyśmy w stronę wielkich złożonych kopuł cerkwi św. Aleksandra Newskiego, chyba najbardziej znanej sofijskiej budowli. Sobór króluje w najwyższym punkcie miasta. Podobnie jak w Szypce, jest pomnikiem ku czci żołnierzy rosyjskich poległych podczas wojny rosyjsko-tureckiej. Aleksander Newski był patronem rosyjskiego cara Aleksandra II, cara Wyzwoliciele, który ma swój pomnik w sąsiedztwie. Pamiętałam to miejsce sprzed lat, i ten charakterystyczny monument. Byłam tu, stałam w tym samym miejscu, w innym czasie.

Weszłyśmy do drugiej co do wielkości cerkwi na Bałkanach. Zbudowano ją w stylu neobizantyjskim, do wystroju wnętrza użyto różnobarwnych marmurów. Ikonostas jest murowany, a w bułgarskich cerkwiach – zawsze drewniany.

– Gdyby ktoś chciał zobaczyć, jak wyglądała wielka cerkiew zbudowana przez Rosjan w Warszawie, może przyjechać tutaj – powiedziałam. – Uczestnikiem wojny rosyjsko-tureckiej był generał Josif Hurko. Zaproponował carowi Aleksandrowi III, synowi Aleksandra II, żeby w Warszawie wznieść cerkiew bardzo podobną do sofijskiej. Projekt zrealizowano do 1912 roku. Dzwonnica była wówczas najwyższą budowlą w Warszawie. Cerkiew rozebrano po piętnastu latach, po odzyskaniu niepodległości przez Polskę, na osobisty rozkaz Piłsudskiego.

– I słusznie. Sobór kojarzył się z niewolą, zaborami i rusyfikatorem Hurko.

– Ocalało kilka fragmentów, o czym mało kto wie. Kawalek mozaiki z głową anioła można obejrzeć w nawie bocznej kościoła Najświętszego Zbawiciela.

Zaczęła się nasza sofijaska wędrówka-pielgrzymka. Od cerkwi do cerkwi. Szlakiem bułgarskiej historii. Obejrzałyśmy najstarszą czerwonoceglaną Bazylikę Sweta Sofija, dwunastowieczną, która dała nazwę całemu miastu. Za murami Pałacu Prezydenckiego odnalazłyśmy słynną rotundę, cerkiew Sweti Georgi, która w pierwszych wiekach chrześcijaństwa była kościołem. Cerkiew sąsiaduje z rzymską ulicą, gdzie zachowały się fragmenty innych budynków i ceglanych rur kanalizacyjnych. To, żeby ukryć taki cenny zabytek za murami, na wewnętrznym dziedzińcu budynków rządowych, było naprawdę piekielnym politycznym pomysłem.

Moją ulubioną cerkiewką została malutka Sweta Petka, do której schodzi się w dół, po stopniach, z bramy, jakby była wciśnięta w ziemię niczym świeczka. Jest mroczna, nastrojowa, średniowieczna. Wierni palą świece, modlą się przed zabytkowymi ikonami, przychodzą po uzdrawiającą wodę. Agnieszce spodobała się inna cerkiew, Sweta Petka Samardzijska, czyli Siodlarska, ufundowana przez średniowieczny cech siodlarzy. Wchodzi się do niej schodkami w dół, a potem w górę. Jest zbudowana zgodnie z tureckimi zasadami: niewysoka – nie mogła być wyższa niż meczet, i kameralna – dla kilkunastu wiernych. Obecnie znajduje się tuż przy wejściu do metra.

Snując się w słońcu, oglądałyśmy liczne okruchy rzymskiego miasta, które w czasie istnienia Cesarstwa nazywało się Serdika, a powstało na miejscu trackiego Serdonpolis. Fragmenty rzymskich ulic i budynków odkryto podczas budowy drugiej linii metra. W wielu miejscach można zobaczyć fragmenty murów, a nawet baszt czy bram – choćby w przejściu podziemnym. Sofia zmieniała się na przestrzeni wieków, co widać w tkance miasta. W jego kolejnych warstwach. Władze tureckie ustanowiły ją głównym ośrodkiem administracyjnym prowincji o nazwie Rumelia. Nastął czas meczetów. Cerkwie przerabiano na łaźnie. Powstawały pałace tureckich zarządców.

Po odzyskaniu niepodległości wznoszono budowle eklektyczne, w stylu mieszanym: secesyjnym i odrodzeniowym, nawiązującym do architektury bułgarskiej. Mieszkańskie kamienice, budynki rządowe, nowe cerkwie. Ładnym budynkiem z tego czasu jest Teatr Narodowy. Zwraca uwagę swoimi zdobieniami i żywą barwą na tle parku. Ponad sto lat temu burzono minarety, a tureckie meczety przeznaczano na biura lub magazyny. Wyburzano domy w dzielnicach tureckich. Sofia bezpowrotnie straciła orientalny klimat, który można odnaleźć w miastach Serbii czy Bośni i Hercegowiny. Zacierała ślady czasów niewoli. Trudno się dziwić, że Bułgarzy nie chcieli dłużej patrzeć na budynki przypominające o okupacji, ale nie stworzyli nowej spójnej koncepcji architektonicznej. Jest to miasto pełne szczelin i pęknięć, w których widać przeszłość: tu meczet, tam hamam, a za rogiem termy rzymskie. Miasto pełne bladych tropów i okruchów starożytności, które trudniej pozbiierać i odczytać niż w innych miejscach. Sofia jest pozbawiona starówki z prawdziwego zdarzenia. Zwartej, starej zabudowy. Na szlaku zabytkowych cerkwi zaplątały się gigantyczne budynki, zmieniające szyldy, gdy wieje wiatr zmian. W pałacu bułgarskich carów mieści się galeria sztuki i Muzeum Etnograficzne, a w dawnym Wielkim Meczecie – Muzeum Archeologiczne. Całkiem niedawno Dom Partii przestał być komitetem komunistów i stał się Parlamentem. Zniknęła z dachu czerwona gwiazda. Jak przez mgłę pamiętałam, że przy placu Battenberga stał ogromny posąg Lenina. Zniknął, a może mi się coś poplątało, przywidziało. W Budapeszcie kiedyś po wysadzeniu pomnika na cokole zostały buty Stalina. Czy tu też zostały betonowe buty? Nawet jeśli tak, dzisiaj nie ma po nich śladu. Ale na pewno Lenin stał na wysokiej kolumnie przy ruchliwym skrzyżowaniu w pobliżu cerkwi Sweta Nedelja. Kilkanaście lat temu zastąpiła go Sweta Sofija

w ciemnej, powłóczyściej, rozwianej szacie. Pilnuje ruchu w towarzystwie sowy – symbolu mądrości. Posąg bizantyjskiej księżniczki niewątpliwie jest ładniejszy i bardziej efektowny od swego poprzednika.

Obowiązujący po wojnie styl socrealistyczny na szczęście nie zdominował bułgarskiej stolicy, tak jak to się stało w Warszawie. Betonowa szara nowoczesność rozgościła się na obrzeżach, gdzieniegdzie śmiało wkraczając do centrum w postaci kominów, blokowisk i plomb w spróchniałych ubytkach. Zła architektura współtworzy brzydotę. Ale to nie tylko kwestia estetyczna. Brzydota niszczy życie codzienne, powoduje irytację, a nawet złość.

Sofia jest zarazem wielkomiejska i prowincjonalna. Tę drugą twarz zobaczyliśmy na wąskich, starych uliczkach, idąc przed siebie z katedry św. Józefa, gdzie odprawiane są msze po polsku. Na środku jednej z ulic ustawiono stragany, gdzie można kupić niemal wszystko. Owoce i warzywa. W okolicznych niskich kamienicach parter zajmowały małe, ciemne sklepiki. Zajrzałyśmy do jednego z nich – nasiona strączkowe wszelkiego rodzaju i koloru stały na podłodze w jutowych workach. Sprzedawca posługiwał się wagą z odważnikami. Tutaj czas się zatrzymał albo cofnął. Takie odważniki ostatnio widziałam w polskich sklepach w latach osiemdziesiątych.

Kolejna ciekawostka spodobała mi się przez swoją osobliwość: sklepiki na wysokości chodnika, do których trzeba się schylać. Nie jest to bardzo wygodna lokalizacja, zwłaszcza dla osoby wysokiej, która schylać się nie lubi, ale przecież samo zjawisko jest niezwykle. Sklepiki mają swoją lokalną nazwę – klekszopy. Gesty, które wykonuje w suterenie sprzedawca, obsługując klienta, to przejaw lokalnego teatru życia codziennego. Zaciekawione obserwowaliśmy klientów schylających się lub kucających przy chodnikowym okienku i sprzedawców w pozie „Dyskobola” Myrona. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie kupić w jednym z klekszopów czegośkolwiek, choćby butelki wody.

Sofia w jakiś sposób przypomina Warszawę, z powodu luźnej, chaotycznej, niskiej zabudowy, braku wyraźnego centrum i dużej „starej” starówki. W obu miastach zostały wyburzone całe kwartały ulic, zniszczono stare domy. Na każdym kroku spotyka się tu dziurawe, krzywe chodniki i uliczne „wykopki”. Na pierwszy rzut oka Sofia nie jest pięknym miastem, ale tak jak Warszawa ma ładne miejsca. Jest to piękno szczegółu czekające, by je odkryć, zauważyć. Uroczy park; ładna kamienica; ciekawe ornamenty; urokliwa uliczka; nastrój malutkiego ciemnego cerkiewnego wnętrza; zapach świec; stare mury, w których trwa starożytna historia poprzednich miast, jakie tu istniały; rzymski amfiteatr połączony z nowoczesnym hotelem. Sofia ma swój specyficzny klimat, który tworzą rozklekotane niebieskie trolejbusy, kawomaty, zapach baniczek sprzedawanych na ulicy, stare ciasne tramwaje z kasownikami dziurkującymi bilety, sklepiki chodnikowe, skwerki pełne kwiatów, woda mineralna w parkowych kranach, wysokie góry na wyciągnięcie ręki i las w centrum, Borisowa Gradina. Jest miastem do odkrywania, na pewno ciekawym. Zaprasza do poznawania tego, co nieoczywiste, a przez to interesujące.

Sofia przypomina też Zakopane. Niezwykłe, malownicze położenie u stóp wysokich gór przydaje jej wakacyjnej atmosfery. Czy można skupić się na pracy, gdy za oknem wznosi się masyw Witosza? Tu z każdego miejsca widać góry. Trzeba tylko spakować plecak i jechać na górski szlak miejskim autobusem lub tramwajem, a potem wspiąć się na szczyt o wysokości 2000 m n.p.m.

Myślałam tyle o Sofii, bo to było miasto Borysa. Tu studiował, mieszkał, pewnie też pracował. Wielokrotnie chodził tymi ulicami. Sofia spodobała mi się dużo bardziej niż podczas pierwszego, krótkiego pobytu dwadzieścia lat temu. Zyskiwała przy bliższym poznaniu. Trzeba było poświęcić jej trochę czasu i uwagi. Starać się dostrzec szczegóły. Szkoda, że przyjechałam tu tak późno, po tylu

latach. Czy Borys lubi to miasto? Jakie są jego ulubione miejsca? Zapewne lubi parki. Nie potrafiłam patrzeć na Sofię jego oczami. Już go nie znałam. Nasza tożsamość jest w większym lub mniejszym stopniu plastyczna. Zmieniamy się zależnie od tego, z kim albo w otoczeniu czego przebywamy. I gdzie przebywamy.

Podczas zapętlonej wędrowki po mieście obejrzałyśmy ważniejsze budynki – od Uniwersytetu Sofijskiego po rzymskokatolicką katedrę św. Józefa. W nagrodę trafiła nam się uroczysta zmiana warty przed Pałacem Prezydenckim. Żołnierze paradowali marszowym krokiem w historycznych, dziewiętnastowiecznych mundurach.

– Dobrze się tu czuję, jest tak jakoś... swojsko – oceniła Agnieszka Sofię, gdy po parogodzinnym spacerze stanęłyśmy przy lwie koło Pałacu Sprawiedliwości.

Przed nami reprezentacyjny buleward Witosza wiódł prosto w góry – tutaj najpiękniej i najlepiej widać było szczyt pasma, które wznosiło się wysoko nad miastem. Ulica Witosza bardzo się zmieniła, odkąd ostatnio ją widziałam. Stała się spacerowym deptakiem, pełnym kawiarenek, restauracji i sklepów. Handlową i gastronomiczną wizytówką miasta. Estetyka i nowoczesność były prawdopodobnie podstawą zmian, ale ta ulica wyglądała teraz jak ulice wielu miast w wielu krajach, gdzie są sklepy sieciowe H&M, Stradivarius i Bershka oraz McDonaldy. Aby się przekonać, że jesteśmy jednak w Sofii, trzeba było na chwilę spojrzeć na góry. Oglądałyśmy też wystawy sklepów, ubrania na manekinach. Rozpoznawałyśmy znane polskie marki: Reserved, Mohito, Cropp Town. Nie miałam pojęcia, że są dostępne i popularne w Bułgarii.

Wybrałyśmy jedną z licznych knajpek, żeby wreszcie coś zjeść, odpocząć i spokojnie wymienić wrażenia. Piłyśmy piwo Szumensko, jadłyśmy faszerowane papryki i sałatkę z pomidorów z octem winnym, który przypominał mi wakacje w Warnie, te sprzed wielu lat. Kiedy potem chciałam ten ocet winny kupić w sklepie, sprzedawczyni wmawiała mi, że na pewno chcę kupić wino, a nie ocet. Nie mogła zrozumieć, że jednak wolałam ocet.

Patrzyłam na ludzi robiących zakupy wczesnym popołudniem, spacerujących, siedzących w knajpkach pod gołym niebem. Mieszkańcy stolicy różnili się wyglądem, a raczej jakością ubrań, od tych z mniejszych miast. Szata zdobi człowieka w stolicy. Byli ubrani staranniej, lepiej. Na tej ulicy nie widziałam mężczyzn w dresach z Turcji, co często zdarzało się w innych miejscach, na prowincji. Także kobiety w Sofii nosiły gustowne sukienki. Nie dostrzegłam tu kiczowatych natapirowanych fryzur, dodających objętości. Nie należy oceniać ludzi po wyglądzie, ale kilka różnic łatwo dało się zauważyć.

Miałam wrażenie, że w Bułgarii jest teraz o wiele więcej grubych ludzi, niż było kiedyś. Mało też ludzi młodych. Podzieliłam się tym spostrzeżeniem z Agnieszką.

– Co do grubych, to nie mam porównania, bo tu nie byłam, ale faktycznie kłopoty z nadwagą mają. To pewnie z powodu tego pszennego chleba, który wsuwają do każdej potrawy. A co do młodych, no to wiadomo. Dietność niewielka, a ci starsi pewnie wyjechali...

– Wiesz, to naprawdę rzuca się w oczy – powiedziałam. – Nie sądziłam, że aż tak bardzo. Niedawno byłam w Iranie. To bardzo ludny kraj, zwłaszcza miasta, ale tam naprawdę idzie się ulicą w tłumie młodych ludzi. Sporo też na ulicach dzieci. Tu jest wprost przeciwnie.

Obserwowałyśmy Bułgarów siedzących przy stolikach w naszej restauracji. Wszyscy palili na potęgę – kobiety, mężczyźni, młodzi, starsi. Kraj namiętnych palaczy. Kawa i papierosy, nierozłączne elementy życia towarzyskiego.

– Ciekawe, czy organizowano tu kiedyś konkurs dla palaczy, na przykład: ile papierosów wypalisz

jednego dnia. Chętnych do pobicia rekordu w Księdze Guinnessa pewnie by nie brakowało, a jako kraj mieliby szansę zwyciężyć w tej kategorii – niestety. Wszystkim palaczom można zadedykować piosenkę Heya: „Kocham ten stan: papierosy, kawa, ja...” – powiedziała Agnieszka.

– Pewnie, że tak, tyle że oni wolą towarzystwo niż radosne sam na sam. Mało kto siedzi w pojedynkę, raczej grupami, ewentualnie, tak jak my, w duecie.

– Jeszcze jedno. Rozglądałam się za ścieżkami rowerowymi, ale jak dotąd nie zauważyłam. Ja rowerzystka. W Sofii nie ma ulicznych tras rowerowych, chyba rowery nie są tu popularne. Chociaż kilku rowerzystów widziałam. Może w parku jeździ ich więcej? – Agnieszka skończyła właśnie swoje danie. Spojrzała na mnie: – To co? Zamówimy kawę, jak inni?

Uznałyśmy, że znajomość z Sofią została zawarta i przypieczętowana. Kawą. Sączyliśmy mocny napój, kończąc lustrowanie przechodniów.

Myślałam, co mam zrobić: iść na miejsce spotkania z Borysem czy nie. Kolejny raz sprawdziłam komórkę. Nie zadzwonił. Nie napisał. Przyjdzie czy nie przyjdzie? Ciekawe, czy lubi ulicę Witosza. Czy bywa tu czasem? Może ma tu swoją ulubioną knajpkę? Jakie miejsca w Sofii odwiedza? Gdzie mieszka? Daleko stąd czy blisko? Czy będę mogła zadać mu te pytania?

Spacerkiem szliśmy w stronę pasma Witosza. Za skrzyżowaniem zaczynał się Južen Park z szerokimi alejkami. W środku tkwił ogromny, przysadzisty gmach Narodowego Pałacu Kultury. Pewnie Borys bywał tu wielokrotnie. Budynek przypomina betonowy schron, ale oferuje mnóstwo rozrywek w licznych salach kinowych i koncertowych. Ponoć kiedyś nosił imię córki Żiwkova. Zapytałam wczoraj Rosena, czym się zajmuje Żiwkow junior. Usłyszałam, że niczym, bo do niczego się nie nadaje. Jest sofijskim playboyem.

Czwarta po południu. Wracamy tramwajem do hotelu przez Borisową Gradinę, która ma coś z atmosfery Central Parku. Biorę szybki prysznic i przygotowuję się do ponownego wyjścia.

– Czyli jednak się zdecydowałaś? Idziesz? – Agnieszka obserwowała moje nerwowe ruchy: grzebanie w plecaku, wyciąganie rzeczy, krążenie między łazienką a pokojem... – Ja się zmęczyłam tym długim łażeniem. Zostanę tu i spędzę wieczór z telewizorem.

– Może wrócę szybciej, niż myślisz.

– Mam nadzieję, że nie. Chociaż skoro się nie odezwał... Pamiętasz taki stary film: *Za rok o tej samej porze?*

– Nie przypominam sobie.

– Para kochanków, którzy nie mogą być razem, bo żyją w związkach, spotyka się co roku w tym samym miejscu, żeby spędzić razem weekend. Kochają się, ale nie mogą albo nie chcą porzucić swoich współmałżonków.

– I co?

– Pewnego razu jedno się nie zjawia.

– Nie widzę związku. Ja ostatnio widziałam Borysa ponad dwadzieścia lat temu. Nie spotykamy się co roku. Byliśmy bardzo zakochani, to się zgadza. Kiedyś.

– Ale gdyby się tu nagle zjawił... Nie zakochałabyś się w nim ponownie? – męczyła mnie moja przyjaciółka.

– Nie wiem. On już nie jest moim chłopakiem z lat osiemdziesiątych. Myślę, że się zmienił, że inaczej wygląda, ale na pewno go poznam. Zawsze go poznam. Jednak wolałabym, żeby się tu teraz nie zjawiał, tylko przyszedł na zaproponowane miejsce przed cerkwią. Nie jestem gotowa, stoję w bieliźnie, a ty mnie jeszcze rozpraszasz.

– Ja chcę tylko pomóc. – Agnieszka parsknęła śmiechem.

– To powiedz, czy dobrze wyglądam?

– Tak, świetnie! Granatowa koszulka ładnie współgra z tą czerwoną spódnicą w granatowe groszki. Strój idealny na siedzenie przed cerkwią. Dla młodej żebraczki.

Roześmiałyśmy się.

Pojechałam do centrum drugi raz tego dnia. Punktualnie o szóstej stałam przy wielkiej cerkwi Sweta Nedelja na jednym z głównych placów Sofii. Po gorącym dniu słońce powoli chowało się za góry. Niebo przybrało kolor pomarańczy. Kopuła cerkwi, przy której czekałam na Borysa, była zielona, nie złota, jak mi się wcześniej wydawało. Gdy szłam ku niej, wyglądała jak zgaszona lampa. To w tej właśnie cerkwi ponad sto lat temu dokonano pierwszego tak krwawego zamachu terrorystycznego. Komuniści chcieli zabić bułgarskiego cara Borysa III, który brał udział w pogrzebie generała. Zdetonowali potężny ładunek. Wybuch spowodował zawalenie się kopuły. Zginęło ponad dwieście osób, było mnóstwo rannych. Car ocalał. Nie znałam wcześniej tego faktu. Przeczytałam o tym wydarzeniu na tablicy wmurowanej w ścianę cerkwi.

Czy mój Borys, pierwszy i ostatni, przyjdzie? Nie przyjdzie. Przyjdzie, nie przyjdzie... Jak to jest: spotkać po latach swoją młodzieńczą miłość? Dla niego i dla mnie to było pierwsze gorące uczucie... Czy w innym czasie, w innych okolicznościach przetrwałoby próbę czasu? Czy bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy mogli być razem? Czy bylibyśmy razem, gdybyśmy nie poznali się za wcześnie? I mogli spotkać się na dłużej, żeby przynajmniej raz się pokłócić? Tego się nie dowiem.

Moja niespełniona miłość do Borysa dręczyła mnie przez pół życia. Chciałam zapomnieć, ale nie zapomniałam. Nosiłam ją w sobie. Nosiłam w sercu. Zawsze. Uczucie odpływało i powracało. Falowało. „Przestań – powtarzałam sobie w duchu – nie jesteś Barbarą Niechcic, a on nie jest panem Toliboskim w białym surducie, zrywającym nenufary w błotnistym stawie. Zawsze go idealizowałam, jak głupia. Kwiaty, muszelki, plaża pod księżycem... Nie wiesz, jaki był naprawdę, a zwłaszcza kim jest dzisiaj. No to się dowiesz – właśnie teraz. Masz okazję. Czeka cię figa. Wielka figa i rozczarowanie. Figa straconego czasu”.

Tak bardzo chciałam się jednak dowiedzieć, jaki jest mój dawny Borys. Co mu się przydarzyło. Czego doświadczył. Jakich wyborów dokonał. Czy jest szczęśliwy. Jakie zachował o mnie wspomnienia.

Stałam przy schodach cerkwi. Czułam się trochę jak na scenie, teatralnie, sztucznie. Gdyby jeszcze jakaś muzyka zilustrowała emocje tej filmowej sceny. Tylko jaki byłby to utwór? Coś z lat osiemdziesiątych? Ówczesny przebój? Może *You Are Always On My Mind* Pet Shop Boys. Albo coś z lat dziewięćdziesiątych: może Celine Dion, *My Heart Will Go On*, bardziej liryczne i nastrojowe; adekwatne do sytuacji. Nie, przy tym mogłabym się rozkleić, a wołałabym raczej być wesoła, gdy Borys przyjdzie. Najlepsza byłaby muzyka cerkiewna, choćby z racji bliskiego sąsiedztwa – wzniosła, uduchowiona. Jednak nie ma na to szans, cerkiew zaraz zamkną. Oto requiem dla wszystkich pobożnych życzeń.

Czułam się coraz dziwniej i bardziej obco, stojąc tak i przyglądając się przechodzącym ludziom. Sama w środku obcego miasta. Wypatrywałam wysokiej męskiej sylwetki. Nikt taki nie nadchodził. Ludzie spacerowali albo przemykali szybkim krokiem. Spieszyli się do domów, na zakupy, do teatru albo na manifestację, która miała odbywać się w pobliżu. Dzisiaj też będzie protest przed Parlamentem. Protesty trwają przecież codziennie, od dwóch tygodni.

Kilka osób umówiło się w tym miejscu, na placu Sweta Nedelja. On czekał na nią albo ona na niego. Spotykali się, odchodzili razem w jednym kierunku, pogrążeni w rozmowie. Ja nadal czekałam na człowieka, z którym bardzo chciałam się spotkać.

Teraz miałam wrażenie, jakbym brała udział w jakimś plenerowym przedstawieniu przed cerkwią. Dziwacznym happeningu, którego sens zostanie objaśniony na końcu. Jestem jak aktorka, która pojawia się nagle w drugim akcie sztuki. Pod koniec pierwszego aktu była bardzo młoda, wolna, pełna nadziei. Teraz, po długim antrakcie, jest kobietą dojrzałą, przynajmniej PESEL tak sugeruje, kobietą po przejściach, ale nie zgorzkniałą, umiarkowaną rozczarowaną życiem. Przegapiła kilka scen i epizodów, kiedy czekała w kulisach. Zjawiła się za późno, nie w porę. Zgubiła wątek. Stoi bezradnie i niepewnie. Czeką, aż pojawi się partner i podsunie jej tekst. Musi zrobić teraz jakiś ruch – może usiądzie na wysokich schodach? Czekają tyle lat, może poczekać jeszcze pół godziny. Stąd jest ładny widok na góry. Sofia o zmierzchu cichnie, stygnie i zwalnia. Zalewa ją złote światło gasnących promieni, które wszystko łagodzi – kontury, nastroje, emocje.

Dziesięć po szóstej. Obok cerkwi krążą ludzie, widzowie zerkający na samotną aktorkę w czerwonej, krótkiej spódnicy. Zapomniała swojej kwestii. Siedzi nieruchomo i nie wie, co dalej.

Ta emocjonalna przygoda jest ryzykowna. Ale przecież nie mam nic do stracenia. Czy naprawdę nie mam nic do stracenia? Czy przypadkiem nie stracę pięknych wspomnień? Przeszłość też bywa dynamiczna. To, co o niej myślimy, jak ją traktujemy, jest kwestią okoliczności, nastroju i temperamentu.

Przyjdzie, nie przyjdzie...

Gdyby miał zamiar przyjść, pewnie by się odezwał, zadzwonił. Ale dlaczego nie napisał, że nie jest zainteresowany spotkaniem? Nie mogłam uwierzyć, że nie jestem warta choć krótkiej odpowiedzi. Nie mogłam w to uwierzyć. Po tym, kim dla mnie był i kim ja byłam dla niego? Gdzie się podział mój zdrowy rozsądek? Potrzebował kąpieli w lodowatej wodzie. Kubel zimnej wody na głowę, poproszę. Na tej scenie. Na tych schodach przy cerkwi. Tu i teraz. Będzie widowiskowo i zabawnie.

Rozum kiepsko działa w sferach, gdzie dominują emocje. Minęło wiele lat, ale czasami to nic nie znaczy. Przyjechałam z innego kraju, z daleka. Brak kontaktu przez lata nie przeszkadza, żeby pogadać od serca, powspominać. Gdybym napisała do Borysa kilka lat wcześniej, to coś by zmieniło? Zawsze chciałam go zobaczyć. Ale kiedy był na to właściwy czas? Kiedy był dobry czas, żeby napisać? Kiedy był dobry czas, żeby wrócić do Bułgarii? W latach dziewięćdziesiątych? A może dziesięć lat temu? Nie wiadomo. Czy wtedy też nie odpowiedziałby na moje mejle i milczał tak uparcie?

Przyjdzie, nie przyjdzie...

Czy Borys nie chce mnie znać? Nie chce pamiętać i nic o mnie wiedzieć? Nie chce sobie przypominać straconego czasu? Czy to milczenie jest pełne takiej właśnie treści? Odpowiedzią jest uliczny szum i powiew ciepłego wiatru głaszczącego włosy.

Pamiętam dobrze poprzedni krótki pobyt w Sofii. Ryzykowną, bo niespodziewaną, spontaniczną wizytę w akademiku. I ostatnie spotkanie z Borysem na lotnisku. Pamiętam każdą sekundę tego spotkania. Mętlik w głowie i gwałtowne emocje. Więc jak to wtedy było?

Długo trwaliśmy mocno objęci. Potem Borys wypuścił mnie z objęć. Moje stopy dotknęły podłogi. Staliśmy i patrzyliśmy na siebie ze wzruszeniem. Nie mogłam uwierzyć, że to on stoi przede mną, że go w i d z e, że przeczytał moją kartkę i pognął na lotnisko. Mieliśmy godzinę – godzinę do mojego odlotu. Przez te cztery lata nie zmienił się wcale; te same falujące czarne włosy, rozczochrane

nad czołem, jak dawniej; to samo wesołe spojrzenie ciemnych oczu i ten niezapomniany uśmiech. Miał na sobie flanelową koszulę w czerwono-czarną kratę, dżinsowe spodnie i wymięty granatowy krótki płaszcz. Tak bardzo się cieszył, że mnie widzi. Zrobiłam mu wielką niespodziankę. Ścisnął mnie i całował. Potem powiedział, żebym poczekała chwilę, i szybko odszedł gdzieś na bok. Byłam tak oszołomiona, że nie mogłabym się ruszyć z miejsca, nawet gdybym chciała. Przepelniała mnie ogromna radość, że go widzę, ale i gwałtownie wzbierający smutek, że znowu mamy dla siebie tak mało czasu.

Borys wrócił z bukietem kwiatów.

– Czerwone róże. Dla ciebie. Wreszcie mogę ci je dać. – Wręczył mi kwiaty. I znowu mnie objął.

– Jestem tu z kimś. To Marcin, mój przyjaciel – powiedziałam.

Borys spoważniał, jego uśmiech znikł.

Podeszliśmy do ławki, na której siedział Marcin. Przedstawiłam mu Borysa. Podali sobie ręce. Zaległa niezręczna cisza.

– Może pójdziemy do kawiarenki, napijemy się czegoś – zaproponowałam.

Poszliśmy we troje. Zamówiliśmy jakiś sok. Usiedliśmy przy stoliku. Marcin po prawej, Borys po lewej stronie. Rozmowa się nie kleiła. Obaj na mnie patrzyli, a ja gadałam jakieś bzdury. Opowiadałam Borysowi, co robiliśmy w Grecji, jak podróżowaliśmy autostopem. Marcin milczał.

– Dlaczego nie zostaniecie dłużej w Sofii? – zapytał nagle Borys. – Zostańcie kilka dni. Pokażę wam miasto. Pojedziemy do monasteru Rińskiego. Chciałbym, żebyś go zobaczyła – zwrócił się do mnie. – To ważne miejsce dla Bułgarów, warto je zobaczyć.

– Mamy bilety na samolot, który za chwilę odlatuje – powiedziałam. – Nie przypuszczałam, że nie zastanę cię w akademiku... I właściwie nie zastałam... Nie miałam możliwości zawiadomić cię wcześniej, napisać... Czekają na mnie rodzice. Nie było mnie w domu od jesieni, kilka miesięcy... Nie chcę robić ci kłopotu, i tak zrobiłam kłopot twoim kolegom w akademiku. Przepraszam. Bardzo bym chciała zobaczyć ten monaster, może następnym razem...

Borys słuchał słowotoku polskich słów, który miał maskować, ale tylko zdradzał napięcie. Nie wiedziałam, czy wszystko rozumie. Kiedyś od razu rozpoznawałam, gdy czegoś nie zrozumiał. Teraz miał poważną, nieprzeniknioną twarz. Zamilkłam. Nikt nic nie mówił. I wtedy stało się to, czego się obawiałam: rozplakałam się. Łzy płynęły mi po twarzy. Patrzyły na mnie uważnie dwie pary oczu. Piwne po prawej, ciemnobrązowe po lewej. Dwóch najbliższych mi mężczyzn.

– Łucja, możemy na chwilę wyjść na zewnątrz? – zapytał Borys. – Proszę.

Kiwnęłam głową. Przeprosiłam Marcina i poszłam za Borysem.

– Wróć zaraz, trzeba iść do odprawy – przypomniał Marcin. – Kontroluj czas.

Nie byłam w stanie niczego kontrolować. Ani czasu, ani swoich emocji, ani swojego życia.

W holu Borys wziął mnie za rękę i wyszliśmy przed budynek lotniska, na słońce. Stał przede mną i uważnie patrzył mi w twarz. Otarł palcami łzy z moich policzków.

– Wiem, że minęło sporo czasu... że ostatnio nie pisałem – zaczął – ale u mnie nic się nie zmieniło. Kocham cię. Nadal cię kocham. Gdy tylko cię tutaj zobaczyłem, zrozumiałem, że tak jest i będzie. Zostań ze mną, chociaż kilka dni – poprosił.

– Nie mogę, Borys – odparłam. – Obiecałam Marcinowi, że wrócimy razem. Chciałabym, ale... mam już bilet...

Usiedliśmy na ławce. Borys wyciągnął z kieszeni płaszcz paczkę papierosów, chciał mnie poczęstować.

– Nie palę. Ty palisz? – zdziwiłam się.

– Tak, od dwóch lat, ale tylko czasami. Już nie jestem sportowcem. – Schował papierosy. Ujął moją prawą rękę i długo ją oglądał, dotykał. – Jest inna – ocenił po chwili. – Masz inne ręce.

– Jak to: inne? Dlaczego?

– Są szczuplejsze, kiedyś nie były takie – powiedział.

– Na pewno są takie same – odparłam. – Nikt mi ich nie podmienił – próbowałam żartować.

– Nie, nie były takie – upierał się.

– No, nie wiem... – Obejrzałam swoje ręce. Fakt, pracowałam pół roku w rolnictwie. Dłonie nosiły ślady zadrapań kolców drzewek pomarańczowych, ale chyba nie były chudsze niż dawniej.

– Są inne – stwierdził. – Nie takie...

Zrobiło mi się smutno. Nie widzieliśmy się prawie cztery lata, coś się zmieniło, coś się nie zgadzało. Borys pali, ja mam nie takie ręce...

– Gdzie byłeś? – zapytałam. – Czekałam na ciebie w akademiku. Tyle osób wchodziło do twojego pokoju, tylko nie ty... Pracowałeś?

Zrobił gest zaprzeczenia, który jak zwykle wywołał uśmiech na mojej twarzy. Pamiętałam, jak Borys mi mówił, że bym słuchała jego słów, a nie patrzyła na to, jak kiwa głową. Powiedział coś po bułgarsku. Nie zrozumiałam. Co on powiedział...? Zapytałam jeszcze raz. Wyjaśnił ponownie. Znowu nie zrozumiałam. Nie chciałam pytać po raz trzeci, gdzie był całą noc, kiedy ja spałam na jego łóżku.

Nie dowiem się, już nigdy się tego nie dowiem. Nie poznam prawdy i niech tak zostanie. To w końcu nie jest takie ważne, chociaż gdybyśmy spotkali się w akademiku, wszystko mogłoby się zmienić.

Są sytuacje, które zmieniają bieg życia. Bywają sprawy, które życie układa tak, że nawet ono jest tym zaskoczone. Wymarzone spotkanie, które okazuje się krótką chwilą przed odlotem. Głupia przypadkowa nieobecność. Spóźnienie. Nieuwaga. Kłamstwo. Albo spontaniczna, niezapowiedziana wizyta nie w porę.

Zauważyłam jeszcze jeden szczegół, który się nie zgadzał z obrazem w pamięci. Na palcu lewej dłoni Borysa tkwił metalowy pierścień. Ręka ta sama, ale ten pierścień...

– Co to jest? – zapytałam.

– Sygnet, niektórzy mężczyźni takie noszą – powiedział.

– Czy to coś znaczy?

– Nie, nic nie znaczy, to dla zabawy, dla ozdoby – wyjaśnił.

Przypomniałam sobie, że w Grecji prawie wszyscy mężczyźni nosili sygnety. Nie podobał mi się ten zwyczaj. I jakoś nie pasował do Borysa, młodego, przystojnego mężczyzny.

– Noszenie sygnetu nic nie znaczy? – zapytałam ponownie.

– Nie. Jestem i będę twój – dodał i popatrzył mi w oczy.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, co robić. Chaotycznie rozmawialiśmy o studiach, o nadchodzących przełomowych zmianach w naszych krajach. Borys miał skończyć studia dopiero za dwa lata, borykał się z różnymi kłopotami na uczelni, zaległymi egzaminami. Mnie czekało pisanie pracy magisterskiej na ostatnim roku studiów. Nie rozmawialiśmy o wspólnych wakacjach w Warnie sprzed czterech lat ani o nadchodzącym lecie.

Nagle stanął przed nami Marcin z aparatem fotograficznym w ręce.

– Czas ucieka, trzeba iść do odprawy – przypomniał. – Może zrobić wam pamiątkowe zdjęcie?

Wstaliśmy z ławki. Ścisnęłam w dłoniach paśowe róże. Borys objął mnie ramieniem. I tak zostaliśmy utrwaleni na kliszy, pierwszy i ostatni raz w kolorze. Stoimy obok siebie przed lotniskiem, uśmiechamy się, zalani słońcem. Borys w ciemnym płaszczu, ja – w długim rozciągniętym swetrze w kolorowe łaty i w zielonych džinsach. Zawieszeni w czasie. Nie zrobiliśmy więcej zdjęć. Wróciliśmy do sali odlotów. Sali pożegnań.

Chciałam zapytać Borysa o tyle rzeczy. Nie zdążyłam. Chciałam, żeby opowiedział mi o klasztorze Rińskim. Nie zdążył. Nie opowiedział mi nawet o swoim życiu w Sofii. Może nie chciał.

Trzeba było wziąć plecaki i iść do odprawy. Marcin zarzucił swoją „szafę” na plecy. Borys wziął mój plecak. Stałam przed bramką, zza której nie będzie powrotu. Jeden krok. Tylko jeden krok. Sytuacja graniczna. Sytuacja uprzywilejowana, doskonała chwila na decyzję. Do bólu symboliczna. Robiąc jeden krok, dokonam wyboru. Do przodu czy do tyłu. Wracać czy zostać. Lecieć czy się cofnąć. A może uciec z Borysem z lotniska, spontanicznie, pod wpływem chwili, tak jak bohaterowie filmu *Absolwent*; Elaine ucieka ze swojego ślubu i jedzie z Benem autobusem donikąd. A my dokąd byśmy pojechali? Do akademika, gdzie mogę wejść, ale przez okno? Chciałam zostać, ale chciałam też wracać. Podjęłam decyzję, której nie byłam pewna. Czułam żal i smutek utraty, która bez względu na okoliczności pozostaje utratą. Wszechogarniający, niewysłowny smutek z powodu tego, co nie ma szansy się zdarzyć.

Człowiek zaspokaja jedną tęsknotę, ale otwiera drzwi kolejnej. Każda rana jest początkiem nowej drogi albo porzuconą drogą, albo zamkniętą. Nie ma wyborów bezwzględnie dobrych.

Mało jest w życiu takich chwil, kiedy ma się przeczucie, że za sprawą jednego gestu coś się kończy i zarazem zaczyna. Tylko jeden krok – i wchodzimy na drogę, która za chwilę wyprowadzi nas w nowe przestrzenie lat albo... w pole. Ja nie miałam takiego przeczucia, nie wtedy. Dopiero później to pamiętne spotkanie i rozstanie na lotnisku nabrało symbolicznego znaczenia.

Odwróciłam się do Borysa. Uściskałam go i znowu się rozplakałam. Nie chciałam się żegnać. Nasz czas znowu minął.

– Przepraszam... Muszę iść – wydusiłam wbrew sobie. – Napiszę do ciebie. Jeszcze się zobaczymy...

Długo nie wypuszczał mnie z objęć. Potem nie chciał puścić mojej ręki. Do końca. Chciał mnie zatrzymać. Nigdy nasze przywiązanie do drugiego człowieka nie jest tak silne jak wtedy, gdy go tracimy, gdy za chwilę zniknie nam z oczu.

– Pamiętaj, co ci powiedziałem – szepnął, gdy wreszcie musiał się odsunąć, by zrobić miejsce następnemu pasażerowi. – Będę czekał.

Czy miłość czasem zaślepią zdolność oceny tego, co dobre, a co nie? Dla ciebie i dla drugiej osoby. Czy nie jest tak, że nieraz ludzie stawiają się w sytuacjach, których jedynym skutkiem jest cierpienie? Ja postawiłam w takiej sytuacji Borysa i siebie. Ale żałowałam tylko jednego: że nie mieliśmy dla siebie więcej czasu, że przekorny los nie podarował nam więcej, tylko krótkie chwile. Kolejną za krótką chwilę. Niedośyt, niespełnienie, przeczucie, że przydarzyło nam się coś pięknego i strasznego jednocześnie; coś, co nie rozkwitnie, nie rozwinie się, ale też nie umrze, nie zniknie, pozostanie w nas do końca, właśnie takie niedokończone, jak przerwana ważna rozmowa, jak urwane w pół decydujące zdanie, niewypowiedziane najpiękniejsze słowa. Życie możliwe, ale nieprzeżyte.

Przeszłam przez bramkę. Odwróciłam się jeszcze i pomachałam Borysowi, chociaż przez łzy widziałam go jak za grubą szybą, nieostro i jakby z oddali. Po odprawie weszłam z Marcinem do samolotu. Płakałam do samej Warszawy. Bez przerwy. Dwie godziny. Nie mogłam się opanować.

Nie mogłam przestać. Nie wiedziałam, że mam w sobie tyle łez, tyle żalu za tym, czego nie mogę mieć, co mnie ominęło, nie będzie mi dane, bo potoczyło się nie tak, jak powinno.

Marcin był bardzo opanowany, nie złościł się, nie denerwował, nie okazywał zazdrości ani zniecierpliwienia. Nie szydził ani nie karmił. Nie krytykował. Głaskał mnie po głowie i podawał chusteczki. Zaskoczył mnie swoją wyrozumiałością i łagodnością.

– Musisz się wypłakać. Pożegnania są trudne. Rozumiem to – powiedział. – W domu lepiej się poczujesz i wszystko będzie dobrze.

To była gra w dobrodusznego. Gdyby zrobił mi awanturę na lotnisku, był zaborczy, okazał złość, wtedy prawdopodobnie podjęłabym inną decyzję. Marcin mnie znał, wiedział, co zrobić, żebym zareagowała tak, jak on oczekuje. Zachował spokój i wygrał łagodnością.

Nie wiem, czy wszystko było dobrze, tak jak zapewniał. Miałam tak zapuchnięte oczy, że niewiele widziałam. Z trudem dotarłam do domu, gdzie czekali rodzice. Czekali od wielu miesięcy. Przestraszyli się, gdy zobaczyli mnie w drzwiach z zapuchniętymi oczami, zapłakaną i kompletnie rozbitą psychicznie.

– Co się stało? Jesteś chora?! – usłyszałam na początek przerażony głos mamy.

Za dwadzieścia pięć siódma. Przyjdzie, nie przyjdzie...

Do której czekać? Może powinnam już stąd odejść? Czasami lepiej zrezygnować. „Dobrze, zrezygnuję za piętnaście minut”, przyrzekłam sobie. W polu mojego widzenia nic nowego się nie działo. Czasem jednak najwięcej się dzieje, gdy nic się nie dzieje. Kto to powiedział? Andrzej Bobkowski. Człowiek, który kochał życie we wszystkich jego przejawach. Ale sytuacja, którą sama stworzyłam, jako przejaw mojego życia, coraz bardziej mnie przygnębiała. Na co liczę, siedząc na schodach tej cerkwi? To już prawie pewne, że on nie przyjdzie ani nie zadzwoni. Borys nie jest bohaterem z powieści Marguerite Duras – pamiętnym „kochankiem”, który dzwoni do swojej dawnej dziewczyny po latach, pod koniec życia, żeby jej powiedzieć, że zawsze była w jego myślach, że zawsze ją pamiętał. Nie jest też na pewno jak poeta Florentino, bohater powieści *Miłość w czasach zarazy*, który całe życie czekał na jedną kobietę, swoją pierwszą miłość, Ferminę. Czekał pół wieku, do skutku. Ja nie jestem rozsądną Ferminą, zawsze wydawało mi się, że jestem raczej szalona i spontaniczna. Borys też nie przypomina bohatera Margueza. A nasza miłość nie była silniejsza od fatum. Jednak przydarzyła się w czasach, które niektórzy nazywają „czasami zarazy”, dodając różne przymiotniki. „Odłóż na bok te literackie zabawy”, przywołałam się do porządku. Życie to nie literatura, bywa jeszcze bardziej zaskakujące niż najbardziej niesamowita fikcja. Przekracza granice wyobraźni, do bólu.

Przyjdzie, nie przyjdzie...

Co wydarzyło się dalej, po moim przylocie z Marcinem do Warszawy? W domu zostałam zasypana opowieściami, nowinami, rewelacjami. Wyjechałam z PRL, a wróciłam do kraju, który nazywał się teraz Rzeczpospolita Polska. Zmiany widać było na każdym kroku. Przed Pałacem Kultury powstał wielki bazar, na ulicach pojawili się kupcy handlujący wszystkim ze wszystkiego – z samochodu, łóżka, gazety. Nastąpiło wiele zmian u moich znajomych. Jolka miała zamiar wyjść za mąż. Niektóre koleżanki już zmieniły stan cywilny. Większość chciała skończyć studia za parę miesięcy i szukać pracy.

Marcin powiedział, że chce być ze mną na zawsze. Poprosił mnie o rękę. Spodziewałam się, że to

może nastąpić, ale i tak mnie zaskoczył. Uważałam, że to za wcześnie, że trzeba poczekać.

Napisałam list do Borysa. Ciepły, serdeczny, tak jak dawniej. Opisałam mu to, co się wydarzyło w ostatnich tygodniach, co zastałam po powrocie, po długiej nieobecności. Napisałam też o Marcinie i jego oświadczeniach, i o swoich wątpliwościach. Zadałam Borysowi parę pytań. Istotnych. Postawiłam kilka znaków zapytania. Czekałam na odpowiedź. Niecierpliwie. Na kilka ważnych słów. Czekałam miesiąc, dwa, trzy. Borys milczał. Codziennie zaglądałam do skrzynki pocztowej. Nie było kolorowej koperty z Bułgarii. Uznałam to milczenie za obojętność albo unik i brak zdecydowania. Nie walczył o mnie. Dał sobie spokój. Zrezygnował. Nie miał mi nic do powiedzenia. Ani słowa.

Wtedy spadła na mnie (jak grom z jasnego nieba, tak się o tym zwykle mówi, i słusznie) nieoczekiwana wiadomość: jestem w ciąży. Stało się to, czego się obawiałam: los znowu napisał własny scenariusz. Wybór dokonał się sam. Za szybko, znienacka. Marcin się ucieszył, ale moje życie się skomplikowało. Wzięliśmy ślub, którego świadkami byli Jolka i Marek. Marcin zamieszkał ze mną w małym pokoiku w mieszkaniu moich rodziców. Obroniłam pracę magisterską o Kacprze Bażance. Urodziłam syna. Na cześć mojego bohatera naukowego, któremu poświęciłam tyle miesięcy, synek otrzymał imię Kacper. Skoncentrowałam się na dziecku: wychowywałam synka, a Marcin zmieniał prace, szukając własnej drogi. Po dwóch latach przeprowadziliśmy się do własnego małego mieszkania. Dostałam pracę w prywatnej galerii, a potem w Muzeum Narodowym. Moje życie ustabilizowało się...

A jednak gdzieś w głębi tkwiła tęsknota, niczym drzazga. Jakaś cząstka tęskniła do czegoś, co dobrowolnie porzuciłam, z czego sama zrezygnowałam. Wtedy wmawiałam sobie, że Borys był iluzją, idealizowaną miłością, czymś dalekim, a Marcin prawdziwym życiem, tu i teraz. Moje życie stało się dzięki niemu szeroką, prostą, bezpieczną ścieżką, tak mi się wydawało – do czasu.

Po paru latach Marcin przestał być spokojną codziennością. Zmienił się. Miał kłopoty w pracy. Emanował rozczarowaniem, niezadowoleniem, niespełnieniem zawodowym. Kłóciliśmy się coraz częściej i gwałtowniej. Przyciągał burze z piorunami, chmury ciężkie od pretensji, niespokojne deszcze. Powodował w naszym domu trzęsienia ziemi. Dom zaczął się chwiać i walić, widocznie miał kruche fundamenty. Potrzebowałam kogoś, kto by mi pomógł wyjść na powierzchnię, a nie przysypywał gruzem swoich problemów. Rozwiedliśmy się spokojnie, już bez wstrząsów, a Marcin wkrótce z ulgą wyjechał do Stanów.

Zawsze pamiętałam o Borysie, chociaż zniknął z mojego życia. Często wspominałam go z czułością. Żałowałam, że wtedy nie zostałam z nim w Sofii, że nie mogliśmy być ze sobą dłużej. Fatalizm sprawił, że nie mogliśmy się poznawać lepiej każdego dnia i bogacić we wspólne przeżycia i decyzje. Pragnęłam jego obecności tyle lat. Z czasem listy i wspomnienia przestały wystarczać. Ciągła nieobecność zatruwała zwątpieniem. Żyjemy w czasie. Tamten czas zmusił nas do rezygnacji z siebie. Takie miałam usprawiedliwienie poniewczasie.

Zawsze chciałam wiedzieć, co się u niego dzieje. Czy skończył studia, jak ułożył sobie życie. Nie chciałam dzwonić, nie potrafiłabym rozmawiać z jego rodzicami, gdyby akurat któreś z nich odebrało telefon.

Pewnego wieczoru, po kłótni z Marcinem, pod wpływem wspomnień napisałam list. Bez nadziei na odpowiedź. Było prawie dwa lata po pamiętnym spotkaniu na lotnisku. Wkrótce dostałam długi list od Borysa, który mną wstrząsnął. Przyszedł za późno.

Borys pisał, jakby nie było między nami wielu miesięcy ciszy. Zapewniał mnie niezmiennie o swoim uczuciu i że na mnie czeka. Może przyjadę latem? Z powodu jakichś niejasnych problemów

przeciagnały mu się studia. Miał je skończyć dopiero za dwa lata.

Pisał:

Jeszcze dwa lata będę zależny od rodziców, a potem już wolny. Wreszcie wolny! Mam nadzieję, że mnie rozumiesz. Nie mogę teraz zrobić nic, bo nadal nie decyduję o sobie. Nie zależę od siebie, ale od rodziców. Póki nie pracuję, nie mogę decydować o swoim życiu...

Wyjaśniał, dlaczego nie odpisał na mój ostatni list:

I tak nie mogłem nic zrobić. To tak strasznie bolało, że nie mogę być przy Tobie, chociaż bardzo, bardzo chciałbym. Co mogłem Ci napisać? Zawsze to samo: że Cię kocham i będę czekał i chciałbym, żebyś Ty czekała na mnie. Moje uczucia nie zmieniły się. Jednak woląłem nie pisać nic, żebyś sama podjęła tak ważną decyzję. Nie miałem prawa prosić Cię o cokolwiek, bo nie było mnie przy Tobie. Tylko dlatego nie napisałem.

A potem czekałem na kolejny list. Nie przyszedł i wtedy pomyślałem, że wszystko skończone i było mi strasznie żal. To był najgorszy czas w moim życiu...

Napisał, że wszystko wydaje mu się kruche i niestabilne. Przesłał dwa zdjęcia: na jednym on i Christo przy kawiarnianym stoliku, na drugim obaj robią śmieszne miny podczas jakiejś imprezy domowej.

Po tym ostatnim liście przeczytałam wszystkie, jakie kiedykolwiek dostałam od niego. Nie powinnam tego robić. Przeszłość, już ułożona w szufladzie, ożyła, skoczyła mi do gardła i próbowała rozszarpać.

Dlaczego nie napisał tego listu dwa lata temu? Myślałam, że mu nie zależy, że ze mnie zrezygnował. Myślałam, że nie odnalazł we mnie Łucji, którą znał i zapamiętał. Że skorzystał z okazji i wycofał się, uciekł w milczeniu. Pożegnał się bez słowa pożegnania. Między nami od zawsze zdania na papierze były rzeczywistością, miały wyjątkową wartość. Ale wtedy nie napisał nic. Źle odczytałam jego niezapisane myśli. Widocznie nie znałam go dość dobrze. A teraz taki list! I znowu obietnica czekania... dwa lata.

Nie wiedziałam, co robić. Długo się zastanawiałam i w końcu wybrałam jego metodę. Moje milczenie było pełne żalu, poczucia winy, ciężkie i trudne do zniesienia, ale Borys się o tym nie dowiedział. Stchórzyłam tak jak on wcześniej: nie potrafiłam się pożegnać. Nie mogłam przecież napisać, że za dwa lata też mogę być wolna, będę decydować o sobie i wtedy przyjadę na wakacje do Bułgarii. Dokonałam wyboru mimo woli. Zamknęłam dla siebie wspólną przyszłość z Borysem. Musi ułożyć sobie życie według reguł, które stworzyli dla niego rodzice. Musi starać się być szczęśliwy. Nie potrafiłam mu tego napisać, nigdy.

I tak przebiegło dwadzieścia lat, klusem, cwałem i w galopie. „Nic nie biegnie tak szybko jak lata”, zanotował da Vinci. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła siódma. On nie przyjdzie. To już pewne. Jakie piękne niespotkanie o zachodzie słońca, w środku miasta, przed cerkwią. Nie mogłam sobie wymarzyć nic smutniejszego w ten ciepły czerwcowy wieczór. I sama to sobie zafundowałam. Sama to zorganizowałam. Wszystko dostałam na własne życzenie.

Czułam wszechogarniający żal i paraliżujący smutek. Przeszywające uczucie było lepkie i zarazem ostre. Nie byłam pewna jego istoty. Co to właściwie jest? Wystawione na śmiech marzenie? Straciłam coś po raz drugi. Coś bardzo ważnego. Wspomnienia najpiękniejszego czasu, jaki był mi dany.

Utraconego czasu. Sama stałam się nieważna, bo istotna część mojego życia została unieważniona. Przekreślona milczeniem Borysa. Czułam, jakby coś we mnie umarło, jakby ktoś umarł.

„Dobrze, nie przychodź, Borys. Nie zobacz mnie. Nie będziesz miał więcej okazji, żeby zauważyć srebrne nitki w moich włosach – srebrne promienie księżyca, które przyczepiły się do mnie na dobre. Te, które kiedyś chciałeś zapamiętać. W porządku, rozumiem. Tak czasem bywa i nie można nic na to poradzić. Rzeczywistość nie spełnia naszych pragnień. Nie wszystko układa się tak, jak chcemy. To takie banalne usprawiedliwienie własnej bezradności i popełnionych błędów. A za błędy młodości płaci się najdrożej. Opisano to już wiele razy. Wszystko już było. Tylko człowiekowi wydaje się, że przeżywa coś wyjątkowego.

Napisano wiele symfonii, ale wszystkie opierają się na tych samych nutach. Te same słowa układano tysiące razy. Te same uczucia wyrażano w wierszach, w obrazach, w powieściach, w piosenkach. Nie przychodź, Borys. Już wiem, że nie chcesz pamiętać”.

Czas minął. Koniec psychicznego happeningu-monodramu.

Wstałam. Przeszłość odpadała ode mnie kawałkami. Chciałam już zostawić w spokoju te ciepłe, nagrzane słońcem kamienne, cerkiewne schody, na których od godziny wysiadywałam i wspominałam. Zostawić tu wszystkie odepchnięte możliwości. Niewykorzystane okazje. Zwalczone pokusy.

Muszę odejść z tego placu. Tu nie spotkam mężczyzny, z którym nie przeżyłam ostatnich dwudziestu lat. Nie znajdę odpowiedzi na żadne z tysiąca pytań, które chciałam mu zadać. Nie poznam prawdy, może to i lepiej. Na pewno jest czyimś mężem, czyimś ojcem. Ciekawe, kim byłabym, gdybyśmy się nie rozstali. A kim byłby on? Jaki byłby wariant naszego wspólnego losu? Czy Borys byłby ze mną szczęśliwy? Do czego by doszedł?

Ja w każdym razie chciałam teraz dojść do Parlamentu, prostą drogą. I zanurzyć się w sofijski wieczór, oderwać myśli od przeszłości, od smutnych refleksji. Stłumić rozczarowanie. Nie było to takie trudne, bo trafiłam na głośną manifestację polityczną.

Tam zbiorowe rozczarowanie młodych ludzi miało solidne podstawy i konkretny wyraz. Na ulicy protestowali studenci. Kilkaset osób krzychało: *Ostawka!* Przyszli pod Parlament z bułgarskimi flagami i transparentami na kartonowych tablicach. Sporo różnych haseł. Zapamiętałam: „Żyć sensownie i chcieć żyć sensownie w Bułgarii”, „Po co dyplom, jak nie ma przyszłości?”, „Nie traćmy czasu na rozmowy, działajmy!”. Studenci stali lub siedzieli na bruku. Od budynku Parlamentu oddzielały ich metalowe bramki i mnóstwo policjantów – było ich chyba więcej niż manifestujących. Popychali studentów, szarpali co bardziej ruchliwych i zdeterminowanych. Z tego, co wiedziałam, ani premier, ani nikt z rządu nie wyszedł dotąd do protestujących. Nikt nie reagował, oprócz policji. Zaciekawilo mnie, że manifestowali tylko młodzi ludzie, dziewczyny i chłopcy, starsi stali z boku. Przyglądali się. Prawdopodobnie wspierali, ale nie brali czynnego udziału, jak to się zwykle dzieje w Polsce. Protestowały dzieci transformacji, której tak naprawdę tutaj nie było. Rosen wspominał, że ludzie na państwowych posadach są za udział w protestach dyscyplinarnie zwalniani z pracy. Młodzi ludzie nie mieli nic do stracenia, oprócz nadziei na lepszą przyszłość we własnym kraju i konieczne zmiany. Skoro manifestują tylko studenci, rząd zapewne się tym nie przejmie. Premier nie ustąpi ze stanowiska. A jeśli nawet, to nieprędko.

Postanowiłam wracać do hotelu. Po drodze wstąpiłam do sklepu. Kupiłam coś niespotykanego w Polsce: dużą plastikową butelkę piwa marki Kamenitza, czyli 2,2 litra! Za jedyne 2,43 lewów, czyli niecałe 5,50 złotych. Polscy studenci byliby zachwyceni taką ofertą. Zrobimy sobie z Agnieszką

piwny wieczór. Litr na głowę! Na poprawę nastroju.

Wsiadłam do tramwaju, który jechał w okolice hotelu. Niebo zaczęło się chmurzyć, pociemniało, zbierało się na burzę. Wieczór wchłonął już czubki drzew Borisowej Gradiny. Mrok zasnuwał setki pni po obu stronach torów.

Gdy weszłam do pokoju, Agnieszka popatrzyła na mnie uważnie. Nie musiała pytać. Wiedziała.

– Nie przyszedł, nie zadzwonił – oznajmiłam od razu. – Ale kupiłam coś ciekawego w centrum na poprawę nastroju. Trudno tym się upić, ale powinno dobrze smakować po dniu pełnym wrażeń. – Pokazałam jej plastikową butlę.

Uśmiechnęła się i rozlała piwo do szklanek. Opowiedziałam jej o protestach przed Parlamentem.

– Na pewno nie będą o tym informować w polskiej telewizji. Ani o przyczynach, ani o przebiegu protestów. Ani słowa. Opinia publiczna nie musi wiedzieć, co się dzieje w Bułgarii...

– Słuchaj, Łucja – przerwała mi. – Czy sprawdzałaś ostatnio swoje mejle?

– Nie, a dlaczego?

– Coś mi przyszło do głowy... Może jednak on coś napisał.

Spojrzałam na nią z powątpiewaniem.

– Dobrze, sprawdzę. Masz rację. Zapomniałam z tego wszystkiego...

Otworzyłam skrzynkę mejlową, dawno tam nie zaglądałam. Rzeczywiście, było kilka mejli.

– Jest! Wiadomość od Borysa! Napisał... wczoraj! – Byłam zaskoczona tym, co widzę, i zła z powodu swojej bezmyślności.

– A jednak! I co pisze? – Agnieszka była nie mniej zdziwiona ode mnie.

Milczałam i wpatrywałam się w krótki mejl.

– No, mów! – ponagliła mnie.

– Posłuchaj: Droga Łucjo, bardzo żałuję, że nie możemy się spotkać, ale nie ma mnie w Bułgarii – tłumaczyłam z bułgarskiego na poczekaniu. – Wyjechałem do pracy w Niemczech, bo w Bułgarii bardzo się pogorszyły różne ekonomiczne uwarunkowania. Nie pisałem wcześniej, bo nie miałem dostępu do internetu. Życzę Ci udanej podróży po moim kraju. Mnóstwo pozdrowień. Borys. – Z wrażenia padłam na łóżko.

– No i wszystko jasne. Pojechał na roboty do Niemiec – podsumowała Agnieszka. – Gdyby nie to, na pewno przyszedłby na spotkanie. Na sto procent.

Wszystko ułożyło się w całość. Te jego ogłoszenia w internecie wiosną, brak wiadomości i to, co usłyszałam tu od nowo poznanych osób... Trudny czas w Bułgarii był też niedobrym czasem dla Borysa, czasem emigracji zarobkowej. To było wprost nie do uwierzenia! Los rzeczywiście dziwnie się z nami bawił. Tym razem rozminęliśmy się w przestrzeni. Gdy ja po latach przyjechałam do Bułgarii, Borys akurat wtedy wyjechał z kraju. Spotkanie nie było nam pisane. Fatalizm w ostatniej odsłonie? Nowe, bardzo pomysłowe przeszkody? Jak nie zła sytuacja polityczna, to zła sytuacja gospodarcza. Jak nie kryzys taki, to inny. Zawsze istniała jakaś przyczyna obiektywna, niezależna od nas. Siła wyższa. Wyrafinowana ironia losu. Za dużo tego jak dla mnie. Już znam tę zabawę, już w to grałam. Zostawia po sobie gorzki smak, żal i długotrwały smutek. A mówi się, że los jest w naszych rękach. Że jeśli się czegoś bardzo chce, musi się udać. Nic podobnego.

– Chyba muszę się napić. – Sięgnęłam po szklankę i wypićam piwo duszkiem. – A teraz zjem pół opakowania różanych galaretek.

Agnieszka ponownie napełniła naczynia i rozpakowała pudełko z Doliny Róż.

– Hop! szklankę piwa! Proszę bardzo, mamy tego trochę.

– Właściwie mogłam się spodziewać czegoś takiego albo gorszego, ale i tak jestem w szoku. Coś niesamowitego! – powiedziałam, gdy wypiliśmy kolejną szklankę. – Barbara Niechcic przyjechała, a pana Toliboskiego akurat nie ma w domu – mruknęłam do siebie.

– To fakt, fatalny pech – przyznała Agnieszka. – Ale dobrze, że przynajmniej wiesz, co jest grane. Nie będziesz snuła domysłów i wymyślała dziwnych teorii. Szkoda, że się nie spotkacie, ale może uda się za jakiś czas, kiedyś. Nie wiadomo, co się jeszcze wydarzy. Nie ma się czym przejmować. Chodź, posłuchamy sobie muzyki z telewizora. *Czałga* i piwo to jest to! Impreza na piętnastym piętrze. Nauczka na przyszłość: sprawdzaj swoją skrzynkę mejlową.

– To naprawdę... bez sensu – powiedziałam. – Myślałam, że poznam odpowiedzi na kilka pytań, ale może niektóre sprawy mają właśnie takie pozostać: niewyjaśnione i beznadziejne. I nic nie można na to poradzić.

Podeszłam do okna. Co za widok! Na niebie rozgrywał się tajemniczy spektakl natury. Burza na sucho. Z błyskawicami, ale bez kropli deszczu. Ja też nie będę płakać, chociaż łzy przyniosłyby mi ulgę. Miastu zmęczonemu skwarem również przydałby się ulewny deszcz. Pioruny raz po raz rozświetlały czarne niebo nad górską kotliną i pulsującym światłami miastem. *Globul* – głosił najbliższy rozpoznawalny, choć daleki neon. Przeczytałam tę nazwę bezmyślnie już kilka razy. Brzmiała jak imię jakiegoś tłustego złośliwego demona. Zygzaki błyskawic znowu przeszły niebo wzdłuż i w poprzek, ich śladem przetoczył się dudniący grzmot. Świat czasami nie pozostaje obojętny na emocje człowieka. Choćby jednego. Ten pamiętny wieczór w Sofii zyskał niespodziewaną oprawę: światło i dźwięk. Reżyser nieznany. Ja dostałam na pocieszenie najlepszą miejscówkę.

6 Za siódmą górą

Następnego dnia przy śniadaniu zastanawialiśmy się, co dalej. Nasza podróż osiągnęła półmetek w czasie, a zarazem najdalszy punkt planowanej drogi. Czas na powrót.

– Zostajemy jeszcze jeden dzień w Sofii, czy jedziemy na południe? – zapytała Agnieszka.

– Szczerze mówiąc, wolałabym wyjechać z Sofii. Planowałam tutaj jeszcze wycieczkę w góry, ale może innym razem.

– Wrócimy tu?

– Może. Nie wiem.

– Więc dokąd teraz?

– Pojedziemy do ważnego miejsca. Pielgrzymki ciąg dalszy.

Spakowałyśmy się i ruszyłyśmy w kierunku monasteru, który znajdował się w najwyższych bułgarskich górach Riła, ponad sto kilometrów za Sofią. To ten monaster bardzo chciał mi kiedyś pokazać Borys. Zobaczę go teraz, nie z nim, lecz w towarzystwie przyjaciółki.

Gdy wyjechałyśmy z miasta, zauważyłam tablicę informującą o skręceniu na Pernik.

– Pernik! – Agnieszka też zobaczyła napis. – Nie chcesz tam zajrzeć?

– Do Pernika? A po co?

– Obejrzyć miasto. Zobaczyć, jakie są ulice, główny plac, tak ogólnie...

– Nie mam ochoty – mruknęłam i dodałam gazu.

– Nie chciałabyś zobaczyć domu Borysa? Rodzinnego domu?

– On mieszkał w bloku. Nie, nie mam zamiaru oglądać jego domu, ani odwiedzać jego rodziców, ani siostry, jeśli chcesz wiedzieć. Boże, ile ona może mieć teraz lat? Chyba około czterdziestu... Chociaż... ich reakcja mogłaby być ciekawa, nie sądzisz? Ale nie mam nastroju na taką zabawę. Jego ojciec mógłby dostać udaru, jeśli nadal żyje...

– Szkoda, chętnie bym to zobaczyła. – Agnieszka się świetnie bawiła.

– Co? Jak ktoś dostaje apopleksji?

– Nie, jak pukasz do jego drzwi.

– To ci nie grozi. Nie ma to jak zabawa cudzym kosztem – skwitowałam kwaśno.

Prawie po dwóch godzinach jazdy przez góry i lasy zatrzymałyśmy się na parkingu przed Bramą Dupnicką. Stąd wiodła droga do największego zespołu klasztorowego w Bułgarii. To miejsce święte, duchowa stolica kraju. Symbol religii, ale też tożsamości narodowej i kultury bułgarskiej, które cudem przetrwały pół tysiąca lat okupacji tureckiej. Zabytek najwyższej klasy.

Na dziedzińcu panował spokój, nie było tłumów, ani wycieczek, ani wielu wiernych. Wreszcie tu dotarłam, w samo południe, pod koniec czerwca. Był ciepły, słoneczny dzień, w wysokich górach upał jest nieśmiały. Usiadłyśmy w cieniu krużganków, żeby w ciszy poczuć to miejsce. Monaster w wysokich górach. Dostojny, majestatyczny widok. Kolejne energetyczne miejsce w Bułgarii. Zbawienne połączenie Sacrum i Natury. Nad dziedzińcem i budynkami krążyły jaskółki, ich piskliwy głos podkreślał ciszę.

– *Ljastowica* – powiedział do nas przechodzący mnich, wskazując ptaki. Zauważył, że je obserwujemy.

Monaster wzniesiono w XIV wieku, w małej kotlinie górskiej, na miejscu kilku niewielkich klasztorów. Stał się słynny sto lat później, kiedy przeniesiono tutaj z Wielkiego Tyrnowa relikwie św.

Iwana Rińskiego, mnicha cudotwórcy i uzdrowiciela, który żył w rińskiej jaskini i zmarł w X wieku. Prawosławni pustelnicy na miejsce swego odosobnienia chętnie wybierali jaskinie lub pieczary. Gdy w 1833 roku klasztor spłonął, cały naród uczestniczył w jego odbudowie. Sułtan wyraził na to zgodę, pod warunkiem, że klasztor będzie miał tylko trzy piętra. Pomysłowi architekci ominęli ten nakaz – najniższą kondygnację umieścili w ziemi, a na trzech dozwolonych, murowanych piętrach zbudowali drewnianą galerię. Nieregularny dziedziniec okalają arkady z łukami w czarno-białą kratkę, a na jego środku stoi niewielka cerkiew, bogato zdobiona freskami, z przepięknym drewnianym ikonostasem. Barwne feski ozdabiają również jej wnętrze. Próbowaliśmy znaleźć autograf jednego z artystów malujących cerkiew, Zacharija Zografa, który podpisując się, złamał cerkiewny kanon. Nie znalazłam. W gablocie, przed drewnianym ikonostasem, obejrzałyśmy natomiast otaczaną kultem, słynącą z cudów relikwię – lewą rękę świętego Iwana Rińskiego. W cerkwi panował mrok, kilku wiernych modliło się, być może czekali na nabożeństwo.

Monastyr Riński to nie tylko atrakcja turystyczna, to miejsce żywej wiary. Miejsce święte. Tu człowiek się modli, by znaleźć pocieszenie.

Czułam, jak cisza napęła mnie spokojem. To miejsce sprzyjało refleksji. W życiu każdego człowieka wiele rzeczy i spraw się ze sobą splata. I tak naprawdę nic się nie kończy. Nie należy się dziwić, że coś nie dzieje się po naszej myśli. Trzeba zaakceptować to, czego nie rozumiemy, na co nie mamy wpływu, co jest dziełem Siły Wyższej. Krajobrazy, dzięki swej wspaniałości i emanującej z nich energii, godzą nas z przeszkodami, których nie jesteśmy w stanie pokonać, i z wydarzeniami, których sensu nie potrafimy pojąć. Pomagają nam pogodzić się z tym, czego nie możemy zmienić.

Wróciłyśmy na drogę przelotową Sofia–Burgas. Kolejnym naszym celem był Płowdiw, ważne i ciekawe miasto, ale podróż do niego długa i nużąca. Urozmaicała ją to, co za oknem – zielone pola i góry z płatami śniegu gdzieniegdzie przykrywającymi szczyty.

– Nie miałam pojęcia, że Bułgaria to taki górzysty kraj – powiedziała Agnieszka.

– I taki ciekawy – dorzuciłam, bo mój poziom zainteresowania Bułgarią nie dopuszczał, że coś może być „nudne”.

– Oczywiście! – roześmiała się.

Późnym popołudniem dotarłyśmy do Płowdiwu i zatrzymałyśmy się w małym hoteliku w centrum.

Płowdiw malowniczo rozgościł się na siedmiu wzgórzach. Zaczęłyśmy spacer od placu Centralnego, oglądając resztki trackiej agory i rzymskiego forum. Szłyśmy w kierunku placu Dżumaja deptakiem między odnowionymi kolorowymi kamienicami.

Przeszłość rzymska wynurza się tutaj spod ziemi w postaci resztek stadionu, na którym odbywały się wyścigi. Za placem, na trzech wzgórzach, rozciąga się Stary Płowdiw z zabudową z czasów bułgarskiego odrodzenia, a właściwie bułgarskiego baroku, bo architektura dziewiętnastowiecznych pastelowych domów jest tutaj inna, bogatsza. Zamożni mieszkańcy wznosili ozdobne domy z wysuniętym piętrem, z wykuszami, balkonami i galeryjkami. Prześcigano się w upiększaniu falujących fasad kolumnami, ryzalitami, gzymsami, rzeźbionymi bramami. Malowano kolumny i mury na żywe kolory. Wzrok przyciągają wyszukane dekoracje malarskie okien. Kolorowe domy są niepowtarzalne, każdy inaczej zdobiony. Stoją wzdłuż wąskich splątanych uliczek wybrukowanych kocimi łbami. Starówka płowdiwska zaskoczyła nas kolorami, architekturą, pięknym położeniem i wakacyjnym, wesołym nastrojem. Bajkowa i urokliwa, jedyna w swoim rodzaju.

W Starym Płowdiwie czaił się wspaniały relikwiarz przeszłości – znakomicie zachowany teatr rzymski

na zboczu wzniesienia, wybudowany w czasach cesarza Trajana. Przysiadliśmy w jednej z kawiarenek, niemal wiszącej „na krawędzi”, żeby wypić kawę i podziwiać teatr z góry. Niezwykłe miejsce, w którym czas się zagina i współczesność dotyka starożytności.

Naszą uwagę zwrócił kilkupiętrowy dom z wieżyczką, zbudowany na skale górującej nad teatrem, ni to pałacyk, ni zameczek.

– To budynek mieszkalny, „występował” w popularnej bułgarskiej telenoweli – powiedziała zagadnięta kelnerka.

Tytułu serialu nie zapamiętałam. I raczej go nie obejrzę.

Zachód słońca obserwowaliśmy z pobliskiego wzgórza Nebet Tepe, skąd rozciąga się wspaniały widok na miasto, rozcięte na pół rzeką Maricą. Widać Rodopy i pasmo Starej Płaniny. Czarujące miejsca mają to do siebie, że patrząc na nie, uświadamiamy sobie banalność własnego słownictwa.

Właśnie na tym wzgórzu dowiedziałyśmy się o ciekawych bułgarskich przesądach. Zaczęło się od plecaków. Nasze plecaczki spokojnie leżały na ziemi, a my siedziałyśmy na gruzach budowli, która mogła być niegdyś wieżą obronną, i w milczeniu gapiliśmy się na cudowną grę świateł kończącego się dnia. W pewnej chwili jakaś kobieta powiedziała coś po bułgarsku. Odwróciłam głowę. Gdy się zorientowała, że nie rozumiemy, powtórzyła po angielsku:

– Nie stawiajcie toreb na ziemi, bo pieniądze uciekną.

Chwyciłyśmy plecaki i postawiłyśmy je sobie na kolanach. W końcu pieniądze w podróży to ważna rzecz.

Tak poznałyśmy Danielę, emerytowaną nauczycielkę angielskiego. Usiadła obok nas na kamieniach i opowiedziała o innych bułgarskich przesądach. Niektóre były podobne do polskich.

– Bułgarzy wierzą w przepowiednie wrózek i noszą różne amulety na odpędzenie złych uroków.
– Daniela zaczęła wyliczankę. – Nieszczęście przynosi zgubienie rękawiczki i obcinanie paznokci w piątek.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałam! – zdziwiła się Agnieszka.

– Nie należy myć głowy w poniedziałek i środę, bo wtedy dzień będzie pechowy.

– To dziwaczne – skomentowałam.

– Jeśli czarny kot przebiegnie drogę, trzeba obrócić się trzy razy wokół własnej osi, żeby zmylić złe moce.

– To dość powszechny zabobon – stwierdziła Agnieszka.

– Kiedy ma się kiepski humor, lepiej nie gotować i nie zapraszać znajomych, żeby nie przynieść niedobrej energii na innych, bo zły nastrój rozchodzi się po gościach.

– Czasami, niestety, to się sprawdza – powiedziałam.

– Nie można pożyczać sąsiadowi ani soli, ani chleba, bo bogactwo przeniesie się do niego.

– To już niegrzeczne, a nawet nieludzkie.

– Nie wolno wyrzucać śmieci w nocy, bo w ciemności można przypadkiem pozbyć się szczęścia.

– Wiedza Daniela w tej dziedzinie jest imponująca. Czyżby była wrózką?

– To przynajmniej ma sens – oceniłam. – Zdarza się przecież niechcący wyrzucić coś ważnego.

– A teraz najzabawniejsze: pecha przynosi spotkanie świni zaraz po ślubie.

– Dobrze. Zapewne powstał na bazie dotkliwych życiowych doświadczeń – powiedziała rozbawiona Agnieszka.

Daniela uważała, że najciekawsze są bułgarskie przesady związane z przełomem roku.

– Po świętach Bożego Narodzenia zaczynają się złe dni, które trwają aż do szóstego stycznia. W

tym czasie nie powinno się począć dziecka, bo będzie złym człowiekiem. Ale jeśli pechowo dziecko urodzi się właśnie wtedy, to trzeba mu w ciągu jednego dnia uszyć i włożyć koszulę, żeby nie zamieniło się w złośliwego stworka *kakakondžo*. W te dni Bułgarów chroni od nieczystych sił noszenie kilku ząbków czosnku, czerwonej i białej nitki lub niebieskiego koralika.

– Fantastycznie! I ludzie tak robią? Serio? – zapytałam.

– Tak, chociaż może nie każdy się do tego przyznaje.

Taką oto wiedzę poczęstowała nas po zachodzie słońca sympatyczna Bułgarka, dobra wróżka z Południa.

Poszliśmy poszukać jakiejś restauracji. W małej, przyjemnej knajpce Agnieszka zamówiła *kebapczeta*, czyli paluszki z mielonego mięsa z przyprawami, i frytki, a ja musakę; do tego obowiązkową szopską i „wino od Katarzyny”.

Każdy naród ma swoje przyzwyczajenia, specjały, nawet dziwactwa związane z jedzeniem. Kuchnia może dużo powiedzieć o ludziach i ich podejściu do życia. Żeby poznać jakiś naród, trzeba spróbować jego kuchni. Akurat Bułgaria ma to szczęście, że krzyżują się tu różne krainy kulinarne. Je się dużo warzyw i owoców, a rośnie ich tu moc, i są świetnej jakości. Sprzyja temu znakomity klimat, długie i słoneczne lato. Królem jest pomidor, najpopularniejszy składnik wielu potraw i przetworów. Kuchnia bułgarska to także zupy, ocet winny i ostre przyprawy, wśród nich nieodzowna aromatyczna czubryca. Charakterystyczna dla Bułgarii jest też tak zwana kolorowa sól – sól połączona z mieszanką różnych lokalnych przypraw. Serwowane porcje przeważnie są duże, a jedzenie z jednego talerza jest typowe dla bułgarskich biesiad. Nie mogliśmy tylko pojąć nadmiernego upodobania do pszennego chleba. Tak jakby grubą kromką trzeba było dopełnić smak frytek czy ziemniaczanej musaki. U podnóża Starej Płaniny adaptowano różne potrawy ze Wschodu. Bułgarzy kochają baniczkarńce. Banice przygotowuje się obowiązkowo w każdym domu przez cały rok. Ciekawe wydawało nam się również zjawisko ulicznych automatów parzących kawę. Tylko naród namiętnych kawoszy ustawia kawomaty w najbardziej zaskakujących miejscach. Bułgarzy mają dobrą wodę mineralną, a górską źródlaną w domowych kranach i eliksir na długowieczność: *kiseło mljako* z *bulgaricusem* – bakterią na wagę zdrowia. Wino zaś pije się w Bułgarii nie z kieliszków, ale szklankami, jak to bywa na Południu.

Następnego dnia opuściliśmy Płowdiw i udałyśmy się w Rodopy, do ostatniego punktu bułgarskiej „pielgrzymki” – monasteru Baczkowskiego. Jedenastowieczny klasztor jest drugim co do wielkości monastylem w Bułgarii, po Rińskim. Na dziedzińcu stoją dwie połączone ze sobą cerkwie. Większa z nich to trójnawowa cerkiew Sweti Archangeli. Wierni modlą się tu i czekają w kolejce, by ucałować ikonę świętej Bogurodzicy, cudowny obraz słynący licznymi łaskami. Wieść niesie, że autorem wizerunku jest św. Łukasz Ewangelista. W cerkwi zapaliłyśmy świece, za żywych i za zmarłych. I za szczęśliwy powrót do domu.

Kamienna brama prowadzi z dziedzińca do jeszcze jednej cerkwi Sweti Nikoła. Ściany sklepienia ozdobił tu freskami Zacharij Zograf, którego prace tropiłam. Namalował ponad sześćset postaci. Najciekawszy jest Sąd Ostateczny, na którym uwiecznił w czeluściach piekielnych najznamienitszych obywateli Płowdiwu i hierarchów Cerkwi prawosławnej. Powążył się na jeszcze większą bezczelność: w lewym górnym rogu, obok fundatorów, namalował siebie. Podobnie jak Luka Signorelli trzysta lat wcześniej, gdy malował Sąd Ostateczny w bocznej kaplicy katedry w Orvieto. Autoportret Zografa to pierwszy autoportret artysty w dziejach malarstwa bułgarskiego.

Niedaleko klasztoru zaczyna się szlak turystyczny wiodący przez największy rezerwat

w Rodopach. Postanowiłyśmy przejść nim kawałek i poczuć klimat Rodopów, które wielu Bułgarów uważa za najpiękniejsze pasmo górskie w kraju. Tajemnicze, dzikie, pełne malowniczych wąwozów, fantastycznych form skalnych, wodospadów, jaskiń i legend.

– Tu jest cudnie! – Agnieszka się zachwyciła. – Piękna przyroda i ta wielka cisza.

– Szkoda, że nie możemy zostać dłużej. – Westchnęłam. – Musimy dziś dotrzeć do Burgas, inaczej jutro samolot odleci bez nas.

– Zostałabym jeszcze... – rozmarzyła się Agnieszka.

– Tu jest wiele tras wycieczkowych, mnóstwo ciekawych miejsc: skalne Wspaniałe Mosty, starożytne ruiny Perperikonu, wodospad Diabelskie Gardło, ten, który prawdopodobnie stał się mitycznym wejściem do Hadesu, kiedy Orfeusz zszedł tam po Eurydykę...

– To tutaj, w Rodopach?

– Tak mówią legendy. Orfeusz pochodził z Tracji, urodził się w Rodopach, to postać historyczna. Był słynnym śpiewakiem, czarował śpiewem, grał też na lirze. Zszedł do Hadesu, ale nie odzyskał ukochanej, bo był niecierpliwy i obejrzał się przez ramię. Czytałam, że być może jego styl śpiewania zachował się w niektórych bułgarskich chórach ludowych, bo ich głosy też wydają się bardzo mocne, dźwięczne. Pieśni są przekazywane z pokolenia na pokolenie, ale niezapisywane, bo podobno nie da się ich zapisać za pomocą nut, można się ich tylko nauczyć ze słuchu. Ciekawa rzecz. W Rodopach są Skały Orfeusza, prawdopodobnie też grób Orfeusza z jego szczątkami, bez głowy, bo bachantki wrzuciły ją do rzeki.

– Musimy koniecznie jeszcze kiedyś tu wrócić.

– Czemu nie, ale wtedy będziemy wędrować już tylko po Rodopach, po górach i dolinach. Chciałabym kiedyś zobaczyć miasteczko o nazwie Złatograd – powiedziałam, patrząc na mapę. – Ładna nazwa, działa na wyobraźnię. Złote miasto, ze złotymi dachami... Nie... dachy na pewno są czerwone.

Niechętnie wsiadłyśmy do samochodu. Obie czułyśmy ogromny niedosyt Rodopów. Gdybyśmy tylko miały więcej czasu... Czy Borys lubi Rodopy? Czy ma tutaj ulubione miejsca? Z żalem oglądałam się przez ramię wiele razy. Nikt za nami nie podążał.

7 Słonecznym brzegiem morza

Z tyłu został Asenowgrad, zagłębienie sukien ślubnych. Największa liczba salonów na głowę jednego mieszkańca. Każda panna znajdzie tu dla siebie sukienkę na ślub – z satyny, jedwabiu, koronki i... ze snów.

Jechaliśmy do Burgas po kolejną pożywkę dla mojej pamięci i wspomnień. Po drodze zatrzymaaliśmy się na krótko w Starej Zagorze.

Spojrzałam na mapę. Lubię studiować mapy krajów i miast, zwłaszcza nieznanymi. Badać splecione linie ulic, położenie i kształt placów, zielone plamy parków, wyznaczać kierunki spaceru... Mapa Starej Zagory jest zaskakująca. Jakby była kreślona z ekierką na papierze milimetrowym. Ulice biegną idealnie prostopadle. To w Bułgarii wyjątkowy układ miejski. Architekt wytyczył je podczas odbudowy miasta po zniszczeniach w czasie wojny rosyjsko-tureckiej. Turcy doszczętnie spalili miasto i wymordowali mieszkańców. Stara Zagora jest więc nowa, chociaż nie całkiem, nowa na pozór. Świadcami dawnych dziejów są mury obronne, resztki teatru, forum i termy. Do osobliwości tego miasta należy Muzeum Archeologiczne, w którego podziemiach biegnie donikąd rzymska kamienna ulica. A także Muzeum Religii mieszczące się w zabytkowym meczecie – tu w dawnych czasach, dzięki wyrozumiałości tureckiego namiestnika, odprawiano też nabożeństwa prawosławne.

Stara Zagora to także miasto dorodnych lip. Usiadliśmy w cieniu jednej z nich.

– Bułgarzy mieszkają w urokliwym kraju – zauważyła Agnieszka. – Myślę, że w pięknym miejscu może łatwiej znosić niedogodności dnia codziennego... Ale i tak każdy narzeka.

– Bo Bułgarzy to mistrzowie w narzekaniu, zresztą podobnie jak Polacy. Narzekają nawet na pogodę. Ale faktem jest, że brak pracy, niskie pensje, ekonomiczny upadek, przymusowa emigracja nie mogą napawać radością.

– Tak, Bułgaria jest piękna, ale biedna. Słyszałyśmy to tyle razy. Chciałabyś tu mieszkać? – zapytała mnie Agnieszka zniechęcona.

Trudno odpowiedzieć na takie pytanie, zwłaszcza w tej podróży. Wiele dróg w życiu jest już rozpoznanych, przemierzonych, czasem zamkniętych. Wybory zostały dokonane, nieskończone możliwości dawno stały się nieaktualne, decyzje zapadły. Jedne problemy się rozwiązały, inne zamotały. Za rogiem czekają nowe. To, co się miało stać, przyszło nie wiadomo kiedy. Więcej wyzwania było już za mną niż przede mną. Ale od czasu do czasu nuta przygody i tak się odzywała. Głośniej lub ciszej...

– Wiesz co... – zaczęła moja przyjaciółka – ...niespełniona miłość jest dużo lepsza, bo idealna. Z perspektywy lat wszystko wygląda perfekcyjnie. A może wolałabyś jechać na roboty do Niemiec?

– Możemy pogadać o czymś innym?

Pojechaliśmy w stronę morza nową autostradą, która skończyła się przed Burgas. Trzeba było zwolnić.

– Jak tu kiedyś powrócimy, to może skończą już budowę tej autostrady. Wtedy będzie szybciej dotrzeć w Rodopy.

Uśmiechnęłam się. Widać było, że moja przyjaciółka zapaliła się do tego pomysłu. Cieszyłam się, że spodobała jej się Bułgaria, że dobrze się bawiła. Że chciała tu powrócić i dalej ją odkrywać.

Gdy wjeżdżałyśmy do Burgas, pomyślałam o cici Wandzie. Była tu, znała to miasto. Odwiedzała też pobliski Nesebyr, opowiadała mi o tym. Wielokrotnie przyjeżdżała do Bułgarii, ale

chyba tylko nad morze. Nie wiem, jakie inne miejsca były jej bliskie. Czy widziała piękne górskie monastyny? Czy była na płowdiwskiej starówce? Albo w urokliwym Wielkim Tyrnowie? A może w Trjawnie? Nie zdążyłam zapytać. Tak bardzo żałowałam, że nie będę mogła opowiedzieć jej o tej podróży. Była najbardziej odpowiednią osobą do wysłuchania mojej sentymentalnej historii, bo знаła bohaterów tego dramatu. Nie porównamy już wspomnień, nie porozmawiamy o Borysie, nie opowiem jej, co się zmieniło w kraju, który tak lubiła, czym mnie zaskoczył, czym zaciekawił. Za późno tu powróciłam. Niepotrzebnie tak długo zwlekałam. Spóźniłam się.

W Burgas zatrzymałyśmy się w pierwszym lepszym hotelu. Ogarnęła nas melancholia zbliżającego się końca podróży. To ostatni nocleg. Ostatnie chwile na bułgarskiej ziemi.

Było słoneczne popołudnie, chciałyśmy zakończyć ten dzień w morzu, więc szybko spakowałyśmy stroje do kąpiel, ręczniki i pobiegłyśmy na plażę. Powietrze miało słony smak, a orzeźwiający morski wiatr rozpraszał smutek. Znowu usiłowałam przywołać czas, kiedy byłam tu po raz pierwszy, czyli na obozie siatkarskim. Obrazy były mgliste, impresje zamazane. Pamiętałam deptak i fontanny, a także ładny Park Nadmorski, mniejszy i krótszy niż w Warnie. Ale wszystko widziałam jak zza plastikowej, grubej, przezroczystej kurtyny. Nagle... jest! Punkt orientacyjny w czasie i przestrzeni. Stara pamiątka na skwerze, znane polonicum.

– Tego szukałam! – wykrzyknęłam triumfalnie i wskazałam obelisk, ukośnie ścięty od góry, na którym w języku bułgarskim informowano, że wielki poeta polski, Adam Mickiewicz, przebywał w Burgas w 1855 roku. Litery i cyfry, głowa wieszczą z profilu, wykute w kamieniu. Kawałek skały upamiętniający mało znany epizod. – Wiesz... – powiedziałam do Agnieszki – ...chciałam sprawdzić, co on tu robił, z kim się spotykał, czy znane są jakieś relacje. I znalazłam jedno opracowanie w uniwersyteckiej bibliotece. Mickiewicz przebywał w Burgas od szóstego do szesnastego października 1855 roku. Przyplłynął tu statkiem z trzema towarzyszami. Zszedł na ląd ubrany w obszerny oliwkowy surdut i kaszkiet z daszkiem. Podróżni udali się do obozu wojskowego, który widać było z portu. Byli gośćmi dowódcy pierwszego pułku kozackiego, Michała Czajkowskiego, czyli Sadyka Paszy. Czajkowski przeszedł na islam pięć lat wcześniej, gdy Rosja domagała się od Turcji jego wydania. W czasie wojny krymskiej organizował sotnie kozackie, w których większość stanowili Polacy – opowiadałam. – W Burgas stacjonowały dwa pułki: jednym dowodził Sadyk Pasza, a drugim generał Władysław Zamoyski. Przybycie Mickiewicza było wielkim świętem dla Polaków. Pułk chciał się zaprezentować jak najlepiej. Przyjmowano gości po królewsku, a Sadyk Pasza mnożył atrakcje: pokazy musztry, uroczyste przeglądy wojska, wyścigi konne i psie, defilady, polowania. Mickiewicz i jego przyjaciele byli zachwyceni obozowym życiem. Odbyły się także dwie wielkie całonocne uczyty. Pierwsza – z okazji przyjazdu gości i zaproszenia oficerów ze stacjonującego niedaleko drugiego pułku generała Zamoyskiego. Ucztowali w polu, pod gołym niebem i rozłożystą lipą. Między konarami powieszono transparent z godłem polskim i „cyfrą Adama Mickiewicza”. Poeta zasiadł na tronie z siodła, uzbrojonym w pistolety i pałasze. Wznoszono toasty do rana. Mickiewicz był w wyśmienitym humorze. Pamiętasz wiersz *Reduta Ordona*? „Nam strzelać nie kazano...”?

– Tak, mniej więcej.

– Sadyk pewnego dnia przedstawił poecie kapitana Juliana Konstantego Ordona. Mickiewicz był zdumiony. Podobno dopiero wtedy dowiedział się, że bohater jego wiersza wcale nie poległ w czasie obrony Warszawy w 1831, ale wyjechał do Anglii, a generał Zamoyski zaproponował mu dowodzenie baterią artylerii drugiego pułku Kozaków, tutaj w Burgas.

– Niezły numer. I co dalej?

– Odbyła się druga obozowa uczta, z okazji imienin jednego z pułkowników. Pogoda się popsuła i przyjęcie urządzono w kilku namiotach. W menu była baranina, bardzo tłusta i ostro przyprawiona, bigos z upolowanego dzika, bardzo pikantny, stare salami, kwaśny barszcz. Mickiewicz lubił barszcz, ale lokalne ostre potrawy sprawiły, że źle się poczuł. Zachorował na żołądek. Leżał w namiocie i jadł tylko kleik ryżowy. Skończyły się uczty, polowania i parady. Choremu doradzano wyjazd. Gdy Mickiewicz poczuł się lepiej, odpłynął małym statkiem pocztowym do Konstantynopola. Życie w obozie nadszarpnęło mu zdrowie. Gdy pod koniec listopada do Burgas dotarła wieść o śmierci Mickiewicza, wszyscy uważali, że to Sadyk Pasza fatalnie przysłużył się poecie okropnym jedzeniem. Plotki o winie Sadyka ucichły z powodu innych rewelacji: podejrzeń o otruciu Mickiewicza w Konstantynopolu.

– Kiedy wytropiłaś tę historię?

– Przed naszym wyjazdem. Zajmowałam się Mickiewiczem, wiesz, wszystko zamiast.

Molo było dla nas zamknięte, poszło do remontu. Snułyśmy się deptakiem wzdłuż plaży, oglądając stragany i budki z jedzeniem. W Burgas popularna była dziwna przekąska z ziemniaka obieranego w spiralę. Sprzedawano lody na wagę. Prowizoryczne budy oferowały plażową chińską tandetę.

– Pamiętasz tę dyskusję u Cwety na temat plaży? – zapytałam Agnieszkę.

– Nie kojarzę.

– O wyższości plaży w Burgas nad plażą w Warnie.

– Aha, Rosen mówił, że w Burgas jest ładniejsza, bo nie ma tych paskudnych barów i betonu.

– Tak, i miał rację.

– Ta plaża jest naturalna, długa, niezniszczona, jakby nie znajdowała się w dużym mieście. I pusta. Prawie nikogo nie ma. A przecież zaczyna się weekend, jest piątkowe popołudnie!

– Trzeba się gdzieś tu ułożyć.

Morze było ciepłe, ale fale tak silne, że nie bardzo dało się pływać. Co tam, damy radę, kąpiel w morzu to wymarzone zakończenie dnia i naszej podróży. To relaks i przyjemność, za którymi tęskni się przez cały rok.

– Idziemy na rybę – zarządziła wkrótce potem Agnieszka.

Niechętnie podniosłam się z legowiska. Zebrałyśmy rzeczy i ruszyłyśmy do knajpki na skraju parku i plaży.

– Dla mnie *caca* i piwo – zdecydowałam natychmiast. Bardzo lubię ryby, ale w głębi kraju rzadko pojawiały się w ofercie. – I koniecznie szopska.

Zamówiłyśmy jeden ogromny talerz rybek, który starczyłby dla trojga głodomorów. Chrupiące srebrzyste szprotki smakowały wakacjami nad morzem. Siedziałyśmy przy stoliku na plaży, grzebiąc stopami w piasku, patrząc na niespokojne fale, odległy port i pierwsze światelka zapalające się w miasteczkach wzdłuż zatoki. Ostatni wieczór w Bułgarii. Smak melancholii do zapamiętania, chociaż nic szczególnego się nie wydarzyło.

Rano wyruszyłyśmy na północ. To miłe uczucie: jechać wzdłuż słonecznego brzegu morza. Ale nie była to bardzo malownicza trasa. Bez żalu mijałyśmy hotelowe enklawy, turystyczne betonowe blokowiska, zza których trudno było dostrzec morze. Zmierzaliśmy do Nesebyru, czarnomorskiej perły, urokliwego miasteczka, które tak bardzo mi się spodobało, gdy miałam kilkanaście lat. Jak czas,

a może bardziej masowa turystyka, zmieniły tę tracką osadę?

Wkrótce zobaczyłyśmy półwysep, a na nim Stary Nesebyr. Malutkie miasto na cyplu wyglądało jak przycumowana cienką liną wielowiekowa łódź. Na wąskiej grobli witał nas już tylko jeden wiatrak. Byłam pewna, że kiedyś były trzy... no, może dwa. Miasteczko łagodnie obmywało morze. I zalewały fale turystów, którzy wpływali w wąskie uliczki, okrążali cerkiewki, wypełniali restauracje i kawiarenki. Dawniej nie widziałam tu tylu lokali, cerkwie były pozamykane, a na głównych trasach nie stał ani jeden stragan z chodnikową tandetą – teraz jest ich mnóstwo. Macdonaldy pamiątkarstwa z plastiku... Wypatrywałam koronczarek w czerni, które kiedyś dziergały serwetki i obrusy, siedząc przed swoimi domostwami. Odeszły w siną dal. Zamiast nich pojawiły się sklepy z koronkami i obrusami. Cisza i senny nastrój, który zapamiętałam, może dadzą się odnaleźć, ale w innej porze dnia lub roku. Na szczęście domki pozostały takie same, kamiennie-drewniane, obrośnięte winoroślą, z wysuniętym piętrem, pod którym można się schować jak pod parasolem. Czarnomorski styl. Niepotrzebnie porównuje się Nesebyr z obcymi wzorami piękna. „Bułgarska Rawenna”? Po prostu bułgarski Nesebyr, jedyny w swoim rodzaju.

W sklepie z pamiątkami zrobiłyśmy ostatnie zakupy, choć nie był to najlepszy pomysł, bo ceny w Nesebyrze są chyba najwyższe w całej Bułgarii. Dlatego olejek różany i ceramiczne miseczki z bułgarskim ludowym wzorem kupiłam wcześniej. Ale przypomniało mi się, że powinnam jeszcze kupić koniak Słoneczny Brzeg dla Filipa. Kiedyś kupowałam go dla taty, ale taty już nie ma.

Do Warny zostało około osiemdziesięciu kilometrów. Jechałyśmy wzdłuż wybrzeża. Szerokim łukiem ominęłyśmy Słoneczny Brzeg, nieciekawe i krzykliwe miejsce, dobre dla wielbicieli nocnego hotelowego życia. Zabetonowaną, chaotyczną topografię zostawiłyśmy za sobą...

Przed wjazdem do Warny zatrzymałyśmy się na ostatni posiłek w przydrożnej restauracji. Agnieszka zamówiła oczywiście potrawę mięsną: *gjuwecz* pieczony w glinianym garnku, ja grillowaną cukinię z nieodłączną sałatką i frytki po bułgarsku z serem *sirene*.

– Udała nam się ta podróż – oceniła Agnieszka, wybierając co smaczniejsze kęski z garnka. – Podobała mi się, nawet bardzo. Sporo zobaczyłyśmy.

– Na pewno więcej niż wczasowicze plażowo-basenowi, którzy często nie mają pojęcia, dokąd przyjechali. Odkryłyśmy dla siebie kawałek pięknej Bułgarii.

– To rzeczywiście dziwne, że wyjazdy Polaków do Bułgarii są tak popularne, a kraj właściwie nieznany. Niby bliski, a daleki. Ciekawy paradoks.

– Spotkałyśmy fajnych ludzi...

– Szkoda, że nie wszystkich, których chcieliśmy spotkać – dorzuciła Agnieszka ze śmiechem.

– No, niestety...

– Pamiętasz film *Balzak i mała Chinka*? – zapytała.

– Tak, lubię go.

– Tam na końcu jest taka scena: jeden z bohaterów wraca po dwudziestu latach do wioski, w której kiedyś musiał mieszkać, bo został do niej zesłany. Chce odszukać dziewczynę, którą kochał, ale wtedy nie potrafił jej zatrzymać. Kiedy tam przyjeżdża, nie może odnaleźć prawie żadnych śladów przeszłości. Wioska wkrótce ma zostać zalana, bo powstaje tam zbiornik wodny. Wszystko będzie zatopione, osiadzie na dnie... Prezent, jaki jej przywiózł, również.

– Tak, to ładny, poetycki obraz. Prawdziwe uczucia, piękne krajobrazy i pozornie brak szczęśliwego zakończenia... Dlaczego ci się to przypomniało? – zapytałam.

– Nie wiem, takie skojarzenie.

– Gdzie Chiny, a gdzie Bułgaria... Teraz smakujemy Bułgarię i to dosłownie. – Uśmiechnęłam się do Agnieszki.

– Twoja pasja może być zaraźliwa.

– Bardzo mnie to cieszy.

Moje zauroczenie Bułgarią miało przecież mocne podstawy. To był cel mojej pierwszej zagranicznej podróży. Tu poznałam smaki warzyw i owoców, jakich wcześniej nie jadłam. Tu przekonałam się, że można żyć bez czarnej herbaty i kiwać głową na „tak”, mówiąc „nie”. Tu pierwszy raz pływałam w morzu cieplejszym niż Bałtyk. Wreszcie tu po raz pierwszy się zakochałam. Spotkałam wielką miłość. Rozkwitała w pięknej bułgarskiej scenerii. Borysa nie widziałam od tylu lat, ale jego obraz nie zbladł w mojej pamięci. To uczucie wywarło największy wpływ na niegasnącą sympatię do Bułgarii. Wyidealizowany obraz zmienił się, ale nie rozpadł. Stał się bardziej realistyczny, ale jest nadal atrakcyjny. Nostalgia przełamana sentymentem z domieszką romantyzmu. Przeszłość, którą przywołałam w tej podróży, nie była tylko tym, co kiedyś przeżyłam. Stała się częścią tego, co będzie. Powiązałam zerwane nitki. O jednych rzeczach warto pamiętać, o innych starać się zapomnieć.

Nie znalazłam odpowiedzi na wiele pytań: Jak wygląda życie Borysa? Co myśli? Czego żałuje? Czego pragnie? Kogo kocha? Czy i kiedy wróci do Bułgarii? Widocznie tak musiało być. Każdy w obcym kraju ulega nieuchronnej przemianie. Odkurza wspomnienia, weryfikuje opinie, otrzymuje porcję zachwyty i rozczarowań. To, czego tu doświadczyłam, zmieniło również moje myślenie o własnej przeszłości. Uspokoiliam się i pogodziłam z nią. Spełniłam kolejne marzenie, które tylko zaostrzyło apetyt na Bułgarię. Są miejsca stworzone po to, by za nimi tęsknić. Podobnie bywa z ludźmi.

Późnym popołudniem docieramy do lotniska w Warnie. Rozstajemy się z naszym zakurzonym czerwonym golfem, który ani razu nas nie zawiódł.

Świeci słońce. Żal wyjeżdżać. Jeszcze raz oglądam się przez ramię, kierując się do odprawy. Na Warnę, gdzie raczej już nie wrócę. Na drzewa widoczne za szybami, na drzwi wejściowe do hali odlotów. Nie, dziś nikt znajomy się w nich nie pojawi. Nikogo nie będę żegnać. Żywy człowiek zamienił się w widmo. Została scenografia mojego niepowtarzalnego eksperymentu na sobie samej. Odczarowałam krainę wspomnień.

Po latach odkryłam Bułgarię na nowo. Jest swojska, ale zaskakująca. Zabawna i irytująca. Znana i nieznana. Słowiańsko rozlazła i chaotyczna. Różnorodna i smaczna. Kraj niedocenianego, ukrytego piękna. Idealny do swobodnego kolekcjonowania wrażeń. Różany i lawendowy. Słoneczno-górzysty. Na uboczu, na krańcu, gdzieś pomiędzy.

8 Ustawienia prywatności

Powrót do codzienności jest bolesny. Zawsze opornie się w nią zagłębiam. Po podróży wchodzę do swojego życia tak, jak się wchodzi z ulicy do domu po dłuższej nieobecności. Niepewnie. Z niepokojem. Musiałam przypomnieć sobie stare szlaki i znajome sprzęty. Porzucone papiery, przerwane akcje. Każda podróż zmienia. Meble sugerują nam, że wszystko jest po staremu, bo stoją na swoim miejscu. Domowe dekoracje wiążą nas z osobą, jaką jesteśmy na co dzień. Tylko trochę czasu zajmuje dostosowanie się do dawnego tempa i dopasowanie do wyżłobionych kolein, po których potoczy się dzień za dniem, miesiąc za miesiącem. Dom, praca, zabawa, sprawy ważne i błahe.

Po kilku miesiącach, w deszczowo-jesienny dzień umówiłam się z Agnieszką na obiad w restauracji „Nesebyr” przy Marszałkowskiej, gdzie mogłyśmy odnaleźć choć namiastkę smaków minionego lata – bez słonecznej oprawy i atmosfery niespiesznej podróży w nieznane. Te potrawy smakowały jednak inaczej. Pieczona jagnięcina ze szczyptą nostalgii, sałatka szopska doprawiona świeżymi wspomnieniami, czerwone wino o lirycznym posmaku i sentymentalna bułgarska muzyka w tle – płyta z dawnymi przebojami. Rozmawiałyśmy o studenckich protestach, które w Bułgarii nadal trwały. Media w Polsce nie informowały o tych wydarzeniach, gazety też nie. Nieliczne wzmianki i zdjęcia można było znaleźć jedynie w internecie.

Miesiąc wcześniej dołączyłam do ducha czasu, czyli założyłam konto na Facebooku. „Kogo nie ma na fejsie, ten nie istnieje”, słyszałam wielokrotnie od syna. Nie zależało mi na takim zaistnieniu, ale byłam ciekawa, czym ludzie się zajmują w wirtualnym świecie. Gawędziłyśmy więc z Agnieszką o fejsbukowych znajomych.

– Tam jest też chyba ten twój Borys – powiedziała w pewnej chwili.

Spojrzałam na nią zaskoczona. Wypiłam wino do dna.

– Naprawdę? Skąd wiesz?

– Znalazłam go jakiś czas temu. Zapomniałam ci powiedzieć. Po prostu wpisałam imię i nazwisko. Ale właściwie nie wiem, czy to on, bo go nie znam. Jest zdjęcie, więc możesz łatwo sprawdzić. Nie widziałaś?

– Nie, jakoś o tym nie pomyślałam... Nie szukałam. Rzadko tam zaglądam. A on nie kojarzył się z tym portalem. Wydaje mi się, że on należy do innego porządku... do cywilizacji przedinternetowej.

– Sprawdź to. Może się mylisz, może to jednak on? – zachęcała Agnieszka. – A jeśli to nie on, to pewnie wkrótce tam będzie. Trzeba się podczepiać do aktualnych trendów. Na fejsie można znaleźć wiele osób i dowiedzieć się o nich ciekawych rzeczy. Wirtualny ekshibicjonizm to zabawne zjawisko.

– Wiem, już się zorientowałam.

Wieczorem usiadłam przy komputerze. Zalogowałam się. Wpisałam imię i nazwisko Borysa. Kliknęłam. Pojawiło się kolorowe zdjęcie, a na nim... Borys we własnej osobie. Jego twarz w księdze twarzy. Jego nowe wcielenie starsze o dwie dekady. A więc to takie banalnie proste. Wirtualne, anonimowe spotkanie na niby nic nie kosztuje, oprócz zaskoczenia albo wzruszenia. Albo wzruszenia ramion. Spotkanie widmo. Po co spotykać się w realu? Można tutaj.

Spojrzałam uważnie na zdjęcie. Poznałabym go natychmiast. Zmienił się, ale niewiele. Ma tylko pełniejszą twarz, ale te same oczy, szerokie umięśnione ramiona. Tylko czoło ma wyższe, bo włosów mu z lekka ubyło i są krótsze. Czas ich dotknął i mściwie je przerzedził, ale nie zmieniły koloru.

Zdjęcie zrobiono latem, w słoneczny dzień, nad rzeką. Borys ma na sobie zieloną koszulkę. Patrzy poważnie w obiektyw, z uwagą, jakby ze smutkiem. Nastrój chwili zatrzymany w kadrze. Jego twarz nie wyraża ani satysfakcji, ani dramatów minionych lat. Raczej spokój i umiarkowane znużenie. A może to tylko zmęczenie upałem. Kłopoty nie odcisnęły się na tej twarzy, nie przeorały jej bruzdami, ironia nie skrzywiła linii ust. Tylko spojrzenie nie jest już takie żywe i wesołe jak kiedyś. „Dobrze cię znowu widzieć, Borys”, pomyślałam.

Byłam ciekawa, czy jest fanem sieci i portali społecznościowych. Co może się o nim dowiedzieć ktoś obcy, przypadkowy. Jaki wirtualny Borys ma charakter, który obecnie nazywa się częściej profilem osobowościowym. Co udostępnia znajomym w sieci? Ile siebie odkrywa? Jakie są granice jego prywatności? Co o nim mówi jego profil w księdze twarzy?

Podał podstawowe ankietowe informacje: datę urodzenia, wykształcenie, miejsce zamieszkania. Brak informacji o pracy, związkach i członkach rodziny. Nie zdradza też, jakie lubi filmy, książki, programy telewizyjne. Nie chwali się miejscami, w których był. W rubryce „muzyka” zaznaczył tylko dwa zespoły: U2 i Scorpions. Rock dynamiczny i romantyczny. „Polubił” kilka stron: Lewski Sofia (oczywiście sport), Dobri Dobrew (niezwykła postać), Rodopy (strona o tym urokliwym miejscu), Mój Pernik (wiadomo), Silni Bułgarzy (mniej więcej wiadomo), Bulgariabook (strona o aktualnościach i mediach) i Łowca ryb (strona dla wędkarzy). Nie należy do żadnej grupy. Ma sporo znajomych. Żadnych wspólnych. Nie jest fejsowym ekshibicjonistą, nie epatuje sobą. Nie chwali się ani sukcesami, ani dziećmi, ani sukcesami dzieci. Nie zwierza się, co robił wczoraj lub trzy lata temu. Nie należy do maniaków, którzy informują codziennie, gdzie są, dokąd jadą i jaki mają humor. Nie fotografuje swojego śniadania ani kolacji, ani drinka. Nie dzieli się widokiem z samochodu. Nie informuje, z kim i gdzie pije piwo ani co robi w weekend. Nie komentuje wydarzeń politycznych ani aktualnie ważnych tematów. Nie wie o okolicznościowych kartek. Nie lubi „złoty myśli” i innych mądrości. Jest powściągliwy. Nie zamieszcza selfie. Nie udziela się. Nie lansuje.

Nie wiadomo, jakie są jego relacje z innymi ludźmi, związki z kobietami, opinie, zasady, uprzedzenia, interesy i aspiracje, czyli cała sieć spraw, w którą zaplątane jest życie każdego człowieka. Jego profil jest prawie pusty. Zawiera tylko urodzinowe życzenia od znajomych i kilkanaście zdjęć. Borys nie lubi się fotografować. Na paru fotkach jest skrzywiony, jakby mówił: „Nie rób tego zdjęcia”, a na wielu wcale go nie ma, jest tylko przyroda. Tak, on lubi przyrodę. Gdybym tego nie wiedziała, nietrudno by było się domyślić. Na dwóch zdjęciach towarzyszy mu pies, zabawny kundelek. Lubi więc psy. Na kilku pozuje ze złowionymi rybami i wtedy się uśmiecha. Szczęśliwy wędkarz i jego trofea różnego gatunku. Zdjęcie z karpem. Zdjęcie z okoniem.

Wiem już, jakie są jego pasje. Lubi Rodopy! Fascynują go wysokie drzewa nad wodą i chmury o dziwnych kształtach. Uwielbia łowić ryby. Ceni sobie spokój, ciszę i kontakt z naturą. Podziwia wielki teatr przyrody. Chce być wolny – od cywilizacji, gazet, telewizji i internetu. Chyba lubi samotność i medytację z wędką. Czy woli łowić w pojedynkę czy z kolegami? Raczej w pojedynkę. Domyślałam się, że denerwują go rozmowy o niczym, bezmyślne gadulstwo. W Bułgarii jest wiele pięknych rzek i jezior. Niektóre fotografie Borys podpisał, więc wiem, gdzie łowił. Te nazwy są mi znane z mapy: jeziora w Rodopach, rzeki niedaleko Sofii. Biwaki nad wodą, na skraju lasu. Namiot ustawiony tuż nad lśniącem jeziorem lub szemrzącą rzeką. Urok ogniska palącego się w nocy, snop iskier strzelających wysoko w niebo i tonących w jeziorze. Szum wiatru marszczącego tafle wody przed zmierzchem. Samotna łódka w oddali. Puste rybackie krzesło przy brzegu...

Kto ma szczęście w miłości, nie ma go w kartach. A w przypadku ryb? Czy Borys ma szczęście do ryb? Czy łatwo się łapia na jego haczyki? Czy może siedzi i czeka godzinami, aż do niego przyplyną? Ryby są sprytne. Trzeba być bystrym obserwatorem przyrody, żeby zostać wędkarzem z sukcesami.

Wiem, że czuje się szczęśliwy, gdy nieruchomo siedzi z wędką nad wodą. Tylko tym chce się dzielić z wirtualnymi znajomymi: radością udanego połowu i urokiem odludnego, pięknego miejsca. Nie ludźmi. Nie wiem, co mu się w życiu udało, a co umknęło. Co ma, a czego miał nie będzie. Ale dwie rzeczy są dla niego na pewno ważne – przyroda i łowienie ryb. Taka jest jego terażniejszość, którą kiedyś nazywał przyszłością. Teraźniejszość w formacie jpg. Wybrane obrazki z rzeczywistości.

Wyobrażam sobie, że Borys zaczął łowić dziesięć lat temu. Ma w domu zapas różnych wędek. Łowi sandacze, szczupaki, okonie, karpie, może także węgorze. Małe kiełbiki pewnie zjada jego piesek, towarzysz wypraw. Pies na ryby. Borys na pewno sam je przyrządza. Pieczone, smażone, marynowane. Najlepiej lubi smażone, obtoczone w bułce. Wiem. Ciekawe, na ile sposobów potrafi przyrządzić rybę? Czy umie zrobić karpia po bułgarsku? A może lubi tylko łowić, a potem rozdaje ryby rodzinie i znajomym – w prezencie, jako pamiątkę z urlopu, wakacji czy udanego wypadu na weekend.

Ta pasja wiele o nim mówi. Jest cierpliwy i wytrwały. Potrafi czekać. Ma spokojne usposobienie, ale lubi niespodzianki i przygody. Uwielbia patrzeć, jak wiatr kołysze świerkami nad jeziorem, i obserwować kręgi na wodzie. Wypoczywa w otoczeniu przyrody, nie przeszkadza mu wczesne wstawanie. Pociąga go rywalizacja z naturą. Nie zraża się porażkami. Lubi się uczyć. Łowienie ryb to wiedza i sztuka. Sztuka dokonywania trafnych wyborów. Borys chętnie wybiera takie miejsca w życiu: na uboczu, odosobnione, na granicy ciszy i falującej wody. Pewnie codziennie za tym tęskni, mieszkając w mieście.

Tyle mi o nim mówi skromny profil w księdze twarzy i własna intuicja podparta wyobraźnią. Reszta jest niewiadomą. Nieopisane nie istnieje.

Mogę zapytać go o te ryby i inne historie. Nie wiem, czy chcę.

Może napiszę – kiedyś. A może wcale.

Podziękowania i bibliografia

Dziękuję autorom książek i artykułów:

A. Zawilski, *Bułgaria trzynastu wieków*, Warszawa 1979

J. E. Herold, *Bułgaria. Roztrwoniony dar Boga*, Kraków 2008

D. Tenew, *Dzieje sztuki w Bułgarii*, Warszawa 1989

D. Świerczyńska, *Zapomniane relacje o pobycie Mickiewicza w Burgas*, „Pamiętnik Literacki” 1990, z. 4

A. Grajewski, *Tożsamość „Kruma”*, „W sieci historii” 2014, nr 12

Twórcom ciekawych blogów i stron internetowych:

www.szopskasalata.pl

www.tymczasemwbulgarii.blogspot.com

www.raportzraju.blogspot.com

www.bulgaricus.pl

Dziękuję wielu życzliwym osobom, a przede wszystkim:

Kalinowi, Ango i Albenie – za inspirację.

Marii Reptowskiej, autorce bloga www.szopskasalata.pl, za cenne uwagi i szczegółową konsultację bułgarystyczną. Dzięki niej uniknęłam kilku pułapek :) .

Krysi Barchańskiej-Wardęckiej, pierwszej czytelniczce i recenzentce tego tekstu, która bardzo serdecznie i bardzo uparcie namawiała mnie na jego publikację.

Idze Rembiszewskiej i Magdzie Mazur z wydawnictwa Edipresse Książki – za urzeczywistnienie tego pomysłu.

Bardzo Wam dziękuję!

Spis rozdziałów

Część 1

Prolog

- 1 Wieści z sieci
- 2 Pomidory i osiołki, czyli Bułgaria po raz pierwszy
- 3 Złote piaski Warny, czyli Bułgaria po raz drugi
- 4 Początek
- 5 Figa i jabłko
- 6 Koraliaki z muszelek
- 7 Srebrny łańcuszek
- 8 Czas listów
- 9 Do Sofii naokoło

Część 2

- 1 Powrót
 - 2 Podróż przed siebie
 - 3 Płatek czerwony czy różowy?
 - 4 Witamy w Zośce
 - 5 Jakie piękne niespotkanie
 - 6 Za siódmą górą
 - 7 Słonecznym brzegiem morza
 - 8 Ustawienia prywatności
- Podziękowania i bibliografia

[1] Otrzymał imię po dziadku.

[2] Kocham cię.

[3] Cytat z wiersza Haliny Poświatowskiej.

Copyright for the Polish Edition © 2018 Edipresse Polska SA

Copyright © 2018 by Małgorzata Winkler-Pogoda
Edipresse Polska SA
ul. Wiejska 19
00-480 Warszawa

Dyrektor Zarządzająca Segmentem Książek: Iga Rembiszewska
Redaktor kreatywna projektu: Magda Mazur
Produkcja: Klaudia Lis
Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska
Digital i projekty specjalne: Katarzyna Domańska
Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 22 584 23 51);
Barbara Tekiel (tel. 22 584 25 73);
Andrzej Kosiński (tel. 22 584 24 43)

Biuro Obsługi Klienta
www.hitsalonik.pl
mail: bok@edipresse.pl
tel.: 22 584 22 22
(pon.-pt. w godz. 8-17)
www.facebook.com/edipresseksiazki
www.instagram.com/edopresseksiazki

Redakcja: Zofia Rokita
Korekta: Katarzyna Szajowska
Projekt okładki, skład i łamanie: Magda Zając
Zdjęcie z I okładki, grafika z IV okładki: Shutterstock
Zdjęcie z II skrzydełka: archiwum prywatne Autorki

ISBN: 978-83-8117-658-3

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłączeniem zezwoleniem właściciela praw autorskich.